

PRÓBA ZŁOTA



NAOMI NOVIK



NAOMI NOVIK

PRÓBA ZŁOTA



Przełożył
Jan Pyka



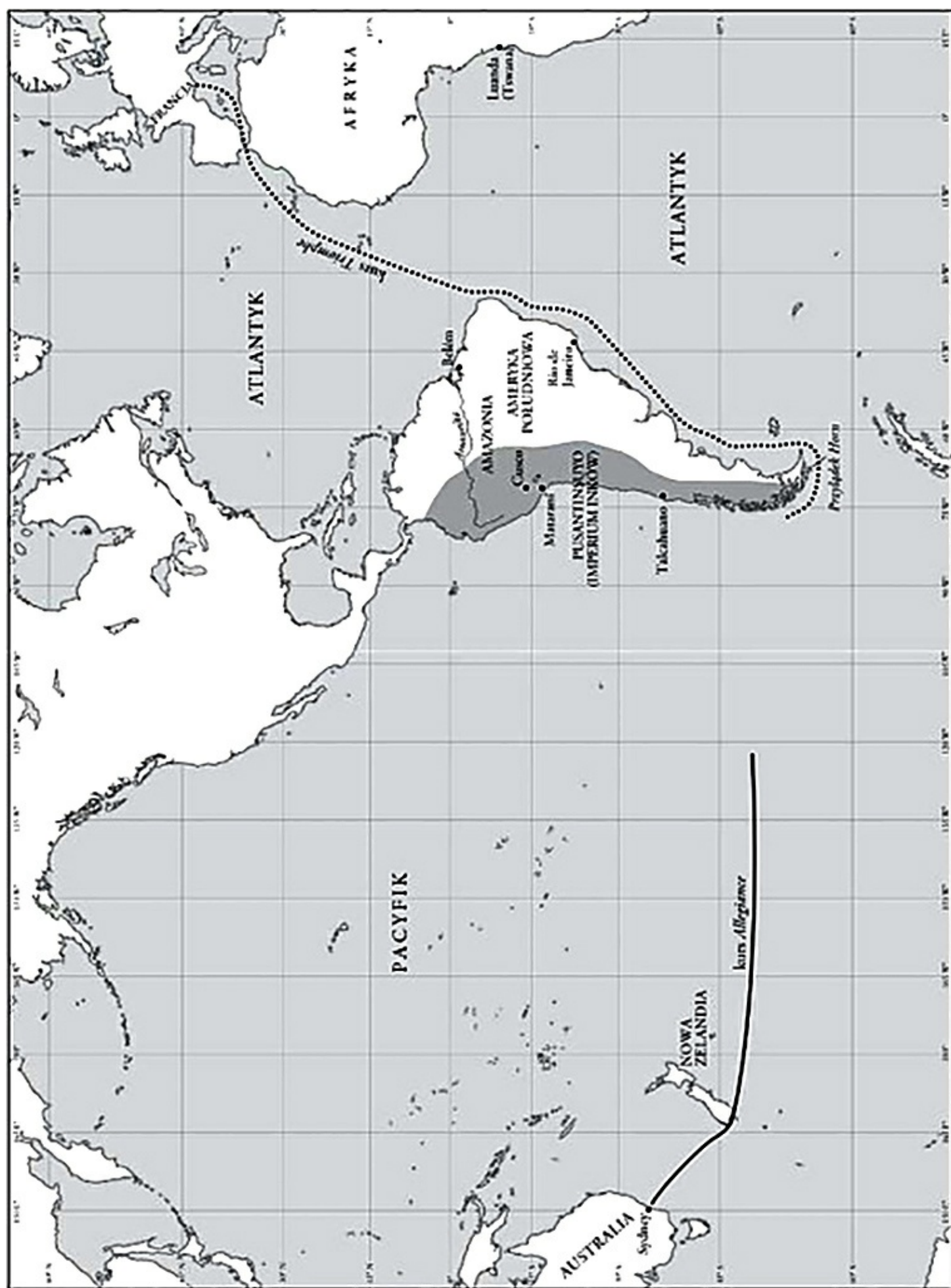
*Dla Betsy Mitchell,
nadzwyczajnej redaktorki,
która dała Temeraire'owi skrzydła*

Podziękowania

Gorące podziękowania dla moich beta czytelniczek Georginy Paterson, Vannessy Len, Rachel Barenblat i N.K. Jemisin (jeśli nie czytaliście jej powieści *Sto tysięcy królestw*, sprawcie sobie uciechę i kupcie ją jak najszybciej), które swoimi głęboko przemyślanymi opiniami pomogły mi na mnóstwo sposobów poprawić tę książkę.

Dziękuję także mojej wspaniałej agentce, Cynthii Manson, zwłaszcza za to, że połączyła mnie i Temeraire'a z moją fantastyczną redaktorką Betsy Mitchell, której pasji i zachętom zawdzięczam nie tylko milion i jedno udoskonalenie, ale i ogromny rozmach tej sagi o przygodach Laurence'a i Temeraire'a. Sagi, o której miałam tylko mgliste wyobrażenie, kiedy wskoczyłam na pokład *Relianta* w chwili zdobycia smoczego jaja.

Wyrazy miłości i wdzięczności kieruję też do Charlesa, zawsze mojego pierwszego, najlepszego i najbardziej wymagającego czytelnika, jak również do naszej nowo narodzonej córeczki, Evidence, która zrobiła wszystko, aby wtrącić swoje trzy grosze na każdym etapie powstawania tej książki.



Prolog

Arthur Hammond szczyił się tym, że swoje obowiązki służbowe wypełniał z pewną dozą niewrażliwości – obojętności na fizyczne niewygody, a nawet towarzyskie niezręczności – tłumiąc naturalną odrazę, kiedy ta mogłaby zakłócić przebieg misji dyplomatycznej. Inni ludzie, obdarzeni większym wdziękiem, mogli sobie pozwolić na delikatność; on uważał siebie za twardsze narzędzie, a jeśli już tak miało być, musiał być idealnie twardym narzędziem – postrzeganym jako ktoś, kto w równym stopniu nie zważa tak na siebie, jak i na innych – o którym się myśli, choćby i niechętnie, „Ach, Hammond – nieznośny, ale doprowadzi sprawę do końca”.

Podążał zatem tam, dokąd wiodły go naturalne skłonności, i korzystał bez skrupułów lub oporów narzuconych przez grzeczność z każdej okazji, jaka się nadarzyła, w rezultacie czego przed ukończeniem trzydziestu lat mógł się tytułować ambasadorem pełnomocnym w Chinach, zajmując stanowisko, które w dużej mierze sam stworzył.

I to z kolei doprowadziło go do obecnego żalosnego stanu, w którym jego zdolność lekceważenia własnych potrzeb została poddana ostatecznej próbie: wełniane koce, którymi się owinał, naciągając nawet na głowę, pokrywał szron, a paskudny łopot ogromnych, jasnoniebieskich skrzydeł, gdy smok nurkował, żeby coś zjeść, powtarzał się w odstępach zbyt dużych, by do tego przywyknąć, a jednocześnie zbyt małych, żeby w pełni dojść do siebie po każdym z tych posiłków. Na dodatek przez cały czas jego głód walczył z mdłościami; w torbie miał mięso i ryż, ale rzadko udawało mu się tak ogrzać ręce, by móc wyciągnąć je spod przykrycia, i w rezultacie zjadał coś nie częściej niż raz na dzień, a i tak wiatr porywał połowę jego prowiantu. Przy życiu utrzymywało go głównie mocne wino ryżowe w butelce na pierś, które sobie racjonował i dzięki któremu kolejne dni zamieniły mu się

w pasmo niewyraźnych, rozmazanych obrazów – okulary starannie schował w wewnętrznej kieszeni płaszcza – i powracających od czasu do czasu mdłości.

Jego rozumiana w przenośni niewrażliwość pod koniec trzeciego tygodnia stała się niemal dosłownym odrętwieniem: przez długi czas nie zauważył nawet, gdy wreszcie zaczęli schodzić do lądowania, a kiedy smoczyca złożyła skrzydła i odwróciwszy głowę, powiedziała: „Mieliśmy bardzo przyjemny lot”, Hammond jeszcze przez pół godziny nie był w stanie uwolnić się z upręży, tak niezdarne były jego ruchy i tak bardzo drżały mu ręce.

Shen Li z grzeczności nie zrobiła żadnej uwagi na temat jego trudności, ale pochyliła się nad sadzawką i przez długi czas piła bardzo dużymi łykami. Skończywszy, uniosła łeb i strząsnęła wodę z pyska.

— Nie widzę wielce szanownego Lung Tien Xianga – odezwała się, podczas gdy Hammond kontynuował swoją walkę ze sprzączkami – ale tam na górze widać pawilon, który rozkazał zbudować...

Hammond niczego nie widział do chwili, gdy zdołał wyjąć z kieszeni swoje okulary i po przetarciu soczewek włożył je na nos. Spojrzawszy w górę, zobaczył pawilon stojący na ścianie zbocza po drugiej stronie doliny, w której wylądowała Shen Li. Było to ambitne przedsięwzięcie: jak można było sądzić po kolumnach z żółtego kamienia, które wyznaczały jego obwód, budowla wielkością dorównywała Partenonowi, chociaż nie miała jeszcze dachu, a dookoła niej stały prowizoryczne chaty.

— Tak, widzę, ale czy nie jesteśmy zbyt daleko? – powiedział Hammond... a raczej zamierzał powiedzieć; z ust wydobyło mu się tylko suche krakanie, więc zrezygnował z prób konwersacji, koncentrując uwagę na wydostaniu się z upręży. W tej chwili czuł, że raczej przeszedłby resztę drogi pieszo, bez butów, po cierniach, niż wzniósłby się znowu w powietrze.

Zsunął się z grzbietu Shen Li powolnie i niezdarnie, w sposób demonstrowany w Chinach tylko przez dzieci i osoby zniedołężniałe, zdolne poruszyć jedną ręką lub nogą naraz. Kiedy dotknął nogami ziemi, osunął się zaraz na szeroki, gładki kamień, który leżał tuż przy wodzie.

— Może teraz coś upoluję, zanim polecimy do pawilonu, a ty tymczasem zechcesz się nieco uporządkować – powiedziała Shen Li, a on nawet nie potrafił się zawstydzic, że potrzebna była taka sugestia z jej strony. Uderzyła ogromnymi skrzydłami i wzniosła się w powietrze, rozrzucając wokół liście i kamyki. Pozostawiony na ziemi Hammond usiadł prosto, popatrzył na po-

wierzchnię wody, ciemną, wciąż jeszcze wzburzoną, i wyobraził sobie, że pije. W rzeczywistości, pomyślał, będzie musiał poczekać na to jeszcze z pół godziny, zanim ośmieli się zaufać nogom i uwierzyć, że przeniosą go przez te dwa jardy dzielące go od wody.

Stopniowo uświadamiał sobie, w miarę jak słońce przenikało dotkliwy chłód, jaki się w nim usadowił, że dzień był niezwykle gorący. W Pekinie obecnie była zima: czuł się tak, jakby spędził w powietrzu miesiące zamiast trzech tygodni lub przez jakiś bajkowy mechanizm został przeniesiony w inną porę roku. Słabymi ruchami rąk zaczął się wyplątywać z kolejnych koców, coraz szybciej, gdy pot popłynął mu po plecach, aż na koniec zrezygnował z godności, wciągnął głowę w ramiona i wijąc się jak robak, wysunął się z reszty. Pozostawivszy ten kokon i godność, doczołgał się po prostu po skale do wody, po czym zanurzył w niej twarz, szukając chłodu i ulgi.

Po jakimś czasie uniósł ociekającą wodą głowę i gwałtownie dysząc, przekreślił się na plecy, wreszcie w pełni świadomy swojego ciała i nieskończenie wdzięczny za ciepło oraz zaspokojenie pragnienia, i właśnie wtedy z krzaków wystrzeliła para pazurzastych, pokrytych łuskami łap, schwyciła tłumok koców i błyskawicznie odciągnęła z jego pola widzenia: mignęła mu tylko paszcza z piłokształtymi zębami i błyszczące czarne oczy, a potem wszystko znikło.

Hammond przez chwilę wpatrywał się bezmyślnie w krzaki, a potem zerwał się na nogi, które trzęsły się i uginały pod ciężarem jego ciała. Mimo to rzucił się do ucieczki, potykając się i odskakując w trwodze od każdej gałązki czy też liścia, które kołysały się na wietrze. Sił dodawało mu przerażenie, a potem i pełen zawodu syk, który dobiegł go z tyłu: pomyłka została odkryta. Zadanie jednak go przerosło; w pewnej chwili poczuł osobliwe poruszenie pod stopami i zatrzymał się: z krzaków przed nim wychylił się łeb świdrujący go łakomym i złośliwym spojrzeniem czarnych ślepi i nigdzie w pobliżu nie było żadnego schronienia; był zupełnie sam.

Chociaż stwór najwyraźniej wolał polować z zasadzki, nie miał nic przeciwko konfrontacji z samotną ofiarą; zaczął się skradać, wyciągając kolejno łapy z niskich krzaków, po czym niespiesznym, miarowym krokiem ruszył w stronę Hammonda, który odwrócił się, żeby dalej biec, i zastygł w bezruchu: z widocznej kilka jardów dalej dziury na zboczu wynurzyła się kolejna głowa, z czarnymi, wlepionymi w niego oczami i pyskiem na wpół otwartym w makabrycznie ochoczym uśmiechu, a obok niej wychyliły się jeszcze dwa łby.

Słyszał swój ciężki oddech, który zdawał się huczeć mu w uszach, nawet gdy stał skamieniały z przerażenia; chwilę potem już biegł, bez nadziei, że uda mu się uciec, wspinając się po wąskim, skalistym zboczu i krzycząc rwącym się spazmatycznie głosem: „Shen Li! Shen Li”, co w niczym nie powstrzymywało lśniących w słońcu ciał, które sunęły za nim spokojnie w powolnym pościgu.

W pewnej chwili usłyszał kilka odgłosów przypominających kaszel, które mogły być oznaką rozbawienia goniących go stworów, a potem potknął się i sturlał po drugiej stronie wzgórza aż do stóp innego mężczyzny: brodatego, brudnego i dość obszarpanego myśliwego w luźnej koszuli, równie luźnych spodniach i kapeluszu z szerokim rondem, z, och, Bogu niech będą dzięki, strzelbą w ręce – ale to był tylko jeden człowiek, a ze szczytu wzgórza patrzyło na nich obu już pięć pokrytych łuskami łbów.

Myśliwy nie zawahał się; uniósł strzelbę i wystrzelił, ale ponad głowami stworów, po czym opuścił lufę i rzucił głośno:

— Dosyc tego, wynoście się stąd, wszystkie, albo oczyścimy wasze gniazdo do nagiej skały.

Stworzenia odpowiedziały sykami, a potem równie szybko znikły, gdy padł na nie przerażająco ogromny cień i zatrzęsa się ziemia. Hammond ledwie zdołał stłumić okrzyk trwogi, kiedy w czerwonej paszczy, która zdawała się nie mieć końca, zaśniły straszliwe zęby, a nad głową zahuczał mu nie-ludzki głos:

— Ach! I tak powinniśmy to zrobić; jak te bunyipy śmieją polować tu na ludzi, kiedy dobrze wiedzą, że im na to nie pozwolę.

— Temeraire – wykrztusił Hammond – to jest Temeraire; teraz wszystko już dobrze – dodał, siląc się na spokój, od którego był jednak bardzo daleki; każdy jego nerw wręcz dygotał pragnieniem ucieczki.

— Hammond? – zapytał myśliwy.

Ambasador pełnomocny Zjednoczonego Królestwa w Chinach popatrzył w górę na niego, ujmując podaną mu na pomoc rękę; poczuł szeroką, pokrytą odciskami dłoń o mocnym uścisku, pod zmierzwioną, żółtą brodą zobaczył opaloną na ciemny brąz skórę, a wyżej niebieskie oczy; i wydukał w końcu powoli:

— Kapitanie Laurence? Czy to pan?

Część I

Rozdział 1

Obawiam się, że on zbyt wielką wagę przywiązuje do spraw materialnych – zauważyła łagodnym tonem Shen Li, podczas gdy w pewnej odległości od nich Temeraire starał się podnieść ogromną, wyciętą ze skały kamienną płytę, która miała tworzyć centralną część podłogi w pawilonie.

Dziwnie było usłyszeć takie spostrzeżenie od jednego ze smoków, które niemal wszystkie mają skłonność do przywiązywania skrajnie dużej wagi do spraw materialnych; ale być może długi czas, który spędzała w powietrzu, nad jałowymi pustkowiami australijskich pustyń i nad południowym Pacyfikiem, skłonił wielkoskrzydłą chińską smoczycę do przyjęcia innej filozofii.

— To oczywiście praca godna podziwu – dodała – ale takie przywiązanie nieuchronnie musi prowadzić do cierpienia.

Laurence słuchał jej z roztargnieniem. Temeraire zdołał w końcu unieść płytę i Laurence zaczął machać rękami, dając grupie ludzi znaki, żeby ustawili odpowiednio belki do przetaczania, po których miała wsunąć się na swoje miejsce; ale nawet ta praca nie zajmowała jego wszystkich myśli. Koncentrowały się one bowiem wokół niskiej chaty stojącej jakieś dziesięć jardów dalej, w kępie drzew, najchłodniejszym miejscu w ich niezbyt zadbanym obozowisku, w której po ciężkich przeżyciach dochodził do siebie Hammond; wraz z nim wrócił cały świat, żeby zapukać do drzwi Laurence’a, kiedy on sądził, że nie mają już ze sobą nic wspólnego.

Płyta zakołysała się niepewnie w powietrzu, ale gdy dotarła do długich drewnianych podpór, zawisała nieruchomo; Temeraire zrobił głośny wydech i ostrożnie ją opuścił. Kamień zdrapał z drewna korę i obsypał robotników drzazgami, kiedy płyta powoli wsuwała się na swoje miejsce, a gdy to się stało, mężczyźni z drągami odsunęli się na boki.

— Prawdziwy cud, że nikt nie został zmiażdżony lub nie stracił ręki – stwierdził z czymś na kształt rozczarowania w głosie O’Dea, wydzielając ludziom należne im porcje rumu lub wypłacając po kilka srebrnych monet; wygłosił wiele przepowiedni katastrofy z powodu upartej determinacji Temeraire’a, by pojedynczą, ogromną płytę cudownie żyłkowanego kamienia umieścić w samym sercu jego pawilonu.

— Pocięcie jej na mniejsze i popsucie tego wzoru – odrzekł smok – byłoby czynem wręcz karygodnym; nie żebym nie podziwiał mozaik, zwłaszcza jeśli są wykonane z kamieni szlachetnych, ale ta płyta jest zdecydowanie niezwykła, nawet jeśli niektórzy mogliby powiedzieć, że jest to tylko pospolita skała.

Zbadał starannie stan podpór, obwąchując z niepokojem świeżą zaprawę murarską, po czym ułożył się z pewną ulgą przy Laurensie i Shen Li, by napić się wody z płynącego obok strumienia.

— Zgadza się ze mną?

— Jest bardzo piękna – odpowiedziała Shen Li – chociaż ja nie widzę nic złego w podziwianiu jej w dolinie, w której się uformowała.

— Nie chcę być niegrzeczny, Laurence – powiedział cicho na stronie Temeraire, kiedy coś innego wzbudziło zainteresowanie smoczycy – ale Shen Li potrafi być dość marudna i psuć innym nastrój; chociaż muszę być jej wdzięczny za to, że jest tak uczynna i przynosi nam listy oraz gości. Jakie to uprzejme ze strony pana Hammonda, że wybrał się w tak daleką podróż, by się z nami zobaczyć.

— Tak – odparł spokojnie Laurence, rozpakowując pocztę: wielki i ciężki zwój nawinięty na wałki z nefrytu, dla Temeraire’a od jego matki, Qian, któremu towarzyszyła książka z poezją; i gruby, zaklejony pakunek, który Laurence najpierw obrócił w dłoniach kilka razy, a kiedy w końcu zerwał z niego zewnętrzną warstwę papieru, przekonał się, że jest zaadresowany do Gong Su, przy czym w adresie nie było żadnych wskazówek oprócz jego nazwiska.

— Dziękuję, kapitanie – powiedział Gong Su i odebrawszy go, wszedł do swojego małego szałas; chwilę później Laurence zobaczył, że bije pakunkowi uroczyste pokłony, i założył, że musiała to być wiadomość od jego ojca.

W poczcie znajdował się też, co było nawet bardziej dziwaczne, nakreślony niewprawnym pismem list do Richarda Shipleya.

— Czy to może być do pana, panie Shipley? – zapytał z powątpiewaniem

Laurence, zastanawiając się, jak były skazaniec znalazł sobie korespondenta w Chinach.

— Tak, panie kapitanie – odpowiedział młodzieniec, biorąc list – mój brat pływa na *Willow-Tree*, który obsługuje trasę do Kantonu, i najmocniej dziękuję.

Shen Li przyniosła również mały worek z pocztą wysłaną do Sydney, ale wszystkie listy, które właśnie wyjął, były przeznaczone dla członków ich małej grupy robotników. Laurence zawiązał worek; O'Dea zabierze go następnego dnia do Port Jackson i być może Hammond uda się tam razem z nim. Przecież równie dobrze może mieć tam jakiś interes do załatwienia, z kapitanem Rankinem, który w końcu jest najwyższym rangą oficerem Korpusu w tym kraju.

Laurence nie mógł jednak przekonać samego siebie, że tak jest. Podczas gdy krowy przeznaczone dla smoków na obiad piekły się na rożnach, on przeszedł po nowo ułożonej podłodze pawilonu na jego drugą stronę i spojrzął w dół na szeroką dolinę, już złocącą się pierwszymi łanami zboża, po czym przesunął wzrokiem po stadzie owiec i krów, beczących i porykujących do siebie w to późne popołudnie. Wojna była tylko odległą burzą, przechodzącą po drugiej stronie gór, cichym, dalekim hałasem; tutaj był spokój i uczciwa praca, bez utrzymującego się smrodu śmierci i zdrady, który w powolny i podstępny sposób przyłgnał do jego życia niczym jakaś ośmiornica. Laurence odkrył, iż jest zadowolony z tego, że zapomniał o świecie i że został przezeń zapomniany.

— Dziękuję, z przyjemnością usiądę – usłyszał słowa Hammonda i odwrócił się: Hammond wyłonił się w końcu z chaty i stał przy ognisku, przyjmując podaną mu przez O'Deę szklaneczkę rumu i pochylając się nad obozowym krzesłem. Laurence przesunął dłonią po szczęce i szorstkiej brodzie, do której już przywykł. Nie: Hammond nie przybył z Pekinu po to, żeby dostarczyć kilka listów i odbyć parę rozmów.

— Proszę mi pozwolić jeszcze raz wyrazić panu moją wdzięczność – powiedział Hammond, zrywając się z pewnym trudem z krzesła, kiedy Laurence podszedł do niego. – Przespałem cały dzień!... i jestem zdumiony, widząc, jak zaawansowane są wasze prace. – Skinął głową w stronę pawilonu.

— Tak, w rzeczy samej – odrzekł Temeraire, odwracając łeb, kiedy usłyszał komplement – wszystko wspaniale posuwa się naprzód i wymyśliliśmy też kilka małych ulepszeń normalnego projektu. Musi pan po nim pochodzić

i wszystko obejrzyć; oczywiście kiedy już poczuje się pan lepiej: pańska podróż nie mogła być wygodna.

— Nie była – odparł Hammond, bardzo zdecydowanie – ale nie powinienem narzekać. Laurence, niech pan o tym pomyśli, trzy tygodnie!... o tej porze trzy niedziele temu piłem herbatę w Pekinie; trudno uwierzyć. Chociaż nie jestem pewny, czy wyszedłem z tego doświadczenia tak zupełnie bez szwanku; tak, dziękuję, wypiję jeszcze jeden.

Hammond nie był mężczyzną pokaźnych rozmiarów i nie miał zbyt wielkiej skłonności do picia; trzy szklaneczki mocnego, nierozcieńczonego wodą rumu sprawiły, że zapomniał o ostrożności, bo inaczej nie wdałby się pewnie tak chętnie w rozmowę, którą Laurence rozpoczął słowami:

— Panie Hammond, chociaż zawsze witam pana z radością, muszę wyznać, że gubię się w domysłach co do przyczyn pańskiej obecności tutaj; nie mógł pan przecież odbyć takiej podróży z jakiegoś trywialnego powodu.

— Och! – zaczął Hammond i rozejrzawszy się daremnie w poszukiwaniu stołu, na którym mógłby postawić szklaneczkę, położył ją w końcu na ziemi, po czym wyprostował się z promiennym uśmiechem i mówił dalej: – Ależ muszę to panu natychmiast powiedzieć: przybyłem tutaj, żeby przywrócić pana na listę, kapitanie; przywrócono pana do służby i... – Laurence wpatrywał się w niego szeroko otwartym oczami, podczas gdy Hammond przeszukiwał wewnętrzne kieszenie swojego płaszcza. – Mam je nawet tutaj, przy sobie – wymamrotał i w końcu wydobył dwie wąskie, złote belki kapitana Korpusu Powietrznego.

Laurence stał przez chwilę w całkowitym bezruchu, zmagając się ze skurczem mięśnia, który o mało co go nie zdradził: gdyby belki nie leżały na dłoni Hammonda, pomyślałby, że padł ofiarą jakiegoś paskudnego dowcipu, dzieła umysłu zamulonego przez zmęczenie i alkohol, ale ponieważ zachowanie ambasadora było najwyraźniej starannie przemyślane, wszystko to musiało być prawdą: prawdą, ale wcale przez to nie mniej absurdalną. On był zdrajcą. Jeśli uczynił coś wartego uwagi podczas inwazji na Brytanię, by zasłużyć na złagodzenie wyroku za swoją zbrodnię, w zamian za zasługi wojenne zamieniono mu już karę śmierci przez powieszenie na zesłanie, a od tego czasu nie zrobił niczego, co mogłoby usposobić przychylnie do niego Whitehall: w rzeczy samej kategorycznie odmówił wykonania rozkazów oficera Królewskiej Marynarki.

— Och! Och, panie Hammond, jak mógł pan tego od razu nie powie-

dzieć? Ale nie będę czynił panu wyrzutów, kiedy przywiózł pan tak wspaniałe wiadomości – mówił Temeraire, pochyliwszy nisko i odwróciwszy głowę, tak żeby jedno z jego ogromnych oczu mogło obejrzeć z bliska belki. – Laurence, musisz natychmiast włożyć swój zielony płaszcz. Panie Shipley! Panie Shipley, proszę przynieść tu kufer Laurence’a...

— Nie – przerwał mu Laurence – nie, dziękuję. Panie ambasadorze – zwrócił się do Hammonda z największą uprzejmością, na jaką w tych okolicznościach mógł się zdobyć – doskonale zdaję sobie sprawę z grzeczności, jaką pan mi wyświadczył, pokonując tak wielką odległość z tymi wiadomościami, ale muszę odmówić.

Powiedział to: była to jedyna odpowiedź, jakiej mógł udzielić, chociaż bardzo gorzka. Belki wciąż leżały na dłoni Hammonda przed nim: małe i proste w stylu reprezentowały zmazanie plamy z nazwiska Laurence’a, zmycie hańby, o której z takim wysiłkiem nauczył się nie myśleć, gdyż nie mógł nic zrobić, by to zmienić.

Hammond wpatrywał się w niego z wciąż wyciągniętą ręką, a Temeraire, patrząc na złote belki, rzucił pospiesznie:

— Ależ Laurence’a, z pewnością nie powiedziałaś tego poważnie.

— Może być tylko jeden powód przywrócenia mnie do służby w taki sposób, w naszej obecnej sytuacji – odrzekł bezbarwnym głosem Laurence – a mianowicie obarczenie mnie zadaniem stłumienia rebelii w Sydney. Nie, przykro mi, panie Hammond, ale nie będę znowu rządowym rzeźnikiem. Nie mam zbyt wielkiego zrozumienia dla pana MacArthura i jego próby uzyskania niepodległości, ale nie działał on bez powodu lub bez sensu, a ja nie dokonam masakry brytyjskich żołnierzy po to, żeby poprowadzić go na szafot.

— Och... ale – wyjąkał Hammond – nie... nie, kapitanie... to znaczy, oczywiście, panie Laurence, nie powinienem z góry zakładać, ale... proszę pana, źle mnie pan zrozumiał. Mam sprawy do omówienia z gubernatorem MacArthurem. Oczywiście ten cały pomysł z niepodległością jest nonsensem i nie można na to pozwolić, ale to nie jest... chociaż oczywiście pańska pomoc by się przydała...

Przerwał, zbierając myśli, a Laurence przygotował się w duchu na odrzucenie nadziei, którą, jak dobrze wiedział, lepiej się nie karmić: gdyby Hammond przybył z zadaniem, o którego wykonanie można by poprosić każdego honorowego oficera Korpusu, taki oficer zostałby poproszony. Ale amba-

sador wyprostował się, przyjmując pozycję bardziej oficjalną: cokolwiek teraz zaoferuje, będzie to z pewnością wzbogacone bardziej kuszącymi akcentami i tym trudniejsze do odrzucenia.

— Po pierwsze – zaczął Hammond – pozwolę sobie powiedzieć, że całkowicie rozumiem pańskie uczucia, panie Laurence. Proszę mi wybaczyć, że nie wyraziłem się w sposób bardziej jednoznaczny. Dodam także, do pańskiej wiadomości, że w wielu kręgach inne poczynania pana MacArthura postrzegane są jako co najmniej rozważne. Mam nadzieję, że potrafi pan sobie wyobrazić, że ludzie o chłodniejszych głowach uważali perspektywę wojny z Chinami, którą wywołałyby działania – przez grzeczność nie powiem głupota – kapitana Willoughby’ego, za czyste szaleństwo, pod żadnym względem nie pozostające w zgodzie z duchem otrzymanych przez niego rozkazów.

Laurence pokiwał tylko głową; wyraził niemal tę samą opinię o tej sprawie w swoim raporcie do Jane Roland, który nawet jeśli nie został oficjalnie zauważony, to z pewnością został przeczytany. Hammond nie musiał daleko szukać, żeby poznać jego zdanie na ten temat.

— Jeżeli pan MacArthur kierował się rozsądkiem, wybierając bunt, zamiast poprzeć działania grożące tak katastrofalnymi skutkami, to niewykluczone, że zostanie ułaskawiony za czyny, których się dopuścił kierowany twardą koniecznością – ciągnął Hammond – pod warunkiem, że uzna swój błąd i wyrazi skruchę. Oczywiście pan, znając tego dżentelmena osobiście, wie lepiej od innych, czy da się go przekonać rozsądnymi argumentami, ale ja z całą pewnością nie przybyłem tutaj z zamiarem wymuszania na nim czegoś przemocą czy też traktowania go jako przestępcy.

— Jestem zupełnie pewny, że pan MacArthur będzie rozsądny – wtrącił z niecierpliwością Temeraire; skrzydła miał przyciśnięte do tułowia, a krezę, która zawsze wiele mówiła o jego nastroju, rozpląszczoną na karku. Laurence wiedział, że smok tym bardziej cenił jego utracone kapitaństwo, ponieważ obwinił siebie o tę stratę, a także stratę większej części jego majątku. Chociaż on sam znacznie wyżej cenił sobie honor, który poświęcił, Temeraire nie potrafił zaakceptować jego zapewnień w tym względzie: być może dlatego, że w jego głębokim przekonaniu łatwiej było odzyskać honor niż majątek.

Ale niezależnie od tego, co Laurence myślał o MacArthurze – drugorzędnym Napoleonie, którego ambicje zdecydowanie nie dorównywały talen-

tom – mógł powiedzieć o nim przynajmniej tyle dobrego, a może złego: jeśli Hammond naprawdę przywiózł taką ofertę, to jego zdaniem zostanie ona przyjęta. MacArthur wystarczająco często oświadczał, że zbuntował się nie przez wzgląd na siebie samego lub z jakichś egoistycznych pobudek, ale tylko po to, żeby chronić kolonię. Jeśli to nawet nie było do końca prawdą, MacArthur przynajmniej przygotowywał sobie linię obrony, dzięki której było mniej prawdopodobne, że trafi na szafot. A gdyby nie był skłonny zachowywać się tak roztropnie, jak miał nadzieję Temeraire, jego żona, kobieta od niego mądrzejsza, najpewniej zrobiłaby to w jego imieniu.

— W takim razie do czego jestem wam potrzebny jako kapitan, a nie rolnik? – zapytał Laurence.

— To nie ma nic wspólnego z buntem – odparł szybko Hammond, a potem uściślił – przynajmniej, może... nie chciałbym być oskarżony o zwodzenie pana. To, że przywrócenie pana do służby powinno przydać moim rozmowom z panem MacArthurem pewnej... powiedzmy, mocy, można uznać za dodatek do głównego tematu naszych deliberacji...

— Tak – powiedział suchym tonem Laurence.

Hammond odchrząknął i mówił dalej:

— Ale to wcale nie jest naszym głównym celem: można by tu wykorzystać dowolnego smoka, odpowiednio dużego, do przeprowadzenia takich działań, gdyby okazało się to konieczne, i z pewnością, gdyby miał pan jakiegokolwiek obiekcje, uważałbym się za upoważnionego do... to znaczy, nie musiałby pan wykonać tego zadania osobiście. W końcu dopóki pan MacArthur przyjmuje kolejne statki ze skazańcami, jak to teraz robi, naprawianie tej sytuacji nie jest sprawą bardzo pilną. Nie, sprawą niecierpiącą zwłoki jest sytuacja w Brazylii. Może pan słyszał coś o tym?

Laurence zawahał się. Znał tylko najdziksze pogłoski, które przekazał mu amerykański kapitan.

— Słyszałem, że Napoleon przetransportował tam pewną liczbę smoków Tswana, żeby zaatakowały kolonię; do Rio, jak rozumiem, jeśli to nie jest tylko plotka.

W swojej izolowanej dolinie otrzymywali niewiele wiadomości ze świata, a on nie starał się ich uzupełniać nowymi, zadowolając się tym, co dotarło do niego samo.

— Nie... to nie jest plotka – odrzekł Hammond. – Bonaparte przetransportował tam, według ostatniego raportu, ponad tuzin przerażających be-

stii, które obróciły w perzynę całe Rio, i można się spodziewać, że przewiezie ich jeszcze więcej, gdy tylko jego statki wrócą po nie do Afryki.

Laurence zaczął teraz rozumieć, co mogło sprowadzić do niego Hammonda, a także skąd się wziął ten niepokój na jego twarzy.

— Ale ja byłem tylko ich więźniem, panie ambasadorze, wcale ich nie znam – powiedział powoli, przypominając sobie tę nagłą i straszną niewolę; został wtedy przeniesiony tysiąc mil w głąb kontynentu i bez żadnego ostrzeżenia rozdzielony z Temeraire'em, przy czym nie miał w tamtym czasie najmniejszego pojęcia, jaki cel przyświecał jego porywaczom.

— To i tak jest znajomość większa od tej, jaką może się pochwalić niemal każdy inny człowiek – odparł Hammond – zwłaszcza ich języka... ich zwyczajów.

Ostatnie słowa wyjąkał niepewnie, a Laurence wysłuchał tego ze sceptycyzmem. Wszystko, czego się dowiedział w ciągu tych miesięcy niewoli, z których większość przesiedział w więziennej jaskini, opisał już w swoich raportach, i trudno mu było teraz uwierzyć, że jego niewielkie doświadczenie w kontaktach z Tswana uczyniło go w oczach ich lordowskich mości dobrym kandydatem na ambasadora.

Hammond, który najwyraźniej domyślił się, jakie wątpliwości go nurtują, spróbował je rozwiać, mówiąc:

— Wierzę... to znaczy, słyszałem... że Jego Książęca Mość księżę Wellington nie uznał tego za niewskazane...

— Jeśli Wellington zachował wobec mnie lub Temeraire'a jakiegokolwiek uczucia cieplejsze od zniecierpliwienia, byłbym zdumiony, słysząc o tym – przerwał mu Laurence.

— Cóż – odparł Hammond – raczej, o ile to rozumiem, wysunął pewną sugestię...

Próbował to jeszcze przez chwilę jakoś upiększyć, ale gdy w końcu zdołał to opisać w sposób, który Laurence mógł przełknąć, okazało się, że Wellington wyraził chyba opinię, iż jeśli ktokolwiek miałby szansę przemówić do rozumu bandzie nieokiełznanych smoków, to tylko oni dwaj; o ile wysze się z nimi jeszcze kogoś, kto dopilnuje, że przy okazji nie rozdadzą trzech czwartych kolonii.

— Jestem pewny, że bylibyśmy wspaniałymi ambasadorami – wtrącił Temeraire, wpatrując się z nadzieją w Laurence'a – bez względu na to, jak niepochlebnie Wellington mógł się o tym wyrazić. Nie żebym w swoim cza-

się nie był bardzo zły na Tswana, bo przecież nie mieli prawa porwać ciebie, ale trzeba wziąć pod uwagę, że z ich ludzi robi się niewolników, i jestem pewny, że Tswana potrafią kierować się rozsądkiem. Naprawdę nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli usatysfakcjonować ich od razu, oddając tych wszystkich, którzy zostali uprowadzeni.

— Uhm – mruknął z zakłopotaniem Hammond – tak... oczywiście, należy jednak wziąć pod uwagę interesy naszych sojuszników... trudności z odśzukaniem konkretnych osobników... i naturalnie stanowisko rządu w związku z prawami własności...

— Och! Prawa własności! Mówienie o tym to oczywisty absurd – rzucił Temeraire. – Jeśli wziąłbym sobie krowę do zjedzenia, nawet gdyby nikt jej nie pilnował, nazwałbyś to kradzieżą, i jeśli dałbym ją Kulingile w zamian za trochę opali, nie powiedziałbyś wcale, jestem pewny, że on ma jakieś prawo własności, zwłaszcza gdyby doskonale wiedział, iż to wcale nie była moja krowa.

Na twarzy Hammonda znowu pojawiła się znajoma udęczona mina, którą widzieli przy więcej niż jednej okazji podczas ich pierwszej wspólnej misji, podróży do Chin, i Laurence nie zdołał się powstrzymać od snucia domysłów, z pewnym ponurym rozbawieniem, jak szybko Hammond pożałuje, że pozwolił, by czas zatarł jego wspomnienia tych dawnych trudności, i zgłosił się na ochotnika jako człowiek mający trzymać ich krótko na smyczy w proponowanym przedsięwzięciu.

Laurence ze swojej strony był całkowicie pewny, że liczba niewolników, którzy mogliby być zwrócenii w ramach posunięcia zaproponowanego przez Temeraire'a, w żadnym razie nie zadowoliłaby Tswana. Nawet gdyby Portugalczycy byli skłonni uczciwie oddać swoich niewolników, nie mogli wskrzesić zmarłych, ofiar ciężkich warunków pracy w kopalniach i na plantacjach, i rozpaczy, w jaką wpędzała ich świadomość braku nadziei na to, że kiedykolwiek odzyskają wolność. Nie potrafił sobie także wyobrazić tego, że w jakikolwiek sposób stanie się przedstawicielem właścicieli niewolników, co Hammond powinien wiedzieć, jeśli nie na podstawie znajomości z nim samym, to choćby dzięki znajomości reputacji jego ojca: lord Allendale od dawna był żarliwym orędownikiem abolicjonizmu.

— Ale o niczym takim się nie myśli, zapewniam pana – zaprotestował Hammond. – Co więcej, powiem nawet, że Portugalczycy są przygotowani... w tych okolicznościach wykazują pewną gotowość do kompromisu... –

Przerwał przed złożeniem wprost obietnic, po czym dodał: – Ale w żadnym razie nie będzie pan ich przedstawicielem, tylko naszym.

— A jaki jest nasz interes w tej sprawie? – zapytał Laurence.

— Ustanowienie pokoju – odparł Hammond – czego z pewnością nie może pan uznać za coś niepożądanego.

— Pokój nie jest nieprzyjemny ani tak nudny, jak można by się spodziewać – zaczął Temeraire z nieco tęskną nutą w głosie, która zdemaskowała jego kłamstwo – ale nie rozumiem, dlaczego jesteście tak szczególnie zainteresowani pokojem w Brazylii. Jeśli uważacie ten stan za coś tak wspaniałego, moglibyście najpierw zawrzeć pokój z Napoleonem w Europie. Nie żebym ja chciał przyczynić się do czegoś takiego – dodał pośpiesznie – w każdym razie nie wtedy, kiedy Lien panoszy się we Francji: mam nadzieję, że z nią nigdy nie będzie pokoju.

— Hm – zaczął Hammond, wyraźnie szukając właściwych słów, po czym umilkł, wyraźnie niezdecydowany, zanim w końcu powiedział: – Panie Laurence, czy mogę liczyć na pańską dyskrecję... to należy utrzymać w najgłębszej tajemnicy...

— Jestem pewny, że możesz – powiedział z zainteresowaniem Temeraire, stawiając krezę i pochylając głowę.

Hammond zareagował na to jeszcze większym niezdecydowaniem, jako że konfidencjonalny szept smoka słychać było w promieniu dobrych dziesięciu jardów.

— Dopóki będzie to od nas zależeć, może pan – odparł Laurence – a co do tego, nad czym nie zdołamy zapanować, może pan liczyć na to, że pańskie wieści budzą tutaj tylko niewielkie zainteresowanie, i jest mało prawdopodobne, by ktoś uznał, iż warto jest je przekazać jakiemuś wrogiemu agentowi.

Przynajmniej to było prawdą: do Port Jackson przyływały statki handlowe, ale wśród ludzi pracujących w dolinie nikt nie miał jakichś realnych szans na opuszczenie tego kraju. Jeśli przeszkodą nie były bieda lub nieustanne pijaństwo, to uniemożliwiało im to prawo, i wszyscy byli tu w pułapce bez wyjścia, jak o sytuacji swojej i Temeraire'a myślał Laurence. Brytania była innym światem, wojna baśnią z dalekich stron, i nawet gdyby któryś z tych ludzi coś przypadkiem usłyszał, nic by go to nie obeszło.

— W takim razie odważę się i wyjawię panu – powiedział w końcu Hammond – że Napoleon przeliczył się z siłami. Brakuje mu ich po niepowodze-

niu inwazji na Brytanię i szczęki przygotowanego dla niego potrzasku są w końcu rozwarte: wkrótce nasze wojska wylądują w Portugalii. Zamierzamy upuścić mu krwi od południa, podczas gdy Rosjanie i Prusacy pójną na niego od wschodu, i Wellington jest przekonany o naszym ostatecznym zwycięstwie.

Plan był zuchwały w swej skrajności. Laurence mógł sobie tylko wyobrazić uciążliwość tej proponowanej kampanii, żołnierzy prących wolno cał po cał przez Portugalie, Hiszpanię, i w końcu przez Pireneje do Francji. Napoleon rzeczywiście poniósł ogromne straty w Brytanii i zostawił za sobą armię jeńców, ale czy te straty były wystarczająco duże, żeby można było liczyć na jego ostateczną klęskę w kampanii na wyczerpanie, Laurence wcale nie był tak pewny.

— Ale bez jakiegoś mocnego punktu oparcia nie może być żadnej nadziei na zwycięstwo – powiedział.

— Tak – potwierdził Hammond. – Musimy mieć Portugalie. A gdyby księżę regent był zmuszony uciec z Brazylii i wrócić, to w sytuacji, gdy Hiszpania jest okupowana przez Napoleona...

— Macie wątpliwości, czy nadal będą skłonni zezwolić nam na przejście przez swój kraj – dokończył Laurence.

Hammond skinął głową.

— Musimy mieć Portugalie – powtórzył.

Temeraire początkowo niezbyt rozumiał, o co chodziło Hammondowi. Nie wydawało mu się właściwe, żeby sprawa tak doniosłej wagi miała być załatwiona tak mało uroczyście, wręcz po kryjomu, ale przypomniał sobie, że tak samo to przebiegło, kiedy Laurence stracił swoją rangę. Smok o niczym nie wiedział, aż pewnego dnia ludzie zaczęli mówić „panie Laurence”, no i znikły też złote belki; a teraz pojawiły się znowu, równie szybko, lśniąć ślicznie na dłoni Hammonda.

Kiedy Hammond skończył rozprawiać o zadaniu, Laurence zamyślił się i nic nie mówił. Temeraire popatrzył na niego z niepokojem.

— Nie wydaje mi się, żeby w tym, o co prosi Hammond, było coś bardzo nieprzyjemnego – odezwał się. Nie mógł... naturalnie nie chciał, by Laurence przyjął z powrotem swój stopień, jeśli to tylko miało oznaczać, że otrzyma rozkaz zrobienia czegoś strasznego, rozkaz, którego wykonania odmówią, i potem znowu czekałyby ich nieprzyjemności związane z tym, iż lu-

dzie będą ich nazywać zdrajcami. Ale to było bardzo trudne, mieć taką szansę i zaraz potem ją stracić.

— Musi pan być zmęczony po podróży – powiedział w końcu Laurence do Hammonda. – Jeśli chce się pan odświeżyć, moja chata jest do pańskiej dyspozycji. Niedaleko stąd ponad wodospadami jest też czysta woda. Pan Shipley będzie tak uprzejmy, mam nadzieję, i zaprowadzi tam pana – dodał, przywołując mężczyznę skinieniem ręki.

— Och... och, oczywiście – powiedział Hammond i odszedł, chociaż obejrzał się przez ramię więcej niż raz, pomimo nierównego terenu, jakby chciał odczytać myśli Laurence'a z jego twarzy.

— Oczywiście nie zrobisz niczego, co nie będzie ci się podobało, Laurence – zaczął Temeraire, kiedy Hammond był już tak daleko, że nie mógł ich usłyszeć – ale wydaje mi się, że nic nie przemawia przeciwko naszej podróży do Brazylii, a ty powinieneś odzyskać swój tytuł i stopień.

— To, mój drogi, nie może być niczym więcej jak miłą fikcją – odrzekł Laurence. – Nie mogę udawać, że jestem w jakimkolwiek realnym sensie oficerem jakiegokolwiek korpusu, kiedy jestem zdecydowany, żeby nigdy więcej nie wykonywać rozkazów, które uznam za niemoralne.

Fikcja przynosząca złote belki i całkowicie zmieniająca sposób, w jaki ludzie się do ciebie zwracali, wydawała się Temeraire'owi wystarczająco realna jak na czyjekolwiek gusta.

— Ale przecież to nie jest tak, że oni muszą wydać ci jakieś straszne rozkazy: być może dostali już nauczkę i teraz dobrze się najpierw zastanowią – powiedział z nadzieją w głosie.

Nie miał zbyt wielkiej wiary w mądrość członków rządu, ale przecież każdy mógł się nauczyć rozsądku, zwłaszcza przy tylu dowodach, że jego i Laurence'a nie da się zastraszyć i zmusić do zrobienia czegoś, co byłoby niegodne.

— Jestem pewny, że nie będą polegać na żadnym z nas w stopniu większym, niż będą musieli – rzekł Laurence.

Znowu umilkł i stał z rękami założonymi do tyłu, patrząc gdzieś przed siebie ponad szeroką przestrzenią doliny; nawet w tym roboczym ubraniu jego ramiona były tak proste, jakby wciąż miał na nich złote epolety, z którymi Temeraire ujrzał go po raz pierwszy, i potrzebna była tylko odrobina wyobraźni, żeby przywrócić mu jego mundur, zielony płaszcz i skórzaną uprząż, i złote belki. Laurence milczał jeszcze przez chwilę i w końcu zapytał:

— A zatem chcesz tam popłynąć?

Dopiero w tej chwili Temeraire uświadomił sobie, że oczywiście przyjęcie tego zadania będzie się wiązało z opuszczeniem ich doliny. Odwrócił się i popatrzył na pawilon, na stado bydła pasącego się pośród traw w dole, na porośnięte drzewami wąwozy, które ciągnęły się przed nimi, wyrzeźbione w żółtej i żółtobrunatnej skale gór. Podwinął ogon, którego koniec poruszał się niespokojnie tam i z powrotem. Wydawało się, jakby dopiero co przybyli w to miejsce i właśnie zaczęli pracować.

Być może nie było to tak ekscytujące jak bitwy – Temeraire nie mógł temu zaprzeczyć – ale było jednak coś wspaniałego w widoku zbóż rosnących na polach, które się pomagało orać, a kiedy tylko pomyślał o opuszczeniu doliny, na wpół skończony pawilon już wydawał się samotny i porzucony.

— Sądzę... byliśmy tu szczęśliwi? – odparł po części pytającym tonem smok. – I nie chciałbym zostawić rzeczy niedokończonych, ale... – Popatrzył na Laurence’a. – Wolałbyś raczej zostać?

Kilka godzin później Temeraire zasnął. Parę małych ognisk w pobliżu obozowiska przygasło, żarząc się w ciemnościach żółtymi jak krem węgielkami, a w górze rozbłysło mrowie gwiazd południowego nieba. Z drugiej strony doliny dobiegały Laurence’a odgłosy pieśni, to cichsze, to znów głośniejsze, zbyt odległe, by można było zrozumieć słowa: to byli Wiradjuri w swoim letnim obozie przy rzece.

Następnego dnia będzie wtorek. W normalnej sytuacji zszedłby na dół, żeby się z nimi spotkać, wymienić towary i przedstawić im do aprobaty kolejny, planowany przez Temeraire’a krok w budowie jego pawilonu, czyli pozyskanie drewna z kępy starych drzew na północy, przeznaczonego na bazerie i pokoje dla samego Laurence’a i ich przyszłych ludzkich gości.

O’Dea uda się do Sydney z pocztą i wróci za tydzień, może z jakimiś nowymi książkami. Tymczasem trzeba będzie położyć resztę podłogi, a dwóch robotników zaczęło już wycinać gonty na dach. Za kilka dni przepędzą bydło na nowe pastwisko; wieczorami Laurence pod przewodnictwem Temeraire’a będzie się starał zrozumieć nowy tom chińskiej poezji; wszystko zgodnie z normalnym, codziennym tokiem ich nowego życia.

Albo zamiast tego będą w powietrzu, w drodze do Port Jackson i dalej do Brazylii: dwa kamyki wyrzucone na krótko na brzeg, żeby mogły trochę od-

począć, niesione z powrotem do oceanu przez powracającą falę.

Laurence wiedział, że już podjął decyzję; może nawet jeszcze zanim Hammond zaczął mówić. Chciałby mieć pewność, że jego wybór nie był podyktowany przez dumę, przez wciąż palący go wstyd. Zrobił wszystko, żeby pogodzić się jakoś z własną zdradą, ponieważ było to zło konieczne, ale nie mógł zaprzeczyć, że Hammond wyłożył na stół potężną łapówkę. Łatwo jest mieć nadzieję, planować, że mogliby zrobić więcej dobrego niż złego, na większych orbitach świata, gdyby tylko ponownie weszli do tej sfery; z drugiej strony łatwo może się okazać, że te nadzieje są fałszywe.

Jednak jeszcze łatwiej jest pozwolić takim lękom uwięzić ich skuteczniej, niż zrobiły to mile oceanu. Laurence położył rękę na ciepłej łusce przedniej łapy Temeraire'a. Jedno było pewne, Temeraire nie został stworzony do tego, żeby leżeć beczynnym w spokojnej dolinie gdzieś na krańcu świata.

Smok otworzył lekko jedno niebieskie oko i mruknął coś pytająco, nie do końca obudzony.

— Nie, śpij dalej, wszystko jest w porządku – uspokoił go Laurence, a kiedy ciężka powieka zamknęła się znowu, wstał i ruszył w stronę rzeki, żeby się ogolić.

Rozdział 2

Pawilon bez dachu nie robi na mnie zbyt wielkiego wrażenia – powiedziała Iskierka z nieznośną wyższością w głosie – a poza tym nie możesz zabrać go ze sobą, więc nawet gdyby został dokończony, nie będzie z niego żadnego pożytku. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek mógł się nie zgodzić z tym, że ja wykorzystałam swój czas lepiej.

Temeraire mógł się nie zgodzić, bardzo gwałtownie, ale kiedy Iskierka pogoniła kilku członków swojej załogi – niedawno skompletowanej w Madrasie – żeby przynieśli z dołu kufry, po których otwarciu słońce oświetliło sterty schowanych w nich złotych naczyń, a także małą szkatułkę przepięknie oszlifowanych kamieni szlachetnych, stwierdził, że jego argumenty brzmią nieco pusto. Okazało się, że *Allegiance* mimo swej powolności zdołał się jednak zbliżyć na odległość lotu nie do jednego, ale trzech legalnych przyzów, w drodze do Madrasu, i jeszcze jednego w drodze Australii, kiedy to wiadomość od Hammonda o pilnej potrzebie przewiezienia Temeraire’a do Rio zmusiła kapitana do zmiany kursu o sto osiemdziesiąt stopni i powrotu.

— To nie jest sprawiedliwe – poskarżył się Temeraire w rozmowie z Laurence’em – jeśli wziąć pod uwagę, ile się napływaliśmy po morzach, nie nатыkając się ani razu na choćby jeden francuski statek handlowy, i nie wydaje mi się, żeby Riley spodziewał się spotkać inne w drodze do Brazylii.

— Nie, ale możemy spotkać statek wielorybiczny, a może i dwa, jeśli tak tego pragniesz – odparł z roztargnieniem Laurence.

Temeraire’a wcale to nie ułagodziło. Wieloryby były całkowicie znośnymi stworzeniami, bardzo dobrym jedzeniem, kiedy nie były nadmiernie duże, ale nie można ich było porównać do skrzyń pełnych złota i szlachetnych kamieni, a co do ambry, nie lubił jej zapachu.

Laurence przeprowadzał obecnie rozmowy z awiatorami w kryjówce, kompletując ich nową załogę. Grupa, z której mógł wybierać, była mała i dość przeciętna, nawet po powiększeniu jej o ludzi, których Granby sprowadził z Madrasu, gdzie zaraza zabiła połowę smoków i kryjówki świeciły pustkami. Wyglądało jednak na to, że Iskierka wybrała już najlepszych z nich do swojej załogi. Temeraire i Laurence musieli zadowolić się resztkami, chociaż, zdaniem Temeraire'a, z uwagi na starszeństwo i większą potrzebę powinni mieć w tej sprawie pierwszeństwo, zwłaszcza że na grzbiecie Iskierki i tak nie można było pomieścić wygodnie zbyt wielu ludzi z uwagi na jej ciągle tryskające parą kolce.

Temeraire mógł się jedynie pocieszać tym, że przynajmniej odzyskał Fellowesa jako dowódcę załogi naziemnej, a Emily Roland znowu była oficjalnie chorążym Laurence'a; jeśli jednak pominąć tych dwoje, zabrano mu niemal wszystkich. Przynajmniej Gong Su był z nimi przez cały czas, więc Temeraire miał jednego lojalnego jak należy członka załogi – ale Dorset z jakiegoś niezrozumiałego powodu postanowił nie dołączyć ponownie do nich. Krążyły opinie, że miał obowiązek pozostać w kryjówce, w której nie było innego lekarza, ale tego, dlaczego Dorset nie mógłby wybrać się w podróż z nimi, a nowy lekarz Iskierki zostać zamiast niego w kryjówce, Temeraire zupełnie nie pojmował.

— Sir – odezwał się z wyraźnym zakłopotaniem porucznik Blincoln, zatrzymawszy się na obrzeżu polanki, na której Laurence siedział przy swoim stoliku do pisania – sir, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów.

Laurence uniósł wzrok znad swoich zapisków i Blincoln, zacinając się, zaczął wygłaszać przeprosiny – było mu bardzo przykro, jeśli kiedykolwiek okazał brak należytego szacunku; miał nadzieję, że zawsze wykonywał swoje obowiązki najlepiej, jak tylko mógł; prosił, by pozwolono mu polecić siebie uwadze kapitana Laurence'a...

— Panie Blincoln – przerwał mu Laurence – nie skarżę się na pańskie zachowanie wobec mnie w poprzedniej sytuacji. Jeśli uważa pan, że z tego powodu należne są mi jakiegokolwiek przeprosiny, może pan uznać, iż zostały przyjęte. Byłbym jednak o wiele bardziej skłonny zaakceptować w załodze człowieka, który ubliżał mi prosto w oczy, gdyż był głęboko przekonany, że na to zasłużyłem, niż takiego, który zgodnie z tym, co wiem na pewno, a co także potwierdzają wiarygodne raporty, zachowywał się w sposób oburzający i podstępny wobec młodego oficera, pozbawionego przyjaciół i obrony, którą powinni zapewnić mu jego zwierzchnicy, i z egoistycznych pobudek

wtrącał się w wychowanie stworzenia nienależącego do niego.

Laurence miał na myśli Demane. Awiatorzy w Sydney ewidentnie nie zrezygnowali z prób odciążenia od niego Kulingile i nie było niespodzianką dla Temeraire'a, że Rankin nie zrobił niczego, by temu zapobiec. Chociaż w głębi ducha Temeraire nie uważał, że byłoby to coś bardzo strasznego, gdyby któremuś z nich się powiodło. W końcu Demane byłby bardzo mile widziany z powrotem w swojej dawnej załodze i byłoby mu tam o wiele lepiej, gdyby jego smok okazał się tak bardzo wiarołomny. Nie żeby, oczywiście, Temeraire chciał, by coś takiego się stało; tylko gdyby się stało – cóż, jednak się nie stało; westchnął, zerkając z góry na żałośnie krótką listę oficerów, którą przygotował Laurence.

Blincoln tymczasem chciał zaprotestować, ale Laurence przerwał mu w pół zdania.

— Nie – powiedział – nie mam ochoty wysłuchiwać żadnych wyjaśnień i usprawiedliwień, które może pan przywołać, a to, że pański dobór zachęt i przynęt został zaakceptowany przez pańskiego dowódcę i naśladowany przez wielu pańskich kolegów, nie tłumaczy pana w najmniejszym stopniu i świadczy o każdym z nich. To było złe z pańskiej strony i sam pan o tym wie. Muszę prosić pana i każdego z oficerów, którzy zachowywali się podobnie, by nie oczekiwali ode mnie niczego poza słowami najmocniejszego potępienia.

Blincoln oddalił się pospiesznie i Laurence odłożył pióro.

— Przekonuję się, że ostatnio mam skłonność do podejmowania szybkich, może pochopnych decyzji. Przywykłem jednak do bardziej doborowego towarzystwa – powiedział ze skruchą do Temeraire'a.

— Z pewnością sobie na to zasłużył – odparł smok – za wyobrażanie sobie, że moglibyśmy go wziąć do mojej załogi. Ja na pewno nie zapomniałem, jaki był niegrzeczny wobec ciebie.

— Mogę być wyrozumiały dla każdego, kto potępia zdradę – rzekł Laurence, wyrażając o wiele większą zdaniem Temeraire'a tolerancję wobec swoich dawnych prześladowców, niż na to zasługiwali, zwłaszcza że właściwie to nie byli wcale zdrajcami, a teraz przyznał to nawet rząd. – Ale nie przymknę oka na te samolubne, podstępne machinacje. A skoro już o tym myślimy, to dochodzę do wniosku, że nie możemy zostawić Kulingile i Demane tutaj, pod rozkazami Rankina. Muszę pomówić z Hammondem; myślę, że razem z nim i Granbym mamy wystarczająco dużą władzę, by odpły-

nać z jeszcze jednym ciężkim smokiem, zwłaszcza takim, któremu od wyklucia się z jaja nie wydano jeszcze oficjalnie żadnych rozkazów. Jeśli tego nie zrobimy, ci ludzie nigdy nie zostawią ich w spokoju, a jeśli będą myśleć, że przywrócenie mnie do służby oznacza, że krytyczne raporty na ich temat zyskają większą wiarygodność, staną się tylko bardziej dokuczliwi, gdyż będą mieli mniej do stracenia.

— Oczywiście Demane powinien popłynąć z nami – podchwycił rozpromieniony smok – a jeśli Kulingile zechce, to nie mam nic przeciwko temu. Może mógłby popłynąć zamiast Iskierki? – zasugerował z nadzieją w głosie.

Niestety wyglądało na to, że Hammond upierał się przy tym, żeby im towarzyszyła: jeszcze jeden przykład tego niemądrego faworyzowania smoków zionących ogniem.

Ale dołączenie Kulingile do składu wyprawy oznaczało przynajmniej tyle, że Temeraire nie zostanie oddzielony od Demane i Siphona – na którego oddanie smok także wcale nie był przygotowany, nawet jeśli przydział do jego załogi brata Demane mógł być kwestionowany.

— Przecież też mam w Chinach brata, który wyklął się z bliźniaczego jaja, i wcale nie jest tak, że zawsze jesteśmy razem; więc jedno niekoniecznie pociąga drugie – mówił sam do siebie, starając się przekonać o słuszności własnych argumentów.

— Myślę, że pan O’Dea także popłynie z nami – powiedział Laurence. – W ciągu tych ostatnich miesięcy stał się w miarę godny zaufania, i będzie to oznaczało przynajmniej jednego porządnego pomocnika do prowadzenia dziennika pokładowego. I pan Shipley. Tak, Roland?

Emily Roland weszła na polankę i powiedziała cichym głosem:

— Panie kapitanie, proszę o wybaczenie. Oni nie pozwalają mi wejść na górę, ale pomyślałam... byłam pewna, że pan tego będzie chciał...

Temeraire popatrzył w dół wzgórza, gdzie prawie zupełnie niepotrzebna brama do kryjówki była obsadzona raczej po to, żeby awiatorzy mieli zajęcie, a nie żeby zapobiec jakiemuś napadowi od strony miasta; stał tam człowiek w zwyczajnym ubraniu, którego najwyraźniej nie chciano wpuścić.

— A niech mnie – odezwał się Temeraire z wyraźną przyjemnością po chwili, przez którą przyglądał się przybyszowi zmrużonymi dla pewności oczami, chociaż ta rudawa czupryna od razu wydała mu się znajoma – myślę, że to porucznik Ferris. Dlaczego nie pozwalają mi wejść na górę?

Poblady nagle Laurence powiedział cicho:

— Roland, bądź tak łaskawa i powiedz tym ludziom, żeby się odsunęli na boki, i że pan Ferris jest moim gościem.

Skinęła głową i pomknęła w dół, a krótko potem na polankę wszedł Ferris, dość spięty, jak Temeraire stwierdził po bliższej obserwacji. Był teraz mocniej zbudowany niż dawniej, zwłaszcza w ramionach, i być może tak często ulegał poparzeniom słonecznym, że ten kolor w końcu przylgnał do niego na stałe, bo miał rumiane policzki i wydawał się starszy, niż musiał być naprawdę. Niemniej jednak Temeraire wpatrywał się w niego z zachwytem: Ferris może nie był tak dobrym porucznikiem jak Granby, ale był wtedy bardzo młody, i w każdym razie z pewnością powinien być lepszy od każdego z oficerów w tej kryjówce, a także od tych z załogi Iskierki.

Biedny Ferris wygląda na bardzo chorego, pomyślał Laurence, kiedy wstał, by go powitać. Jego dawny porucznik wyraźnie się postarzał i jak zauważył ze smutkiem Laurence, na jego twarzy widać już było oznaki nadużywania mocnych trunków.

— Cieszę się, że znowu pana widzę, panie Ferris – powiedział Temeraire, pochyliwszy głowę – bez względu na to, jak pan tu przybył. Przyplynał pan niedawno?

Ferris, lekko się zacinając, zaczął mówić, że przyplynał na ostatnim statku kolonialnym... słyszał, że... i na tym urwał.

Laurence powiedział:

— Temeraire, wybacz nam. Panie Ferris, proszę ze mną na chwilę.

Ferris poszedł z nim do małego namiotu, w którym Laurence sypiał. Postawił go z dala od namiotów innych awiatorów i był teraz podwójnie wdzięczny za to odosobnienie. Wskazał Ferrisowi jedno z małych krzesełek obozowych, po czym sam usiadł i powiedział cichym głosem:

— Ja także bardzo się cieszę, że znowu pana widzę i że mam sposobność przeprosić pana, jeśli będzie pan tak łaskawy, by przyjąć moje przeprosiny. Nie znam nikogo, komu wyrządziłbym większą krzywdę.

Ferris pociemniał trochę na twarzy i przyjął podaną mu przez Laurence'a rękę, wymamrotawszy cicho i niezrozumiale jakieś słowo.

Laurence milczał, ale Ferris nie powiedział niczego więcej, a jego oczy pozostały spuszczone. Laurence nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić – propozycja jakiejś rekompensaty byłaby zarazem niemożliwa do zrealizowania i obraźliwa. Myślał kiedyś, że ochroni Ferrisa i swoich innych ofice-

rów, ukrywając przed nimi zamiar zdrady, jakiej się dopuścił razem z Temeraire'em, ale sąd wojskowy uderzał wszędzie tam, gdzie można było znaleźć cel, i za grzech niewiedzy Ferrisa wydano go ze służby. Obiecująca kariera została przekreślona, rodzina okryta hańbą, i Laurence nie musiał sobie wyrzucać tylko tej małej łaski, że nie powiesili biedaka.

— Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o panu – zaczął wreszcie Laurence – ale... nie ośmieliłem się napisać do pańskiej rodziny...

— Nie, oczywiście – odparł cicho Ferris. – Wiem, że był pan w więzieniu, kiedy... – Znowu umilkł.

— Nie jestem w stanie zaoferować panu takiej rekompensaty, jaka byłaby adekwatna – powiedział w końcu Laurence. Oferta mogła być daremna, ale i tak należało ją złożyć. – Ale jeśli jakiegokolwiek zadośćuczynienie za krzywdę, jaka pana spotkała, byłoby w mojej mocy... jeśli przybył pan tu z zamiarem założenia gospodarstwa, mógłbym... – Laurence stłumił w sobie uczucie niesmaku. – Mogę wykorzystać znajomość z gubernatorem Mac-Arthurem. Gdyby pan...

— Nie, sir, nie chcę tego... usłyszałem, że przybył pan tutaj, z Temeraire'em, w celu założenia terenów rozplodowych – powiedział Ferris. – Pomyślałem, że jeśli nie jest pan już oficerem, to mógłby pan... mógłbym się panu przydać, gdybym też przyplłynął. A w każdym razie... – Przerwał i naprawdę nie było potrzeby, żeby przedstawił wprost i dostatecznie jasno te pozostałe powody, dla których tak słaba i złudna nadzieja okazała się wystarczająca, by skłonić go do wejścia na pokład statku płynącego na koniec świata, do małej, źle zarządzanej kolonii więziennej: piętno najgorszej hańby, jaką się okrył, piekący wstyd i życie wyrzutka. – Ale usłyszałem niedawno, że został pan przywrócony na listę, sir.

Laurence z trudem zachował kamienną twarz. On, rzeczywisty zdrajca, został przywrócony do służby, a niewinny Ferris nie. I ta sama niesprawiedliwość uniemożliwiła teraz Laurence'owi danie mu prawdziwego stanowiska: jako kapitan Korpusu Powietrznego mógł powoływać do załogi Temeraire'a tylko awiatorów. Mógł trochę ponaginać zasady i zaoferować Ferrisowi coś nieoficjalnego, jakieś pomocnicze zajęcie, ale taka sytuacja mogła być dla niego jedynie bardzo bolesna, gdyż codziennie przebywałby w towarzystwie awiatorów mniej od siebie uzdolnionych i najpewniej traktujących go z tą samą pogardą, z jaką bardziej sprawiedliwie spotkał się Laurence.

Niemniej jednak złożył tę ofertę.

— Jeśli miałyby pan ochotę na taką pracę, gdyby się nadarzyła okazja – powiedział, przy czym szczegóły z konieczności pozostały niesprecyzowane – i nie miałyby pan nic przeciwko podróży, byłbym bardzo zadowolony z pańskiego... towarzystwa. – To ostatnie słowo, które wymówił z zakłopotaniem po krótkim zawahaniu się, wydało mu się jeszcze najlepszym ze wszystkich niezadowolających wyborów.

— Ucieszyłbym się z... z takiej okazji – odrzekł Ferris, także z zakłopotaniem; było jasne, że równie dobrze jak Laurence zdawał sobie sprawę ze wszystkich minusów tej propozycji, i tak samo oczywiste było, że jest z tym pogodzony. Laurence mógł tylko przyznać, że jego były porucznik nie ma innego, lepszego wyjścia i że była to jedna z tych przygnębiających sytuacji, kiedy proponuje się człowiekowi pracę, wiedząc, iż nie może odmówić.

— Wyślę wiadomość na *Allegiance*; niech pan będzie tak dobry i przenieś tam swoje rzeczy – powiedział. – Wyruszamy przy najbliższej sposobności.

– Jest mi bardzo przykro, że nie mogę wyświadczyć panu tej grzeczności, kapitanie – odrzekł Hammond – ale oczywiście rozumie pan, że sytuację może naprawić tylko królewska dyspensa... chętnie napiszę list w tej sprawie...

Laurence pisał już, więcej niż raz, i wiedział, że Jane też chętnie widziała-by przywrócenie Ferrisa do służby, gdyby było to w jej mocy; wcale nie był optymistycznie usposobiony.

— Panie ambasadorze – zaczął – proszę o wybaczenie; niczego nie zażądałem, ani dla siebie, ani dla Temeraire'a, ale muszę przedstawić to jako moją cenę, najniższą z możliwych. Przecież musi pan rozumieć, że nie ma żadnego powodu, dla którego ja miałbym odzyskać swój stopień, a pan Ferris nie.

— On nie ma smoka – odpowiedział brutalnie Hammond. – Nie – dodał – rozumiem pańskie uczucia, kapitanie, i nie przekraczając zakresu moich pełnomocnictw, pozwolę sobie zaryzykować stwierdzenie, że pomyślne zakończenie naszej misji powinno mieć istotny i korzystny wpływ na jego sprawę; zwłaszcza jeśli młody człowiek, o którym mowa – rozumiem, że będzie nam towarzyszyć? – okaże się pomocny podczas ekspedycji.

Laurence musiał się zadowolić tak wątpliwymi zapewnieniami, o któ-

rych nie warto było nawet wspominać Ferrisowi, i jeszcze bardziej żałował, że nie uzyskał niczego więcej, kiedy skończył przesłuchania; załoga, którą zdołał skompletować, nie wzbudzała wielkiego zaufania. Wziął porucznika Forthinga, który podczas ich podróży przez kontynent dał się poznać jako kompetentny, jeśli nie błyskotliwy, oficer, a na midszypmenów trzech młodych ludzi: Cavendisha, Bellewa i Avery'ego. Wyróżniali się spośród innych głównie tym, że mieli mniej czasu w swych karierach na wykazanie się brakiem inicjatywy lub umiejętności, mógł mieć zatem małą nadzieję na znalezienie jakiegoś ukrytego talentu.

Pożegnalna kolacja, wydana przez panią MacArthur, była wydarzeniem rzadkiej okazałości, z uwagi na ograniczenia życia w kolonii; jej mąż wykazał się przy tym na tyle dużym rozsądkiem, w każdym razie wystarczającym, żeby nakłonić Hammonda do przyjęcia zaproszenia na bankiet.

— Wie pan, ambasadorze, zupełnie nie dbam o to, czy będę nazywać siebie pierwszym ministrem, gubernatorem czy też wielkim mistrzem kangurow – powiedział do niego MacArthur i powtarzał to przy niemal każdej okazji, z małymi zmianami, gdy tylko znalazł jakichś słuchaczy – dopóki dla wszystkich będzie jasne, że sami rozumiemy nasze problemy lepiej niż ktokolwiek inny i że powinniśmy je rozwiązywać własnymi siłami, zamiast siedzieć beczynnie i czekać przez osiem miesięcy na wiadomość z Westministeru lub, co gorsza, znosić jakiegoś oficera marynarki, który kierując się bardziej własnym widzimisię niż zdrowym rozsądkiem, każe nam drzeć koty z naszymi bliskimi sąsiadami. Sąsiadami, którzy szukają jedynie dobrych partnerów handlowych, jakimi tak czy owak chcielibyśmy być.

Rozróżnienie między takim stanowiskiem a prawdziwą niepodległością wydawało się Laurence'owi dość niejasną sprawą, do rozstrzygnięcia na gruncie semantyki, ale przynajmniej chwilowo Hammond dawał wyraz tak dużemu zadowoleniu z tych rozmów, jak również z tego, iż na maszcie przed rezydencją gubernatora zobaczył brytyjską flagę, że naprawdę tytułował MacArthura gubernatorem i wziął udział w kolacji.

Na przyjęciu liczebną przewagę mieli mężczyźni, co było niemal nie do uniknięcia, ale pani MacArthur zdołała znaleźć wystarczająco dużo pań, by porozdzielać nimi oficerów od stopnia porucznika w górę, tak że przynajmniej przy górnej połowie stołu zachowane zostały pozory normalności. W kolonii nadal nie było odpowiednio wytwornego towarzystwa, o czym

szybko przekonał się Laurence, kiedy po krótkiej rozmowie z bardzo piękną kobietą, przy której go posadzono, żoną kapitana Korpusu Nowej Południowej Walii, jednego z podwładnych MacArthura, odkrył, że przybyła do Sydney na pokładzie jednego ze statków więziennych, skazana za kradzieże kieszonkowe.

Pani Gerlad może i nie ze wszystkim była niewiastą szacowną, ale swoje małżeństwo traktowała poważnie, co wyznała bez większych oporów, już przy trzeciej szklaneczce.

— ...najlepszy kawał – opowiadała – bo Timothy zawsze gadał o tym, że kiedy już będzie wracał do Anglii, rozejrzy się za bogatą kobietą; a nie ma nic bardziej irytującego dla dziewczyny niż słuchanie takich opowieści. Napisałam więc do siebie długi list, na którym umieściłam nazwisko mojego dawnego kawalera jeszcze z domu, mówiący, że niedługo przyplynie po mnie, z pierścionkiem, niech pan sobie wyobrazi, i zostawiłam ten list tam, gdzie Timothy mógł go znaleźć. Zrobiłam to tylko po to, żeby przestał zachowywać się tak, jakbym była kimś, o kim nawet nie warto myśleć. Ale on wpadł we wściekłość i tak szalał, że też się rozszłościłam i wyrzeszczałam do niego, że sam może się ze mną ożenić albo niech się wynosi i zajmie swoimi sprawami, i tak oto tu jestem! I przysięgam, że wcale na tym źle nie wyszedł, bo jestem pewna, że żadna bogata kobieta nie miałaby najmniejszego pojęcia, jak sobie radzić w kraju takim jak ten.

Była, pomimo braku nawet cienia wrażliwości, interesującą i sympatyczną towarzyszką przy stole, w przeciwieństwie do nieszczęsnego stworzenia po jego drugiej ręce, ewidentnie specjalnie zwolnionego na czas kolacji ze szkoły, gdyż Laurence byłby zdumiony, gdyby okazało się, że to dziewczę ma choć dzień ponad piętnaście lat. Pomimo lepszego urodzenia i lepszego wykształcenia od pani Gerlad, panna Hershelm była tak nieśmiała, że mimo wszelkich wysiłków Laurence' a wymówiła może jedną sylabę i ani razu nie uniosła wzroku znad swojego talerza.

Nie uważał, by to przyjęcie było odpowiednie dla takiego dziecka, zwłaszcza kiedy młodszy mężczyźni u dołu stołu zaczęli zachowywać się coraz bardziej hałaśliwie, wyraźnie zapominając o tym, że są w towarzystwie dam. Laurence zauważył, jak pani MacArthur spojrzała w dół stołu, po czym powiedziała coś szybko do swojego kamerdynera; na stole pojawiły się sery i słodczyce, wraz z puddingiem, w raczej chaotycznej kombinacji. Laurence podejrzewał, że były jeszcze zaplanowane dwa dania, od których podania odstąpiono, ale mimo to nikt nie mógł narzekać na menu: świeżo złowiony

gardłosz atlantycki w sosie cytrynowo-pomarańczowym, z zielonym groszkiem; nadzwyczaj apetycznie wyglądająca pieczona korona jagnięca, ozdobiona konfiturą z wiśni; młode ziemniaki w mundurkach przybrane brązowym masłem i wyłożone obok kotletów cielecych; cały tuńczyk upieczony w soli i zajmujący połowę stołu.

Ale kiedy wyniesiono resztki puddingu, pani MacArthur natychmiast wstała; wykazując się taką samą roztropnością, MacArthur nie pozwolił na podanie porto jeszcze długo po sprzątnięciu ze stołu i niemal natychmiast potem zaproponował, by panowie ponownie dołączyli do dam.

Kiedy weszli do salonów, Laurence z zadowoleniem zobaczył, że kilka pań już zniknęło, między innymi panna Hershelm. Pani Gerald, z drugiej strony, wzięła go za rękę i oznajmiła, że ma zamiar przedstawić go wszystkim pannom do wzięcia w towarzystwie.

— Bo to wielka szkoda, że żadna dziewczyna nie ma z pana pożytku – mówiła dalej – i naprawdę bardzo nieładnie z pana strony. Jestem pewna, że przydałoby się panu dobre towarzystwo i niech się pan nie boi, nie poznam pana z żadną kobietą tak tchórzliwą, że przeszkadzałby jej smok. Panno Oakley, czy mogę pani przedstawić kapitana Laurence'a?

Laurence zdołał się ostatecznie jakoś wykręcić, powtarzając, że tak naprawdę nie jest do wzięcia i że w najbliższym czasie opuszcza kolonię, i dołączył do Hammonda, który przy drzwiach prowadzących na balkon rozmawiał z kolejną z dam: panią Pemberton, która owdowiała podczas podróży do kolonii i dopiero niedawno zdjęła czarne rękawiczki.

— Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek o tym pomyśleli, gdyby nie Elizabeth... pani MacArthur... która jest moją przyjaciółką jeszcze z naszych szkolnych dni – powiedziała, kiedy Hammond zdziwił się głośno, że odbyła taką daleką podróż. – Ale czy stworzywszy sobie dom w tak dalekim kraju jak Chiny, może się pan tak naprawdę dziwić, że i inni mogą pragnąć zobaczyć ze świata więcej niż to, co sprowadza się do jednej parafii w Devonshire i sześciu tygodni w Londynie? Spodobał mi się pomysł, kiedy zaproponowała, byśmy tu przybyli i objęli nadanie ziemskie; jej mąż pracowałby dla mego. Ale tu samotna kobieta nie ma co robić.

Z wyjątkiem ponownego wyjścia za mąż, nie powiedziała, a jej wymowne spojrzenie na towarzystwo – z każdą chwilą coraz głośniejsze i coraz bardziej ordynarne – dało wyraźnie do zrozumienia, że wśród miejscowych kandydatów nie widziała zbyt wielu mężczyzn godnych uwagi.

— Mogłaby pani wrócić do Anglii – zasugerował Hammond.

— I wylądować z powrotem w Devonshire, by robić koronki z moją teściową, podczas gdy jej mops będzie chrapał u naszych stóp – odparła sucho; taki obraz nie mógł się podobać kobiecie, która ochoczo towarzyszyła mężowi w podróży na koniec świata, do dopiero co założonej kolonii. – Jak rozumiem, sami niedługo stąd odpływacie?

— Gdy tylko w czasie odpływu zawieje zachodni wiatr – powiedział Hammond, poetycko, ale niezbyt precyzyjnie, ponieważ gdyby *Allegiance* wyruszył z zachodnim wiatrem z miejsca, gdzie był obecnie zakotwiczony, prędzej wpadłby na skały w zatoce, niż wypłynął na otwarte morze. – Ale mam nadzieję powrócić do Anglii, proszę pani, któregoś dnia. Nie odmawiam mojemu krajowi żadnych usług, ale nie jestem aż takim wędrowcem z wyboru; a radości życia domowego z pewnością muszą mocniej przemawiać do serca kobiety.

— A co z panem, kapitanie Laurence? – zapytała. – Czy pańskie serce tęskni do spokojnej emerytury po zakończeniu służby i do domku na wsi?

W jej głosie pobrzmiwała lekka drwina.

— Tylko wtedy, gdy będzie w nim wystarczająco dużo miejsca dla smoka – odpowiedział i przeprosiwszy, wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Patrząc na rozjaśniony światłami dom i ogród pełen palm, wśród których śmigały owocożerne nietoperze, pomyślał, że jest to dokładnie tego rodzaju posiadłość, w której mógł sobie wyobrażać siebie na starość, sześć lat i całe życie wcześniej. Od tego czasu prawie wcale nie zastanawiał się nad przyszłością, ponad miarę zajęty nieoczekiwanym prezentem, i ze zdumieniem pojął, że zamiast udać się na kolejną wyprawę, wolałby pozostać w swojej zacisznej dolinie, nawet jeśli oznaczało to ciężką pracę i brak wygód.

Ale opuścili dolinę: bydło zostało sprzedane lub załadowane na *Allegiance* jako jedzenie dla smoków, a kolumny niemającego jeszcze dachu pawilonu stały na straży snopów na wpeł wyrosniętego zboża. Nie udało się znaleźć żadnego opiekuna dla miejsca tak odludnego; jeśli kiedykolwiek wrócą, wokół kolumn będą wić się dzikie pnącza, a pola, które z takim trudem oczyścili, zdążą już gęsto porosnąć chwastami i małymi drzewkami.

Jeśli kiedykolwiek wrócą. Odwrócił się i wszedł z powrotem do domu.

Rezydencja gubernatora stała naprzeciw cypla, na którym była kryjów-

ka, po drugiej stronie zatoki, dzięki czemu awiatorzy i żołnierze w drodze powrotnej do swoich kwater mieli okazję nałykać się świeżego, nocnego powietrza i nieco wytrzeźwieć. Dla części młodszych oficerów światła nadbrzeżnych tawern okazały się jednak mocniejszą pokusą od spokoju ich koszar i dlatego wymykali się dwójkami lub trójkami, aż w końcu Laurence zorientował się, że gdyby nie Granby, to wracałby sam. Widząc, że Rankin idzie z przodu, z porucznikami Blincolnem i Drewmore'em, Laurence i Granby jakby kierowani jedną myślą zwolnili kroku i skręcili na bardziej okrężną drogę, żeby przedłużyć spacer.

— Nikt nie może powiedzieć, że nie pożegnano nas serdecznie – odezwał się Granby – chociaż MacArthur mógłby się trochę mniej radować z naszego wyjazdu. Jestem pewny, iż uściskałby mi dłoń z taką samą przyjemnością, gdybym mu powiedział, że jadę do diabła; co nie znaczy, że tego nie robimy.

— Sądzę, że powinniśmy pokładać trochę większą wiarę w panu Hammondzie i jego umiejętnościach – odrzekł Laurence.

— Ja tam bardziej wierzę w Tswana – ciągnął Granby. – Nie mogę sobie wyobrazić, co mielibyśmy powiedzieć, żeby się zrobili słodziutcy, a mają ze sobą cholernie niebezpieczne bestie: zionące ogniem i ciężkie smoki bojowe czterech różnych ras, o których wiemy, a wiemy bardzo mało. Wolałbym raczej spróbować dalej na północy i zobaczyć, czy koloniści byliby skłonni wynająć niektóre z ich smoków do walki, jeśli mają ich tak dużo, że wykorzystują je obecnie do transportu towarów.

Mówił z pewnym niezadowoleniem, podzielanym, jak Laurence wiedział, przez wszystkich awiatorów, którzy dowiedzieli się, że Amerykanie zaczęli hodować smoki na tak dużą skalę, iż niedługo będą mogli rywalizować co do liczby tych stworzeń z Brytyjczykami, a mają o wiele mniej ludzi chcących na nich latać. Było to wielce irytujące i deprymujące dla tych, którzy spędzali życie w służbie, licząc na to, że pewnego dnia trafi im się rzadka szansa i zostaną kapitanami własnych smoków.

— Ale są to mniejsze stworzenia – sprecyzował Laurence – i bez wyszkolenia wojskowego. Nie ma żadnego porównania. Możesz być pewny, że Napoleon przetransportował przez ocean najgroźniejsze ze smoków Tswana, i to tyle, ile tylko udało mu się upchać na pokładach swoich statków.

— Cóż, mam nadzieję, że we trzech może zdołamy jakoś ściągnąć ich uwagę i skłonić do tego, żeby nas najpierw wysłuchali, zamiast od razu rzucić się do ataku – powiedział Granby, ale trochę pesymistycznie.

— Hammond utrzymuje, że z Halifaksu lub obszaru kanału przyślą nam posiłki, ale uwierzę w to dopiero wtedy, kiedy wylądują przed nami i zaczną się domagać krów, ani chwili wcześniej.

— Tak czy owak, nie powinienem narzekać na ostatnie posunięcia Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kiedy jestem cholernie wdzięczny za ich skutki. Człowiek mógł oszaleć, gdy myślał o tym, że ty i Temeraire żyjecie na wygnaniu w tym nędznym, małym porcie, z wiecznie ujadającym na was Rankinem i gromadą beznadziejnych obiboków. Nie dziwię ci się, że przepędziłeś wielu z nich i przeniosłeś się na pustkowie. Co tam się dzieje, u licha? – Doszli w końcu do miejsca, skąd widać było bramę kryjówki, i od strony wzgórza dobiegła ich wrzawa podnieconych głosów.

Szybko odkryli, że doszło tam do awantury, obserwowanej z zainteresowaniem przez cztery smoki, których głowy majaczyły w ciemności nad grupką ludzi. W samym środku tej gromady Laurence z pewną desperacją w sercu zobaczył Demane, a przed nim oficera Korpusu Nowej Południowej Walii, na kolanach i z krwawiącą wargą, który szeroko otwartymi z przerażenia oczami patrzył na przyglądającego mu się z góry Kulingile.

— ...oburzające – mówił właśnie rozgorączkowany Rankin. – Wezwę jego dowódcę jutro rano i będę domagał się wyjaśnień...

— Nic mnie to nie obchodzi! – odpalił Demane. – I tylko on zachował się tu oburzająco. Wiem, że panu jest wszystko jedno, a więc on tu pozostanie do czasu, aż wróci kapitan Laurence, ale jeśli zechce wstać i odejść, może spróbować, a ja wtedy każę Kulingile potrzymać go głową w dół nad urwiskiem.

— Ależ Emily, jestem pewny, że jeśli Demane jest na niego zły, to musiał zrobić coś, by sobie na to zasłużyć – mówił tymczasem Temeraire do Emily Roland, demonstrując postawę, którą Laurence mógł jedynie nazwać źle pojmowaną lojalnością – a zatem nie ma powodu, żebyśmy nie mieli poczekać na powrót Laurence'a. On z pewnością będzie wiedział, co najlepiej zrobić. Ale może lepiej, żebyś nie trzymał tego człowieka nad urwiskiem – zwrócił się do Kulingile, co było pierwszą sensowną uwagą w całej rozmowie – bo łatwo może się zdarzyć, że go niechcący wypuścisz, jeśli będzie się wykrecał i rzucał. Możesz go zamiast tego przycisnąć do ziemi, gdyby próbował uciekać: tylko uważaj, żebyś go nie rozgniótł.

— Wszyscy jesteście bandą cholernych głupców – wrzasnęła Emily, a Laurence nigdy jeszcze nie słyszał, żeby była tak rozwścieczona – a gdyby

on nie był tchórzem, dawno by uciekł, i nikt z was nie powinien mu w tym przeszkadzać; nie ma żadnego powodu, żeby kapitan się o tym dowiedział.

— No cóż – wtrąciła się Iskierka – ja chciałabym się czegoś o tym dowiedzieć, skoro już nie śpię. Czy ktoś się tu bije?

— Och, Boże – mruknął pod nosem Granby.

— Jestem tutaj; co się, do diabła, dzieje? – odezwał się ponuro Laurence. – Demane, rozmawialiśmy dziś po południu, jak pamiętam, na temat wszczywania burd.

— Ja niczego nie wszcząłem – odrzekł Demane, a potem, uświadomiwszy sobie, że zakrwawiona twarz jego jeńca świadczy przeciwko niemu, dodał: – to zrobiła Roland, tylko że ona chciała go puścić...

— Bo nie chciałam robić głupiej, wielkiej afery z tego, że przyłożyłam jakimś zalanemu durniowi, i nie było żadnego powodu, żebyś wsadzał do tego swoje trzy grosze. Skąd ci przyszło do głowy, cholera, że masz prawo wtrącać się w moje sprawy? – odpowiedziała Emily. – Sir, proszę, niech pan nie zwraca na niego uwagi...

— Skąd miałem wiedzieć? – wyrwało się klęczącemu na ziemi żołnierzowi. – Ona pętała się pod nogami w spodniach. Myślałem, że to takie dziwaczne przebranie, dla żartu.

— Nawet gdyby tak było, to nie znaczyło, że chciałam, byś mnie obmacywał – rzuciła pogardliwie Emily – a jeśli tego nie wiedziałeś, powinieneś był najpierw zapytać.

— Ach – prychnął Rankin – powinienem się domyślić, że to będzie coś w tym rodzaju. Możesz uwolnić swojego jeńca, Demane, nikt nie oczekuje, żeby kobiety z Korpusu broniły swej cnoty, jakby były damami, i nie możesz sobie nawet wyobrazić, na jakie pośmiewisko naraziłyby się w tej sytuacji ten, kto wniósłby jakiegokolwiek oskarżenie o niestosowne zachowanie; a może spodziewałeś się, że pozwolą ci go powiesić z zazdrości?

— Dostyc tego, sir; nawet więcej niż dostyc – powiedział Laurence do Rankina ostrym tonem. – A pan: pańskie nazwisko i nazwisko pańskiego dowódcy – zwrócił się do żołnierza, który nieco wojowniczo przedstawił się jako porucznik Paster. – Skontaktuję się z nim jutro rano; wierzę, że podzieli moje zdanie o człowieku, który nie potrafi okazać właściwego szacunku ani kobiecie, ani towarzysze broni.

Porucznik Paster nie pozostał, żeby się spierać, kiedy Laurence odprawił go machnięciem ręki, tylko pognał w dół wzgórza co sił w nogach, Demane

zrobił gniewną minę, ale gapie zaczęli się rozchodzić, gdyż najwyraźniej było już po wszystkim.

— Sir, nie chcę robić z tego żadnej sprawy – powiedziała Emily, podszedłszy do niego. – To nie było nic takiego...

— Proszę, nic nie mów – przerwał jej Laurence, uprzedzając jej dalsze słowa gestem ręki, a następnie odwrócił się i poprowadził ją do swojego namiotu. Demane szedł za nimi, próbując coś jej powiedzieć, ale Emily zdecydowanie odwracała się do niego plecami i chłodno ignorowała, nie słuchając jego zapewnień, że zrobił tylko to, co powinien zrobić...

— To więcej, niż ja mogę powiedzieć o sobie – rzucił ostro Laurence, siadając za swoim biurkiem. – Twoją pierwszą troską, Demane, powinno być dbanie o reputację i zadowolenie damy, a żadnego z tych celów nie można osiągnąć, odgrywając publicznie scenę oburzenia...

— Dziękuję, sir – powiedziała Emily i popatrzyła na Demane z zadowoleniem.

— ...usprawiedliwiam to z uwagi na okoliczności – dodał Laurence – jako coś, co jest następstwem mojego niedopatrzenia. Do tej zniewagi nigdy by nie doszło, gdybym spełnił swój obowiązek i zapewnił jej właściwą opiekę. Nie, Roland – przerwał jej, kiedy zaczęła coś szybko mówić – twoje obowiązki mają oczywiście pierwszeństwo, niemniej jednak jesteś też kobietą szlachetnie urodzoną i córką kobiety szlachetnie urodzonej...

— Wcale nie! – rzuciła z oburzeniem. – Jestem oficerem i mama jest...

— Jeśli od mężczyzny oczekuje się, żeby był zarazem oficerem i dżentelmenem, tego samego można się spodziewać i po tobie, jeżeli pozwolą ci na to obowiązki służbowe – powiedział nieustępliwie Laurence. – Nie zwalnia cię to z innych obowiązków, tak jak i mnie z moich, jako twojego opiekuna do czasu, gdy osiągniesz pełnoletność. Zajmę się tym jutro rano.

— Widzisz teraz, co narobiłeś – syknęła Emily na Demane i wypadła z namiotu jak burza.

— Sir – zaczął protestować Demane – nie chciałem niczego w tym rodzaju; to nie jest tak, że komukolwiek pozwoliłbym dokuczać Roland...

— To, mój panie, nie jest pańskim przywilejem – przerwał mu Laurence – i nie będzie, chyba że Roland zechce to nim uczynić za zgodą swojej rodziny; do tego czasu dopilnuję, że pan będzie zachowywał się jak dżentelmen. Dostyc szaleństw i jeśli postanowi się pan o nią starać, zrobi pan to zgodnie z ogólnie akceptowanymi zasadami postępowania.

— Ale to nie jest... Emily i ja... – wyjąkał Demane.

— Czy podjęła wobec pana jakieś zobowiązanie lub dała pozwolenie do uważania jej za swoją narzeczoną? – zapytał Laurence.

— Nie – odparł Demane opryskliwym tonem – ale...

— W takim razie nie chcę o tym nic więcej słyszeć – powiedział stanowczo Laurence.

Demane wymaszerował z namiotu tak samo rozzłoszczony jak Emily i zostawił Laurence'a z uczuciem dość niewielkiej satysfakcji, jaką dała mu świadomość tego, że sprostał nieprzyjemnemu obowiązkowi, nie mając najmniejszego pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Z kolei zatrudnienie odpowiedniej przyzwoitki, a tym bardziej znalezienie w ciągu trzech dni takiej, która nie wzdragałaby się wyruszyć w długą morską podróż i wziąć udział w niebezpiecznej misji, było już zadaniem niezwykle trudnym.

I nie mógł zostawić Emily w Sydney. To byłoby zaniedbanie jeszcze ważniejszego obowiązku wyszkolenia jej na oficera zdolnego dowodzić bezcennym smokiem, czego nie da się zrobić, nie stwarzając jej okazji do zdobycia pożytecznych doświadczeń, nawet jeśli wiązać się z tym będzie niebezpieczeństwo. Nie miałyby żadnych sposobności do zdobycia ich w tym ospałym porcie, a tym bardziej pod dowództwem Rankina. W każdym razie dżentelmen ten dał już niezwykle jasno do zrozumienia, że nie można na niego liczyć zarówno w sprawie szkolenia Emily, jak i opieki nad nią.

Laurence zaczął się zastanawiać, bez większej wiary w sens tych rozważań, czy rozwiązaniem sprawy nie mogłoby być znalezienie i zatrudnienie jakiegoś emerytowanego żołnierza, w zaawansowanym wieku. Takiego posunięcia nie można by nazwać całkowicie właściwym i taki człowiek nie mógłby pomagać Emily radami, co, jak Laurence niejasno wyczuwał, należało również do zakresu obowiązków przyzwoitki, chyba że miałby konieczne doświadczenie, bo wychował córki. Ale może by to wystarczyło z braku lepszego rozwiązania, a tymczasem, uświadomił sobie, powinien popłynąć na *Allegiance* i porozmawiać z Rileyem o kajucie dla Emily.

— Nic szczególnie nadzwyczajnego – powiedział Laurence – ale musi tam być osobna koja i druga dla opiekunki.

— Dama? – odparł z powątpiewaniem Riley. – Nie żebym nie widział potrzeby, oczywiście – dodał – ale, Laurence, nie myślisz chyba poważnie o zabraniu damy do Brazylii w czasie wojny? Nie sądzę, byśmy mieli na pokładzie więcej niż trzy kobiety, jeśli policzyć Starą Molly w kambuzie i żonę

działonowego, a także ich córeczkę, która raczej się nie liczy. – Powiedziawszy to, z jeszcze większym powątpiewaniem odniósł się do propozycji Laurence'a, żeby damę zastąpić emerytowanym dżentelmenem.

Laurence był teraz szczególnie wdzięczny losowi, że Riley dowiedział się już przedtem o tym, iż między awiatorami były też kobiety oficerowie; przynajmniej nie trzeba mu było tego długo tłumaczyć. To prawda, że Emily nie mogła też oczekiwać, iż w przyszłości zazna zwykłych radości małżeństwa i życia rodzinnego, i być może normalny sposób wychowania młodej kobiety w jej wypadku tak naprawdę nie miał zastosowania, ale Laurence wiedział bardzo dobrze, co sam pomyślałby o kapitanie okrętu, który pozwoliłby swoim młodym midszypmenom popaść w długie hazardowe, nadużywać alkoholu lub korzystać z usług prostytutek czy też w jakiś inny sposób stać się niegodnymi kobiet mających poczucie własnej wartości. Nie zamierzał być winnym tego samego ani tolerować dłużej sytuacji, w której Emily już została narażona na zniewagi.

— Gdybym chociaż mógł wynająć dla niej służącą, byłoby to już przynajmniej coś – powiedział.

— Lepiej, żebyś się poradził pani MacArthur – zasugerował Riley. – Ona przynajmniej może ci powiedzieć, co robić dalej, a może poznać cię z jakąś rozsądną osobą; jeśli to w ogóle możliwe w tak krótkim czasie. Myślę, że jutro będziemy mieli wiatr, a odpływ zaczyna się w samo południe.

Wyszli na pokład, pachnący świeżą farbą i szorowany właśnie piaskowcem przez marynarzy pod czujnym okiem lorda Purbecka, pierwszego oficera, i Laurence pomyślał, że Riley ma rację: w powietrzu wyczuwało się pewną niestabilność, co, jak mówił mu stary instynkt, zapowiadało zmianę.

— A jeśli kogoś znajdziesz, zapewnię oczywiście koje – dodał Riley. – Nie macie zbyt licznych załóg i mam dużo miejsca w kajutach na dziobie. – Kajuty te normalnie były przeznaczone dla awiatorów znajdujących się na pokładzie smoczego transportowca, których zwykle było o wiele więcej, niż *Allegiance* miał przewieźć tym razem. – Może się zdarzyć, że moi midszypmeni zaczną szemrać, kiedy się dowiedzą, że twój chorąży ma własną koję, a oni nie, ale będą musieli to jakoś przełknąć.

— To przynajmniej jedno źródło kłopotów, które mogę usunąć – odparł Laurence, po czym uściśnął dłoń Rileya i zszedł do szalupy okrętowej, która miała go przewieźć na brzeg.

Zastał Emily przy pracy, oliwiącą energicznymi, gniewnymi pociągnię-

ciami pędzła część uprząży Temeraire'a, która z braku załogi naziemnej była od pewnego czasu zaniedbana; kiedy go zobaczyła, zerwała się z miejsca.

— Nie – powiedział Laurence – nie rozmyśliłem się, jednakże mam do wypełnienia jeszcze jeden obowiązek, przeciwko któremu, jak tuszę, nie będziesz oponować: odsłużyłaś już więcej niż trzeba, żeby zostać skrzydłowym.

Ta wiadomość trochę ją udobruchała, ale zaraz z pełną nadziei przebiegłością próbowała obrócić ją na swoją korzyść.

— Jako skrzydłowy z pewnością nie potrzebuję przyzwoitki, sir, a poza tym czy nie powinien pan najpierw skonsultować się z mamą, zanim którąś pan zatrudni?

To przypomnienie było równie zbędne jak niepożądane; Laurence z zażłością stwierdził, że wcale nie jest pewny aprobaty Jane dla pomysłu zatrudnienia przyzwoitki. Sama nigdy takiej nie miała i było wielce prawdopodobne, że mogła uznać tę myśl za absurdalną. Ale nie sądził również, by Jane pochwaliła to, że Emily jest przedmiotem niechcianego zainteresowania, którego nie może już dłużej unikać, a tym bardziej nie pochwaliby tego, że jej córka w tak młodym wieku wdała się w jakiś stały związek.

— Kiedy wrócimy do Anglii, gdzie ona znowu weźmie cię pod swoje skrzydła, nie będziesz potrzebowała wskazówek od nikogo innego – odparł. – Do tego czasu to ja powinienem spełniać tę rolę, a właśnie zrozumiałem, że nie jestem w stanie zapewnić ci odpowiedniej opieki. Czy nigdy nie czułaś potrzeby – dodał z pewną desperacją, która miała wzmocnić jego siłę perswazji – towarzystwa kogoś, do kogo mogłabyś się zwrócić po... po radę?

— Mama mi wszystko opowiedziała o tych sprawach – rzuciła niecierpliwie Emily – i nie zamierzam zrobić żadnego głupstwa, które na rok wyłączyłoby mnie ze służby; o czym innym miałabym rozmawiać z jakąś sztywną starą damą, która będzie się krzywić, bo nie noszę spódniczek?

Laurence stracił nadzieję, że uda mu się ją przekonać jakimś argumentem, i zadowolił się wydaniem jej rozkazu, by złożyła zapotrzebowanie na większą ilość prochu na bomby zapalające.

Rozdział 3

Temeraire nie czuł jakiegoś szczególnego żalu, widząc, jak małe budynki Sydney nikną w dali, chociaż Laurence i Riley z taką aprobatą rozmawiali o zaletach zatoki jako naturalnego portu; to wszystko może i było prawdą, ale nie rekompensowało niechlujnego wyglądu niebrukowanych ulic, które poza tym były za wąskie, i wszechobecności błota. I o ile rzeczywiście cenił sobie wszystkie towary dostarczane z Chin przez węże morskie, o tyle nie mógł przywyknąć do straszliwego fetoru papki z na wpół zgniłych ryb, którą lubiły jeść, i nie widział żadnego powodu, dla którego musiała być ona przechowywana w otwartych beczkach na nabrzeżu. Wiatr wiał im niemal prosto w plecy, nadal prześladowując tym okropnym zapachem, mimo że *Alliance* oddalił się już znacznie od brzegu.

— Ale one nie zjedzą nikogo z nas, prawda? – zwróciła się pani Pember-ton do Emily, zatrzymawszy się z wahaniem u dołu schodów, które prowadziły na smoczy pokład.

— Och, na pewno zjedzą, jeśli dacie im najmniejszą nawet sposobność – odpowiedział Temeraire, przypatrując się jej z góry. – Nie są wcale wybredne, niestety, ale, widzi pani, najwyraźniej nie potrafią mówić, więc nie można im łatwo wytłumaczyć, że nie powinno się zjadać ludzi. Gdyby miała pani ochotę popływać, lepiej poczekać przynajmniej kilka dni, aż będziemy daleko stąd.

Dama uniosła głowę i popatrzyła na niego w osłupieniu. Temeraire nie bardzo rozumiał, dlaczego Laurence uważał jej obecność za niezbędną, a kiedy zapytał o to Emily, odpowiedziała mu jadowitym tonem: „Nie jest, wcale nie jest”. Teraz zaś oznajmiła pani Pemberton z lekką pogardą w głosie:

— Oczywiście żaden z nich pani nie zje. Ona miała na myśli ciebie, Temeraire, oraz Iskierkę i Kulingile, a nie węże.

— A więc obawiam się, że nie jest zbyt bystra – powiedział półgłosem Temeraire do Laurence’a później tego samego dnia, kiedy okręt wpłynął już na otwarty ocean i Laurence znowu wyszedł na smoczy pokład. – I wiesz, Laurence, muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem mógłbym zapewnić Roland równie dobrą ochronę, gdybyś tylko mi o tym wspomniał; nawet gdyby nie należała do mojej załogi, uznałbym to za mój obowiązek względem Ekscidiuma, ponieważ on nie może być z nami.

Nie udało mu się stłumić tonu lekkiej urazy pobrzmiewającej w jego głosie: do tego czasu porucznik Ferris – albo pan Ferris, jak najwyraźniej miał być teraz nazywany – wytłumaczył mu rolę pani Pemberton, i Temeraire odkrył, że całkowicie zgadza się w tej sprawie z Emily.

— Nie wątpię, że potrafiłbyś zapewnić jej bezpieczeństwo – odparł Laurence. – Obawiam się jednak, że z ochroną jej reputacji mógłbyś mieć większe trudności: twoja opinia nie miałaby znaczenia w tej sprawie. – Westchnął i dodał: – Pani Pemberton jest rozsądną kobietą, a przyjmując tę posiadłość, dowiodła, że nie brak jej odwagi; szybko zrozumie, jestem pewny, że nie jesteś dla niej zagrożeniem.

W drodze z zatoki na otwarte morze towarzyszyło im kilka morskich węży, albo z ochoty do zabawy, albo w nadziei na jakieś jedzenie, i dokazywały w pianie tryskającej spod dziobu *Allegiance*, ukazując lśniące w wodnym pyłe cielska. Nikomu nie podobało się to towarzystwo; niezależnie od smrodu, którego wszyscy mieli dosyć, marynarze byli z ich powodu bardzo zaniepokojeni i bali się, że mogą w każdej chwili zostać zaatakowani. Na co węże nie miały ochoty, oczywiście, bo były zbyt tłuste i dobrze odżywione; kiedy głodniały, musiały tylko wrócić do zatoki. Jednak marynarze nie byli co do tego przekonani i swoją jedyną obronę widzieli w smokach, co w rezultacie prowadziło do tego, że kiedy tylko Temeraire próbował się zdrzemnąć, oni hałasowali żaglami nad jego głową, puszczały kulę armatnią, która toczyła się z hukiem po pokładzie, czy też niby przypadkiem rzucali na niego kawałki lin.

— Ostatecznie mógłbym je postraszyć – powiedział niezadowolony Temeraire, kiedy na szyję wylało mu się wiadro brudnej wody. Stało to się w wyniku rzekomego wypadku, do którego doszło, kiedy jeden z węży wciąż płynących w ich kilwaterze wyskoczył nad powierzchnię wody, zakreślając w powietrzu wielki, opalizujący łuk, i który najwyraźniej miał na celu przykucie jego uwagi.

Roland najwyraźniej miała już teraz zbyt wysoką rangę, żeby go myć. Zamiast niej zadanie to powierzono Siphonowi oraz małemu stworzonku imieniem Gerry; dziecku oficera Korpusu Nowej Południowej Walii i jego żony, którzy umarli na jakąś gorączkę, pozostawiając chłopca, niespełna ośmioletniego i pozbawionego rodziny w promieniu dwóch tysięcy mil. Laurence przyjął go jako gońca od pani MacArthur, wraz z panią Pemberton. „To był koszt jej rady i pomocy” – wyjaśnił żalonym tonem, ale z punktu widzenia Temeraire’a Gerry był o wiele bardziej przydatny od pani Pemberton: dzięki swoim małym palcom lepiej od innych czyścił skórę pod łuskami, gdzie gromadziła się brudna woda, stanowiąca później źródło nieprzyjemnych doznań.

Oczywiście rozplakał się, kiedy go wprowadzono na smoczy pokład, ale Roland skrzyczała go za głupotę.

— Wiele bym dała za to, żeby mnie wzięto na gońca dwa lata przed czasem, zamiast posyłać do szkoły. Co się mażesz jak małe dziecko? Nikt nie uzna, że jesteś wart tego, by sam mieć kiedyś smoka, jeżeli nie potrafisz docenić okazji, kiedy ci się trafia – powiedziała.

Gerry pociągnął nosem i odparł:

— Ja wcale nie chcę mieć swojego smoka – co Temeraire mógł tylko pochwalić: być może wreszcie mógł mieć w załodze kogoś, kto nie zamierzał czmychnąć na innego smoka, kiedy tylko on i Laurence go odpowiednio wyszkolą.

— No to jesteś wielkim durniem – skwitowała jego słowa Roland. – Kto by nie chciał mieć swojego smoka i móc latać, i wypełniać swoje powinności wobec Anglii; i ty jesteś synem żołnierza: powinieneś się wstydzić.

Ponieważ ojciec Gerry’ego był ochoczym uczestnikiem rebelii MacArthura, oddanie tego świętej pamięci dżentelmena ojczyźnie i jego stosunek do obowiązków służbowych były chyba dość wątpliwe, ale ten argument przynajmniej tak rozproszył chłopca, że przestał płakać.

— Nie jestem durniem – powiedział z nadęsaną miną i wszedł za Siphona na grzbiet Temeraire’a, a kiedy skończyli go myć, był już do tego stopnia pogodzony ze swoją nową sytuacją, że ześliznął się na pokład po boku smoka.

Nikt nie polewał brudną wodą Iskierki, która spała zwinięta na przedzie smoczego pokładu, posykując i tryskając parą wodną; Temeraire przyglądał się jej z głęboką dezaprobatą. Kulingile starał się przynajmniej być użyteczny i łowił ryby: nawet jeśli pożerał większość z nich, powstrzymywało go to od pochłonięcia wszystkiego, co w porze obiadu znalazło się w zasięgu jego

wzroku, i od wpatrywania się tęsknie w cudze porcje, jeśli nie zostały zjedzone wystarczająco szybko.

— Nie musisz tak mocno kołysać okrętem, kiedy lądujesz – rzuciła z irytacją Iskierka, kiedy Kulingile kolejny raz wrócił na pokład, oblizując pysk.

— A ty nie musisz się skarżyć na każdego, kto nie wyleguje się zupełnie bezużytecznie – odparł Temeraire – i to bardzo uprzejme z twojej strony, Kulingile. Dziękuję ci – dodał łaskawie, biorąc resztki małego wieloryba, którego Kulingile przyniósł mu w prezencie, chociaż mięso na krawędziach było trochę poszarpane i nadgryzione, a te resztki to było więcej, niż Temeraire był w stanie jeszcze w siebie wcisnąć. Nie chciał się do tego przyznać, ale nie potrafił zjeść tak dużo jak Kulingile; to nie było w porządku, żeby ktoś na początku taki mały i sflaczały był teraz większy od niego, a już niedługo mógł nawet przerosnąć i Maksimusa.

— Nie jestem głodna – odrzekła Iskierka. – Gdyby gdzieś w pobliżu były jakieś przyzy, byłoby inaczej, ale latanie wkoło po ryby, na które nie ma się ochoty, byłoby trochę bez sensu. Poza tym sam przecież też na nic nie polujesz.

— Ja strzegę okrętu przed węzami morskimi – powiedział Temeraire, pełen godności.

Ostatni z węży zawrócił w stronę Sydney rankiem następnego dnia, a osamotniony *Allegiance* płynął w stronę ryczących czterdziestek: woda była zimna, stalowoszara, lekko tylko zabarwiona zielonkawą pianą. Laurence dołączył do Rileya przy sterze, by poobserwować przez lunetę oddalającą się węże: ich kolczaste grzbiety wyłaniały się lśniącymi łukami na powierzchni wody i zanurzały, po czym, gdy już dotarły do końca kilwateru pozostawionego przez *Allegiance*, nurkowały głęboko i kolejno znikwały.

Od tego momentu zapanowała monotonia z gatunku tych, które żeglarze lubią najbardziej: stały wiatr w plecy i małe, zimne słońce, widoczne nad horyzontem tylko przez kilka godzin dziennie. Każdego dnia Laurence'a budził odgłos szorowania pokładu lub dźwięk dzwonów okrętowych; czasem w pierwszej konfuzji po przebudzeniu zastanawiał się, dlaczego nie został wezwany na poranną wachtę, i rozglądał się na próżno w poszukiwaniu granatowego płaszcza.

Czułby się lepiej, gdyby miał jakieś nawet niezbyt absorbujące zajęcie: w dolinie przywykł do pracy od rana do wieczora i teraz odkrył, że nie potra-

fi wypełnić sobie godzin na pokładzie okrętu, na którym nie ma nic do zrobienia poza byciem pasażerem. Nawet obowiązki nauczyciela, które nałożył sam na siebie, przejęła teraz opiekunka Emily, bez wątpienia lepiej od niego nadająca się do tego zadania, gdyż przed wyjściem za mąż pracowała jako guwernantka.

Do towarzystwa miał Granby'ego; i mógłby mieć Riley'a, ale ich wzajemne stosunki nigdy nie powróciły do stanu normalności po napięciach, które narosły między nimi podczas podróży do Afryki. Ojciec Riley'a był właścicielem niewolników w Indiach Zachodnich, a ojciec Laurence'a, lord Allendale, był całkowicie oddany sprawie abolicjonizmu: w czasie podróży, której trasa wiodła przez wszystkie niewolnicze porty tego kontynentu lub obok nich, stale ścierali się ze sobą, nie pozostawiając sobie żadnego pola na przeprosiny. Laurence nie mógł się otworzyć przed Riley'em i powiedzieć mu, jaki jest jego prawdziwy stosunek do czekającego ich zadania; Riley nie mógł nie wiedzieć, jaki ten stosunek jest; traktowali się nawzajem ze skrupulatną grzecznością i rozmawiali tylko o żeglowaniu, pogodzie oraz sprawach związanych z codziennym życiem na okręcie.

Laurence nie musiał przynajmniej odmawiać sobie przyjemności latania z Temeraire'em: zimne, rześkie powietrze owiewające twarz, chmury tnące śniegiem, jeżeli zapędzili się daleko na południe, a pod nimi od czasu do czasu wielkie, srebrzyste ławice ryb lub stada wielorybów czy też morświnów; kiedy indziej cienie przemykających w dole rekinów.

— Zastanawiam się, dlaczego one nie są wcale dobre do jedzenia, skoro to, co same pożerają, jest smaczne. To wydaje się takim marnotrawstwem – zrobił dygresję Temeraire, zanim przeszedł do głównego tematu. – I nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy postąpić dokładnie tak, jak proponujesz, Laurence. W końcu jeżeli Tswana i tak odbiorą niewolników, Portugalczycy mogliby równie dobrze ich wypuścić i nie dopuścić w ten sposób do zniszczenia wszystkich swoich miast.

— Tswana nie mogą liczyć na to, że uda im się dotrzeć do wszystkich zakątków Brazylii – odparł Laurence – w każdym razie nie tak szybko, żeby zdążyli uwolnić wszystkich swoich ludzi, którzy jeszcze żyją; jeśli to jest ich jedynym celem.

Powiedział to, żeby zachować oględność, ale miał nadzieję, że jest inaczej. Tswana wyładowywali gniew nawet na takich portach niewolniczych, z których nigdy nie wysłano nawet jednego z ich ludzi, portach leżących

w dużej odległości od ich imperium. Dzięki temu rysowała się szansa, że da się ich przekonać do przyjęcia oferty, którą Laurence w głębi duszy chciał im złożyć: ogólnego wyzwolenia niewolników w całym kraju, zamiast wydania ich konkretnych krewnych.

Tą nadzieją nie zamierzał się jeszcze dzielić z nikim oprócz Temeraire'a; łatwo mógł sobie wyobrazić reakcję Hammonda. Masowe wyzwolenie niewolników było koncepcją, którą raczej z trudem dałoby się rekomendować Portugalczykom i która mogła także nie usatysfakcjonować Tswana; ale sama możliwość wykonania takiego posunięcia wymagała, by nie szczędzić wszelkich starań mogących się przyczynić do powodzenia planu.

— Musimy przynajmniej spróbować. Nawet gdybyśmy nie mieli żadnego innego powodu, żeby zgodzić się na propozycję Hammonda, to musi wystarczyć – dodał.

— Oczywiście, że musimy; i jestem pewny, że Portugalczycy dobrze się zastanowią, zanim odmówią, kiedy Tswana spala im kilka kolejnych miast – odparł niefrasobliwie Temeraire. – I nie sądzę, żeby Hammond miał jakiś powód do narzekania, jeśli doprowadzimy do pokoju, czego sobie życzy. A potem wrócimy do Brytanii i w końcu pokonamy Napoleona. Jak myślisz, czy to jest przyz, Laurence?

To nie był przyz; widoczny w oddali statek wielorybiczny prawie na pewno był neutralny; i zbyt mały, by unieść ciężar Temeraire'a, a jego załoga bez wątpienia wpadłaby tylko w panikę, gdyby polecili z wizytą, i nawet gdyby posiadała jakieś warte uwagi wiadomości, trudno byłoby je z niej wydobyć. Temeraire obrócił łeb i spojrział pytająco, ale Laurence pokręcił przecząco głową. Zawrócili i nie zniżając się, żeby nie zostać zauważonymi, polecili przed siebie.

Poza tym ocean był pusty, i to już od tygodni. Po drodze widzieli tylko kilka wysp, przeważnie samotnych wypiętrzeń wulkanicznych skał, porośniętych porostami. Z braku pracy wrażenie izolacji było bardziej odczuwalne niż w ich dolinie; Laurence nie starał się temu przeciwdziałać. Tego właśnie musiał się spodziewać, jeżeli zamierzał kierować się własnym osądem, nie we wszystkim podporządkowywać się władzy, i prosić o to samo Temeraire'a. Za każdym razem, gdy wracali, Laurence nie potrafił opanować uczucia na wpół rezygnacji, na wpół zadziwienia, z jakim patrzył na płynący w dole okręt, widząc w nim uporządkowany obraz swojego poprzedniego życia: zwyczajnego życia, zrozumiałego.

Zastanawiał się nad Bonapartem, nad człowiekiem, który odrzucił takie życie rozmyślnie, nie pod niepowstrzymaną presją obowiązku lub honoru, ale po to, żeby zaspokoić lekkomyślne pragnienie sławy, nad człowiekiem, który dla takiego powodu potrafił się postawić poza społecznością swoich rodaków.

— Nie sądzę, żeby kiedykolwiek poczuł się czymś w pełni usatysfakcjonowany – powiedział do Temeraire’a. – Jakie zwycięstwo, jaka chwała może zadowolić takiego człowieka? Chociaż może czas zrobi to, czego nie zdołała zwykłe obracanie się świata, i ostudzi najgorsze z jego zapędów.

— Możesz być pewny, że nawet jeśli znudzą mu się podboje i chwała, Lien nie będzie miała ich dosyć. W końcu zanim się zestarzeje, upłynie jeszcze bardzo dużo czasu – odparł ponuro Temeraire. – A poza tym nie wydaje mi się, że powinniśmy tylko czekać i mieć nadzieję na jakąś zmianę: lepiej sami go powstrzymajmy i dopilnujmy, żeby nie mógł wyrządzić więcej zła.

— Jeśli Napoleon może dążyć do wstąpienia na wszystkie trony w Europie, to myślę, że my możemy wyciągać je spod niego – powiedział Laurence lekko rozbawiony tym, że schodząc samotnie z grzbietu Temeraire’a na pokład okrętu płynącego po drugiej stronie świata, pośrodku zimnego oceanu, wygraża niekwestionowanemu władcy wielkiego narodu i zdobywcy połowy Europy.

Stół, przy którym zasiadł tego wieczoru, był nieco osobliwy, ponieważ Laurence i Granby zgodzili się prywatnie, że powinni traktować Demane tak, jakby już posiadał stopień, do którego upoważniało go posiadanie smoka, chociaż ani jego zdolności konwersacyjne, ani maniery nie kwalifikowały go do zajęcia miejsca w pobliżu szczytu. Jednakże taki brak ogłady był cechą często występującą u awiatorów, nawet tych, którzy nie mogli się usprawiedliwiać młodością, a Demane przynajmniej można jeszcze było nauczyć właściwych zachowań, napominając go i pomagając radzić sobie z zakłopotaniem, w jakie wprawiało go bycie kimś obserwowanym częściej i uważniej, niż do tego przywykł jako goniec, czy też przez ten czas w Sydney, kiedy go celowo ignorowano.

Jednak Hammond był gościem mało krytycznym i nie zwracał uwagi na to, że Demane zjadał cztery dania pod rząd w całkowitym milczeniu lub że trzeba go było szturchać, by wzniósł toast; za to jego własne opowieści wystarczały aż nadto do wypełnienia jakichkolwiek przerw w rozmowach reszty towarzystwa. W czasie czterech lat, które spędził jako główny brytyj-

ski przedstawiciel na chińskim dworze, zyskał mniej więcej dwa kamienie¹ na wadze, jego trochę desperacka wiara w słuszność swoich poczynań zmieniła się w absolutną pewność siebie, ale gdy jakaś sprawa była bliska jego sercu, rozprawiał o niej z takim samym zapałem i równie chaotycznie jak dawniej.

— Według raportów dotarły tam już dwa transporty smoków, które obecnie pozostają w porcie – powiedział, układając okruchy suchara tak, by utworzyły zarys Rio de Janeiro, i wybierając wołki zbożowe. – Tswana najwyraźniej stanęli obozem w ruinach miasta.

— Nie mogą lubić Bonapartego dużo bardziej niż nas – odparł Granby. – On także nie zakazał niewolnictwa. Czy oni naprawdę są jego sojusznikami?

— Myślę, że nie można tego nazwać sojuszem, nie w prawdziwym znaczeniu tego słowa – odrzekł Hammond. – Można by raczej powiedzieć, że zawarli z nim rozejm w zamian za zadośćuczynienie, ale skoro jego zadośćuczynienie obejmuje przewiezienie ich przez morze, żeby mogli atakować swoich wrogów, którzy są także jego wrogami, ten rozejm niewiele różni się od sojuszu. Nie zaprzestali także swoich napaści na wybrzeża Hiszpanii i Portugalii – dodał, rzucając znaczące spojrzenie Laurence'owi; takie ataki z pewnością byłyby również zagrożeniem dla tych oddziałów, które Brytania by tam wysadziła.

— Czy nie moglibyśmy zrobić czegoś, co dałoby im trochę do myślenia? – zadumał się Granby. – Na Przylądku lub gdzieś bliżej ich domu? Morze Śródziemne jest daleko od Afryki Południowej i nie sądzę, żeby dostarczanie zaopatrzenia przychodziło im łatwo.

— Perspektywa otwarcia nowego frontu na całkowicie nieznanym terenie, przy wielce niepewnych korzyściach, nie jest zbyt atrakcyjna – odparł Laurence. – Nic nie wiedzieliśmy o istnieniu Tswana i ich imperium, a powaga sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujemy, jest w niemałym stopniu konsekwencją tej naszej ignorancji; teraz, kiedy już wiemy na pewno, że mają możliwości utrzymania znaczących sił na tak dużą odległość, powinniśmy się dobrze zastanowić przed przedsięwzięciem kolejnej wyprawy w głąb kontynentu.

Mówił to z roztargnieniem, nasłuchując: stopniowo uświadamiał sobie, że w rytmie kroków i głosów dobiegających z pokładu nad ich głowami nastąpiła zmiana. Nie podniesiono jednak alarmu, nie słychać też było jakiejś gorączkowej bieganiny; nie miał żadnego powodu do wstania od stołu i mu-

siał powściągnąć swoją ciekawość aż do zakończenia posiłku, kiedy to mógł zaproponować wypicie kawy na smoczym pokładzie.

Kiedy wysunął głowę na zewnątrz i zobaczył niebo, jego ciekawość została od razu zaspokojona. Tego wieczoru Riley miał jeść kolację w mesie dla młodszych oficerów, ale najwyraźniej skończyła się szybciej, gdyż był już na tylnym pokładzie i kierował marynarzami, którzy spokojnie, bez jakiegoś gorączkowego pośpiechu, refowali żagle.

— Myślę, że trochę powieje; oczywiście nie ma się czym niepokoić – powiedział głośno, pogodnym tonem, po czym dodał półgłosem do Laurence'a: – Rtęć tak szybko opada, że wypłynęłaby przez dno rurki, gdyby to było możliwe; lepiej, żeby smoki zostały jak najszybciej przypięte łańcuchami.

Laurence skinął głową w milczeniu, przyznając mu rację, po czym poszedł powiedzieć Temeraire'owi, że musi znieść sztormowe łańcuchy, których tak nie cierpiał.

— Jest jeszcze trochę czasu na krótki lot, jeśli miałbyś na to ochotę – dodał w formie przeprosin, kiedy Temeraire w proteście rozpląszczył na karku krezę.

— Nie rozumiem, dlaczego zawsze, kiedy jesteśmy na morzu, musi być sztormowanie – powiedział ze smutkiem smok, kiedy wzbili się w powietrze i zobaczyli w dali wielkie czerwono-fioletowe i purpurowe kłęby chmur zasnuwające niebo; czarny ocean był dziwnie gładki.

Wylądował przygotowany już w duchu, że aczkolwiek niechętnie, ale jednak podda się zabiegom załogi; wtedy Iskierka powiedziała:

— Cóż, ja nie dam się przypiąć łańcuchami do pokładu: dlaczego nie miałabym się trzymać statku, a jeśli będzie bardzo źle, równie dobrze moglibyśmy przeczekać sztorm w powietrzu.

Laurence uświadomił sobie z przerażeniem, że ona jeszcze nigdy nie przeżyła prawdziwej, trzydniowej wichury, która wyczerpałaby siły każdego smoka, nawet gdyby same wiatry nie okazały się zgubne w skutkach.

— Sądzę, że prawdopodobnie będzie wiało zbyt długo – odrzekł Granby, patrząc pytająco na Laurence'a, który ześliznął się właśnie z grzbietu Temeraire'a i pospieszył zapewnić go o konieczności przypięcia smoków. Powiedział to tak cicho, jak tylko mógł, ale mimo to marynarze stojący w pogotowiu z wielkimi plandekami i łańcuchami sztormowymi zaczęli mu rzucać spojrzenia pełne wyrzutu za kuszenie losu, spojrzenia, które stały się jeszcze bardziej żalosne, kiedy Granby zaczął się spierać z Iskierką, i nic już nie moż-

na było poradzić na to, że ich głosy niosły się po całym okręcie.

Pomijając już jego ogólną niewiarę w przesady, Laurence nie uważał, żeby nadciągający ku nim sztorm potrzebował jakiejś dodatkowej zachęty, by stać się tak niebezpieczny, jak przewidywał. Z pewnością najgorsze następstwa pociągnęłyby za sobą pozostawienie Iskierki nieprzekonanej i nieprzygotowanej do znoszenia długotrwałego ograniczenia swobody, którego należało się przy tej pogodzie spodziewać. Spierała się o to z Granbym przez ponad pół godziny, podczas gdy cień podpełzał coraz bliżej i Riley zaczął popatrywać z niepokojem na stojących beczynnie ludzi i wciąż niezabezpieczone smoki. W końcu Granby rzucił w desperacji:

— Kochana, musimy to zrobić: będę nosił płaszcz, jeśli tylko zrobisz to dla mnie. Proszę, połóż się i pozwól im się zabezpieczyć.

Ten płaszcz był okropieństwem ze złotogłowi ozdobionego szlachetnymi kamieniami, który zupełnie dobrze pasowałby do Wersalu z poprzedniego wieku. Iskierka zamówiła go w Indiach za pośrednictwem pana Richersa, pierwszego oficera Granby'ego – później mocno skarconego przez swojego kapitana – i zdecydowana odmowa Granby'ego pokazywania się w tak wspaniałym stroju była dla niej od tego czasu źródłem wielkiego i nieprzemijającego niezadowolenia.

Skwapliwie przyjęła jego ofertę.

— Kiedykolwiek tego zechcę? – upewniła się jeszcze.

— Jeśli tylko nie będzie niestosowny do okazji – odrzekł Granby, pośpiesznie wprowadzając warunek.

— Tylko jeśli ja będę mogła zdecydować, czy jest stosowny, czy nie – uparła się Iskierka i Granby poddał się losowi z rezygnacją, jeśli nie wdziękiem; w zamian smoczyca w końcu ustąpiła i rozciągnąwszy się na pokładzie, pozwoliła marynarzom naciągnąć na masywne, czerwono-czarne spłoty swego ciała sieć wzmocnioną łańcuchami.

Granby unikał spojrzeń Laurence'a i poszedł na dziób okrętu, żeby odczekać, aż cała procedura dobiegnie końca. Najwyraźniej był bardzo zawstydzony, że musiał posunąć się do przekupstwa i wybiegów, by dla dobra służby poskromić temperament Iskierki, i nie mogło go pocieszyć zachowanie Kulingile, smoka o zupełnie innym, bardzo pogodnym charakterze, który poproszony przez Demane, by się także położył pod plandekami, odpowiedział: „Dobrze, jeśli chcesz, ale jak będę polować?”. Potrzebne było tylko zapewnienie, że zostanie nakarmiony, kiedy zgłodnieje, by się pogodził z tym, co go

czekało.

— To wcale nie będzie wygodne – mruknął smutno Temeraire, kiedy się także wyciągnął na pokładzie. Powiedział to powodowany w większym stopniu doświadczeniem niż pesymizmem, wiedział już bowiem, że on i Kulingile podczas sztormu będą leżeć po obu bokach Iskierki jako dodatkowe kotwice dla jej cielska, gdyż z powodu jej kłopotliwych kolców trudniej było ją przymocować do pokładu. W rezultacie będą musieli nie tylko wytrzymać cały impet sztormu, ale i przeleżeć ten cały czas w kłębach wypuszczanej przez nią pary.

— Może lepiej nakarmmy je teraz – zaproponował Granby, wróciwszy z dziobu, kiedy łańcuchy były już przymocowane do pokładu, a całość została wzmocniona dodatkowymi linami. Na dyskusje stracili niemal cały czas niesamowitego spokoju przed burzą i fale zaczęły już rytmicznie uderzać o burty okrętu. Nawet ci z marynarzy, którzy normalnie unikali jakichkolwiek kontaktów ze smokami, wdrapywali się na ich łapy i grzbiety, by jak najciaśniej dociągnąć więzy: waga tych stworzeń mogła doprowadzić do przewrócenia się statku, jeśli nie były one dobrze przymocowane. – Byłoby nam łatwiej, gdyby przespały pierwszy dzień, no i potem może być trudniej dostarczyć krowy na pokład.

Temeraire był zdecydowany nie sprawiać kłopotów; widział spąsowiałą twarz Granby'ego i postanowił, że Laurence z całą pewnością nie będzie miał takiego powodu, by rumienić się za niego, nawet jeśli sam w najwyższym stopniu nie lubił łańcuchów, bardziej niż Iskierka, i dlatego miał o wiele większe prawo, by domagać się czegoś w zamian.

— Ale nie zamierzam robić zamieszania i sprawiać kłopotów komukolwiek, a zwłaszcza biednym marynarzom, którzy będą ciężko pracować przez cały sztorm – oświadczył, chociaż już chwilę później pożałował, że zbyt wcześnie nakazał sobie milczenie: wolałby dostać porządny posiłek, dobrze ugotowany, a zamiast tego zobaczył krowę wynoszoną przez dźwig z przedniego luku; poza tym na pokład wyniesiono zwykłe cebry rzeźnicze, na które z cichym grzechotem spadły pierwsze krople deszczu. – A jeśli już o to chodzi – dodał chmurnie, kiedy podano im mięso – Laurence ma większe prawo niż Granby do noszenia wytwornych strojów, w końcu jest księciem i zarazem kapitanem, a Granby jest od niego nawet niższy starszeństwem. Jeśli zatem Laurence nie zawsze chodzi w swoim najlepszym ubra-

niu – co Temeraire mógł zrozumieć: nie należało niepotrzebnie ryzykować zniszczenia czegoś tak ładnego – to nie wydaje mi się, żeby Granby miał słuszność, postępując inaczej.

Kulingile uniósł głowę i wtrącił:

— Demane też jest księciem – co zdaniem Temeraire’a nie było do końca prawdą, chociaż przypomniał sobie, jak admirał Roland powiedziała coś w tym rodzaju do pewnego człowieka z Admiralicji, który sprzeciwiał się temu, żeby Demane i Siphon zostali jego, Temeraire’a, gońcami; jednak z pewnością nie było to taką prawdą jak w wypadku Laurence’a, którego adopcja była wielką, oficjalną uroczystością. – I nie nosi niczego szczególnie wytwornego.

Iskierka zjeżyła się i syknęła parą tryskającą z jej kolców.

— Granby ma wyższe starszeństwo, jeśli policzyć lata, które spędził jako awiator, i nie widzę żadnego powodu, dlaczego nie miałby też zostać księciem pewnego dnia, i to niedługo. – Wygłosiwszy tę słabiutką, nieprzekonującą replikę, wsunęła głowę pod skrzydło.

Deszcz rozpadał się na dobre godzinę później. Iskierka osłonięta przez nich przed wiatrem spała spokojnie, wypuszczając regularnie małe strumienie pary, skraplającej się na plandecę, która przyklejała się do grzbietu Temeraire’a. Surowa wołowina nieprzyjemnie ciążyła mu w żołądku i właśnie zastanawiał się, czy warto było posłać Gerry’ego po Gong Su, żeby mu może ugotował czarę herbaty, kiedy Kulingile uniósł głowę nad grzbietem Iskierki i szepnął:

— Temeraire?

— Tak? – odpowiedział Temeraire, ze smutkiem dochodząc do wniosku, że wiatr i deszcz popsująby smak herbaty, zanim zdążyłby się nią nacieszyć, i że w ten sposób zmarnowałby porcję z ich małego zapasu: była zbyt droga, by Laurence mógł ją kupować w ilościach, które Temeraire chciałby wypijać.

— Czy Demane powinien nosić coś bardziej wytwornego? – zapytał Kulingile z nutą troski w głosie.

— Och... – zaczął Temeraire i przez chwilę zmagął się ze sprzecznymi impulsami, ale w końcu górę wzięło poczucie sprawiedliwości. Nie mógł się pogodzić ze stratą Demane i chętnie przyjąłby go z powrotem, ale wprowadzenie Kulingile w błąd, jeśli zamierzał odpowiednio zatroszczyć się o Demane, byłoby najpodlejszym z podstępów. – Z pewnością należałoby oczeki-

wać, że gdy sytuacja będzie tego wymagała, kapitan smoka wybijającego się ponad przeciętność wystąpi w szczególnie pięknym stroju – odpowiedział zatem Temeraire. – Pozwolę sobie zauważyć, że dobrze by mu zrobił chociażby lepszy płaszcz i że powinien mieć złote belki, takie same, jakie mają Laurence i Granby; widzisz, bez nich nikt nie uważa go za prawdziwego kapitana.

— Ale skąd mam wziąć takie rzeczy? – zapytał Kulingile, a Temeraire, uległszy porywowi wielkoduszności, odparł:

— No dobrze, zapytam o to w twoim imieniu Laurence’a, bo sam nie jestem całkiem pewny, ale gdybyśmy zdobyli przyz – nic na to nie mógł poradzić, że w jego głosie zabrzmiała tęskna nuta – i dostali udziały, miałbyś fundusze i mógłbyś za nie kupić wszystko, co tylko byś zechciał.

— Iskierka ma dużo przyzów, a my nie? – ciągnął dociekliwie Kulingile.

— Tak jest tylko dlatego – odrzekł Temeraire – że przez zwykłe szczęście znalazła się na ich kursie. Możesz być pewny, że gdyby pojawiła się szansa wzięcia przyzu, zrobiłbym to równie łatwo jak ona, i ośmielę się powiedzieć – dodał, żeby oddać Kulingile sprawiedliwość – że gdy weźmiesz udział w kilku akcjach i nabierzesz doświadczenia, z pewnością też sobie z tym poradzisz, jeśli tylko nie dasz się postrzelić.

— Nie sądzę, że podobałoby mi się, gdybym został postrzelony – odparł Kulingile i potrząsnął łbem, kiedy zalała ich spieniona woda z rozbitej przez dziób fali. – To także mi się nie podoba – dodał.

— Aha – zgodził się z nim Temeraire i uniósł się, żeby strząsnąć wodę z barków, ale zaraz potem przyłgnął z powrotem do pokładu, kiedy okręt zsunął się w dół, zmierzając prosto w szklistą ścianę oceanu, która nagle wyrosła przed nimi.

Allegiance w żadnym razie nie był jednostką, którą ktokolwiek by wybrał z myślą o przetrzymaniu tajfunu. „Niestabilna, za ciężka na dziobie balia, mająca więcej żagli, niż dyktuje zdrowy rozsądek; prędzej poderżnąłbym sobie gardło, niż spróbował ją dowodzić”, Laurence przypomniał sobie te słowa, wypowiedziane przez Rileya kilka lat wcześniej, kiedy stojąc przy relingu starego, drogiego *Relianta*, obserwowali smoczy transportowiec, manewrujący niezgrabnie przy wejściu do Portsmouth: żadnemu z nich nie śniło się nawet, że znajdą się kiedyś na jego pokładzie, i to w takich okolicznościach. Nazwisko Laurence’a znajdowało się od sześciu lat na liście kapi-

tanów i dzięki wpływowej rodzinie i wyróżnieniom, które otrzymał za liczne zasługi, zbliżał się w szybkim tempie do stopnia flagowego, a jego przeznaczeniem zdawały się być tylko najbardziej obiecujące zadania. Riley, jego protegowany i drugi oficer, miał wtedy powody, by liczyć na to, iż w ciągu pięciu lat, także dzięki wpływom Laurence'a, otrzyma własny okręt.

Te wpływy znikły i Riley dość chętnie przyjął dowództwo *Allegiance*, kiedy złożono mu taką propozycję. Teraz oczywiście nie wygłaszał już takich krytyk tego okrętu ani nie zgadzał się, by w jego obecności wygłaszali je inni, ale nie można było zaprzeczyć temu, że jedyną zaletą transportowca było to, że wydawał się niemal za duży, by zatonać, co w obecnej sytuacji przywodziło na myśl rękawicę rzuconą żywiołom, czyli wyzwanie, któremu one były aż nazbyt zdecydowane sprostać. Laurence przypomniał sobie bez szczególnej przyjemności ostatnią poważną wichurę, której razem doświadczyli: trzy dni niekończącego się zmagania z ogromnymi falami i ta nieopuszczająca ich ani na chwilę niepewność, czy okręt zdoła się wspiąć na kolejny grzbiet.

I chociaż podczas podróży do Nowej Południowej Walii Riley nauczył podstawowych elementów sztuki żeglarskiej wszystkich poza najgorszymi szczurami lądowymi i więziennymi ptaszkami, jego marynarze w większości należeli do najgorszych we flocie: przewożenie smoków nie było cenionym zajęciem, a Riley nie miał wystarczająco dużych wpływów, żeby skutecznie przeciwstawić się wyciąganiu jego najlepszych ludzi przez kapitanów o większym starszeństwie. Laurence obserwował pracę tych, którzy pozostali w załodze z uczuciem dalekim od zadowolenia, a jednak nie wolno mu było nic zrobić, żeby to poprawić. Musiał się pogodzić z tym, że nie miał prawa przebywać poza smoczym pokładem i swoją kajutą oraz ulegać odruchom każącym mu ingerować w sprawy dowodzenia okrętem.

— Mają wszystko pod kontrolą, zapewniam panią – powiedział do pani Pemberton tego popołudnia, kierując tę uwagę w połowie do samego siebie, i przyjrzał się bez entuzjazmu zimnemu obiadowi, który w przyćmionym świetle przenikającym przez iluminatory nie wyglądał zbyt apetycznie: niezmiernie trudno było mu pogodzić się z tym, że kiedy bez niego rozstrzyga się los okrętu, on zasiadł do posiłku.

Ale sztorm nie trwał przez trzy dni: szalał przez pięć, podążając za nimi przez ocean, jakby kierowany złośliwością, i choć wiele przerw dawało im fałszywą nadzieję, że wreszcie zbliża się koniec, żadna z nich nie była wystarczająco długa, by mogli się przespać. Kiedy zapadła gęstsza ciemność,

oznaczająca początek nocy czwartego dnia, a z południa dobiegło wycie lodowato zimnego wiatru, który znowu się wzmógł, Laurence poszedł do Riley, stojącego przy kole sterowym, i krzyknął mu do ucha:

— Tom, pozwól, że odeślę lorda Purbecka spać i sam zostanę z tobą jako twój pierwszy; kiedy odpocznie, będzie mógł z kolei zmienić ciebie.

Riley, wymizierowany, o przekrwionych ze zmęczenia oczach, pokiwał po chwili głową. Kiedy Laurence podszedł do niego, Purbeck nie powiedział ani słowa sprzeciwu, tylko powlókł się do swojej kajuty, już na wpół śpiący. Laurence nie znał zbyt dobrze załogi, gdyż rozdział między awiatorami a marynarzami, z których żadnemu nie podobało się to, że dzieli okręt ze smokami, był głębszy, niż można się było spodziewać. Ale znał *Allegiance* wystarczająco dobrze, by móc nimi kierować, a przy wietrze wyjąłym im prosto w uszy pantomima sprawdzała się lepiej od krzyku.

— Teraz to już z pewnością musi być prawie koniec – powiedział Temeraire, kiedy Laurence przyszedł zamienić z nim kilka słów: deszcze właśnie na krótko zelżały: – Moglibyśmy polecieć i poczekać w powietrzu, aż się uciszy...

Ale rzucił tę propozycję cichym głosem, bez większej nadziei, tak osłabiony ze zmęczenia i zimna, że nawet nie otworzył przymkniętych oczu. Kiedy Laurence odpowiedział: – Jeszcze nie teraz, mój drogi; proszę, miej cierpliwość – smok ustąpił bez dalszego narzekania i zjadł owcę na surowo; ognie w kambuzie były wygaszone, dla bezpieczeństwa.

Iskierka, częściowo osłonięta przed wiatrem i deszczem, dzięki czemu lepiej zniosła złe warunki, tak się złościła na długotrwałość ich uwięzienia, że trudno było nad nią zapanować. Laurence nie miał wątpliwości, że gdyby Temeraire i Kulingile nie utworzyli w istocie części jej więzienia ze swych ciał, zerwałaby łańcuchy i najpewniej porzuciła statek, pomimo wszystkiego, co Granby mógł zrobić, by ją uspokoić.

— Och! Jeszcze nie? To się nigdy nie skończy i ja nie zostanę tutaj, nie zostanę – krzyknęła z wściekłością i zaczęła się rzucać, próbując rozerwać łańcuchy i plandekę.

— Dlaczego robisz tyle hałasu? – zapytał sennie Kulingile i Laurence zobaczył, że Demane powiedział coś do ucha smoka; Kulingile ziewnął, a potem przełożył łeb i jedną masywną przednią łapę ponad barkiem Iskierki i głęboko odetchnął, przygniatając smoczyce do pokładu.

Iskierka odwróciła gwałtownie głowę, kłapnęła zębami, próbując chwy-

cić go za nos, zasyczała, ale wszystko to nie odniosło satysfakcjonującego skutku: Kulingile zdążył z powrotem zasnąć i tylko jego język zlizął z pyska świeżą, owczą krew krótkimi, nieświadomymi pociągnięciami.

— Nie zostanę – powtórzyła ze złością, ale przestała szarpać łańcuchy; zamiast tego rozpląszczyła się na pokładzie i zaczęła wpatrywać z furją w chmury.

Jednak następnego ranka nawet ona upadła na duchu, pokonana przez nieustający sztorm. Pożuła tylko trochę kozła, którego jej przyniesiono, i zostawiła połowę w cebrze. Temeraire nie zjadł w ogóle niczego, i ledwie otworzył oczy, by się przywitać z Laurence'em, który przyszedł z nim porozmawiać.

— Tak dalej być nie może – powiedział Granby do Laurence'a, kiedy się spotkali pod pokładem: Purbeck trochę się przespał i wyszedł znowu na górę. – Może lepiej by było, gdybyśmy pozwolili im polecieć i przeczekać do końca w powietrzu. Przecież ten sztorm nie może trwać wiecznie.

Jego słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco i rzeczywiście w tym momencie to, że burza będzie trwała bez końca, wydawało się całkowicie wiarygodne.

— Nie dałbym nawet grosza za ich szanse utrzymania się w powietrzu razem w tych warunkach, a nie możemy ustalić żadnego miejsca spotkania; nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy, i nie będziemy mieli do czasu, aż znowu zobaczymy gwiazdy – odparł Laurence.

— To może Riley zgodzi się rozpaść w piecach i dać im coś ciepłego do jedzenia, jeśli obiecamy zachować ostrożność – nalegał Granby. – To bardzo źle, kiedy nie chcą jeść swojego mięsa, Laurence. W takim zimnie, jakie tu panuje, powinni pożerać więcej niż zwykle, nawet jeśli nie latają.

Taka propozycja mogła wzbudzić w Laurensie tylko i wyłącznie przerażenie, ale Gong Su, wsunąwszy głowę do środka – awiatorzy nigdy się nie nauczą, że grzeczność wymaga puszczenia mimo uszu tego, o czym się mówi po drugiej stronie grodzi – zasugerował, że trochę kawałków węgla ułożonych na dnie jednego z wielkich kotłów wystarczyłoby do przygotowania jakiejś gorącej zupy, bez ryzyka wiążącego się z używaniem otwartego ognia.

Riley jednak spał, a Purbeck nie miał zamiaru pozwolić na coś takiego.

— Równie dobrze moglibyście od razu podpalić okręt – powiedział stanowczo, bez nawet tej odrobiny grzeczności, z jaką zwykle zwracał się do

Laurence'a – żebyśmy nie musieli się zastanawiać, ile czasu wam to zajmie. I w żadnym razie nie wolno wam zdjąć im łańcuchów: chwilę po tym, gdy one zaczną skakać po pokładzie, stracimy panowanie nad okrętem. Muszą czekać jak my wszyscy.

— Gdybym był pewny, że Iskierka poczeka, tobym nie pytał – rzucił nieco poirytowany Granby.

— Jeśli oszalała do tego stopnia, że jest gotowa nas zatopić, byle tylko móc samej utonąć, niech pan to powie otwarcie, a rozwalimy jej głowę z działa pościgowego, zanim zdąży posłać nas na dno – odparował zimno Purbeck, a Laurence musiał chwycić Granby'ego za ramię i odciągnąć go na bok.

Nawet gdy Riley wrócił na pokład, sytuacja nie uległa szczególnej poprawie, ponieważ nie był on wcale bardziej skłonny przystać na pomysł awiatorów.

— Nie mogę podjąć takiego ryzyka, w żadnym razie – odpowiedział – i dziwię się, że o to prosisz – dodał dość szorstko, najwyraźniej także już wycieńczony niekończącą się i szarpiącą nerwy walką o utrzymanie okrętu na powierzchni.

— Korci mnie, żeby powiedzieć Gong Su, by robił swoje – rzucił gniewnie Granby, gdy Laurence ciągnął go z powrotem na smoczy pokład – i niech diabli wezmą ich wszystkich. Gadają, jakbyśmy prosili o to dla własnej przyjemności, a przecież ten okręt jest przede wszystkim przeznaczony do transportu smoków. Niby dlaczego oni wszyscy są tutaj? Rozwali jej głowę, też mi coś; prędzej sam go zastrzelę.

Nie próbował nawet mówić ściszym głosem, a poza tym sztorm zakłócił ich wyczucie głośności, tak jak to jest z ludźmi przygłuchymi, którzy podnoszą głos, żeby skompensować braki słuchu; jego słowa padły w kolejnej chwili ciszy, krótkiej przerwie w ryku burzy, i uniesione wiatrem dotarły dokładnie tam, gdzie były zupełnie zbędne. Riley zeszywniał, Purbeck popatrzył w kierunku oddalających się awiatorów z pogardą, i gdyby sztorm trwał nadal nieprzerwanie, a oni uginali się pod naporem kłopotów, które należało koniecznie rozwiązać, to może zapomnieliby o wszystkim, ale stało się tak, że właśnie w tej chwili chmury się rozstały i pierwsze od pięciu dni promienie słońca zalały pokład.

– Nie rozumiem, dlaczego ktokolwiek chciałby płynąć tym szlakiem, kie-

dy nie ma tu pryzów, a za to są takie sztormy – odezwał się Temeraire, zawiśnięty w powietrzu, żeby łatwiej połknąć antara polarnego; wcale nie spieszyło mu się z powrotem na okręt. Był pewny, że jeszcze przez wiele tygodni nie będzie mu sucho i ciepło; anemiczne, słabo grzejące słońce nie było w stanie sprostać temu zadaniu, gdyż tylko się jarzyło jaskrawymi kolorami, wisząc nisko pośród chmur na horyzoncie, a on miał wrażenie, że jest przemoczony do szpiku kości.

Wysoko nad nim Iskierka kręciła jak szalona kółka; najpierw wypuszczała strumień ognia, a potem robiła pętlę i przelatowała przez rozgrzane powietrze, żeby się osuszyć. Temeraire byłby skłonny poprosić ją o to, żeby zrobiła to samo dla niego, gdyby proszenie jej o cokolwiek nie było poniżej jego godności, a poza tym i bez dodatkowych dowodów uznania już wystarczająco pyszniła się tym, że była smokiem zionącym ogniem.

— Czy jest ich tam więcej? – zapytał Kulingile, który zniżył lot i zataczał właśnie krąg wokół Temeraire’a, przyglądając się z zainteresowaniem antarowi. Zjadł już tego popołudnia krowę, dwie foki i cały kocioł owsianki z ryżem, którą Gong Su ugotował z myślą o ich trojgu oraz o ich załogach.

Temeraire wskazał mu niewielką ławicę ryb, zbyt małych, by były warte nawet jego zachodu. Kulingile jednak zawrócił, żeby poobserwować ławicę z góry, po czym sprawnie ją przerzedził, nurkując i zanurzając dolną szczękę w wodzie; tuziny zaskoczonych i szamoczących się dziko ryb wypadły mu z paszczy, kiedy wzniósł się znowu wyżej, ale zostało ich jeszcze tyle, że schrupał je z zadowoleniem, nie zwracając uwagi na wodorosty zwisające po obu stronach jego szczęk.

Leżenie potem na pokładzie, z pełnymi brzuchami i bez ograniczających ruchy łańcuchów, ze świadomością, że w kambuzie pod pokładem rozpalono dla ciepła wszystkie paleniska, było pod każdym względem satysfakcjonujące, nawet jeśli morze wciąż było bardzo wzburzone, a fale co jakiś czas wznosiły się na taką wysokość, iż po rozbiciu przez dziób okrętu spryskiwały smoki deszczem zimnych kropelek.

Temeraire uniósł nieco skrzydło, żeby się choć częściowo osłonić, i ułożył odpowiednio przednie łapy, robiąc miejsce, gdzie Laurence mógł usiąść, by mu poczytać.

— Jestem pewny, że to się na tym nie kończy, prawda? – odezwał się smok, gdy Laurence zrobił dość długą przerwę w środku wiersza; kiedy mimo tego ponaglenia nie zaczął znowu czytać, Temeraire spojrzął w dół

i zobaczył, że śpi z głową odchyloną do tyłu i opartą o jego pazur oraz wciąż otwartą książką na kolanach.

Smok westchnął lekko i rozejrzał się dookoła, ale Siphon także już spał, zwinięty przy boku Kulingile pod kawałkiem brezentu, a Demane leżał obok niego; nawet Roland, która umiałaby rozszyfrować wystarczająco wiele znaków, żeby mu poczytać, zdrzemnęła się nad swoją matematyką.

Kulingile także westchnął i powiedział:

— Nie chcę już spać.

— Ja także nie będę – odparła Iskierka, ale nawet to oświadczenie nie obudziło Granby’ego, który spał przed nią w swoim wspaniałym płaszczu ze złotogłowiem z głową opartą na zwoju liny. – Jestem pewna, że w pobliżu nie ma żadnych przyzów godnych wzięcia, ale równie dobrze moglibyśmy jakichś poszukać.

Temeraire nie potrafił znaleźć żadnego błędu w tym planie; nawet Iskierka mogła od czasu do czasu mieć dobre pomysły.

— Tylko że musimy najpierw ustalić miejsce spotkania – powiedział, szukając wzrokiem nawigatora, pana Smythe’a, który mógłby mu powiedzieć, jaki jest kurs *Allegiance* i parę innych takich rzeczy, o które Laurence zawsze pyta, kiedy razem z Temeraire’em zamierzał odlecieć na dużą odległość od okrętu. Temeraire nie był do końca pewny, jak te informacje miałyby im pomóc w powrocie, ale być może pan Smythe mógłby mu wytłumaczyć również i to, więc nie musiałby budzić Laurence’a; nie było żadnej potrzeby, żeby go budzić. Nie żeby Temeraire uważał, iż Laurence byłby temu pod jakimkolwiek względem przeciwny, tylko że Laurence często wcale nie myślał o szukaniu przyzów, nawet kiedy nie było nic lepszego do roboty, a w każdym razie nic dużo lepszego.

Ale Smythe’a także nie było na pokładzie. Był tam tylko lord Purbeck i stojący przy sterze porucznik George, który walczył z przechylającą mu się ciągle na bok głową; kiedy mu opadała, budził się, unosił ją gwałtownie i rozglądał się dookoła, mrugając wiele razy bladoniebieskimi oczami.

— Nie zamierzam czekać; możemy odnaleźć statek bez tego całego zwracania głowy – nalegała Iskierka. – To oczywiste, że musimy tylko wrócić do punktu, z którego wyruszyliśmy, i dalej polecieć tym samym kursem, którym płynie okręt. Mogę to zapamiętać bez żadnych obliczeń.

— Nie bardzo rozumiem, jak możesz to zapamiętać – odparł Temeraire – kiedy będziemy lecieć nad otwartym oceanem, na którym nie możesz okre-

ślić swojego położenia za pomocą drzewa, budynku lub czegoś innego w tym rodzaju; byłoby bardzo głupie z naszej strony, gdybyśmy się zgubili i musieli latać w kółko przez wiele godzin, próbując znaleźć statek.

— Może lepiej nie lećmy – wtrącił Kulingile. – Myślę, że coś dla nas gotują; to jest bardzo miły zapach.

To był miły zapach – zapach piekącego się mięsa – wołowiny obsmażanej na otwartym ogniu gdzieś pod pokładem, i Temeraire wciągnął powietrze z przyjemnością. Chwilowo nie był głodny i nie męczyłby Laurence’a prośbami o więcej, gdyż wiedział, że bydło musi być racjonowane na wypadek niepowodzeń w łowieniu ryb, ale przecież nikt nie odmówiłby zjedzenia czegoś tak pysznego jak pieczona wołowina; jeśli tylko Gong Su nie zamierzał zrobić z niej gulaszu.

— Ja chcę łeb! – rzuciła Iskierka i wysunęła głowę do przodu ponad relingiem, starając się zajrzeć do przedniego luku. – Nie jadłam pieczonego łba krowy od wieków, a wy obaj przez ten cały czas byliście na lądzie.

— W kolonii wcale nie było tak wielu krów, że mogliśmy je jeść, kiedy tylko mieliśmy na to ochotę – odrzekł Temeraire – a poza tym wszyscy już od wielu tygodni jesteśmy na morzu; nie rozumiem, dlaczego miałybyś dostać całą głowę tylko dla siebie. Chętnie podelektowałbym się smakiem wołowego mózdzka i flaków.

— Ja tam zadowolę się udźcem – powiedział Kulingile – jeśli go nie przypalą – dodał niespokojnie, bo zapach robił się nieco zbyt intensywny.

Laurence obudził się nagle i szybko wstał, nie zważając na książkę, która spadła z jego kolan mimo protestów Temeraire’a.

— Co oni tam wyrabiają na dole? – zapytał, a potem przyłożył dłonie do ust i krzyknął na cały głos: – Pożar!

Laurence chwycił Granby’ego za ramię i obudził go; przednią zejściówką dostali się do wnętrza statku. Dookoła nich unosiło się coraz więcej dymu przesączającego się przez szczeliny w pokładzie, szarego i gryzącego; obok nich przeciskali się ludzie pracy na górny pokład, na świeże powietrze, ludzie o przekrwionych oczach i czerwonych twarzach, nie tylko po prostu zalatujący rumem, ale wręcz nim śmierzący, szczerzący zęby i chichoczący pomimo strasznego niebezpieczeństwa, jakie im zagrażało. Laurence uświadomił sobie z ponurą rezygnacją, że najpewniej włamali się do magazynu z alkoholem. Było tam wystarczająco dużo trunku, żeby przez sześć miesięcy

rejsu starczyło na codzienną porcję grogu dla siedmiuset ludzi, i każdy próżniak i pasożyt z załogi okrętu mógł się nim zalać na umór, podczas gdy podoficerowie i oficerowie odsypiali zmęczenie.

Podłoga w kambuzie była śliska od krwi pozostałej po pijackiej jatce – ponabijane na różny części dwóch zarżniętych krów piekły się na otwartym ogniu, przy czym przypalane mięso już po części szerniało; ogień wydostał się na stoły i pełzył w górę po sznurach.

— Zająć miejsca przy pompach – ryknął Laurence i wyrwał z ciżby jednego marynarza, Yarrowa, mata pochodzącego z Cheltenham, zazwyczaj człowieka solidnego i godnego zaufania, który jednak tym razem ewidentnie uległ pokusie wypicia alkoholu: miał pomazaną sadzą twarz i szeroko otwarte jak u potępieńca oczy, w których odbijał się czerwony poblask ognia. – Ruszaj na swoje stanowisko! – krzyknął do niego Laurence, ale na twarzy Yarrowa nie odmalował się nawet ślad zrozumienia; wyrwał się tylko z uchwytu Laurence’a i zniknął w masie mężczyzn, oszalałych od rumu i ze strachu.

Granby naciągnął swoje skórzane rękawice i przechylał właśnie jeden z wielkich kotłów pełnych gotującej się, solonej wieprzowiny, żeby zalać paleniska: ludzie zaczęli wrzeszczeć, gdy wrząca woda z tłuszczem polała się na dymiące deski i ich nagie stopy. Paleniska zostały wygaszone, ale pewnego wyjącego z bólu marynarza przewrócono na płonący stół, z którego się stoczył i miotając się wśród innych, zaczął rozprzestrzeniać ogień, który przenosił się z jego ubrania na ubrania sąsiadów.

— Kapitanie, kapitanie... – krzyczał Darcy, jeden z midszypmenów Rileya, wciąż jeszcze mały chłopiec o wysokim, piskliwym głosie. Stał boso, w białej koszuli nocnej, a jego rozpuszczone, żółte włosy były wyraźnie widoczne w świetle padającym z przedniego luku. Za nim Laurence dostrzegł Rileya, bez chusty, w nie do końca jeszcze włożonym płaszczu i z ustami szeroko otwartymi od krzyku, którego jednak w ogólnym zgiełku nie było słychać. Jeszcze dalej widać było kilku jego oficerów próbujących się przebić klinem przez tłum do kambuza.

Laurence miał przy pasie szpadę, która jednak w tych warunkach była bezużyteczna. Granby pochylił się i wyrwał deskę z jednego ze stołów, po czym podał Laurence’owi drugą; razem zaczęli tłuc pijanych i oszalałych ze strachu ludzi, robiąc miejsce dla Rileya, który w końcu przedarł się do kambuza z kilkoma oficerami. Pomocnik kucharza Urquhart, którego namó-

wiono do zarżnięcia krów, kulił się za piecami, trzymając noże, świadectwo jego występku; pięciu chłopców okrętowych, których bardziej od grogu interesowało mięso, ukryło się w rogu z kawałem pieczeni i w samym środku zamieszania, nie zwracając na nie uwagi, rwało rębami na wpół surowe kęsy; dwaj marynarze, którzy oberwali po głowach, byli teraz wystarczająco oszołomieni, żeby wykonywać polecenia, i nie aż tak pijani, by się do niczego nie nadawać.

Z pomocą tej niczym niewyróżniającej się zbieraniny zabrali się do gaszania najgorszego ognia; marynarze przynosili worki z piaskiem, a oderwani od obiadu chłopcy sypali go całymi garnkami wszędzie tam, gdzie zobaczyli migotanie choćby jednej iskierki; kulący się z poczucia winy Urquhart wygasił w kambuzie wszystkie ognie, które jeszcze się paliły.

Następnie oddalił się chyłkiem i zniknął w tłumie, być może licząc na to, że jego grzechy zostaną zapomniane, jeśli tylko na jakiś czas zniknie z pola widzenia. Tymczasem małe płomienie wciąż pełzły wzdłuż pokładu, odradzając się po zgaszeniu niczym odrastające głowy hydry, a dym gryzł Laurence'a w nosie i gardle. Zatrzymali się z Granbym, wycierając oczy i osuszając twarze z wilgoci, jaką pokryła je skroplona para z kotłów do gotowania.

— Laurence, Laurence – usłyszeli dochodzący z góry krzyk Temeraire'a, którego głęboki, dźwięczny głos z łatwością przenikał przez deski.

— Lepiej wróćmy na górę, gdzie będą nas widziały – zaproponował ochryple Granby. Nie było potrzeby wyjaśniania komukolwiek, dlaczego nie należało dopuścić do tego, by smoki nadmiernie niepokoiły się o ich bezpieczeństwo.

— Darcy, idź tam i powiedz temu żrącemu smołę uszczelniaczowi Powtonowi, żeby wybijał rozkaz zajęcia stanowisk bojowych, jeśli nie słyszy, jak to wykrzykuję, do cholery; a jeśli opuścił swoje miejsce, znajdź bęben i sam zacznij to wybijać – rozkazywał Riley. – Jeśli nie mogę ich zapędzić do pompowania wody, to już wolę, żeby stanęli przy działach, zamiast latać bez celu po całym okręcie; musimy mieć tu porządek.

Chłopiec rzucił się do zejściówki, wyprzedzając Laurence'a. Ledwie zdążyli z Granbym wejść na pokład, już rozległo się nieustające bicie bębna i wszyscy oficerowie zaczęli krzyczeć: „Na stanowiska! Na stanowiska!”. Te połączone wysiłki odniosły pewien skutek: marynarze byli przyzwyczajeni do dymu i nieporządku podczas bitwy lub ćwiczeń i znajomy głos bębna sprawił, że wielu z nich, nawet zdezorientowanych i oszołomionych ru-

mem, zaczęło zbiegać na dół na stanowiska bojowe na pokładach działowych. Jednak zbyt duża część ludzi, mniej wyćwiczonych lub mniej rozsądnych, pozostała na górnym pokładzie, gdzie biegali tam i z powrotem, bez sensu, przeszkadzając w zaprowadzaniu porządku.

Laurence wydostał się z luku zejściówki, spowity dymem przylegającym do jego ramion, i odepchnął dwóch marynarzy bijących się ze sobą o odkorkowany dzban, którego zawartość właśnie wylewała się na deski pokładu. Zataczając się do tyłu, odsunęli się od niego i wtedy Kulingile sięgnął w dół ponad relingiem smoczego pokładu i chwycił ich obu swoją potężną, uzbrojoną w ogromne pazury przednią łapą: Laurence spojrział w górę i zobaczył, jak smok wrzuca obu marynarzy do swojej podbrzuszej sieci ładunkowej.

— Pomyślałam, że to pomoże – krzyknęła z góry Emily; wszystkie trzy smoki wybierały kolejno najgorszych pijaków, oczyszczając pokład.

— Dobra robota – pochwalił ją głośno Laurence, zanim się rozkaszał; kiedy się uspokoił, przepłukał szybko usta łykiem wody z beczki na deszczówkę, a potem z Granbym dołączył do reszty awiatorów, by wraz z nimi pędzić najgorszych pijaków do przodu, gdzie lądowali jeden na drugim w sieci, w której już była cała masa machających rąk i nóg.

— Tylko bądźcie ostrożni! – ostrzegał Temeraire, nie bez powodu: po pokładzie przetaczały się luźne kule armatnie, zbijając ludzi z nóg i spadając za burtę z głośnym pluskiem lub wtaczając się do luków. Marynarze mieli przewagę pijackiej głupoty, która czyniła ich całkowicie nieprzewidywalnymi: wpadali jeden na drugiego, ciągnęli liny, przewracali beczułki z wodą, kleпали się, popychali i wrzeszczeli. Ludzie pełniący wachtę na rejach, którzy sami nie byli pijani i bardzo tego żalowali, drwili z nieszczęśników i rzucali w nich garściami śliskiej brei zdrapanej z żagli.

Fale nie były wysokie – to znaczy nie były wysokie jak na Ocean Południowy; miały tylko po dwadzieścia stóp – ale na skutek niedbalstwa załogi *Allegiance* kiwał się i kołysał jak szalony.

— Uwaga tam! – krzyknął od steru Purbeck; jedno z dział zerwało się z przytrzymujących je lin i gdy okręt majestatycznie wspiał się na grzbiet następnej fali, krótkolufowe, żelazne monstrum wyjechało ze swojego miejsca i w zwodniczo powolnym tempie zaczęło się toczyć ku nim, dudniąc głucho po pokładzie kółkami lawety.

Granby próbował właśnie doprowadzić do smoków kilku ludzi: cieślę okrętowego i trzech jego pomocników, sympatycznych, zataczających się

pijaczków, którzy utrzymywali się na nogach tylko dzięki wyczuciu równowagi starych marynarzy i szli pod rękę, zanosząc się śmiechem. Działo woczyło się w nich z ukosa, uderzając na wysokości bioder, i przewróciło na lufę: jadąc na nim dalej, mieli miny wyrażające raczej zaskoczenie niż strach.

Laurence zdążył tylko chwycić Granby'ego za rękę i razem z nim został pociągnięty przez tę niepowstrzymaną masę: poła jego płaszcz zaczepiła o żelazny pierścień, którego pęknięcie uwolniło lawetę działa z umocowań. Sunąc po pokładzie za działem, Laurence zdołał zaprzeć się piętami butów o reling i zatrzymać, kiedy armata z łatwością przebiła się przez dębinę. Runęła w dół, razem ze stolarzami, wrzeszczącymi ze strachu, gdyż w końcu dotarło do nich, co się dzieje. Granby'emu wyrwał się tylko jeden okrzyk bólu, a potem jego ręka, którą Laurence ciągle mocno trzymał, dziwnie zwiotczała.

Gładki jedwab prześlizgiwał się przez palce Laurence'a, ale hafty zahaczały o jego twarde odciski; słońce świeciło mu w oczy i dodatkowo oślepiało, odbijając się od złotogłowiu. Granby zacisnął szczęki, ale jego dłoń nie odpowiadała uściskiem, i powoli przesuwiał się ponad krawędzią burty w stronę wody. Nagle obok nich pojawił się Ferris i chwyciwszy Granby'ego, pociągnął z całej siły.

Laurence wywrócił się do tyłu z bardzo pobladłym pod swoją opalenizną Granbym, który tylko sapnął kilka razy. Kiedy Laurence i Ferriss postawili go na nogi, okazało się, że jego ręka wciąż zwisa bezwładnie.

— Granby, Granby! – wrzeszczała przenikliwym głosem Iskierka, która wychyliła się mocno ponad reling smoczego pokładu i chwyciwszy się dla podparcia głównego masztu, próbowała się do nich przedostać: widać było, że za chwilę przedrze się przez takielunek.

— Przyprowadzę go do ciebie, Iskierko. Nie rwij się tak do niego, bo mu jeszcze bardziej uszkodzisz rękę. – krzyknął do niej Ferris.

O dziwo, usłuchała i cofnęła się, posykując niespokojnie. Laurence skinął głową do Ferrisa, który zarzucił sobie na szyję drugą rękę Granby'ego i pomógł mu przejść przez pokład.

W wodzie nie było żadnego śladu nieszczęsnych stolarzy; ocean wokół okrętu był spieniony. Ucichły drwiące okrzyki, które poprzednio dobiegały z rei. Wszyscy oficerowie i żołnierze piechoty morskiej byli teraz na pokładzie, Riley, wymachując niecierpliwie ręką, wykrzykiwał od steru rozkazy,

a jego służący Carver kręcił się za nim z chustą powiewającą na wietrze niczym biała chorągiewka, próbując raz za razem doskoczyć i zawiązać mu ją na szyi.

— Laurence, dobrze się czujesz? – zawołał Temeraire, z nie mniejszym niepokojem niż Iskierka.

Laurence otarł załzawione oczy. Z dołu wciąż sączył się dym pełgającego gdzieś tam ognia, Riley zbierał co bardziej odpowiedzialnych marynarzy w grupy i postawiwszy na czele każdej oficera, posyłał ich tam z wiadrami i kubłami; oczywiste było, że już niedługo będzie bardzo potrzebował nowych ludzi.

— Czuję się doskonale – odkrzyknął Laurence – i proszę, weź tych ludzi, których masz w sieci ładunkowej, i zanurz ich kilka razy w wodzie. Zobaczmy, czy wytrzeźwieją na tyle, żeby pracować.

Kiedy smoki już odleciały, nagle odniósł wrażenie, że patrzy na *Allegiance* jakby przez szybę ze starego szkła, zielonego i falistego, ze słońcem zachodzącym za statkiem: zafascynowany obserwował, jak okręt staje się coraz ciemniejszy i coraz dalszy, a mrok pochłania blask czerwieni i złota; wydało mu się, że jest dziwnie lekki i wolny, jakby leciał, choć nie czuł najmniejszego powiewu wiatru.

Coś nagle wyciągnęło jego głowę ponad powierzchnię morza, jasne słońce, które zobaczył nad sobą, boleśnie go oślepiło, i zaczął się dławić słoną wodą; zwymiotował kilka razy w fale i na oślep przyłgnał do drewnianej powierzchni, na której Demane położył jego dłonie – części poszycia pokładu, wciąż gorącej i dymiącej z jednej strony...

To nie był zachód słońca. Rufa *Allegiance* została rozerwana: od pokładu armatniego do linii wodnej ziała ogromna dziura pełna drewnianych odłamków i płomieni; płonęły wszystkie żagle okrętu.

— Mój Boże – powiedział mimowolnie Laurence; jego głos zabrzmiał jak krakanie.

— Co się stało? – wysapał obok niego Demane, z trudem łapiąc oddech i także mocno się trzymając podskakującej na falach deski.

Nagły grzmot znowu wstrząsnął *Allegiance* i z jego burty wytrysnął kolejny pióropusz ognia; Laurence wciągnął głowę Demane pod wodę i jednocześnie zanurzył swoją. Chwilę później spadł na nich deszcz płonących odłamków i popiołu, parząc skórę.

Chmura przeszła.

— Ale... – wyjąkał Demane. – Ale... – Umilkł.

Laurence spojrział znowu w górę. Ogień wewnątrz *Allegiance* gasł, zalewany przez wdzierającą się do środka wodę. Okręt zanurzał się tyłem, a wielki smoczy pokład o kształcie wachlarza unosił się do góry. Smoki krążyły w powietrzu jak kruki czekające na śmierć jakiejś wielkiej bestii, która zaczęła powoli osuwać się w głąb morza.

1 Kamień – jednostka masy = 6,35 kg (przyp. tłum.).

Rozdział 4

W pierwszej chwili Temeraire nie zrozumiał, co się stało – leciał nisko nad powierzchnią morza, mocząc pijanych marynarzy pomimo ich głośnych protestów, a potem nagle był ten potężny huk i ogień wszędzie, sto razy głośniejszy od tego, którym zionęła Iskierka. Spadły na niego płonące kawałki żagli i drewna, a kiedy wzbił się wyżej, żeby popatrzeć, zobaczył płomienie wznoszące się z pokładu.

— Czy to jest bitwa? – zapytał bardzo podniecony Kulingile, przemykając nad nim i mocząc Temeraire’a wodą ociekającą z ludzi upchniętych w jego sieci. – Czy zdobędziemy przyz?

— Cóż, przypuszczam, że musieliśmy zostać zaatakowani, ale nigdzie nie widzę innego okrętu – odpowiedział Temeraire, sam niezmiernie skonsternowany, i chwilę później, gdy dotarł do odpowiedniego punktu w swym oblocie *Allegiance*, ujrzał ogromną dziurę ziejącą w okręcie... i tak bardzo dziwne było zobaczyć go otwartego w ten sposób, popatrzeć na wszystkie pokłady w przekroju, na białe hamaki zwisające z belek niczym jedwabniki w swoich kokonach, które widział kiedyś na rysunku, na działa ześlizgujące się z ogromnym pluskiem do oceanu. Wszędzie na wodzie unosiły się beczułki i paki, a także owce, które uciekły ze zagrody, i becząc z przerażenia, starały się odpłynąć od okrętu: wiele z nich wciąż miało dymiące runa.

— O! – mruknął Kulingile z zainteresowaniem.

— Jestem pewny, że nie powinniśmy ich teraz jeść – powiedział na to Temeraire. – To nie jest czas na jedzenie. I gdzie jest Laurence? – dodał i popatrzył wyżej. Pokład był zasłany szczątkami takielunku i połamanymi rejami, z zejściówek wydobywał się ogień oraz dym i wszędzie leżały nieruchome, porzrzućane na wszystkie strony, zakrwawione ciała. Temeraire nigdzie nie widział Laurence’a lub kogokolwiek innego ze swojej załogi, i nikt nie odpowiedział, kiedy zawołał:

— Laurence!

Całkowicie rozkojarzony obleciał okręt jeszcze raz – w wodzie pływali ludzie, ale trudno było ich rozpoznać, bo na powierzchni widać było tylko małe głowy, które unosiły się i opadały zupełnie jak beczułki, i żadna nie odpowiadała na jego wołania – dlaczego, dlaczego w ogóle opuścił okręt bez Laurence’a? Miał polecieć tylko na chwilę – w zasięgu wzroku nie było nieprzyjaciela – co się stało z tym okrętem, że wybuchł w ten sposób...

Szarpnął głową, kiedy coś mu błysnęło w oczach, i dostrzegł Roland – Roland, która machała do niego jak szalona z brzegu smoczego pokładu. Wyjęła jedną z jego pochw na pazury i ustawiając odpowiednio do słońca złotą powierzchnię, puszczała mu zajaczki; schowała się pod jedną z brezentowych plandek. Podleciał bez zwłoki do okrętu i szybko ją pochwycił, a zaraz potem małego Gerry’ego i również Siphona, skoro już to robił – nie powinien w ogóle zostawiać żadnego z nich, nigdy więcej.

— Laurence? – krzyknął jeszcze raz. – Tak, tak, widzę cię – dodał niecierpliwie, podnosząc Cavendisha, który gorączkowo wymachiwał rękami, dając do zrozumienia, że też chciałby być zabrany z pokładu: szesnastoletni skrzydłowy, którego Laurence z jakichś niezrozumiałych powodów przyjął do załogi; kogo on w ogóle obchodził?

— Nie widzę kapitana – rzuciła Roland, przypinając karabińczyki do uprzęży. Skończywszy to robić, wyciągnęła rękę, żeby pomóc przypiąć się Gerry’emu. – Skończcie biadolić, przekłete pijusy – wrzasnęła pod adresem mężczyzn w sieci, którzy podnieśli krzyk, kiedy ją zobaczyli – bo powiem Temeraire’owi, żeby was wszystkich wypuścił, ale w powietrzu, i krzyżyk na drogę. – Temeraire zupełnie zapomniał, że oni tam byli. – Zataczaj kręgi, Temeraire, i leć powoli; wszyscy będziemy wypatrywać... jego i... i Demane. – Kulingile już latał niespokojnie wokół okrętu, nawołując Demane.

Wróciła też Iskierka, żeby pomóc szukać – miała Granby’ego, przypiętego do grzbietu; ona nie straciła swojego kapitana. I miała też Ferrisa, chociaż Ferris należał do Temeraire’a – ale Temeraire nie potrafił się o to na nią złościć; w tej chwili w jego sercu nie było miejsca na coś tak małego.

I wtedy Gerry zaszczębiotał cicho z jego grzbietu:

— Widzę go! Widzę Demane i kapitana też – i Temeraire rzucił się natchmiast w dół, żeby ich obu wyciągnąć z wody, razem z kawałkiem drewna, który wydawał się szokująco, wręcz boleśnie mały jak na ich jedyne oparcie.

— Daj mi go tutaj! – zażądał natychmiast Kulingile, który przyleciał tuż za nim i teraz krążył niespokojnie. – Demane, dobrze się czujesz?

— Jest zbyt wyziębiony, by mówić – odparł Laurence... a przynajmniej wydawało się, że to powiedział; jego głos wcale nie brzmiał, jakby należał do niego, był bardzo zachrypnięty, zgrzytliwy, na dodatek trochę się jąkał. – Musicie poczekać, aż się trochę rozgrzeje.

— Mam tu brezent, sir, owinę go nim, za pańską zgodą – powiedziała Roland, wyciągając rękę, żeby pomóc mu i Demane zejść z pazura Temeraire’a na jego barki. – I moglibyśmy zabrać trochę naszych rzeczy ze smoczego pokładu, zanim okręt pójdzie na dno. Większość sprzętu była przymocowana.

Temeraire w pierwszej chwili zaczął się zastanawiać, co Roland miała na myśli; a potem spojrzał za siebie na okręt. Woda wciąż wlewała się przez otwartą dziurę i *Allegiance* osuwał się powoli i z gracją pod powierzchnię.

— Och! – zaczął smok – ale jak mamy go uratować?

— Nie ma takiej nadziei – odpowiedział Laurence, przypinając się do uprzęży wolnymi, ale precyzyjnymi ruchami; jego ręce mocno drżały. – Temeraire, nie mogę krzyczeć; powiedz Iskierce i Kulingile, żeby pozbierali tylu rozbitków, ile mogą, a my zabierzemy zapasy: tylko ty możesz zawiązać nad okrętem.

Laurence bardzo nalegał, żeby się uwijali jak najszybciej, ale to wcale nie przyspieszyło sprawy, ponieważ marynarze, całkiem głupio, próbowali odpływać, kiedy Iskierka i Kulingile starali się powyciągać ich z wody. I udało im się zabrać tylko trochę rzeczy ze smoczego pokładu – jedną uprzęż i kolejną plandekę, którą pochwyciła Emily, zwisając pod brzuchem Temeraire’a na pasie z doczepionym wielokrążkiem do wciągania rzeczy do sieci ładunkowej.

Gong Su zdołał się jakoś, na bosaka, z butami związanymi sznurowadłami na szyi i cienką torbą z nieprzemakalnego materiału, wydostać z wnętrza okrętu. Pomagał właśnie wciąż otumanionemu rumem O’Dei utrzymać równowagę na aflastonie *Allegiance* – figurze kobiety w powłóczystej szacie z wielkimi, pierzastymi skrzydłami, której Temeraire nigdy dotąd nie widział, gdyż była skryta pod smoczym pokładem, i która w tej chwili była skierowana niemal prosto w niebo.

Kiedy smok umieścił go na uprzęży, Gong Su wspiął się szybko po jego boku na górę.

— Nie, sir – usłyszał Temeraire jego odpowiedź, kiedy Laurence zapytał

go o Fellowesa. – Przykro mi, ale nie widziałem go; wszystkie niższe pokłady są pełne dymu i zginęło tam bardzo dużo ludzi.

— Tego należało się spodziewać – odezwał się O’Dea i czknął. – Wyrok oceanu...

— Dosyć – przerwał mu Laurence: powiedział tylko tyle, ale O’Dea umilkł zmieszany i stłumił kolejne czknięcia, przyciskając dłoń do ust.

— Czy mam spróbować wciągnąć trochę tych beczulek z wodą, sir? – zawołała z dołu Emily.

— Powiedz jej, że nie – rzekł Laurence do Temeraire’a – ale ty powinieneś wypić wodę z tyłu z nich, ile tylko zdołasz sięgnąć, i pomóż Iskierce i Kulingile zrobić to samo; i lepiej zjedzcie te owce.

— Tym ludziom w sieci już niedługo będzie się chciało pić – zwrócił mu uwagę smok – i tobie też, Laurence.

— Niech Roland napełni dla nas kilka manierek, a co do tych sukinsynów, to mogą się powiesić – odparł Laurence i nie tylko jego zmieniony głos sprawił, że te słowa zabrzmiały ponuro. – Musisz podróżować objuczony tak lekko, jak to tylko możliwe, mój drogi. Prędzej będziemy chcieli zobaczyć ląd niż pić wodę.

Po godzinie, podczas której załadowali niezbędne zapasy i kilku dodatkowych rozbitków z okrętu, do Temeraire’a podleciała Iskierka.

— Nie podniesiemy już nikogo więcej – krzyknął zmęczonym głosem Granby; jego ręka i bark były obandażowane i mocno przywiązane do tułowia. – W każdym razie żywego: woda jest zbyt zimna. Lepiej ruszajmy.

— Bierzemy kurs na północny wschód i trzymamy się tak daleko od pozostałych, jak to tylko możliwe, nie tracąc się wzajemnie z oczu, żeby jak najlepiej wypatrywać lądu. Upewnijcie się również, czy na Iskierce i Kulingile mają latarnie do nocnych lotów.

To było bardzo dziwne, kiedy ruszyli w drogę nad otwartym oceanem, bez konkretnego celu, pozostawiając za sobą na dobre resztki *Allegiance*. Okręt był już niemal cały pod wodą i tonał coraz szybciej; tylko smoczy pokład wystawał jeszcze nad powierzchnię morza, jakby mierząc w niebo. Wypelnione marynarzami łodzie okrętowe także oddalały się od niego. Oczywiście smoki nie mogły dotrzymać im towarzystwa; pokrzykując, wymieniono tylko niezbędne informacje. Dowództwo nad szalupą objął porucznik Burrough, a porucznik Paris, piętnastoletni chłopiec, przejął odpowiedzial-

ność za jedyny ocalały kuter, mając do pomocy midszypmena Darcy'ego.

— Nie widzisz nigdzie Rileya, prawda? – zapytał cicho Laurence, kiedy skończyli rozmawiać z łodźcami.

— Nie... – odparł po chwili smok. Trzy dni po tym, gdy wyklął się z jaja, dostał od Rileya olbrzymiego tuńczyka o czerwonym mięsie. Temeraire nigdy w życiu nie był tak głodny jak przez te kilka pierwszych dni, a Laurence przez większość czasu spał. Riley sam zszedł z rybą do kajuty, bo większość marynarzy była zbyt wystraszona... – Nie – powiedział w końcu. – Nie, Laurence, nie widzę go.

Laurence nic nie odparł; kiedy Temeraire spojrział do tyłu, zobaczył jego zaciętą w ponurym wyrazie twarz i oczy wpatrzone w dymiący w oddali wrak; po chwili pokiwał tylko głową i odwrócił się, żeby zapytać panią Pemberton:

— A może wolałaby pani popłynąć w jednej z łodzi? – Wydobyto ją razem z panem Hammondem z jednej z kajut na dziobie: przecisnęli się jakoś przez iluminator na zewnątrz i powiewali jej zapasową halką, żeby zwrócić na siebie uwagę, a potem zostali wciągnięci na linie na górę. – Możemy panią tam dostarczyć i wziąć w zamian jednego lub dwóch ludzi, jeśli są nadmiernie stłoczeni.

— Dziękuję, panie kapitanie, wolałabym zostać tutaj – odpowiedziała.

— Musi pani wiedzieć – ciągnął Laurence – że smoki mogą pozostać w powietrzu najwyżej dwa dni... może trzy...

— O ile rozumiem, szansa na to, że łódź na tych szerokościach geograficznych dotrze do lądu, jest także bardzo mała – odparła. – Jeśli zatem to ma się stać, lepiej, żeby stało się szybko, moim zdaniem.

— Oczywiście, że będzie pani dużo lepiej, jeśli zostanie pani ze mną, a nie popłynie jedną z tych łodzi – wtrącił Temeraire, przełykając ostatni kawałek surowej baraniny. W końcu Lung Shen Li przeleciała z Chin do wybrzeży Australii, prawie nie lądując po drodze. Laurence mógł być nastawiony pesymistycznie, ale Temeraire był całkiem pewny, że on nie utonie w tak upokarzający sposób, nawet nie podczas bitwy; z pewnością nie spadnie, dopóki nie znajdą lądu.

— Nadal myślę, że powinniśmy go wyciągnąć na powierzchnię – gderała Iskierka, zataczając jeszcze jeden krąg w stronę *Allegiance*: jej wszystkie skarby zostały w ładowni okrętu, a płaszcz Granby'ego był zupełnie zniszczony. To akurat nie radowało Temeraire'a, ponieważ nie można się było

cieszyć z tego, że coś tak ładnego zostało popsute albo opadało właśnie na dno oceanu, ku ucieście jedynie węży morskich. Niemniej jednak Iskierka nie mogła się tym dłużej popisywać, a tymczasem uroczysta szata Laurence'a leżała bezpiecznie w nieprzemakalnym worku na grzbiecie Temeraire'a, z jego pochwami na pazury dla towarzystwa. Raz jeszcze pogratulował sobie w duchu, że opiekę nad nimi powierzył Roland i kazał je przechowywać na pokładzie.

— Już próbowaliśmy, kiedy nie miał w sobie tyle wody, więc nie ma sensu wyobrażać sobie, że za drugim razem powiodłoby nam się lepiej – odpowiedział Iskierce. – Lepiej ruszajmy już w drogę.

Ustawił się tyłem do słońca i poleciał.

Laurence rozejrzał się dookoła tylko raz, kiedy odlatywali i *Allegiance* malał za nimi, otoczony szerokim pasem szczątków, które z dala wyglądały niczym rozłożony dół dworskiej sukni; w wodzie uwijały się już rekiny. To był smutny, gorzki koniec dla tak wielu dobrych ludzi: najgorsi zostali uratowani i nawet teraz jęczeli głośno w sieci ładunkowej Temeraire'a, a najlepsi, którzy bez nadziei na jakąkolwiek nagrodę próbowali naprawić katastrofalne skutki głupoty tych pierwszych, znaleźli cichy grób na dnie oceanu. Riley będzie zapamiętany jako człowiek, który stracił okręt w bezchmurny dzień; jeśli ktokolwiek z nich przeżyje, by móc złożyć raport Admiralicji.

Słabe słońce, jakby skurczone i blade tak daleko na południu, niezbyt grzało jego skórę i przesiąknięte słoną wodą ubranie, ale Laurence żałował, że już powoli zachodzi, i żałował też, że z rana smoki tak dużo czasu spędziły na polowaniu i zabawie.

Leciały daleko od siebie z Temeraire'em w środku; o zmierzchu Kulingile i Iskierka zdawały się już tylko kropkami po obu jego stronach, niczym odległe ptaki morskie, coraz słabiej widoczne, w miarę jak zapadała noc, a potem był już tylko słabiutki blask latarni nadążających za nimi w ciemnościach. Nie robili zbyt wielkiego hałasu, jeśli nie liczyć dochodzącego z dołu narzekania, a nawet i ono z czasem ucichło. Lodowaty wiatr ciął ostro przez sztormowe ubrania i brezentowe płachty na ich grzbietach, pogwizdując wysoko, podczas gdy z dołu dochodził monotony, cierpliwy szum oceanu.

— Żałuję, że nie zabraliśmy ze sobą kilku owiec – przerwał ciszę Temeraire, ziewając szeroko na wiatr, kiedy wzeszło słońce. – Nie miałbym teraz nic przeciwko jeszcze jednej. Łowienie ryb nie może być wygodne, kiedy zwisa ze mnie tylu ludzi.

Opuścił głowę i leciał dalej. Laurence nie mógł się powstrzymać od myśli o tym, o ile źlej byłoby Temeraire'owi bez tych wszystkich marynarzy stłoczonych w jego sieci ładunkowej; to mogłoby znaczyć dodatkowy dzień w powietrzu. Ta myśl zakorzeniła się w mroczniejszym uczuciu, gniewnej urazie, której nie łagodziły tłukące mu się po głowie słowa: Oni nas zabili.

Na tych szerokościach geograficznych na Pacyfiku jest tylko kilka skalistych wysepek. Szansa natrafienia na którąś z nich bez zarówno mapy, jak i kompasu, była znikoma, a nawet gdyby coś takiego się stało, to nie było nadziei na znalezienie następnej w odległości możliwej do pokonania przez smoki. Te wody nie były tak gościnne, by przez dłuższy czas utrzymać przy życiu trzy duże smoki, łowiące ryby w tej samej wąskiej przestrzeni.

Już bardziej prawdopodobne było to, że natrąfią na jakiś żaglowiec, który dzięki jego światłom można dostrzec z nawet dużej odległości – jakiś samotny statek wielorybiczny lub kliper zdążający do przylądka Horn. Ale taki statek nie zapewniłby ratunku żadnemu ze smoków; mogłyby jedynie zostawić swoje ładunki, a potem utonąć, utraciwszy resztkę sił na ratowanie ludzi odpowiedzialnych za katastrofę, z których każdy powinien skończyć swoją podróż na końcu sznura.

W czasie lotu Laurence pisał raport z wydarzeń, po dziesięć minut za każdym razem, zanim musiał robić przerwę, by znowu ogrzać dłonie w kieszeniach płaszcza. Robił to z myślą o tym, że gdyby jednak udało im się natrafić na taki statek, Admiralicja powinna przynajmniej otrzymać dokładną relację o wydarzeniach, by móc wyciągnąć wniosek, że Riley nie był ani głupi, ani niekompetentny.

Został raczej zdradzony, przez Głupotę ludzi i Zło tkwiące w Trunkach: kiedy nim i jego oficerami, którzy nie szczędzili najbardziej heroicznego wysiłków, by utrzymać Okręt na powierzchni podczas przerażająco potężnej i niebezpiecznej Wichury, trwającej przez wiele Dni i Nocy, na krótko owładnęło zmęczenie, wielu z mało wykwalifikowanych Marynarzy, od których podczas Kryzysu wymagano mniej, niż Oficerowie wymagali od siebie, wykorzystano tę Sposobność, żeby ściągnąć na wszystkich Nieszczęście przez swoje niepohamowane pragnienie rumu.

Z głębokim żalem powiadamiam o tej Stracie, która musi się wydawać tym gorsza przez swoją bezcelowość i przez niczym nieuzasadnio-

ną Szkodę, jaką musi przynieść Reputacji jednego z najbardziej zasłużonych ze znanych mi Oficerów; mam nadzieję, że ten list, kiedy dotrze do kraju, przyniesie Pociechę zarówno tobie, jak i jego synowi, upewniając was, iż wszelkie krzywdzące Doniesienia na jego temat, które mogą być rozpowszechniane, będą całkowicie bezpodstawne.

Dołączył ten bardziej osobisty list do Catherine Harcourt do swojego raportu, owinął wszystko kawałkiem nieprzemakalnego materiału, który odciął z płachty, w którą był zawinięty, i związał postrzępionym sznurkiem. Przynajmniej tego mógł być pewny, że nie będzie musiał osobiście przekazać jej tak złych wiadomości; co mogło być tym bardziej bolesne, że nie był pewny jej reakcji. Miał nadzieję, że Riley będzie opłakiwany; Riley zasłużył na to, żeby po nim płakać, ale Laurence nie był wcale przekonany, że tak się stanie. Harcourt wyszła za niego za mąż niechętnie i tylko dla dobra ich mającego się urodzić dziecka, które istotnie okazało się chłopcem, i od tego czasu na każdą z podejmowanych przez Riley'a prób wypełnienia jego obowiązków wobec niej reagowała z najwyższym zniecierpliwieniem.

— Roland, bądź tak łaskawa i trzymaj to przy sobie – powiedział, a ona obudziła się z półdrzemki, wzięła paczuszkę i włożyła ją za pazuchę na przechowanie. – Mam nadzieję, że dopilnujesz, by ten list dotarł do kapitan Harcourt, jeśli będziesz miała okazję.

— Dopilnuję, sir – odpowiedziała spokojnie, jakby rzeczywiście istniała szansa, że tak się stanie; było już popołudnie drugiego dnia. Smoki leciały bez przerwy przez blisko trzydzieści godzin.

— Wydaje mi się, że tam na dole są delfiny – odezwał się nagle Gerry, zerkając przez burtę Temeraire'a. – Zobacz, skaczą.

Temeraire ocknął się i zanurkował tak gwałtownie, że wszystkim żołądki podeszły do gardeł, a spod jego brzucha dobiegły wrzaski przerażenia, szybko uciszone przez wodę, gdy smok wpadł w sam środek stada i wzbił się znów w powietrze z trzema delfinami w pazurach; zjadł je z łapczywością świadczącą o prawdziwym głodzie, nie zatrzymując się w powietrzu i ochlapując sobie krwią całą pierś.

— To było bardzo pokrzepiające, muszę przyznać – odezwał się, kiedy skończył jeść, oblizując do czysta pazury. – I jest mi przykro, ale wasze narzekania nie mają sensu; gdybyście nie narozrabiali, nie wylądowalibyście w sieci – dodał, zwracając się do nieszczęśliwych marynarzy. – Jak sądzę, nie

dostrzegliśmy jeszcze ani śladu lądu?

— Jeszcze nie – odparł Laurence.

Następnego ranka Gerry wypatrzył swymi bystrymi, młodymi oczami plamę spienionego oceanu: tylko skrawek skały kilka stóp pod powierzchnią, ale to już było coś. Laurence przesłał sygnał do Granby'ego i Demane, i smoki zyskały godzinę odpoczynku, którą spędziły, siedząc na tylnych łapach, obmywane przez fale; marynarze z sieci powspinali się jak najwyżej, starając się trzymać nad wodą: przestali już narzekać.

Smoki drzemały ze zwieszonymi głowami. W końcu Iskierka obudziła się i powiedziała zrzędliwie:

— Równie dobrze możemy lecieć dalej; nie ma sensu siedzieć tutaj i coraz bardziej marznąć. – Otrząsnąwszy wodę ze skrzydeł, wzbiła się w powietrze.

— Jesteś gotowy? – zapytał Laurence Temeraire'a.

— Och, pewnie – odrzekł smok, chociaż zabrzmiało to jak pomruk; wyciągnął szyję tak mocno, że aż zatrzeszczała, po czym jednym potężnym pchnięciem skrzydeł wzniósł się znowu w górę.

Dzień ciągnął się powoli, mierzony jedynie uderzeniami skrzydeł; Temeraire nie kłopotał się otwieraniem zbyt często oczu, ale zmieniał kurs, gdy Laurence dotykał go delikatnie i mówił, żeby poprawił kierunek lotu. Raz obudził się, zaskoczony zimną wodą, która go spryskała, i krzykami przerażenia, i gwałtownie wzniósł się wyżej; lecąc w półśnie, opadł tak nisko, że jedna z fal uderzyła go w głowę, a potem przebiegła wzdłuż brzucha.

Chciałby uspokoić Laurence'a, że to był tylko wypadek – rezultat chwilowej nieuwagi – a nie oznaka zmęczenia, w żadnym razie. Oczywiście był zmęczony, ale nie aż tak zmęczony; Laurence nie miał się czego bać. Ale jakoś tak się działo, że wzięcie oddechu wymagało od niego bardzo wielkiego wysiłku, a kiedy już go wziął, wołał go wykorzystać na lot, a nie rozmowę; powietrze było tak bardzo zimne.

Iskierka i Kulingile także lecieli bardzo nisko nad wodą – trzymali się teraz dużo bliżej niż na początku. W pewnym momencie Temeraire zobaczył wodę rozpryskiwaną przez ogon Iskierki, który na chwilę opadł na fale; Kulingile był trochę wyżej, ale także stopniowo opadał. Temeraire wciągnął znowu powietrze do płuc i zaryczał – był to śmiesznie słaby ryk, bez nawet śladu prawdziwej mocy, którą zwykle potrafił weń włożyć; tylko gest sprze-

ciwu, ale rozbrzmiał nad wodą i Iskierka gwałtownie uniosła głowę, rozejrzała się dookoła i w odpowiedzi wysłała cienki, nierówny strumień ognia, a potem wszystkie trzy smoki zaczęły znowu bardziej zdecydowanie bić skrzydłami.

Zza krawędzi świata wypełzła ciemność, długa, granatowa, nieprzerwana przez nic, co mogłoby oznaczać wypoczynek – żadnego lądu, żagla ani nawet kolejnej rafy. Temeraire tak naprawdę nie zauważył nadchodzącej nocy; cały świat zawęził mu się do następnego uderzenia skrzydeł, a po nim jeszcze jednego, do powietrza, które zgarniał za każdym z tych pociągnięć, i odpychał za siebie, starając się tylko zebrać siły na oddech, próbując wciągnąć do płuc tyle powietrza, żeby wystarczyło na kolejne uderzenie. Słyszał, jak pod nim załamują się fale po jego przelocie.

— Temeraire – odezwał się Laurence i smokowi wydało się, że powiedział to już więcej niż raz. – Tam, dwa rumby na prawo, mój drogi.

Temeraire skręcił i leciał dalej; miał niejasne wrażenie, że na jego grzbiecie coś się dzieje, że latarnia porusza się, przesyłając jakieś sygnały, że w ciemności przed nimi błyskają w odpowiedzi inne latarnie; a potem z jego grzbietu wzbilo się z sykiem w górę niebieskie światło.

Boleśnie jasne światło zawisło na chwilę nad oceanem i tam, pośród ciemności, ukazała się sylwetka statku. Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem Temeraire doleciał do niego i opadł na pokład, z którego właśnie pośpiesznie usuwano beczki i baryłki, a ciepłe – och, ciepłe! – ciała odpełzały na boki, żeby zrobić miejsce dla niego, Iskierki i Kulingile, lądującego częściowo na nich obojgu – i Temeraire nie miał absolutnie nic przeciwko temu.

Ludzie w sieciach ładunkowych wrzeszczeli, protestując i błagając, i Temeraire musiał chwycić Iskierkę przy podstawie karku, żeby powstrzymać ją przed położeniem się na swoich pasażerach; noże i siekiery były już w ruchu, sieci rozpadały się na kawałki i wszędzie wysypywali się z nich ludzie. Odczołgali się resztkami sił na boki i w końcu, kiedy to już nikomu nie zagrażało, Temeraire z ulgą położył się na pokładzie; Laurence schodził z jego grzbietu, Laurence był bezpieczny, i już zasypiający smok usłyszał niewyraźnie, jak on mówi:

— Poddajemy się.

Rozdział 5

Kiedy Temeraire się obudził, zobaczył dokładnie naprzeciw siebie otwartą beczkę na deszczówkę. Wiedział, że ona tam jest, jeszcze zanim otworzył do końca oczy – zapach, błysk słonecznego światła na powierzchni wody – i uniósłszy się, żeby zrzucić z grzbietu dwa ciężkie zwoje ciała Iskierki, chwycił ją i opróżnił jednym, nieprzerwanym łykiem. A potem był już przebudzony i bardzo głodny oraz obolały – przy najmniejszym ruchu każdy staw skrzydeł i ramion zdawał się płonąć żywym ogniem – ale całkowicie przebudzony, i kiedy się rozejrzał, odkrył, że ktoś go obserwuje z, tylko tak można było to nazwać, pogardliwą dezaprobatą.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się na mnie gapisz – powiedział, stawiając krezę i siadając. – Przynajmniej ja nie jestem cały w piórach czy cokolwiek to jest – dodał, gdyż ten osobliwie wyglądający smok cały był pokryty jaskrawymi, wydłużonymi łuskami, a w każdym razie Temeraire myślał, że to muszą być łuski, chociaż miały nieregularne krawędzie, były dużo większe i nie pasowały tak zgrabnie do siebie jak jego własne. Poza tym Temeraire był także większy, więc nie było usprawiedliwienia; chociaż miał przykrą świadomość, że to nie było grzeczne tak chwycić beczkę i wypić z niej całą wodę, nie upewniwszy się najpierw, czy starczy jej dla wszystkich obecnych.

Dziwny smok parsknął i odpowiedział coś w języku, którego Temeraire nigdy nie słyszał, a potem ktoś inny przetłumaczył sennym głosem:

— On mówi, że ktoś, kto poddaje się bez walki, bo jest niby to zmęczony po niezbyt długim locie, nie powinien się nadmiernie nadymać.

Temeraire przeniósł wzrok na leżącą po drugiej stronie pokładu młodą Fleur-de-Nuit, której wielkie, blade oczy były półprzymknięte, a ciało osłonięte skrzydłem od słońca.

— Jestem Genevieve – dodała – a to jest Maila Yupanqui; on jest ambasadorem.

— Zawsze mi się wydawało, że ambasadorzy powinni być szczególnie uprzejmi i grzeczni – odparł Temeraire, mierząc Mailę mrocznym spojrzeniem. – Co to za język?

— Keczua – odpowiedziała. – Inkowie nim mówią.

Statek był zupełnie nowym francuskim transportowcem *Triomphe*, który opuścił niedawno stocznię w Tulonie, okrążył właśnie przylądek Horn i płynął na północ, zmierzając do imperium Inków, ewidentnie z planem zawarcia sojuszu.

— Jestem pewny, że to musi być jakaś intryga Lien – powiedział Temeraire do bardzo zniechęconego Arthura Hammonda – po chińsku, czyli w jedy-
nym języku, w którym mogli rozmawiać, nie obawiając się podsłuchania –
kiedy ten dżentelmen wszedł na smoczy pokład. – Ale przynajmniej nie ma
jej tutaj i jeśli wyjaśnimy Inkom wszystkie okoliczności, to jestem przekonany,
że po namyśle zmienią zdanie co do sojuszu z nią i Napoleonem. Nie mogą być z
niego zadowoleni, kiedy przewozi przez ocean dziwne smoki na ich terytorium
albo w jego pobliżu. Gdzie jest Laurence?

— Jest mało prawdopodobne, żeby Francuzi dali nam okazję do takich
wyjaśnień – odparł Hammond, sadowiąc się na zwoju liny – a kapitan Lau-
rence jest pod pokładem, razem z kapitanem Granbym i Demane: wszyscy są
zdrowi. Mam was poinformować, że każdemu z nich będzie wolno wyjść raz
dziennie na spacer, w zasięgu waszego wzroku, na tylnym pokładzie; o ile
nie będzie żadnego ruchu – żadnego posunięcia – z waszej strony, mogącego
sugerować złamanie parolu. – Powiedział to wszystko z wyraźnym smut-
kiem.

— Co on mówi o Granbym? – zapytała Iskierka, unosząc głowę, a kiedy
Hammond powtórzył dla niej wiadomość po angielsku, zasyczała z niezado-
woleniem. – Nie wydaje mi się, żebyśmy w ogóle musieli dotrzymywać pa-
rolu. Ja się nie poddałam i jestem pewna, że we troje możemy zdobyć ten sta-
tek, jeśli tylko zechcemy. Co to za nonsens z trzymaniem mojego kapitana
z dala ode mnie? – rzuciła gniewnie.

— Nie musieliśmy zezwolić wam na lądowanie w nocy – odparowała Ge-
nevieve dość ostrym tonem; wyglądało na to, że nauczono ją także angielskiego –
i wtedy wy oraz wasi kapitanowie utonęlibyście. To bardzo łatwo powiedzieć
teraz, że moglibyście zdobyć okręt. Powinniście zrobić to wtedy,

gdybyście się ośmielili spróbować.

Iskierka wypuściła z pyska wąski strumień ognia i dymu – ku przerażeniu załogi, której krzyki zignorowała – ale nie było odpowiedzi na argument Genevieve, niezależnie od tego, jak bardzo by się chciało ją znaleźć.

Trudno było się przyzwyczaić do przebywania na pokładzie tak idealnie doskonałego przyżu, dopiero co zbudowanego francuskiego transportowca, którego nie mogli przejąć, choć było to w ich mocy. Poza Genevieve, która nawet jeszcze w pełni nie dorosła, na pokładzie znajdowała się tylko smoczyca rasy Chanson-de-Guerre imieniem Ardenteuse i jeden Grand Chevalier o absurdalnym imieniu Piccolo, przy czym oba smoki były obecnie wysoko w górze, gdzie je wysłano, żeby zrobić na pokładzie miejsce dla gości. Piccolo latał tam i z powrotem nad okrętem i uważnie wpatrywał się w smoczy pokład, usiłując ustalić, jak wielki jest Kulingile – co było dość trudne, jako że Temeraire i Iskierka leżeli zwinięci na nim.

A zatem byłoby to troje na troje albo troje przeciwko czworgu, jeśli doliczyć Maile do strony francuskiej – a był tak nieemiły, że Temeraire miał wielką ochotę tak uczynić – i żadne z nich nie potrafiło ziać ogniem ani robić niczego podobnie skutecznego w boju. Och! Na pewno odnieśliby zwycięstwo w uczciwej walce; tylko że nie byłaby ona uczciwa, gdyby musieli do niej stanąć po trzech dniach lotu.

Obserwujący Iskierkę Maila zapytał o coś Genevieve bez odwracania głowy; uniosła do góry skrzydła i coś mu krótko odrzekła, a potem, po drugiej wymianie zdań, odwróciła się i powiedziała do Iskierki:

— On pyta, czy tylko tyle ognia potrafisz wypuścić za jednym razem?

— Oczywiście, że nie – odrzekła Iskierka, po czym odwróciła głowę w stronę zawietrznej i wyrzuciła z pyska falujący strumień ognia, który sięgnął na odległość niemal równą długości okrętu i żarem wprowadził w drganie powietrze wokół siebie. – Mogę sięgnąć nawet dalej, jeśli mam na to ochotę – dodała i poruszyła skrzydłami.

Tego było już za dużo dla żeglarzy. Kilka minut później kapitan statku, monsieur Thibaux, wspiął się na smoczy pokład z zaciśniętymi w ponurym grymasie ustami i ręką opartą na rękonożce szpady, by wyrazić sprzeciw co do otwartego ognia na pokładzie swojego okrętu. Temeraire uważał, że było to całkiem zrozumiałe, ale kapitan posunął się za daleko, mówiąc do Hammonda:

— Muszę pana prosić, by przekazał pan tej bestii, słowami, które uzna

pan za najlepsze, że jej kapitan poniesie konsekwencje jej zachowania... byłoby mi przykro, gdybym musiał spełnić tę groźbę, ale, monsieur, tego nie można tolerować; następnym razem każę go wychłostać.

— Nie zrobisz niczego takiego Granby'emu – powiedział z oburzeniem Temeraire po francusku – a gdybyś spróbował, Iskierka spali twój statek, a ja jej nie powstrzymam.

— Co on mówi? – zapytała Iskierka i wyprostowała się na barkach Kulingile, żeby spojrzeć w dół na kapitana, wypuszczając kłęby pary ze swoich kolców. – Och! Dlaczego wy wszyscy nie mówicie tak, żeby was można było zrozumieć. Co on powiedział o Granbym?

— Mówi, że każę go wychłostać – odrzekł wciąż rozgniewany Temeraire – a ja mu powiedziałem, że nie wolno mu tego zrobić. To nie była wina Granby'ego – zwrócił się do kapitana – że twój gość w gruncie rzeczy poprosił ją, żeby mu pokazała, co potrafi, a poza tym Iskierka zachowała maksymalną ostrożność. – Nie żeby Iskierka musiała ziać ogniem dookoła i w normalnych okolicznościach Temeraire z dużym zadowoleniem sam udzieliłby jej nagany, ale w tej sytuacji nie zamierzał ustępować ani o krok.

Iskierka syknęła w tuzinie głosów naraz, z gardła i kolców jednocześnie, i obudziła Kulingile: otworzył zaspane oko, skierował je do góry, żeby spojrzeć na nią, podskakującą z wściekłości na jego barkach, i zapytał:

— Czy jest tu coś do jedzenia?

To było wręcz nie do wytrzymania, pomyślał Laurence, kiedy się słyszało wrzawę narastającą na pokładzie, jakieś dwie stopy nad ich głowami, i nie mogło nic w tej sprawie zrobić.

— Myślę, że będziemy mogli uważać to za szczęście, jeśli nie zatopią tego okrętu – powiedział Granby z hamaku, na którym leżał; jego twarz była wymizerowana, poznaczona zmarszczkami bólu, a oczy zamknięte.

Kapitan Thibaux był uosobieniem uprzejmości – sprowadził swojego lekarza, żeby opatrzył rękę Granby'ego, a jego służący podał im wyśmienity posiłek, chociaż zadowoliliby się także czymś pośledniejszym, tak bardzo byli głodni. Ale przy drzwiach stała straż, czterech dobrze uzbrojonych ludzi o wyglądzie zdradzającym ugruntowaną doświadczeniem kompetencję, i Laurence nie miał złudzeń co do tego, jakie rozkazy otrzymali. Teraz, gdy wrzawa wywołana przez kłójące się smoki rosła, żołnierze popatrywali niepokojnie to na siebie, to w górę.

Harmider jednak wkrótce przycichł i krótko potem dało się słyszeć pukanie do drzwi kajuty.

— Kapitanie Laurence, żałuję, że los styka nas zawsze w najbardziej nieprzyjających okolicznościach – powiedział monsieur De Guignes. – Pozwoli pan? – Nalał: była to wyborna madera. – Kiedy pan mnie odwiedzi po zakończeniu tej ciągnącej się w nieskończoność wojny, na co nalegam, będę mógł okazać panu bardziej serdeczną gościnność, jeśli Bóg zechce zachować nas obu przy życiu.

— Jest pan bardzo uprzejmy; sprawiłoby mi to dużą przyjemność – odparł Laurence, biorąc kieliszek raczej z grzecznością niż z entuzjazmem; w obecnej sytuacji mógł liczyć jedynie na to, że nie spędzi czasu oczekiwania na zakończenie wojny we francuskim więzieniu, przy czym miał bardzo mało powodów, by utwierdzać się w tej nadziei. – Obawiam się jednak, że goszczenie Temeraire'a mogłoby się okazać bardziej kłopotliwe.

De Guignes uśmiechnął się.

— Nie powinien przysporzyć mi większych kłopotów niż moja Genevieve – odrzekł, dotykając z dumą małej ozdoby na swoim rękawie: Legii de l'Aile, osobliwego odznaczenia stworzonego ostatnio przez Napoleona, które nadawano wraz z jajem smoka i darowizną na jego przyszłe utrzymanie.

Laurence wysłuchał tego wyjaśnienia z pewnym zdumieniem przy ich pierwszym spotkaniu, a później, kiedy De Guignes wyszedł, Granby zaśmiał się chrapliwie ze swojego hamaka i powiedział:

— Boże, można się było spodziewać po Napoleonie, że zaprowadzi modę na smoki. Myślę, że teraz każdy z jego nowych arystokratów będzie chciał mieć jednego.

— Madame Lien raczyła zaoferować swoją pomoc przy wyborze najkorzystniejszych krzyżówek – dodał teraz De Guignes. – Genevieve już włada pięcioma językami, przy czym ostatniego nauczyła się po wykluciu z jaja.

Laurence'owi nie przyszło przedtem do głowy, że Lien może udoskonalić francuskie linie hodowlane, stosując takie procedury: Admiralicja była zadowolona z tego, że Lien jako samica może wspomóc Napoleona tylko garstką potomstwa. Laurence miał poważne wątpliwości, czy dałaby się namówić nawet do tego, zważywszy na jej dumę z własnego pochodzenia i pogardę dla zachodnich ras. To prawda, że chińskie metody hodowli smoków uznawano za najlepsze na świecie, ale Laurence wyobrażał sobie, że były one domeną jakiejś grupy specjalistów, podobnych do tych, którzy pełnili tę rolę

w Brytanii czy Francji. Ale to był absurd, uświadomił sobie ponieważ: ktoś lepiej nadawał się do kierowania hodowlą smoków od samych smoków, a jeśli Lien przeprowadziła choćby podstawowe badanie w tej dziedzinie, jej wiedza zapewni większą korzyść hodowcom we Francji niż jakikolwiek indywidualny wkład, jaki mogłaby wnieść.

— Kapitan pozwala wam przebywać na rufowym pokładzie od dwóch do czterech szklanek popołudniowej wachty, przy czym możecie tam wychodzić tylko pojedynczo – powiedział De Guignes – no i oczywiście będziecie chcieli sprawdzić, w jakich warunkach przebywają wasi ludzie. Z głębokim smutkiem informuję was, że muszą pozostać w areszcie okrętowym, gdyż jest ich tak dużo, ale podjęte zostaną wszelkie starania...

— Doskonale to rozumiem i pańskie zapewnienia mnie satysfakcjonują – przerwał mu Laurence. Nie protestowałby nawet zbytnio, gdyby ocalałych marynarzy zakuto w łańcuchy i karmiono robaczywymi sucharami, popijającymi wodą z zęzy. – Gdybym mógł prosić o zapewnienie trochę lepszych warunków pobytu naszym oficerom i załogom, byłbym bardzo wdzięczny; będę gwarantem ich słowa honoru, jeśli zechcą je dać.

De Guignes ukłonił się, dając znak, że się zgadza.

To jemu udało się uciszyć wcześniej harmider podniesiony przez smoki.

— Nic, co mogłoby was niepokoić, panowie – wyjaśnił – tylko małe nieporozumienie, które wynikało z tego, że kapitan Thibaux zupełnie nie zna natury smoków: jest dowódcą od niedawna, rozumiecie. Ale teraz wszystko już zostało wyjaśnione, chociaż nie mogę powiedzieć, żebym panu zbytnio zazdrościł, kapitanie Granby – dodał z lekkim rozbawieniem, którego Granby, jak świadczyły jego zaciśnięte usta, wyraźnie nie docenił.

— Ale muszę prosić – odparł Laurence – żeby powiedział pan mi prawdę: czy nasza obecność nie spowoduje wyczerpania waszych zapasów? Trzy ciężkie smoki dodane do waszej obsady...

— Być może jest nam trochę trudniej – przerwał mu De Guignes – ale proszę się nie niepokoić. Omówiłem tę sprawę z kapitanem i naszymi awiatorami i zostałem zapewniony, że nie mamy powodu do obaw. Smoki będą kolejno spędzały po kilka godzin w powietrzu, a racjonując jedzenie i nakłaniając je do tego, żeby łowiły więcej ryb, zdołamy zapewnić im wszystkim wyżywienie, choć może nie tak dobre, jak by tego chciały.

— Wszystko jest w porządku – zawołał Temeraire następnego popołudnia w stronę tylnego pokładu, po angielsku; De Guignes bardzo delikatnie

zasugerował, że próby ukrywania treści rozmów kapitanów z ich smokami mogą być niemile widziane. – Iskierka narzeka na wodorosty...

— Każdy by narzekał – wtrąciła, nie otwierając oczu ani nie unosząc głowy. – Są obrzydliwe i to wielki nonsens mówić, że w Chinach są przysmakiem: nie jesteśmy w Chinach i o wiele bardziej wolałabym krowę.

— Cóż, nie możesz dostać krowy – odparł Temeraire – a narzekanie, kiedy jesteśmy gośćmi, muszę nazwać przykładem naprawdę złych manier.

— Wodorosty? – zapytał zdziwiony Laurence.

— Ardenteuse ma sieć – odpowiedział Temeraire, wskazując pyskiem Chanson-de-Guerre lecącą równoległe do okrętu z długą liną zwisającą z jej łap: krótko potem wyciągnęła z wody sieć rybacką pełną ciemnozielonych wodorostów i trzepoczących się, srebrzystych ciał.

— Mogliby chociaż powybierać dla nas ryby – utyskiwała dalej Iskierka – zamiast dawać nam to wszystko pogniecione razem na papkę. Poza tym my nie jesteśmy gośćmi; jesteśmy jeńcami, ponieważ się poddaliśmy – dodała bardzo ponurym tonem – więc będę narzekać, ile tylko zechcę.

— I spędzanie połowy dnia w powietrzu wcale nie jest tak nieprzyjemne – ciągnął Temeraire, wyniośle ją ignorując – o ile tylko można potem wylądować i pospać.

Starał się traktować lekko trudności, ale w jego głosie wyczuwało się znużenie, którego udawana pogoda ducha nie mogła zamaskować. Co więcej, położył znowu głowę i zasnął, zanim jeszcze Laurence'a delikatnie sprowadzono pod pokład po zakończeniu jego krótkiego spaceru.

— Owszem, mogą latać przez pół dnia – powiedział Granby przy obiedzie, kiedy równie zaniepokojony powrócił ze swojego spotkania z Iskierką – ale nie wtedy, kiedy dzień w dzień dostają tylko połowę tego, co powinny zjeść, a ta zimna pogoda też nie ułatwia im życia. Pewnie mamy jeszcze długą drogę do lądu, co?

— Może ze cztery tygodnie, jeśli zmierzamy do Matarani – odparł Laurence, ale to było tylko jego przypuszczenie; o portach Inków wiedział niemal tyle co nic. Znani byli ze swojego nieprzyjaznego stosunku do marynarzy zawijających do ich portów na pokładach jednostek większych od szalup okrętowych, a więc wszyscy kupcy, którzy chcieli z nimi handlować, byli zmuszeni rzucać kotwice wiele mil od brzegu i przewozić towary na brzeg łodziami, a te często wracały bez części załóg, przy czym los zaginionych marynarzy wydawał się tym straszniejszy, że był całkowicie nieznan. Te

same łodzie niemal równie często w zamian za wysłane na brzeg towary przywoziły z powrotem skrzynie załadowane złotem i srebrem, co sprawiało, że kupcy z żyłką poszukiwaczy przygód nie rezygnowali z tego handlu; Inków jednak nie uznawano za gościnnych.

Tak czy owak, nawet gdyby Laurence znał to wybrzeże równie dobrze jak wybrzeże Anglii, niewiele by mu to dało, gdyż Francuzi nie pokazali mu swoich map, a obserwacja gwiazd przez iluminator nie mogła dać odpowiedzi na pytanie, jaka dokładnie jest ich pozycja.

— Wyszliśmy już z czterdziestek, to przynajmniej mogę powiedzieć na pewno, więc przez resztę drogi będziemy płynąć wolniej.

— Czy będzie pan wiedział, kiedy znajdziemy się w zasięgu lądu, kapitanie? – zapytał Hammond, zniżając głos w sposób, który nie spodobał się Laurence'owi. – To znaczy, kiedy ląd będzie w zasięgu lotu... bo jeśli mielibyśmy nadal stanowić nadmierne obciążenie tego okrętu, zbyt szybko wyczerpując jego zasoby...

— To i tak bylibyśmy zobowiązani słowem honoru pozostać na nim, chyba że Francuzi pozwoliliby nam odlecieć – przerwał mu Laurence wystarczająco stanowczo, by, jak miał nadzieję, uprzedzić wszelkie niestosowne sugestie: Hammond był pod wieloma względami niezwykle ciałowikiem i Laurence miał powód do wdzięczności za jego talenty, ale od czasu do czasu nie można mu było ufać.

— Tak, oczywiście – powiedział teraz i zagłębił się z powrotem w swoim fotelu z twarzą jak żagiel, od którego uciekł wiatr, cały przygnębiony. Jednak już po chwili słowa znowu trysnęły z jego ust: – Musieli rozesłać szpiegów po całej Brazylii... to jedyne wytłumaczenie, ale jak udało im się przekonać Inków... – Umilkł, ale zaraz potem powtórzył: – Nie mogę pojąć, jak udało im się przekonać Inków do nawiązania stosunków...

De Guignes z pewnością nie zamierzał udzielić im żadnych informacji; bez względu na to, jak często się uśmiechał, prawiąc im uprzejmości, było jasne, że spotkanie z nimi było mu bardzo nie na rękę i że zamierzał w miarę swych możliwości odizolować ich od życia na statku oraz swoich inkaskich pasażerów, jeśli jacyś byli: Laurence jak dotąd nie widział żadnego, tylko pierzastego smoka na pokładzie. Kapitan Thibaux był tak naprawdę bardziej serdeczny, ale jako że mógł liczyć na kapitański udział w wartości przycowej trzech ciężkich smoków, ich oficerów, a także ponad dwustu marynarzy, miał w perspektywie większą nagrodę za swoje starania.

— Nie, panie Hammond, nie spotkałam na statku żadnego Inki – odpowiedziała pani Pemberton, kiedy pozwolono jej złożyć im wizytę – chociaż przyjęto mnie bardzo serdecznie; madame Récamier łaskawie pożyczyła mi swoją suknię, ponieważ przybyłam bez bagażu.

— Récamier? – zapytał zdziwiony Hammond. – Chyba nie ta znana z paryskich salonów?

— Sądzę, że ona rzeczywiście mieszka w Paryżu – potwierdziła pani Pemberton – i kilka jej towarzyszek też.

— Ale... – zaczął Hammond i przerwał, mrużąc coś wyraźnie skonsternowany; Laurence nie mógł zaprzeczyć, że był tak samo zdumiony, dowiadując się, iż wyprawiający się z misją do niebezpiecznego i odizolowanego kraju De Guignes zabrał ze sobą pół tuzina szlachetnie urodzonych Francuzek.

— Nie rozumiem, dlaczego on musi być taki nieprzyjazny – Kulingile poskarżył się na Piccola, który zakrywszy głowę skrzydłem, żeby nie widzieć latającego w górze angielskiego smoka, położył się właśnie spać. Kiedy Piccolo ustalił, że Kulingile jest rzeczywiście większy od niego, okazało się, iż dla zachowania harmonii konieczne jest, by na pokładzie był tylko jeden z nich. – Tak jakbym to robił celowo, jemu na złość.

— To nie ma żadnego znaczenia; przecież nie zmniejszyłbyś się, nawet gdybyś mógł – odparł Temeraire. Jeśli miałby być zupełnie szczery, sam nie rozumiał, dlaczego Kulingile musiał być tak wielki i wciąż jeszcze rósł, skoro na początku był tak mały i wyklął się ze skarłowaciałego jaja; trochę trudno było zmienić sposób myślenia o nim.

Ale trzeba było uczciwie przyznać, że Kulingile nie był wcale kłopotliwy; nawet teraz, kiedy nie było wystarczająco dużo do jedzenia, nie próbował domagać się więcej, niż mu się proporcjonalnie należało, lub podkraść ryby z połowu, tak jak to robił Piccolo, jeśli tylko spuściło się go z oka.

— Ja nie jestem jeńcem wojennym – powiedział celowo za głośno, kiedy Iskierka niedawno go na tym przyłapała. – Mój kapitan nie poddał się. To jest nasz okręt.

— Dobrze jest robić uwagi tego rodzaju – odparował chłodno Temeraire – jeśli jest się przygotowanym do ich obrony, ale wiesz doskonale, że nie możemy się rozmówić na środku oceanu. Jest pewne, że gdybyśmy stracili ten transportowiec, nie znajdziemy w pobliżu innego, a nawet gdyby jakiś tu był, to ostatecznie jedzenia do podziału byłoby jeszcze mniej, niż jest teraz.

Temeraire nie lubił przypominać sobie tych ostatnich desperackich godzin lotu, tego uczucia, kiedy wraz z każdym zbyt płytkim oddechem wciągał do płuc słoną wilgoć, a jego ciało stawało się coraz cięższe; zbyt bardzo wyglądało to na klęskę. Ale nie ulegało wątpliwości, że nie doleciałby wtedy dużo dalej, choćby chciał tego najbardziej na świecie. Oczywiście podobnie było z Iskierką i Kulingile, więc nie wynikało to wcale z jego słabości, niemniej był zmuszony pogodzić się z myślą, że istnieje granica możliwości niemal każdego smoka.

Chciałby zapytać Lung Shen Li o jej technikę – może jakiś trik pozwalał na naprawdę długie loty – ale w końcu ona nie potrafiła wywoływać boskiego wiatru, więc nie mógł jej zazdrościć tego szczególnego talentu. Tak czy owak, rozumiał teraz, że statek był im wszystkim niezbędnie potrzebny, więc nie powinni się kłócić na pokładzie; choćby bardzo się chciało dać Maili przytyczka w nos za jego nieustanne wywyższanie się ponad innych i bezwstydnym sposobem, w jaki podlizywał się Iskierce.

— Może wtedy, kiedy dotrzemy do lądu? – powiedział z nadzieją do Laurence’a. – Nie żebyśmy złamali parol, oczywiście – dodał pośpiesznie, widząc minę Laurence’a – tak naprawdę nie odebralibyśmy im okrętu, ale dalibyśmy jasno do zrozumienia, że gdybyśmy nie dali im słowa honoru...

Ale ewidentnie to także było nie do przyjęcia; chociaż Iskierka prychnięciem wyraziła swoją opinię o decyzji Laurence’a.

— To wszystko bzdura – powiedziała. – Czy wiecie, że oni zamierzają odesłać nas z powrotem na jakieś tereny rozplodowe we Francji i wsadzić Granby’ego, Laurence’a i Demane do więzienia na całą wojnę? Nigdy więcej nie wzięlibyśmy udziału w żadnych bitwach i nie zdobyli żadnych przyzów; to po prostu śmieszne, oczekiwać, że się na to zgodzimy, kiedy możemy ich przegonić w dziesięć minut.

Temeraire nie mógł się nie zgodzić. Spędził już tyle czasu na terenach rozplodowych, że miał ich dosyć.

— I oni o tym dobrze wiedzą – dodała Iskierka: co było absolutną prawdą. Rankiem przed dwoma dniami Temeraire postanowił wywołać boski wiatr i posłużyć się nim do wzniesienia na oceanie wielkiej fali. Oczywiście wzniosł ją za okrętem i posłał w stronę przeciwną do kierunku, w jakim płynęli, ale jej ogrom był dokładnie widoczny nawet ze smoczego pokładu, zapewnił go Kulingile, a jego ryk słyszalny. Temeraire wcale nie uważał, że przesadził: nie zrobił tego, by się popisać, ale po to, żeby dać jasno do zrozu-

mienia, jak rzeczy stoją; no i przeprowadził tylko jedną taką próbę, podczas gdy Iskierka ziała ogniem po trzy razy dziennie bez żadnego powodu.

Myślał zatem, że francuskie smoki nie mogły nie wiedzieć, iż są pod każdym względem słabsze.

— Przypuszczam, że to dlatego – powiedział do Kulingile, nawiązując do gburowatości Piccola. – To nie może być dla nich przyjemna sytuacja.

Ardenteuse i Genevieve niemal od samego początku traktowały go z szacunkiem, chociaż Temeraire był trochę niezadowolony z tego, że przyjęły tę postawę dopiero wtedy, kiedy dowiedziały się, iż jest Niebiańskim.

— Och! Tak jak madame Lien – rzuciła z zapalem Ardenteuse. – Tylko że ona jest cała biała, jak śnieg, i ma wspaniałe klejnoty, inne na każdy dzień tygodnia...

A więc nie można było nazwać tego satysfakcjonującym stanem rzeczy; nie można było w żadnym razie.

— Gdybyśmy tylko natrafili na nich, kiedy mieliśmy *Allegiance* – mruknął tęsknie Temeraire.

— I wciąż jeszcze mieliśmy wszystkie krowy – zgodził się z żalem Kulingile.

— Ale my wcale niczego nie planujemy – zaprotestował Temeraire kilka dni później, kiedy Laurence zaczął mu czynić wyrzuty. – Naprawdę, Laurence, nigdy nie zrobiłbym niczego, co okryłoby cię hańbą, daję słowo – oczywiście z wyjątkiem tego, co służyło bezpieczeństwu Laurence'a, uzupełnił w duchu smok.

Dostał nauczkę pod tym względem, kiedy Laurence został uwięziony za zdradę. Brytyjczycy umieścili go w okrętowym areszcie na pokładzie *Goliatha*, gdzie miał być bezpieczny, a Temeraire poleciał na tereny rozplodowe, wierząc, że tak jest, i wtedy Napoleon najechał na Anglię, a okręt został zatopiony. A smok nie mógł znaleźć nikogo, kto w tym czasie poświęciłby choć jedną myśl kwestii bezpieczeństwa Laurence'a – ten zdołał się uratować na jednej z szalup okrętowych tylko dlatego, że pomagał im w walce.

Temeraire nie zamierzał zatem wierzyć w jakiekolwiek przyszłe obietnice tego typu, składane przez kogokolwiek; przygotował już w duchu kilka forteli, których mógłby użyć, by wyrwać Laurence'a ze szponów Francuzów, gdyby spróbowali ich rozdzielić. Jednak nie było potrzeby, by się do tego posuwać, uważał smok, dopóki nie robili oni niczego nierozsądnego.

— Nie – odparł Laurence. – Was nie można oskarżyć o coś takiego jak pla-

nowanie; nie ma nic skrytego czy chytrego w codziennych, wypowiedzianych pełnym głosem oświadczeniach Iskierki, że nie zamierza dać się uwięzić na terenach rozplądowych, lub twoich popisach ze wzbudzaniem rykiem fal zdolnych zatopić ten okręt... – Temeraire chciał argumentować, że fala wcale nie była taka duża, ale uznał, że chwila nie jest odpowiednia. – Ale nie są to też zachowania mogące wzmocnić wiarę naszych gospodarzy w to, że zachowaliśmy szacunek dla zasad cywilizowanego prowadzenia wojny, którymi oni sami się kierowali, kiedy tak wielkodusznie udzielili nam schronienia, ratując od śmierci po katastrofie, jaką sami na siebie sprowadziliśmy.

Temeraire nie uważał, że te ostatnie słowa o sprowadzeniu na siebie katastrofy były sprawiedliwą oceną wydarzeń: to nie była jego wina albo Laurence'a, że *Allegiance* zatonął. Ale nie chciał się spierać: Laurence mówił zbyt ponuro o stracie i smok wiedział, że był bardzo głęboko zraniony. Sam też cierpiał z tego powodu – to nie było w porządku, że *Allegiance* odszedł na zawsze, a Riley wraz z nim. Mgła, która zasnuła jego umysł podczas długiego, rozpaczliwego lotu, pozostawiła w pamięci smoka niewyraźną, dziwną niepewność – przecież to oczywiste, że pewnego dnia popatrzą z portu na morze i zobaczą go znowu na horyzoncie.

— Oczywiście nikomu by się nawet nie śniło, żeby poprosić kapitana Laurence'a o złamanie parolu – powiedział pan Hammond, kiedy Laurence'a odprowadzono znowu pod pokład. – Ale kiedy o tym myślę, nie widzę powodu, żebyś ty nie mógł porozmawiać z inkaskim smokiem... nie mogę powiedzieć, że dobrze mówię w ich języku, ale uczyłem się trochę keczua... z przyjemnością nauczę ciebie tego, co sam umiem...

— Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego ktokolwiek chciałby rozmawiać z Mailą – odparł Temeraire, po czym rozpląszczył kreskę na karku i spojrzawszy w górę, zobaczył inkaskiego smoka lecącego obok Iskierki: te głupie pierzaste łuski rozpostarły się szeroko w locie i lśniły w słońcu, mieniąc się jaskrawymi kolorami.

— Gdybyśmy tylko mogli w jakiś sposób ustalić, jak daleko posunęli się w swoich negocjacjach – kontynuował cichym głosem Hammond – byłoby to bardzo pożyteczne...

— Jaki będzie z tego pożytek, jeżeli możemy się spodziewać tylko tego, że wsadzą nas do więzienia? – zapytał Temeraire.

— Z konieczności najpierw zabiorą nas do Inków – odrzekł Hammond

jeszcze ciszej – którzy mogą chcieć porozmawiać z nami, zanim podejmą ostateczne decyzje, jeśli tylko będą wiedzieć, że jesteśmy pod ręką i mamy upoważnienie do przedstawienia im naszych ofert.

To była pocieszająca myśl: w końcu nie wszyscy Inkowie muszą być tak grubiańscy jak Maila, uznał Temeraire.

— Myślę, że równie dobrze może mnie pan nauczyć ich języka – powiedział. – Możemy się wybrać razem, kiedy przyjdzie moja kolej na lot, i wtedy zaczniemy.

— Och! – sapnął Hammond i przełknął ślinę.

Keczua nie był bardzo trudnym językiem – bardzo ładnie regularnym, zauważył z aprobatą Temeraire, więc kiedy tylko opanowało się zasady, można było robić regularne postępy.

— Istnieją zapisy z wczesnych czasów kolonialnych, mówiące o znacznie większej liczbie dialektów, ale Inkowie narzucili swój język jako rodzaj lingua franca – krzyczał przez tubę Hammond. Wcale nie musiał tak głośno mówić w powietrzu, Temeraire słyszałby go zupełnie dobrze, nawet gdyby nie krzyczał, ale Hammond nie dawał się przekonać, że tak jest.

Co się zaś tyczyło wymowy, sytuacja była trudniejsza. Temeraire nie zawsze mógł się przysłuchiwać rozmowom Maili z Genevieve, ale słyszał ich wystarczająco dużo, by wiedzieć, że wymowa Hammonda pozostawia wiele do życzenia.

— Możesz zwrócić się do niego teraz – zasugerował Hammond, patrząc na Maile, który ostatnio nabrał zwyczaju latania w pobliżu, kiedy tylko Temeraire wznosił się w powietrze – najpewniej po to, by się popisować, myślał Temeraire. Nie żeby Maila wyglądał jakoś szczególnie dobrze obok niego, chyba że ktoś lubił krzykliwe i wulgarne ubarwienie, ostentacyjne purpury i zielenie zamiast lśniącej, eleganckiej czerni.

— Nie widzę takiej potrzeby – odpowiedział chłodno Temeraire. – Z pewnością spotkamy niedługo jakieś inne inkaskie smoki, które na pewno będą lepszym towarzystwem.

— Przecież nie chodzi o to, żebyś tłumaczył rozmowy między nim a Iskierką – przekonywał Hammond.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – odparł smok. – To, czy on chce rozmawiać z Iskierką, nie obchodzi mnie w najmniejszym stopniu; chociaż nie sądzę, żeby miał coś wielce inteligentnego do powiedzenia.

— Dał mi wczoraj swoją porcję tuńczyka – powiedziała Iskierka później

tego samego dnia, kiedy oboje znaleźli się na pokładzie – i jeśli chce ze mną rozmawiać, może to robić. Uważam, że jest bardzo grzeczny.

Skinęła głową do Maili, przy czym ten gest wydał się Temeraire'owi zupełnie nie na miejscu, niczym bratanie się z wrogiem; i ku jego oburzeniu Maila nastroszył się cały, po czym odpowiedział skinieniem głowy i powiedział wolno i wyraźnie:

— Pani... jestem oczarowany.

— Och! A więc potrafisz mówić jak należy – ucieszyła się Iskierka. – Dlaczego nie robiłeś tego przedtem?

— Tylko trochę, teraz – odparł Maila.

— Podśluchiwał moje lekcje – powiedział Temeraire do Hammonda – w najbardziej niegrzeczny sposób, nie pokazując potem, że coś rozumie; nie można mieć wysokiego mniemania o jego manierach.

— A zatem on uczy się angielskiego? – odrzekł Hammond, teraz już szepcząc bardzo cicho, niemal niesłyszalnie tutaj, na pokładzie, gdzie ludzie pokrzykujący do siebie na rejach utrudniali słuchanie, natomiast w górze wrzeszczał jak oszalały. Rozdrażniony Temeraire rozpląszczył krezę. – Myślałem, że starsze smoki nie mogą tego robić, z wyjątkiem twojej rasy... jak wspaniale, że on też może! Jak sądzisz, czy zgodzi się porozmawiać ze mną...

Temeraire nie widział w tym niczego wspaniałego, a zresztą Maila niewzruszenie ignorował wszystkie podejmowane przez Hammonda próby nawiązania rozmowy. Można by się spodziewać, że Hammond będzie miał wystarczająco dużo szacunku dla siebie samego, myślał smok, by zrezygnować z tych usiłowań, ale zamiast tego ambasador jeszcze głośniejsze krzyczał podczas kolejnej lekcji języka keczua, i chociaż Temeraire próbował odlecieć dalej, Maila trzymał się blisko niego, wciąż bezwstydnie podsłuchując, mimo że nikt go tam wcale nie chciał.

— Myślę, że to będzie ładny dzień – powiedział monsieur De Guignes do Temeraire'a, kiedy następnego ranka wyszedł na pokład, by zjeść śniadanie z Genevieve.

Temeraire właśnie otworzył oko, ocknąwszy się ze snu, nie na tyle długiego, by był zadowolający.

— Tak; robi się cieplej – odparł sennie, a potem przebudził się całkowicie, uświadomiwszy sobie, że De Guignes odezwał się do niego w języku keczua, a nie po francusku; co było raczej podłym podstępem, pomyślał z wyrzutem.

— Szkoda – skomentował Hammond, kiedy Temeraire powiedział mu

o tej wymianie zdań – ale przypuszczam, że nie mogliśmy tego ukrywać w nieskończoność. Czy myślisz, że będziesz mógł kontynuować naukę, jeśli oni nie pozwolą mi z tobą latać? Mógłbym dawać Roland notatki w tym języku, żeby ci czytała...

— Lepiej, gdyby pan dawał je Sipho – odparł Temeraire: Roland nie była zbyt wielką pomocą w nauce czegokolwiek. – Ale może lepiej, żebyśmy skończyli, jeśli Francuzom się to nie podoba; tak czy inaczej nauczyłem się już dosyć... każdy, kto jest naprawdę uzdolniony językowo, nie musi ciągle brać lekcji, żeby nauczyć się czegoś nowego – dodał, patrząc zimno na przeciwną stronę pokładu, gdzie Maila wygrzewał się na słońcu.

Ale De Guignes nie miał żadnych zastrzeżeń i po kilku godzinach czujnego oczekiwania na jego reakcję Hammond nawet rozsiadł się na smoczym pokładzie i zaczął recytować lekcje leżącemu tam Temeraire'owi, głośno jak zwykle, wypowiadając angielskie słowa wolniej i wyraźniej, niż to było konieczne.

Nie znajduję żadnego sensu w ich kursie – powiedział Laurence do Granby'ego, kiedy zasiedli przy ich małym stole tego wieczoru: widział wystarczająco wiele gwiazd, by mieć niemal pewność, że z powodu, jakiego nie potrafił sobie wyobrazić, płyną obecnie na północny zachód; przedłużając podróż przynajmniej o kolejny tydzień lub nawet więcej, jeśli okręt zostanie unieruchomiony przez flautę – poważne ryzyko, kiedy się ma na pokładzie siedem ciężkich smoków.

Dzięki uprzejmości Thibaux żadnego z nich nie ograbiono i dlatego Laurence wciąż miał swoją lunetę. Trzy dni później, podczas spaceru po pokładzie, zobaczył przez nią mały atol wyłaniający się w dali z morza.

— Może są tam dobre łowiska – zasugerował Granby. – Warto byłoby poświęcić tydzień, żeby uzupełnić zapasy w magazynach.

Ale wyspa, jak się okazało, kiedy się do niej zbliżyli, nie sprawiała wrażenia jakoś szczególnie żyznej i obfitującej w zwierzynę: wznoszący się na środku szczyt porastał zielony las, tak gęsty, że nie zachęcał do wędrówek; na widocznym przez lunetę brzegu, głównie czarnych skałach pokrytych gdzieś tam piaskiem, rosła garstka palm i krzaków. Było tam trochę morskich ptaków i fok, ale te szybko uciekły, kiedy smoki rzuciły się na nie, a kiedy znikły, na wyspie nie zostało już nic, co warte byłoby czasu straconego na lądowanie. Tak przynajmniej sądził Laurence. W każdym razie nie ro-

zumiał powodu, dla którego Francuzi godzili się na tak wielkie opóźnienie, kiedy mogli łatwo wprowadzić mniejsze racje dla brytyjskich smoków, jeśli już tak bardzo obawiali się o zdrowie własnych.

Następnego dnia De Guignes podszedł do niego na pokładzie i stanęli razem przy relingu.

— Ach, kapitanie Laurence, jak pan widzi, dotarliśmy do wyspy – zagał z założonymi rękami na plecach, studiując w zadumie roztaczający się przed ich oczyma widok: czarną kreskę na tle oceanu ze smokami, które podczas polowania wzbijały się wysoko nad nią, by zaraz gwałtownie opaść.

— Tak, widzę – odparł uprzejmie skonsternowany Laurence.

De Guignes pokiwał głową.

— Jest mi smutno – mówił dalej – ale tutaj musimy się rozstać, na krótko; zapewniono mnie – dodał w odpowiedzi na pytające spojrzenie Laurence'a – że jest tutaj słodka woda... naprawdę mnie zapewniono; monsieur Vercieux, nasz nawigator, kiedyś tu wylądował...

Rozdział 6

Oglądany z bliska brzeg nie był wcale bardziej gościnny: cienka warstwa piasku ledwie przykrywała twardą, przeżartą solą skałę, i nigdzie nie było widać żadnych zwierząt, oprócz ptaków i małych krabów, które czmychały przed łodziami. De Guignes nie zamierzał zachować się bezdusznie: Francuzi przewieźli na wyspę kilka beczek z deszczówką, na wypadek gdyby mały strumień okazał się zbyt ubogi w wodę, oraz tyle solonej wieprzowiny i sucharów, że powinno to wystarczyć dla nich wszystkich na kilka miesięcy; dodali nawet baryłkę zakonserwowanych cytryn.

— Mam nadzieję, że nie będzie wam nadmiernie niewygodnie – powiedział. – Naprawdę ufam, że tak się nie stanie; klimat, jak myślę, jest zupełnie znośny.

Powiedział to z uśmiechem pełnym uprzejmości; ale pod nim można było wyczuć stal i Laurence nie wyobrażał sobie, by protesty zaskoczonego Hammonda odniosły jakikolwiek skutek.

— Monsieur, my tu oczywiście wrócimy w swoim czasie – podjął De Guignes – kiedy wyruszymy w drogę powrotną do Francji. Proszę, żeby pan w to nie wątpił ani przez chwilę – i Laurence rzeczywiście nie wątpił w to. Było dla niego oczywiste, że De Guignes aż nadto chętnie wróci po grupę wycieńczonych i zdemoralizowanych ludzi oraz smoków, by jako zdobycz wojenną zabrać ich do Francji – tylu, ilu do tej pory przeżyje.

— Ale to chyba unieważnia nasze słowo honoru, prawda? – zapytał z nadzieją w głosie Temeraire, kiedy stali na brzegu, patrząc, jak załoga *Triomphe* wciąga na pokład szalupy. – Z pewnością nie można nas dłużej uważać za ich jeńców: puścili nas wolno.

— Nie uważam, byśmy nadal byli związani słowem honoru, na pewno nie – odparł sucho Laurence – tylko co nam to może dać?

Seria lotów, nigdy dłuższych niż dzień, mogła doprowadzić do odkrycia jakiejś innej, leżącej w pobliżu wyspy, a po ponownym zastosowaniu tej metody mogli nawet dotrzeć na kontynent – w teorii. Tylko że smokom odebrano uprząż i cały dodatkowy sprzęt; nie pozostawiono im choćby kawałka brezentu. Nawet gdyby chciały podjąć próbę takiego przelotu nad oceanem, w żadnym razie nie mogły zabrać ze sobą więcej niż kilku ludzi, których trzymałyby w pazurach.

— Nie dopełnili swoich obowiązków – powiedział z goryczą Hammond, obserwując odpływający okręt. – To oburzające... nieprzyzwoite...

Laurence'owi potępienie Francuzów nie przyszło tak łatwo, zwłaszcza że swoje działania mogli wytłumaczyć troską o dobro własnych smoków; a ujmując to bardziej cynicznie, wcale go nie zdziwiło, że De Guignes wolał zostawić ich na tej wyspie, zamiast przewieźć na kontynent, do państwa Inków. Maila nawet teraz, kiedy *Triomphe* rozwinęła żagle i zaczęła się oddalać, spoglądał tęsknie na Iskierkę ze smoczego pokładu.

Francuzi zostawili im kilka tępych siekier, które miały posłużyć do zbudowania jakiegoś schronienia z wykorzystaniem tych mizernych zasobów drewna, jakie były dostępne; zapasy solonej wieprzowiny można było później uzupełnić rybami i może jakimiś zasobami z wnętrza wyspy, chociaż Laurence wątpił, czy znajdą tam jadalne rośliny. Lustrował wzrokiem bez przyjemności tłum marynarzy, którzy zdeptawszy najpierw ujście strumienia do oceanu tak, że zmieniło się w błotnistą sadzawkę, porozkładali się na plaży w leniwych pozach i z posepnymi minami zerkali z ukosa na beczki i baryłki: Laurence nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby nie smoki, podnieśliby natychmiast bunt i rozdrapali wszystko.

— Panie Ferris – powiedział ponuro – proszę im zorganizować jakieś zajęcie, jeśli łaska.

Powiedział to zaabsorbowany własnymi myślami, mimowolnie, a potem było już za późno. Porucznik Forthing był kompetentnym oficerem i rozsądnym człowiekiem; nie przybył do Nowej Południowej Walii, jak wielu awiatorów wysłanych tam wraz z nimi, z tego powodu, że nie mógł zdobyć innego upragnionego stanowiska, ale dlatego, że dla pozbawionego wszelkich wpływów i znajomości znajdy była to w zasadzie jedyna szansa otrzymania kiedyś własnego smoka.

Tyle można było o nim powiedzieć dobrego i było tego trochę mało, a tymczasem Ferris nie tylko przez zwykły nepotyzm odzyskał dawną pozy-

cję przy Temerairze. Jako szesnastoletni chłopiec został mianowany podporucznikiem w załodze ciężkiego, stacjonującego nad kanałem smoka, i od tego czasu dowiódł swej wartości na trzech kontynentach i dwóch oceanach.

Ale to nie było zadowalające usprawiedliwienie i Laurence o tym wiedział. Forthing nie był błyskotliwy, ale nie brakowało mu odwagi ani rozsądku, i był zastępcą dowódcy; Laurence sam go nim uczynił. To, że Laurence wolałby mieć na jego miejscu Ferrisa, nie było żadnym wytłumaczeniem; już dawniej narzucano mu oficerów, którzy mu się nie podobali, czasem prawdziwe szumowiny, a Forthinga w żadnym razie nie można było do nich zaliczyć. Laurence nigdy przedtem nie pozwolił, by jego rozczarowanie przyczyniło się do podkopania autorytetu jednego z jego oficerów, a tym samym osłabienia systemu hierarchii służbowej.

Nigdy przedtem: ale teraz tak zrobił; powiedział „panie Ferris” i wydał mu polecenie, i Ferrisa nie można było o to obwinić – Ferris najpewniej też nie zastanawiał się zbyt długo, zanim odpowiedział: „Tak jest, sir” i zabrał się do pracy, której nie trzeba było mu wyjaśniać: marynarze zostaną wyrwani z lenistwa i pod nadzorem części ocalałych awiatorów – samych oficerów – skierowani do oczyszczania terenu z zarośli; małe grupy młodszych oficerów zostaną wysłane do wnętrza wyspy, gdzie sprawdzą, czy nie można tam znaleźć czegoś, co nadaje się do jedzenia.

Dowodzenie – praca, którą Ferris dobrze znał, gdyż przygotowywał się do niej od najmłodszych lat; praca, którą by wykonywał, gdyby nie pomyłka sądowa. Ale to nie była jego praca i Laurence nie powinien mu jej dawać. I nie było teraz sposobu, żeby mógł to łatwo odwołać – byłoby nawet gorzej, gdyby to zrobił; tak jakby otwarcie powiedział, że jego pierwszym odruchem było z całego serca popierać Ferrisa, a Forthing pozostał w jego umyśle tym gorszym drugim.

Zamiast tego Laurence powiedział:

— Panie Forthing, będę panu wielce zobowiązany, jeśli weźmie pan Temeraire’a i poleci obejrzeć z góry nasze więzienie.

— Bardzo chętnie, sir – odparł Forthing, a ulga zmieszana z zaskoczeniem zastąpiła na jego twarzy wyraz konsternacji wywołanej przez pierwszy rozkaz Laurence’a; podszedł natychmiast do Temeraire’a i zanim Ferris przystąpił do wykonywania swojego zadania, rzucił głośno:

— Temeraire, kapitan życzy sobie, żebyśmy zbadali wyspę z góry, jeśli

łaska.

— Tak, słyszałem; ale Laurence, naprawdę nie polecisz z nami? – zapytał smok z raczej zdziwioną miną.

To było rzeczywiście zadanie, które Laurence wolałby wykonać osobiście – awiatorzy nie mieli doświadczenia w badaniu linii brzegowych i nie można się było spodziewać po Forthingu, że rozpozna naturalny port lub dostrzeże niebezpieczne płycizny, poza tym, co najbardziej oczywiste. Ale wysyłając Forthinga wraz z Temeraire'em i pozostając sam na ziemi, Laurence dawał mu dowód zaufania, który w oczach pozostałych awiatorów przewyższał znaczeniem powierzenie Ferrisowi zadania urzędnika obozowiska.

I prawdę mówiąc, było mało prawdopodobne, żeby zdobyte w ten sposób informacje miały się do czegoś przydać. Laurence nie potrafił sobie wyobrazić żadnego sposobu, by z tą załogą pijaków mogli zbudować jakąkolwiek łódź bardziej wyrafinowaną od tratwy; szczytem jego ambicji było wysłanie ich na łowienie ryb włócznią.

— Doskonale sobie poradzicie z Forthingiem, mój drogi – odpowiedział – a co do mnie, to lepiej żebym został teraz w obozie. Możesz zostać dłużej, jeśli dostrzeżesz jakąś dobrą okazję do połowu po drugiej stronie wyspy.

Temeraire nie bardzo rozumiał, dlaczego Laurence powinien zostać na ziemi, kiedy był tu także Granby, a jeśli już miał polecieć bez Laurence'a, to wolałby raczej z Ferrisem lub Roland. Smok nie zapominał tego, jak Forthing zachowywał się w stosunku do Laurence'a, kiedy przybyli do Nowej Południowej Walii. Laurence mógłby chcieć być wielkoduszny; Temeraire nie zamierzał tak łatwo wybaczyć i choć musiał niechętnie przyznać, że Forthing nie był tak całkowicie niezdatny do niczego jak większość awiatorów w nowej kolonii, nie znaczyło to, iż z entuzjazmem zaakceptował go jako jednego z członków swojej załogi.

Albo, pomyślał Temeraire, równie dobrze mógłby polecieć sam – w rzeczywistości byłoby to dużo łatwiejsze; nie musiałby nieść Forthinga w zakrzywionych pazurach i często spoglądać w dół, żeby się upewnić, iż nie spadł, co wcale nie było wygodne; smok nie wyczuwał jego obecności w taki sam sposób, jak to było z Laurence'em.

— Myślę, że mógłbyś robić notatki – powiedział Temeraire do Forthinga raczej z powątpiewaniem, kiedy przygotowywali się do drogi – chociaż nie;

nie możesz; nie mamy ani kawałka papieru – tak więc miał nawet mniejsze pojęcie o tym, do czego mu się może przydać Forthing.

— Mogę naszkicować zarys wybrzeża, kiedy wrócimy – odparł Forthing, także nieco powątpiewająco, ale z miną wyrażającą determinację – na mokrym piasku.

Zrobił też wielką sprawę z czegoś, co powinno być prostym okrążeniem wyspy, która nie była zbyt wielka – więcej niż raz prosił Temeraire’a, żeby go wysadził na ziemi, tylko po to, by mógł zebrać próbki rozmaitych roślin, które w oczach Temeraire’a nie różniły się wcale od tych rosnących przy brzegu, a raz w piaszczystej zatoczce, gdzie znalazł naprawdę ogromne gniazdo żółwich jaj. Ułożył je starannie w stos w swojej koszuli, owinąwszy najpierw każde w liść, podczas gdy Temeraire musiał siedzieć w trzech czwartych zanurzony w wodzie, zalewany przez fale i podszczypywany przez małe rekiny, które żyły w tej zatoczce; przynajmniej oczyściły go z resztek mięsa fok, które przyłgnęły do jego ciała.

— Te jaja to bardzo dobre jedzenie – powiedział Forthing w formie przeprosin za to oczekiwanie podczas pakowania jaj, być może świadomy tego, że Temeraire przygląda mu się ze źle skrywaną dezaprobatą. Nie miała ona jednak nic wspólnego z tym, co właśnie robił: o wiele większe znaczenie miało to, że płaszcz Forthinga, od samego początku tani i sfatygowany, teraz był zarówno wytarty, jak i wyblakły, gdyż słońce i morska woda zmieniły jego kolor z butelkowej zieleni w jeden z odcieni szarości. Jego koszula, przedtem schowana pod płaszczem, była nawet gorsza – na kołnierzu i pod pachami miała żółte plamy od potu, których pranie, niedoskonałe w warunkach rejsu, nie mogło usunąć, a na plecach ślady wielokrotnego cerowania nićmi w najróżniejszych kolorach.

Z pewnością nie mógł przynieść chluby żadnemu smokowi i Temeraire odczuwał to bardzo boleśnie. Wiele tymczasowych odstępstw od normy, z którymi musieli się pogodzić podczas ciężkich prób, jakim poddał ich los, dałoby się usprawiedliwić, ale Forthing mógłby mieć lepszy płaszcz lub porządną koszulę, a już z pewnością mógłby przystrzyc swoje niedbale utrzymane włosy lub ogolić brodę, która zdawała się wyrastać w pięciu różnych kierunkach z jego bardzo szerokiej, kwadratowej szczęki.

— Spodziewam się, że zanim oni wrócą, będziemy potrzebowali więcej takich rzeczy, niż uda nam się znaleźć na wyspie – dodał Forthing, odpowiadając na surowe spojrzenie Temeraire’a.

— Nie będziemy tu po prostu siedzieć i czekać, aż Francuzi wrócą i znowu nas wezmą na pokład – rzucił dość ostro smok.

— Cóż... nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić – odrzekł Forthing. – Nawet gdybyście mogły dokądś dolecieć, to nie mamy lin, żeby się nimi do was poprzywiązywać.

— Jestem pewny, że Laurence coś wymyśli – powiedział Temeraire; sam dotąd niczego nie wymyślił, ale przecież dopiero co dotarli na tę wyspę. – To jest właśnie jedna z tych spraw, z którymi muszą sobie radzić kapitanowie marynarki, a więc Laurence jest najlepiej przygotowany do ustalenia, gdzie dokładnie jesteśmy i co teraz zrobimy. Sam widziałeś, że on od razu wiedział, czym wszyscy powinniśmy się zająć.

Forthing miał czelność wyglądać na nieprzekonanego.

— Nie rozumiem, jak bycie człowiekiem z marynarki miałoby mu pomóc wyprowadzić nas z bezludnej wyspy leżącej na środku Pacyfiku, tysiąc mil od jakiegokolwiek lądu – odparł lekko drwiącym tonem. – Gdyby miał umiejętności Merlina, sytuacja byłaby trochę inna.

— Kto to jest Merlin? – zapytał Temeraire, rozkładając krezę. – Jestem pewny, że nie byłoby z niego większego pożytku niż z Laurence’a, dla nikogo.

— To był tylko żart – odpowiedział Forthing. – On jest czarodziejem, ale nie naprawdę; to tylko bajka. Pewien jegomość opowiadał je nam w sierocińcu, żebyśmy byli spokojni – dodał. – O królu Arturze i takie tam.

— W takim razie możesz mi je też opowiedzieć, kiedy będziemy lecieć – rzekł smok, myśląc, że Forthing może się jednak okazać trochę użyteczny: ale porucznik wyglądał na zakłopotanego.

— Hm, cóż, to wszystko działo się dawno temu – odpowiedział w końcu. – Oni niezbyt lubili smoki w tamtym czasie... – i okazało się, że ten król Artur i jego rycerze nie robili niczego godnego uwagi poza zabijaniem niewinnych smoków w całej Brytanii: był to niemal na pewno stek kłamstw, bo sam Forthing przyznał, że nie mieli wtedy żadnych działań, i do tego nieprzyjemnych kłamstw.

— Co teraz zrobimy, Laurence? – zapytał Temeraire cichym głosem później tego samego wieczoru.

Forthing naszkicował z pamięci, z pomocą Temeraire’a, kształt wyspy, i to całkiem nie najgorzej. Odkryli, że ma ona mniej więcej milę szerokości w najszerszym miejscu, po zachodniej stronie, gdzie wylądowali Francuzi,

porastają ją głównie najróżniejsze krzewy i zarośla, a większość wschodniej połowy pokrywa podobny do dżungli las; było też dużo małych zatoczek, których nie mieli czasu dokładnie zbadać.

— Ten las deszczowy wygląda obiecująco – odpowiedział Laurence zmęczonym głosem, ocierając brew; w czasie ich nieobecności wiele zrobiono – wzniesiono wiaty do przechowania suchego drewna, wykopano piwniczkę jako magazyn do przechowywania beczulek z soloną wieprzowiną i innej żywności; w jedynym kotle, jaki Francuzi im zostawili, bezustannie gotowała się woda na obiad dla wszystkich – który stał się śniadaniem, kiedy Forthing wyładował żółwie jaja. Nikomu najwyraźniej nie przeszkadzało to, że koszula porucznika wyglądała tak wstrętnie, choć Temeraire skręcał się w duchu ze wstydu i próbował przynajmniej zasłonić ciałem tę scenę przed wzrokiem Iskierki.

— Mogą tam być jakieś owoce i lepsze drewno, niż mamy tutaj – ciągnął Laurence, ziewając; opierał się coraz mocniej o łapę Temeraire’a i miał już zamknięte oczy. – Wyślemy tam grupy badawcze, kiedy będziemy mogli; to okropne, że nie mamy ludzi, którym można by zaufać.

— Och, tak, ale chodziło mi o to, co zrobimy, żeby dostać się na ląd – powiedział Temeraire. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do Brazylii; nie możemy tylko czekać tu, aż Francuzi wrócą, żeby zabrać nas do więzienia.

— Będę zachwycony, jeśli zdołamy zrobić choć tyle – odparł Laurence; chwilę później już spał i Temeraire nie mógł go dalej naciskać.

Zmuszanie ludzi do tego, by zadowolili się mniejszymi racjami, było niekończącą się walką, która nie zakończyłaby się sukcesem, gdyby soloną wieprzowinę można było jeść bez godzin gotowania; w trzecim tygodniu podczas inspekcji odkryto, że jacyś ludzie włamali się do magazynu z sucharami, i tak już zarobaczonymi.

— Przykro mi z powodu tego bałaganu, kapitanie, ale jest pewne, że już niedługo poczujemy pazury głodu w naszych brzuchach – powiedział O’Dea, opisując zniszczenia z ponurą satysfakcją, która mimo pragnienia Laurence’a, by uznać ją za nieuzasadnioną, nie oddawała jeszcze w pełni rozmiarów katastrofy. Większość beczek była roztrzaskana, jedna zupełnie zniknęła, a niemal tyle samo sucharów, ile skradziono, pozostawiono, żeby zgniły na świeżym powietrzu. To było gorsze niż zwykła kradzież: sam instynkt sa-

mozachowawczy nie powinien pozwolić na zrobienie czegoś tak głupiego.

— Zostało wystarczająco dużo, żeby jakoś przeżyć, jeśli dwukrotnie zmniejszymy racje – stwierdził Laurence, odrzucając na bok klepkę z jednej z rozbitych beczek. – I jeśli nie będzie takiego kolejnego rabunku.

— Nie możemy żyć jedynie na solonej wieprzowinie i mięsie krabów – powiedział Granby, który stanął obok niego, blady, mocno przyciskając do boku zranioną rękę. – Nic nie można na to poradzić: będziemy musieli pilnować tego sami.

Laurence kiwnął głową. Ale awiatorów już brakowało do wykonania rozmaitych zadań, niezbędnych dla przetrwania społeczności składającej się z kilkuset ludzi: zbyt wielu oficerów Granby'ego i Laurence'a było zaangażowanych w walkę z ogniem pod pokładem, kiedy *Allegiance* wyleciał w powietrze. Oprócz Forthinga ocaleli tylko podporucznik Bardesley z załogi Granby'ego, milczący i spalony przez słońce mężczyzna, który dołączył do nich w Madrasie i którego wyłowiono z wraku; kilku ich młodych skrzydłowych i chorążych, z których najstarszy był Cavendish; i Pohl, uprzącznik Granby'ego: kilka dni przed pożarem skręcił nogę w kostce i w rezultacie przebywał na smoczym pokładzie podczas całego zamieszania, co uratowało mu życie.

— Pohl zacznie, a ja go później zmienię – dodał Granby. – Tyle przynajmniej mogę zrobić, jeśli nie mogę się przydać do niczego innego. – Wskazał brodą swój bark.

Oczywiście Francuzi nie zostawili im strzelb ani sznura; nawet gdyby znaleziono jednego lub kilku winowajców, nie mieli z czego zrobić bicza. A wartę w ciągu tego tygodnia trzymało wielu marynarzy, którzy mogli dopuścić się rabunku lub pozwolić zrobić to innym.

— I nie uda nam się tak łatwo przekonać ludzi, że muszą się pogodzić z jeszcze mniejszymi racjami, niż mieli do tej pory – powiedział Laurence.

Była jeszcze tylko jedna potencjalna możliwość ukarania winnych – ale Laurence uznał, że taki powód jest niewystarczający, żeby prosić o coś takiego smoki. Nawet gdyby był skłonny postraszyć nimi nieuzbrojonych ludzi, niezależnie od swojej winy słabych wobec nich jak nagie dzieci, i gdyby one były skłonne dać się tak wykorzystać, obawiał się, że taki przykład byłby bardziej irytujący niż pouczający. Marynarze już przebąkiwali w swoich rozmowach, że gdy tylko wyczerpią się łowiska, sami staną się karmą dla smoków, które już teraz były zmuszone spędzać niemal całe dni w powie-

trzu, latając tam i z powrotem, byle tylko oszczędzić rejony leżące blisko wyspy.

— Przypuszczam, że już niedługo będziemy musieli jeść rekiny – stwierdził posepnie Temeraire. – I dobrze jest mówić, że mogą być znakomitym jedzeniem – zwrócił się do Gong Su – kiedy się je właściwie przyrządzi. My jednak nie możemy przynosić ci ich w większych ilościach, żebyś mógł je nam ugotować, a jedzone na surowo są okropnie żylaste. Ale nie możemy latać dużo dalej i wciąż chwycić ich tyle, żeby te loty były opłacalne.

Podśłuchane rozmowy tego typu nie uspokajały umysłów tych, którzy uważali, że rabowanie zapasów jest konieczne dla ich przetrwania. Laurence przypuszczał, że tacy ludzie bez chwili wahania rzuciliby smokom na pożarcie swoich towarzyszy, gdyby w ten sposób mogli ocalić własną skórę, lub, jeśli już o to chodzi, dostać kubek grogu: co było głównym tematem ich codziennych marzeń, zajmujących im niemal cały czas z wyjątkiem tego, jaki poświęcali na wykonanie absolutnego minimum zadań zleczanych im przez awiatorów.

Niewiele było trzeba, żeby utrzymać porządek w obozowisku: niewiele było trzeba, ale i tak tego nie robiono. Każdego ranka brzeg był na nowo zasłany drewnem i wodorostami wyrzucanymi przez morze, liśćmi palm zaniezionymi tam przez wiatr i rozpryskami ekskrementów mew sprzeciwiających się w ten sposób wtargnięciu tak hałaśliwej gromady na ich teren. Początkowo Laurence próbował usuwać te brudy raz na trzy, cztery dni, ale w końcu przestał; zamiast tego wszyscy, chodząc tu i tam, usuwali kopnięciami na bok śliskie odpadki albo wywracali się na nich.

— Jeśli nie będziecie pracować, nie będziecie jeść – powiedział ludziom... i była to jedyna groźba, w której wyniku coś tam jednak robili, i taka, której nie można było stosować bez ograniczeń. Taki drobny, garbiący się szesnastolatek jak Cavendish nie był w stanie powalić kogoś takiego jak Richard Handes, mężczyzna trzydziestoczteroletni z pięściami wielkości melonów i ustami pełnymi zębów połamanych w knajpianych burdach.

Demane potrafił narzucać swoją wolę marynarzom, kiedy było mu to potrzebne; co musiało być wynikiem, Laurence był tego pewny, jakiejś zajadłej kłótni, do której doszło gdzieś poza zasięgiem jego wzroku. Emily Roland też mogłaby zapanować nad kilkoma naraz, tylko dzięki sile swojej osobowości; mogłaby, gdyby Laurence kiedykolwiek pozwolił na tak niebezpieczny eksperyment; zamiast tego wykorzystywał każdą okazję, żeby wysyłać ją z jaki-

miś zadaniami z obozu przed wschodem słońca, i pilnował, żeby żaden z marynarzy nie podążył w tym samym kierunku.

Laurence dałby wiele za choćby jednego człowieka spośród tej bandy, którego mógłby zrobić bosmanem, ale jeśli nawet byli wśród nich jacyś ludzie godni zaufania, to nie pchali się do przodu. O'Dea i Shipley nie należeli właściwie do marynarzy: byli ludźmi Laurence'a, a O'Dea bawił się aż za dobrze podczas ich pobytu na pokładzie *Triomphe*, wygłaszając ponure oświadczenia o demonicznych skutkach nadużywania alkoholu – czyli na temat, do którego omawiania miał niewątpliwie najwyższe kwalifikacje – z wieloma zarzutami pod adresem charakterów tych marynarzy, którzy ulegli jego wpływowi. Jednocześnie gwałtownie protestował, kiedy i jemu zarzucano winę w tym względzie: słyszano, jak ze świętym oburzeniem powtarzał, że on nie był wtedy na służbie.

Shipley tymczasem stał się zbyt ambitny: zaczęło do niego docierać, że w sytuacji takiego braku rąk do pracy wśród awiatorów człowiek trochę przydatny i chętny do pomocy może się wznieść ponad zwykłe oczekiwania. Był kiedyś krawcem, zanim jakieś nieszczęście stało się przyczyną jego skazania i zesłania, i po utracie Fellowesa ewidentnie postawił sobie jako cel awans na dowódcę załogi naziemnej: nie mieli teraz upręży, którą należałoby reperować i konserwować, ale on i tak znajdował sobie zajęcie, trzymając się wyniośle z dala od marynarzy.

Najlepszym kandydatem, jeśli takiego w ogóle mieli, byłby Mayhew: starszy człowiek i jeden z małej garstki matów, który nawet kiedyś awansował na starszego mata, by potem zostać zdegradowanym za pijaństwo, i który mógł się do czegoś nadać. Ale nawdychał się dużo dymu podczas ucieczki z wraka *Allegiance* i wciąż jeszcze kaszlał prawie jak suchotnik; zresztą nie robił niczego, żeby zyskać autorytet wśród swych towarzyszy.

W tej sytuacji największą popularnością cieszyli się Urquhart i Handes – delegowano ich nawet, żeby po pierwszym tygodniu porozmawiali z Laurence'em o żalach marynarzy.

— Trudno jest wytrzymać przy tak małych racjach, kapitanie – oświadczył Urquhart, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia, które mówiły, że wcale mu się nie podoba to, iż jest zmuszony zwrócić się z tą sprawą bezpośrednio do Laurence'a, zamiast ponarzekać na to po cichu z kumplami – strasznie trudno, zwłaszcza po tych wszystkich kłopotach, jakie mieliśmy. Mamy nadzieję, że jeszcze się pan nad tym zastanowi...

Laurence słuchał z zaciśniętymi z gniewu ustami, aż Urquhart urwał i odsunął się na bok, wyraźnie straciwszy wątek. Handes, mniej spostrzegawczy, dodał z jawną bezczelnością:

— Nie jest tak, jakbyśmy wciąż byli na okręcie i musieli słuchać nadej-tych oficerów. Magazyny muszą być otwarte i wszystko, co w nich jest, roz-dzielone jak należy. Wolimy też dostawać jedzenie dwa razy dziennie, a nie raz, a smoki też mogłyby nam przynosić trochę ryb, zamiast zajadać się nimi przez cały dzień.

Te słowa już same w sobie świadczyły o czystym braku szacunku, nawet gdyby nie były skrajnie głupie, i żeby je jeszcze uwieńczyć obelgą, Handes podczas tej mowy uderzał jedną ze swoich wielkich dłoni w drugą, lekko, ale w wielce wymownym rytmie, jakby sugerował istnienie jakiejś groźby: Temeraire był w tym momencie gdzieś nad oceanem, na łowach.

Ale Laurence nie był drobny ani przygarbiony, a niegdyś służył jako po-rucznik – krótko i bez radości – pod dowództwem prawdziwie tyrańskiego kapitana; kiedy już sam dowodził innymi, nigdy nie uznał za konieczne się-gnąć po takie metody, co jednak nie znaczy, że bał się je stosować. Pochylił się, wyciągnął żagiew z ognia i dźgnął nią Handesa w brzuch tak mocno, że ten zgiął się wpół, a potem poprawił uderzeniem w plecy, powalając wielkie-go marynarza na ziemię.

— Leż i nie ruszaj się – rzucił wściekle, stając nad nim. – Leż, Handes. Nie rękę za siebie, jeśli się podniesiesz. Na Boga, możesz tylko mieć nadzieję, że nie przemyślę jeszcze raz tego, czy warto marnować powietrze na płuca ta-kiej bandy niewydarzonych nieudaczników; od dawna mam ochotę kazać Temeraire’owi pogonić was wszystkich do oceanu, rekinom na pożarcie, że-byście dołączyli do lepszych od siebie, którzy trafili tam przed wami. Zejdź-cie mi obaj z oczu.

Nie było powtórki tego poselstwa od marynarzy, a ponieważ ich zamiło-wanie do pracy już przedtem było minimalne, nie można było powiedzieć, że jeszcze zmałało, Laurence jednak nie miał złudzeń co do tego, by ich uczu-cia uległy zmianie. „Rozdzielone jak należy” to był eufemizm: ci ludzie wy-obrażali sobie, a przynajmniej o tym marzyli, że pośród zapasów ukryta jest pewna ilość alkoholu. Mogło tak być: De Guignes zamierzał zostawić im tro-chę rumu, ale Laurence bez wahania odmówił przyjęcia tego konkretnego daru. Wiedział jednak, że nie uda mu się przekonać o tym marynarzy: po-wiedzieć im, że oferta została przedstawiona i odrzucona, byłoby mniej wię-

cej tak samo, jak powiedzieć, że propozycja rzeczywiście padła, a rezultat tego porozumienia ukryto gdzieś z myślą o sprawieniu przyjemności awiatorom.

— Nie wątpię, że właśnie to, w takim samym stopniu jak głód, popchnęło ich do kradzieży – powiedział Laurence, dokonując oceny strat. Zostało im nie więcej niż po dwa suchary dziennie na każdego człowieka, jeśli założyć, że będą musieli racjonować żywność jeszcze przez cztery miesiące: nadzieja na wcześniejszy powrót Francuzów była bardzo słaba.

— Nie bądź taki ponury, Laurence: może spadnie na nas mór albo jakaś tropikalna gorączka i zabije połowę z nas – próbował go rozbawić Granby. – A może przyplynie tu jakiś statek, jak sądzisz? To znaczy jakiś inny statek.

— Nie sądzę, żeby to było prawdopodobne; jesteśmy zbyt blisko kontynentu, a wyspa jest zbyt uboga – odrzekł Laurence. – Gdyby jakiś kapitan desperacko dążył do uzupełnienia zapasów, szukałby lepszego portu i nie tracił czasu na coś takiego. W każdym razie nie możemy na to liczyć. Już prędzej smoki mogą kogoś zobaczyć.

— I prawdopodobnie od razu odstraszyć – powiedział Granby. – Co oni teraz robią, jak uważasz?

Miał na myśli marynarzy, którzy choć raz zmobilizowali się do rozpalenia wielkiego ogniska dalej na plaży i zebrali się wokół niego; widać było, jak podają sobie skorupy orzechów kokosowych, a salwy donośnego śmiechu niosły się daleko ponad piaskiem.

— Och, niech ich wszystkich szlag trafi – wybuchnął Laurence. – Musieli gdzieś zrobić destylator, jak sądzę; to dlatego zginęła jedna z beczek. Powiniennem się domyślić.

— Czy da się coś upędzić z orzechów kokosowych? – zapytał z powątpiewaniem Granby.

— Albo to, albo znaleźli jakieś inne owoce, które mogą im do tego posłużyć – odparł Laurence – o ile właśnie się nie trują wzajemnie; będziemy wiedzieć rano. Tak, panie Ferris, wiemy – dodał, gdy Ferris dołączył do nich, wskazując na ognisko.

— Jeden z chłopców okrętowych powiedział Gerry’emu, zapraszając go do nich – powiedział Ferris – ale dopiero teraz. – A Gerry najwyraźniej zameldował o tym Ferrisowi, a nie Forthingowi; Laurence pokręcił w duchu głową.

— Nie sądzę, żebyśmy mogli ich powstrzymać – mruknął Granby, pa-

trząc na ich małą grupkę awiatorów. – W każdym razie nie do powrotu smoków.

— I nawet wtedy – rzekł Laurence. – Kiedy będą mieli grog w brzuchach, trudniej będzie nad nimi zapanować. Musimy im pozwolić upić się do nieprzytomności, jeśli tego tak pragną, i mam tylko nadzieję, że stanie się to, zanim pomyślą o jakichś gorszych niegodziwościach.

— Lepiej schowajmy resztę sucharów i mięsa w jakiejś pewniejszej kryjówce – zaproponował Granby i zaraz dodał: – Dopilnuj tego, Ferris, jeśli łaśka... – ku konsternacji Laurence’a.

Pracowali razem przez następnych kilka godzin w najgorszym upale dnia, kopiąc nową piwniczkę na żywność i wykładając ją korą palmową oraz liśćmi. Kiedy skończyli, przenieśli do niej pozostałe jeszcze zapasy sucharów i wieprzowiny. Przez cały czas dobiegające od strony ogniska na plaży hałasy i odgłosy zabawy stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej buntownicze: powietrze wraz z dymem niosło słowa piosenek oraz zapachy smażonych mały; marynarze wykazali się w końcu jakąś pomysłowością, przygotowując swoją zabawę.

Tymczasem zmęczeni awiatorzy poukładali się na piasku, a Gong Su rozdzielił między nich skromny obiad: solone mięso z długimi kluskami zrobionymi z rozkruszonych sucharów i wodorostów, w cienkim rosole ugotowanym na wieprzowinie i rybich ościach. Wszystko to byli zmuszeni wysiorbać z miseczek wykonanych ze skorup orzechów kokosowych, używając pałeczek do przeniesienia kawałków mięsa do ust.

— Gdzie jest twój brat? – zapytał w pewnej chwili Laurence, odwracając się do Siphó, który odkładał właśnie na bok miseczkę... odłożył dwie miseczki, zauważył Laurence i dlatego dodał bardziej surowo: – I gdzie jest Roland?

— Demane poszedł na polowanie – odparł wymijająco Siphó. – Pan wie przecież, że jest w tym bardzo dobry.

To była oczywiście prawda, ale wcale nie usatysfakcjonowała Laurence’a. Pani Pemberton pozostała na pokładzie *Triomphe* jako gość De Guignesa. Laurence prosił o ten przywilej dla niej, gdyż nie chciał narazić szlachianki na trudy życia na bezludnej wyspie, ale był coraz bardziej sfrustrowany tym, że opiekunka zniknęła dokładnie wtedy, kiedy jej usługi mogły się do czegoś przydać.

Demane i Roland nie wrócili przez kilka następnych godzin, w którym to czasie zgromadzenie marynarzy stawało się coraz głośniejsze i coraz bar-

dziej wzburzone: mieli za mało jedzenia i alkoholu jak na swoje potrzeby. Scuffles wyrwał się z tłumu, zachęcając wrzaskami rozrabiaków do bijatyki ku uciesze innych; towarzyszył temu jednak mroczniejszy nastrój, pogłębiany jeszcze przez widok krwi rozpryskanej na jasnym piasku i odrażający śmiech.

— Następna porcja jest moja, chłopaki – krzyknął Handes i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, zaczął się przepychać w stronę destylatora; na palcach miał krew.

Laurence odwrócił się, nie chcąc nawet na to patrzeć; nie był to widok odpowiedni dla młodych oficerów.

— Panowie – zaczął – myślę, że odeślemy was do wnętrza wyspy na godzinę lub dwie...

— Nie, sir – przerwał mu nagle Ferris. – Popatrzcie uważnie, chłopcy – dodał i szybko wstał – zbliżała się do nich grupa marynarzy, oddzielająca się od głównej gromady, z którą łączyła ją jeszcze tylko linia podążających za nią mężczyzn, i wyglądało to tak, jakby jakaś wielka bestia wyciągnęła łapę; Handes szedł na czele.

Laurence także wstał i odkrył, że wraz z Granbym są odgradzeni od zbliżających się ludzi. Cavendish stanął bezpośrednio przed nim, mając przy sobie Thorne'a, chorążego Granby'ego, ledwie trzynastoletniego chłopca; Bardsley, Forthing i Ferris wysunęli się do przodu i zgodnie zaczęli spychać swoich dowódców do kępy zarośli, przy czym oprócz nich dwóch wewnątrz tego ochronnego kręgu znaleźli się tylko Gerry i Siphon. Chronią nas przed niebezpieczeństwem, jakbyśmy byli małymi dziećmi, pomyślał z niesmakiem Laurence.

Marynarze zbliżyli się i utworzyli luźny półokrąg wokół nich. Większość miała przekrwione oczy, a ich skóra lśniła od potu: widać było, że to, co sobie upędzili, nie było tak całkowicie zdrowe i kilku z nich miało już resztki wymiocin w gęstwinach bród. Ich oddech był tak przesycony zapachem bimbru, że Laurence czuł go nawet na odległość. Handes wyszczerzył zęby w zarazem radosnym i groźnym uśmiechu, który przesyłał mu ponad ramieniem Ferrisa.

— Spokojnie, chłopcy, nie ma potrzeby, żeby się spierać – zaczął Handes. – Nie zrobimy wam krzywdy, tylko kapitanowie pójdą z nami, a wtedy, tak mi się wydaje, smoki zaśpiewają zupełnie inną piosenkę po powrocie.

— Wypatroszą wielu z was i rzuca krabom na pożarcie, ty ośle – odparł

Granby – i najprawdopodobniej potraktują tak samo wszystkich tych, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. Czy chociaż ustaliliście, gdzie będziecie nas trzymać?

— Odsuń się, ty tam – rzucił ostro Bardesley i odepchnął jednego z marynarzy, który za bardzo się do niego zbliżył.

Mężczyzna znowu na niego naparł, a jego towarzysze razem z nim – ten dławiący ciężar narastał wokół nich i Laurence został zepchnięty w trzeszczące zarośla, chociaż młodzi awiatorzy walczyli z całych sił, żeby powstrzymać napór osaczających ich ciał. To były dziwne zmagania, na które składały się głównie dość przypadkowe pchnięcia i szarpnięcia – kiedy pijani marynarze próbowali zadawać ciosy, te często były zbyt słabe lub częściowo chybione. Niemniej jednak było to śmiertelnie poważne starcie, i okropne. Przez tę ludzką ścianę przeciskały się ręce, jakby oderwane od ciał i żyjące własnym życiem, które próbowały chwycić Laurence'a za ramię, ucześcić się jego ubrania, jego pasa. Widział połamane paznokcie i stwardniałe od odcisków, pokryte wciąż piaskiem palce, których nie potrafił dopasować do żadnej konkretnej twarzy lub obdarzonej czuciem woli; miał wrażenie, że jest igraszką jakiejś ślepej, dzikiej potrzeby zarówno niszczenia, jak i życia.

A ponad ramionami i głowami patrzył w oczy, zmrużone i nieludzkie z powodu tej samej szalonej potrzeby, jaką było w nich widać. Ale, pomyślał Laurence, towarzyszył jej strach; strach, który czasem widywał na twarzach nieprzyjacielskich żołnierzy, toczących desperacką walkę, która nie mogła zakończyć się sukcesem; ludzi, którzy poszli do boju, bo byli w masie innych żołnierzy, zmuszeni do tego i świadomi, że jest to daremny trud; świadomi, że igrają ze śmiercią bez powodu. Tylko kilka z tych twarzy zdradzało prawdziwą ochotę – wbite w niego oczy Handesa płonęły radością, ale i groźbą – a reszta to byli tylko ludzie tak wystraszeni, że w ich zamroczonych przez alkohol głowach narodziła się myśl, iż powinni coś zrobić.

Awiatorzy chwycili się za ręce; kopali i uderzali bykiem, odpierając nieskoordynowane ataki, co było dość żalosną obroną, ale słońce opadło już nisko i wkrótce smoki będą...

— Temeraire! – krzyknął mały Gerry: wyczołgał się z gęstwiny nóg i wybiegł na piasek, machając rękami. – Temeraire!

Na horyzoncie widać było trzy zbliżające się plamki: zbliżające się szybko, i kiedy to stało się dla wszystkich jasne, pół tuzina ludzi oderwało się od atakujących i uciekło z powrotem do ogniska i niespokojnego, obserwujące-

go przebieg wydarzeń tłumy mężczyzn. Po chwili ich śladem poszło jeszcze dwóch i już wkrótce przewaga liczebna napastników nad awiatorami miała się skończyć. Handes wyglądał na zbitego z tropu. Zadał nagle cios Cavendishowi – uderzył chłopca z boku w głowę i wbił palce w policzek Laurence’a, rozdzierając mu kącik ust; cofnął rękę z pokrwawionymi paznokciami, ale nie zdołał go chwycić, a Laurence nie mógł odpowiedzieć atakiem na atak.

Handes cofnął się, oblany cholerycznym rumieńcem; jego kumple cofali się wraz z nim; i wtedy, słysząc trzeszczenie łamanych gałęzi, zwrócili się w stronę zarośli, z których po chwili wypadli na plażę zdyszani Emily i Demane. Zatrzymali się skonsternowani, patrząc na marynarzy, i wtedy Handes powiedział:

— On jest kapitanem tego wielkiego, złotego, przynajmniej tego dostaniemy, chłopaki...

Emily pchnęła Demane z powrotem w stronę zarośli.

— Uciekaj, uciekaj, do cholery! – krzyknęła i pochyliwszy się, chwyciła dwie garście piasku i cisnęła go w twarz marynarzy, kiedy ją zaatakowali.

Sipho uwolnił ręce, wyrywając się z ludzkiego łańcucha, i pobiegł do nich. Ferris skoczył za nim. Handes chwycił Emily za ramię i pchnął na ziemię, a Demane rzucił się na niego: był niemal o stopę niższy i wciąż chudy jak patyk, ale Laurence choć raz miał powód do wdzięczności za jego brak dżentelmeńskiego umiaru. Demane najpierw wbił zaciśniętą pięść w brzuch Handesa, a łokieć w jego gardło; następnie rozczapierzone palce drugiej ręki chłopaka uderzyły w oczy Handesa i wielki marynarz runął na ziemię, rozpaczliwie próbując złapać oddech, który zmienił się nagle w rżenie, i zobaczyć coś przez krew zalewającą mu twarz.

— Kazałam ci uciekać! – wrzasnęła Emily, zrywając się na nogi. – Uciekaj od nich, ty głupku; smoki wracają.

Reszta marynarzy jednak już ich dopadła: około dwudziestu mężczyzn, i trzech z nich chwyciło Demane, unosząc go w powietrze. Emily rzuciła się im pod nogi i zdołała ich przewrócić, ale jeden z nich kopnął ją w twarz i odrzucił na bok, zakrwawioną.

Ferris był już na miejscu, próbując uwolnić Demane. Sipho złapał suchą gałąź i bił nią marynarza, który go trzymał.

— Uciekajcie, szybko! – krzyknął Granby do innych awiatorów, ściskając Laurence’a za rękę. – Ukryjemy się w zaroślach...

— Co? – zapytał zdumiony Laurence.

— Biegnijcie! – krzyknął do nich jeszcze raz Granby, ciągnąc Laurence'a za sobą, mimo jego protestów. – Nie, niech szlag trafi ten twój upór, czy wciąż za krótko jesteś awiatorem?

Forthing też już dotarł do marynarzy, dobiegłszy tam z trudem po piasku, ale on i Ferris byli teraz na otwartym terenie, a przeciwników było zbyt wielu. Kolejny napastnik złapał rękę Demane i wyciągnął go spod stosu ludzi; inni mu pomagali, a większy tłum skupiony wokół ogniska zaczął się przesuwać jak jedno ciało w ich kierunku.

— O Boże – jęknął Granby i zwolnił, żeby móc obserwować przebieg wydarzeń.

Marynarze, wrzeszcząc triumfalnie, zaczęli ciągnąć szarpiącego się Demane w stronę ogniska. Siphon próbował iść za nimi, ale Emily złapała go jedną ręką i przytrzymała; drugą dłoń przyciskała do twarzy, próbując powstrzymać krew płynącą jej z ust. Handes podniósł się jakoś z piasku i ruszył chwiejnym krokiem za resztą, wołając ochrypłym głosem:

— Poczekajcie na mnie, chłopaki... teraz zmusimy tę bestię do posłuszeństwa...

Chwilę później padł na piasek, osłaniając głowę rękami. Kulingile zaryczał, lecąc z największą szybkością tuż nad wodą; zaryczał tak, że zatrzęsły się drzewa, a jego cień napłynął na ognisko, zalewając je niczym powódź.

Bardzo szybko było po wszystkim. Wtedy Kulingile chwycił Demane jednym pazurem, uniósł go i odszedł na bok po piasku, pytając gorączkowo:

— Demane, nic ci się nie stało? Nie jesteś ranny?

Postawił na chwilę Demane na ziemi, strząsnął z grzbietu ostatnią oderwaną rękę, po czym znowu go podniósł i ruszył dalej, rozrzucając gniewnie chlastającym na wszystkie strony ogonem resztki ogniska oraz ciała, którymi zasłany był piasek; niektóre wciąż się poruszały, a jęki rannych i umierających przebijały się ponad szum przyboju.

Zwłoki spalili na stosie zbudowanym z resztek ogniska i palm porastających obrzeża spustoszonej plaży. Większość ocalałych marynarzy pracowała w milczeniu u boku awiatorów, wznosząc go, natomiast rannych ułożono na prowizorycznych siennikach z trawy, a ich obrażenia obandażowano najróżniejszymi kawałkami szmat. Nie było wśród nich żadnego lekarza: Mallow, nowy smoczy lekarz Granby'ego, poszedł na dno razem z *Allegiance*, a Dorset został w kryjówce w Nowej Południowej Walii. Dewey, były goli-

broda, mógł zrobić bardzo niewiele. Zostały tylko resztki bimbru, które można było wykorzystać dla celów leczniczych.

— Przynajmniej nie zabraknie nam sucharów – powiedział Granby do Laurence’a z wisielczym humorem.

Usadowili się na kilku kłodach wyrzuconego przez morze drewna i obserwowali ze sporej odległości przebieg pracy: smoki nie były skłonne puścić ich między marynarzy, a ci mieli jeszcze mniejszą ochotę oglądać smoki z bliska.

Temeraire utrzymywał, że wszyscy awiatorzy, co do jednego, powinni być przy nim. Nie widział niczego niewspółmiernego lub, jeśli już o to chodziło, nadzwyczajnego w skali furii Kulingile ani w wielkości dokonanej przez niego rzezi.

— Ależ Laurence, nikt nie mógł się spodziewać po nim czegoś innego – powiedział smok. – Nie widziałem jeszcze czegoś tak bezczelnego. Nawet księżę Yongxing nie próbował odciągnąć ciebie ode mnie, kiedy na to patrzyłem, jak gdybym nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. W żadnym razie nie mogę zganić postępowania Kulingile. Jesteś pewny, że nie byłoby lepiej, gdybyś usiadł po mojej drugiej stronie, gdzie oni nie mogą cię zobaczyć?

Laurence był całkowicie pewny, pomimo niepokoju smoka, którego miarą były studnie wykopane w suchym piasku przez jego niespokojnie poruszające się pazury. Ale to było ostatnie ustępstwo Temeraire’a, które udało mu się uzyskać: on i Granby zostali umieszczeni ćwierć mili od obozu, gdzie nie mieli absolutnie nic do zrobienia i gdzie przed bandą obdartych i ogarniętych beznadzieją rozbitków strzegły ich zazdrośnie smoki wielkości fregat.

Kulingile posunął się nawet dalej: poleciał na skałę wystającą z morza w pewnej odległości od brzegu i przysiadł na niej jak kura na grzędzie, trzymając Demane w złożonych w miseczkę pazurach; od czasu do czasu dobiegały stamtąd protesty chłopaka lub widać było, jak macha on gwałtownie ręką w stronę brzegu, ale Temeraire zdecydowanie odrzucał myśl, żeby po niego polecieć.

— Nie możesz po mnie oczekiwać, Laurence, tak grubiańskiego zachowania – powiedział – a poza tym jestem pewny, że w obecnej chwili nic nie byłoby bardziej prowokujące; nie żebym nie mógł walczyć z Kulingile, ale w żadnym razie tego nie pragnę.

Tymczasem, nie przestając mówić, ułożył się w ochronny półokrąg, Iskierka dorzuciła kilka swoich zwojów na jego zad, i tak spleceni we dwoje utworzyli ze swoich ciał mur wokół Laurence'a i Granby'ego.

— Boże, Ferris, nie rób takiej kwaśnej miny – odezwał się Granby do Ferrisa, który przywłókł się plażą z nowym raportem. – Żal mi, cholera, tych biednych głupców, ale ostatecznie bycie rozerwanym przez smoka nie jest dużo gorsze od zawiśnięcia pod koniec dnia na sznurze, a oni wszyscy są buntownikami. Nic dużo gorszego nie mogło się już stać, jak sądzę, kiedy tu siedzieliśmy i obserwowaliśmy.

— O, doprawdy nie mogło? – warknął Ferris, zapominając w zdenerwowaniu o manierach, które i tak nie były zbyt mocno zakorzenione wśród awiatorów. – Nie musicie się martwić, że skończą się nam suchary, bo niewiele ich zostało: dwie z tych wielkich palm zwały się do strumienia, zmieniając jego bieg, przez co część wody przez ostatnie cztery godziny ściekała do naszej nowej piwniczki.

Dno piwniczki pokrywała kilkucalowa warstwa błota, a powietrze w środku cuchnęło zepsutą wieprzowiną: wszystkie beczki na najniższym poziomie zdążyły głęboko ugrzęznąć w rozmokłej ziemi. Ferris zagonił już kilku marynarzy do otwierania zalanych worków i przenoszenia tych sucharów, które jeszcze nie zamokły, do nowych pojemników, naprędce zrobionych z liści palmowych. Stracili blisko połowę już i tak niewystarczających zapasów.

— Gdyby Kulingile nie przerzedził naszych szeregów, groziłby nam prawdziwy głód – powiedział Granby, osuwając się ze znużeniem na piasek, kiedy już wszystko obejrzał. – A może i tak będziemy głodować? – zwrócił się do Gong Su.

— Obawiam się, że za jakieś dwa miesiące możemy być trochę głodni – odparł Chińczyk, dając w ten sposób dyplomatycznie do zrozumienia, pomyślał Laurence, że w tym czasie najpewniej będą każdego dnia losować racje żywności.

Ale nie wszyscy: on nie będzie przymierać głodem, ani Granby, ani Demane; nie można dopuścić do tego, żeby zgłodnieli choć trochę, bo to mogło zaniepokoić ich smoki. Laurence odwrócił wzrok i zahaczywszy kciukami o pas, stukał pozostałymi palcami w wiszący pierścień, do którego powinna być doczepiona jego osobista uprząż; ją też Francuzi zabrali.

— Może smokom uda się złapać wieloryba – powiedział Granby. – Przy-

puszczam, że wieloryb ustawiłby nas na jeszcze jeden miesiąc, nawet jeśli szybko znudziłoby nam się jedzenie tylko mięsa.

— Mało prawdopodobne, żeby znalazły coś poza finwałami – odezwał się Laurence. – Nawet ciężki smok nie zdoła przenieść jednego z nich na brzeg: zawsze mogą zanurkować i w ten sposób uciec.

— Panie kapitanie – zawołał Gerry, biegnąc do nich. – Roland chce z panem porozmawiać; znowu się ocknęła.

Biedna Emily leżała na sienniku umieszczonym z dala od reszty rannych i Laurence ruszył do niej, przygotowując się w duchu, żeby nie okazywać niepokoju: jej twarz przybrała purpurową barwę i spuchła tak groteskowo, że rysy były zupełnie nierozpoznawalne. Oprócz tego miała paskudnie złamany i niezbyt doskonale złożony nos oraz rozdarty przez but marynarza policzek i kącik ust; Laurence obawiał się, że zostanie jej po tym blizna.

— Cóż, Roland, mam nadzieję, że nie czujesz się bardzo źle – powiedział.

— Nie, kapitanie – odpowiedziała, ale wymawiała każde słowo powoli, z trudem, starając się, żeby brzmiało wyraźnie – ale Demane... Gerry mówi, że z Demane jest wszystko dobrze, ale wszyscy są tutaj...

— Kulingile stał się nadopiekuńczy i zabrał go na tamtą skałę na morzu – włączył się do rozmowy Granby. – Nie masz się czego bać, Roland, nic mu nie będzie; kiedy poczujesz się lepiej, będziesz mogła, jeśli zechcesz, pójść na brzeg i usłyszeć jego krzyki.

— Chodziło mi o to, że wszyscy są ciągle tutaj, w obozie – odrzekła. – Czy powiedział wam o statku?

— O statku? – powtórzył pytająco Laurence, zarazem przejęty i zatrwożony: do tej pory każdy statek, który Roland i Demane mogli widzieć rano, byłby już zapewne bardzo daleko, płynąc Bóg wie w jakim kierunku. – Gdzie był? – zapytał, obliczając wszystko w głowie i zastanawiając się nad następnym krokiem... gdyby on i Granby wyruszyli natychmiast na Temerairze i Iskierce, to jaki kurs byłby najkorzystniejszy...

— Po drugiej stronie wyspy, w długiej zatoce – odpowiedziała Emily, mając na myśli wąską, krętą zatoczkę, którą odkrył Forthing podczas swego powietrznego zwiadu i która sięgała daleko w głąb wyspy: była zbyt wąska, żeby smoki mogły przelecieć przez całą jej długość.

— A to ci dopiero łut szczęścia – rzucił Granby. – Naprawdę statek, na kowicy?

— Nie, nie – zaprzeczyła Emily. – Rozbity.

Nie było sensu rozpocząć wyprawy przed rankiem następnego dnia, zwłaszcza że Emily zapewniała, iż do tego czasu całkowicie wydobrzeje i będzie mogła pokazać im drogę, chociaż Laurence wolałby dać jej jeszcze jeden dzień na odzyskanie sił.

— Lepiej wcześniej niż później, sir – powiedziała i rzeczywiście, jeśli istniała sprawa, co do której zgadzali się wszyscy, była nią chęć jak najszybszego opuszczenia makabrycznych ruin ich nadbrzeżnego obozowiska, gdzie nieustannie opadały na nich popioły zmarłych, niesione przez wiejący od morza wiatr.

Gdyby nie mieli tylu rannych, nawet wszystkie praktyczne trudności związane z przeniesieniem pozostałych zapasów na jakąś inną plażę nie powstrzymałyby ich przed opuszczeniem tego miejsca. Jednak w nocy zmarło kolejnych trzech, inni zaczęli gorączkować, a wszyscy byli głodni i paskudnie spieczeni przez słońce: płynący teraz ospale strumień bardzo powoli napępiał mały basen, który wykopali na początku, żeby smoki miały wodopój.

Kulingile przyleciał na brzeg tylko raz, i to nocą, tak skrycie, jak tylko można się było spodziewać po blisko dwudziestosześcietonowym smoku, żeby Demane mógł wziąć manierkę od Siphos.

— W ogóle mnie nie słucha – poskarżył się Demane, pijąc dużymi łykami w cieniu Kulingile: ogromne ciało smoka kołysało się tam i z powrotem, pochynając od energicznie smagającego powietrze ogona, a kolce na jego barkach były zjeżone. – Nie chciał mnie tu przynieść, dopóki tak mi nie wyschło w gardle, że zacząłem kasłać, i przez cały czas pilnuje mnie, żebym nie popłynął do brzegu. Panie kapitanie, znaleźliśmy statek...

— Roland nam już powiedziała – przerwał mu Granby – więc go nie denerwuj, próbując uciec. I bez tego sytuacja jest wystarczająco zła. Dlaczego, do diabła, nie uciekłeś do lasu, kiedy Roland ci kazała? Ty i Laurence – dodał z pewną irytacją. – Ale przynajmniej dla ciebie nie jest jeszcze za późno na naukę.

— Czy ona... – zaczął Demane.

— Skrzydłowa Roland wyzdrowieje – powiedział bezbarwnym głosem Laurence – a o waszej wycieczce pomówimy, kiedy sytuacja na to pozwoli.

Demane rzucił mu spojrzenie pełne poczucia winy, a potem Granby zawołał:

— W porządku, Kulingile, skończył, a my wystawimy na brzegu straż,

kiedy znowu będzie musiał przylecieć po wodę. Wystarczy, jeśli krzykniesz.

Kulingile w odpowiedzi chwycił Demane i wzbił się z nim w powietrze, ale usadowił się na skale już bardziej swobodnie i po godzinie pozwolił chłopakowi usiąść na swoim grzbiecie, zamiast trzymać go w pazurach. Demane nie wyglądał na dużo bardziej zadowolonego, ale siedział tam, patrząc na nich żałośnie i garbiąc się pod zimnymi prysznicami, które powstawały z fal regularnie rozbijających się na zadzie Kulingile.

— Nie bardzo podoba mi się pomysł, że miałbym stąd odlecieć i pozostawić wszystko tylko pod opieką Kulingile; on jest zbyt pochłonięty swoimi troskami – powiedziała Temeraire. – Nie żebym go choć w najmniejszym stopniu obwiniał; tylko że w swoim obecnym stanie ducha może nie pomyśleć o ochronie mojej załogi.

— Chyba nie myślisz, że coś mi jeszcze może grozić? – zapytał Laurence: nie można sobie było wyobrazić bardziej zniechęconych i przerażonych ludzi od ocalałych marynarzy.

— Przedtem też nie myślałem, że coś ci może grozić – odparł Temeraire – i w sposób oczywisty byłem w błędzie. Nie wydaje mi się również, żeby sytuacja tak bardzo się zmieniła. Kulingile zabił nie więcej niż trzydziestu tych marynarzy i łatwo mogą sobie zrobić inny destylator, jeśli chcesz wszystko zrzucić na trunek; czego ja w żadnym razie nie jestem gotowy zrobić – dodał. – W końcu widywałem już przedtem całkiem pijanych marynarzy, ale oni nie podpalili okrętu ani nie próbowali porwać ciebie; jestem pewny, że musi być coś złego z tą konkretną grupą.

Tak, ale jeśli tak było, to Laurence uważał teraz, że sam się do tego przyczynił przez swoją niechęć do nich: nie chciał ich doprowadzić do ładu, nawet jeśli byłoby to możliwe.

— A jednak ktoś musi polecieć na łowy – powiedział. – Ty, Iskierka i Kulingile nie odżywialiście się aż tak dobrze, żebyście mogli przez dwa dni obyć się bez jedzenia, a Kulingile na pewno się nie obędzie.

— W takim razie niech leci Iskierka – zaproponował Temeraire.

— Ja też nie polecę – odrzekła Iskierka, unosząc głowę i jeżąc się cała, ale po krótkiej sprzeczce sprawa została rozstrzygnięta przez losowanie. Granby narysował na piasku linię, a Temeraire rzucił na nią garść kamyków – kamyków według jego standardów, gdyż każdy był wydobyty z dna morskiego kamieniem wielkości mniej więcej ludzkiej głowy – a potem sprawdzono, jaki był wynik, i okazało się, że po stronie Iskierki wylądowały dwa

więcej niż po stronie Temeraire'a.

— Jestem pewny, że gdybym tylko spróbował jeszcze raz, wyszłoby inaczej – powiedział niezadowolony Temeraire.

— Och, nie pozwolę nikomu skrzywdzić Laurence'a – rzuciła niecierpliwie Iskierka – i podpalę ich, jeśli tylko czegoś spróbują, możesz więc spokojnie lecieć; poza tym dobrze wiesz, że oni bardziej boją się mnie niż ciebie.

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje – powiedział smutno Temeraire do Laurence'a tuż przed swoim odlotem – ale tak jest; co powinienem z tym zrobić?

— Zupełnie nic – odrzekł Laurence – kiedy weźmiesz pod uwagę... – Urwał, bo nie chciał powiedzieć w miejscu, gdzie jego słowa mogłyby dotrzeć do Granby'ego i zranić go brzmącą w nich prawdą, że smok o tak nieopanowanym temperamencie jak Iskierka, posiadający tak straszną, niszczącą moc, musi budzić przerażenie w sercu każdego człowieka z odrobiną rozsądku w głowie. – Musisz to uznać za komplement; prawdziwy szacunek jest lepszy do strachu i wzbudzanie go jest większym osiągnięciem niż to, co można łatwo przypisać zwykłej brutalności.

W końcu udało się namówić Temeraire'a do tego, by poleciał na łowy; tymczasem Laurence był zmuszony przyjąć do wiadomości, że takiej samej krytyce można było równie dobrze poddać coś innego. Zawsze w głębi ducha uważał, że tam, gdzie dochodzi do prawdziwego buntu – i o ile nie nadałby tej nazwy pierwszemu występкови, czyli rozrabianiu po alkoholu, co nie było w końcu czymś aż tak niezwykłym wśród marynarzy, to nie mógł nazwać niczym innym przemyślanej próby pojmania jego, Granby'ego i Demane – tam, gdzie dochodzi do prawdziwego buntu, można być pewnym, iż źródłem problemu są źli oficerowie.

— Ale przecież niczego nie moglibyśmy zrobić z tymi ludźmi, Laurence – odparł Granby, zbyt łatwo odrzucając zarzut. – W końcu co innego mamy do roboty na tej wyspie oprócz wylegiwania się?... a ludzie, którzy ciężko pracują, potrzebują więcej jedzenia, niż mogliśmy im dać.

— Mimo to – upierał się Laurence – powinniśmy narzucić im jakąś dyscyplinę, niezależnie od kosztu. Mogliśmy się domyślić, że po ludziach zarem nadmiernie beczynnych i na wpół oszalałych ze strachu można się spodziewać najgorszego. To nie są ochotnicy, ich wszystkich wcielono do marynarki siłą.

Uważał, że tylko piętnastu z nich należało nazwać buntownikami, to

znaczy piętnastu, którzy jeszcze żyli. Handes, który na bardziej sprawiedliwym świecie byłby pierwszym spośród zabitych i który zamiast tego wyszedł z całej masakry niemal bez szwanku, nie mógł uniknąć tego oskarżenia; zresztą Laurence nie miał najmniejszej ochoty oszczędzić go ani innych, którzy stali na czele. Natomiast reszcie ludzi można było darować: Laurence postanowił zapomnieć o tym ostatnim ogólnym ruchu całej gromady w kierunku miejsca, gdzie szamotano się z awiatorami.

— Panie Forthing – powiedział, odciągając go dyskretnie na bok – wybierze pan dziesięciu ludzi spośród marynarzy, solidniejszych, starszych ludzi, którzy trzymali się z dala od całej awantury. Zabierzemy ich ze sobą, kiedy ruszymy w głąb wyspy.

— Tak jest, sir – odparł Forthing powątpiewająco, ale Laurence nie był żadną miarą gotowy do poddania pod dyskusję swojego rozkazu i jego mina musiała to pokazać; Forthing odszedł.

W ten sam bezwzględny sposób Laurence nakazał Ferrisowi pozostać na brzegu i wyruszył w głąb wyspy z mniej niż trzema osobami, na których mógł całkowicie polegać: Roland krzywiącą się boleśnie przy każdym kroku, niespełna jedenastoletnim Siphonem, który miał wrócić biegiem z wieściami o zagrożeniu, jeśli takie się pojawi, i Bardesleyem, którego wziął ze sobą na skutek nalegań Granby'ego, powtarzającego: „Jeśli ja mam mieć tutaj Ferrisa, lepiej żebyś ty miał przy sobie kogoś innego do pomocy”.

Mayhew poszedł z nimi; nie wziął udziału w najgorszych ekscesach marynarskiej zabawy, tylko zabrał skorupę orzecha kokosowego pełną domowej roboty grogu i spędził ten czas z dala od obozowiska, siedząc w cieniu palm i rozmawiając z kilkoma kumplami, co uchroniło ich tak przed oskarżeniem o bunt, jak i gniewem Kulingile. Laurence nie darzył go zbyt wielkim zaufaniem, ale myślał, że coś można jeszcze z niego zrobić.

Forthing wygrzebał także kilku ludzi, wyraźnie wybranych bardziej z powodu zaawansowanego wieku lub oczywistej głupoty niż jakichkolwiek zalet, oraz Baggy'ego: jednego z chłopców okrętowych, nazywanego tak, ponieważ jako sześciolatek pomyślał, że statek został zaatakowany abordażem, kiedy podczas uroczystości przekraczania równika na jego burcie wdrapał się Badger-Bag, sługa Neptuna, i skoczył na niego z takielunku, ku wielkiemu zaskoczeniu okrętowego kucharza grającego tę rolę i ogólnej uciechy załogi. Baggy miał teraz czternaście lat i w ciągu ostatnich siedmiu tygodni przeszedł gwałtowną zmianę od pulchnego, zręcznie śmigającego

po pokładzie chłopaka do chudego jak tyczka młodzieńca o zapadniętych policzkach, często potykającego się o własne nogi. Okrywał się także rumieńcem za każdym razem, gdy popatrzył na Emily, pomimo bandaża zakrywającego połowę jej twarzy – może dlatego, że nie poświęcał zbyt wielkiej uwagi jej twarzy – po czym rumienił się ponownie, kiedy przypadkowo napotykał krytyczne spojrzenie Laurence’a.

— Gdybym mógł się do czegoś przydać... – zaproponował Hammond z wahaniem; i przypomniawszy sobie tę długą, ponurą noc sprzed pięciu lat, którą spędzili w obleżonym pawilonie, Laurence wziął go ze sobą.

Do zatoczki nie dało się dotrzeć z powietrza bez dokonania spustoszeń w poszyciu leśnym, w ramach przygotowania miejsca do lądowania, które łatwo mogły zakończyć się posłaniem wraka na dno oceanu. Zmuszeni byli zatem wybrać drogę lądową, poszerzając siekierami i maczetami ścieżkę, którą wytyczyli dzień wcześniej Demane i Emily: krętą i wielce umowną ścieżkę, jako że nie znali oni wtedy celu swojej wędrówki.

— Zamierzaliśmy tylko zobaczyć, czy nie uda nam się znaleźć czegoś, z czego dałoby się zrobić linę – wyjaśniła Emily, zerkając z ukosa swoim spuchniętym okiem na Laurence’a, żeby sprawdzić, jak jej słowa zostały przyjęte.

— Jeśli zamierzasz tak się skompromitować, żebym był zmuszony zażądać od Demane wypełnienia zobowiązania, które jako dżentelmen wziął na siebie przez sam udział w tej wycieczce – odparł ponuro Laurence – możesz kontynuować w tym właśnie stylu, panie... panno Roland.

— Jakie zobowiązanie? – zapytała szczerze zdezorientowana, a kiedy wyjaśnił, że miał na myśli propozycję małżeństwa, odrzekła niecierpliwie: – Nie ma czego żądać: on już mi ją złożył z tuzin razy. Ale to już nie ma sensu; przecież pan to musi rozumieć, sir. Ja myślałam...

Przerwała, kiedy dotarli do szczególnie gęstej kępy kolczastych zarośli, pod którymi ona i Demane zwyczajnie się przeczołgali poprzedniego dnia; czekając, aż ludzie wytną przejście, oparła się o drzewo i powiedziała cichym, smutnym głosem:

— Ale teraz on ma swojego smoka. Nie może zostać moim oficerem, kiedy mama przejdzie na emeryturę, a ja zajmę jej miejsce, i nie mogę poprosić Ekscidiuma, żeby po tych wszystkich latach pozbył się Candeorisa – Regal Coppera, który chronił środek formacji Longwinga i był jego głównym obrońcą – nawet gdyby Admiralicja nie chciała mieć Kulingile gdzie indziej.

I to nie jest tak jak z panem i mamą – dodała, nieświadomie dorzucając rozżarzone węgle na i tak już obciążone sumienie Laurence’a. – Służba to dla niej wszystko, a Ekscidium jest następny z kolei, więc jej nie zależy; nie chce nic więcej poza... – Wzruszyła ramionami, zamiast sprecyzować tę myśl, ale zrobiła to tak wymownie, że Laurence skrzył się w duchu z zakłopotania. – Ale ja nie chcę kogoś, kogo chcę, jeśli nie mogę mieć pewności, że będę go widywać choć przez tydzień w roku. Jaki jest pożytek z tego, że ma się jedynie prawo do bycia zazdrosnym?

Laurence nie wiedział, jak jej odpowiedzieć; pomimo iż separacja była zwykłym losem oficerów marynarki i ich rodzin, nie potrafił przekonać samego siebie, że ta sytuacja była taka sama. W pierwszym wypadku można było mieć pewność, że tylko jedna strona udała się gdzieś daleko; druga pozostała na miejscu i dbała o dom, nadając mu jego charakter. Można też było prowadzić korespondencję, w sposób mniej lub bardziej niezawodny, a żona mogła mieć uzasadnioną nadzieję, że będzie widywała męża przez długie okresy jego pobytu na brzegu, nawet jeśli kiedy indziej będzie nieobecny przez lata.

Awiatorzy nie mogli brać takich urlopów, nawet gdyby tego chcieli; smoki nie udawały się do suchych doków. I Roland miała rację co do jednego: jeśli Laurence był w stanie dobrze to ocenić, Kulingile nie będzie wykorzystywany jedynie defensywnie. Oprócz przewagi, jaką mu dawała jego ogromna masa, miał jeszcze szczególnie groźne pazury, odziedziczone po parnassiańskich przodkach, i kolczasty ogon Chequered Nettle’a, który otrzymał od drugiej strony. Z czasem na pewno dostanie własną formację, kiedy Admiralicja zaakceptuje w końcu Demane jako jego kapitana, a prawdopodobieństwo, że ta formacja zostanie przydzielona do obrony kanału, było zdaniem Laurence’a niewielkie.

— Żaden – ciągnęła z przygnębieniem Emily. – Wyślę go do Gibraltaru. Słyszałam, że Laetificat nie odzyskała wagi po chorobie i najpewniej wkrótce wyślą ją na tereny rozplodowe. Zamierzają ją utrzymać w służbie tylko do czasu, aż hodowcy przedstawią innego, ponaddwudziestotonowego Regal Coppera.

Ścieżka została wycięta: Emily odepchnęła się od drzewa i poszła pokazać, w którym kierunku mieli się dalej przedzierać przez gąszcz pnączy; jej przygarbione plecy świadczyły o tym, że nadal jest przygnębiona.

Wkrótce wyszli na polankę, na której zobaczyli zwisającego z gałęzi tu-

stego gryzonia, podobnego do goffera, który złapał się we wnyki: dzieło Demane z poprzedniego dnia, zapomniane w pośpiechu, jaki ogarnął młodych po dokonaniu odkrycia. Nikt nie pogardziłby kęsem takiego mięsa, odcięli zatem zdobycz i zabrali ze sobą. Szum przyboju, który początkowo był przytłumiony przez gęstwinę lasu, w miarę jak posuwali się naprzód, stawał się znowu coraz lepiej słyszalny, a potem wyszli na mało obiecującą, skalistą plażę, której łuk ginął z powrotem za rozległą płataniną pnączy, tak gruntownie skrywającą wszystko, co było za nią, że Laurence nie mógł sobie nawet wyobrazić, z jakiego powodu Emily i Demane w ogóle pomyśleli o zbadaaniu tego terenu.

— Tam – powiedziała Emily, pokazując ręką miejsce, gdzie na małym spłachetku piasku lśniła w słońcu biała kość. Przeleźli przez skały i stanęli nad szkieletem w łachmanach, porozciąganych przez ptaki, któremu brakowało niemal wszystkich palców u rąk i nóg. Czaszka i jedna z kości udowych spoczywały na skale, na której wyryto płytki napis: TUTAJ LEŻĄ BASSEY I GEORGE, DOBRZY KOMPANI, OBY BÓG SIĘ ZLITOWAŁ NAD NIMI.

— Nie można tego lepiej powiedzieć – wymruczał pod nosem stary Jergens, jeden z ludzi, których wybrał Forthing. Jednak ciche narzekania przesądnych marynarzy urwały się chwilę później, kiedy przeszli obok grobu i rozsunęli pnącza, odsłaniając gnijący kadłub i wybitą przez skałę dziurę.

Był to z pewnością statek piracki. Kiedy usunęli porosty i wpuścili do ładowni trochę światła, Laurence wszedł do niej i brodząc po kostki w wodzie, zaczął się rozglądać wśród resztek złożonych tam łupów: wielkich brył wielorybiego tłuszczu, pływających dookoła starych beczek, i porozbijanych skrzyń z jedwabiem, zrabowanych zapewne jakiemuś nieszczęsnemu kupcowi z Indii Wschodnich. Zignorował ukradkowe poszturchiwanie się nawzajem przez marynarzy, którzy ostrożnie wchodzili za nim do środka.

— Sir, gdyby zechciał pan poczekać na zewnątrz... – odezwał się Forthing, patrząc na tak spróchniałe belki, że w ciemności fosforyzowały zielonym światłem.

Laurence nie odpowiedział, ale dobrze zapamiętanym krokiem, którym należało się poruszać we wnętrzu tak ciasnego statku, przeszedł na tył ładowni, gdzie powinien być magazyn, i pochyliwszy się, pociągnął za róg ceratowe okrycie.

— Ach – sapnął z zadowoleniem: pod spodem, sucha i czysta, leżała zwinęta cuma okrętowa grubości męskiego nadgarstka, wprawdzie z odzysku,

skręcona ze starych lin, ale przecież to nie miało żadnego znaczenia.

Wydobycie znalezionych towarów na zewnątrz nie było łatwym zadaniem. Do spróchniałych belek nie można było przymocować żadnych wyciągów, a woda przynoszona przez fale zalewała ładownię, szarpiąc ich za nogi, nawet kiedy stali w miejscu. Dwóch lub trzech marynarzy upadło i zostało poranionych przez drzazgi; kiedy w końcu wyszli z ładowni z pierwszymi pakunkami, z których każdy niosło czterech mężczyzn, pod wrak podpłynęło kilkanaście rekinów i krążąc tam, gdzie woda była głębsza, obserwowało ich wysiłki.

— Cóż, skoro już tu są – powiedział Temeraire i wyciągnąwszy szyję, złapał zębami od razu dwa, po czym uniósł głowę i połknął je, wciąż się szamoczące i bijące powietrze szarymi ogonami. Siphon pobiegł z powrotem do obozowiska i pokazał mu drogę. Bali się ryzykować, że dotknie i przypadkiem zniszczy kruchy wrak, a skrawek wolnego od drzew brzegu był zbyt mały, by zdołał na nim wylądować, ale mógł się trzymać płycizn i czekać, aż skończą wydobywać nowo znalezione skarby: linę i płótno żaglowe, a nawet trochę noży nie do końca przeżartych przez rdzę.

Słońce było już nisko nad horyzontem, kiedy uznali, że wynieśli wystarczająco dużo na ładunek odpowiedni dla smoka. Marynarze rozwinęli jeden zwój liny i zabrali się do odcinania kawałków przeznaczonych do zrobienia sieci, w której Temeraire mógłby zabrać ich zdobycz do obozu. To było długie i mozolne zadanie; podczas gdy ludzie brali kolejno nóż i cięli linę, Laurence patrzył w zadumie na kikuty połamanych masztów, ledwie widoczne pośród pnączy, i odbicie zachodzącego słońca w jeszcze niezbitej szybie.

Pnącza nie stanowiły żadnego wyzwania dla człowieka, który śmigał po rejach od dwunastego roku życia. Pokryty dywanem mchu pokład skrzypiał pod jego ostrożnie stawianymi krokami, ale nie załamał się, i Laurence w końcu dotarł jakoś do małej kabiny za kołem sterowym: dziwnie było mieć za rufowym oknem widok wręcz ogrodowy, ze śpiewem ptaków i cieniutkimi, jasnozielonymi końcówkami pnączy, wchodzącymi przez powybijane szyby.

Sztorm, który zerwał ten statek z kotwicy i rzucił go na skały, nie zostawił jego kapitanowi czasu na schowanie rzeczy w ładowni. Zbutwiałe resztki hamaka spadły na podłogę, a wciąż zamknięte biurko leżało w rogu obok kopii grzesznej *Fanny Hill*, którą Laurence zidentyfikował po bardzo wyblakłej okładce dzięki wspomnieniom z czasów, gdy był midszypmenem.

A obok nich, wciąż zawinięty w nieprzemakalny materiał, leżał plik map z adnotacjami porobionymi staroświeckim pismem. Słowa, jakiegokolwiek one kiedyś były, rozmazały się, ale Laurence ich nie potrzebował; interesowały go jedynie zniekształcone rysunki wysepek rozsianych po oceanie. Każda z pewnością była piracką kryjówką i wyglądały na oceanie jak położone w dużych odległościach od siebie kamienie ogrodowej ścieżki, która wiodła aż do kontynentu; ostatnia z nich leżała niecałe sto mil od wybrzeża: wybrzeża imperium Inków.

Część II

Rozdział 7

Laurence obudził się na grzbiecie Temeraire'a wczesnie rano, na wpół świadomy, że coś się zmieniło: a kiedy uniósł głowę, zobaczył na horyzoncie niewyraźną, poszarpaną linię wielkich, andyjskich szczytów, oświetlonych od tyłu przez słońce.

Przeskakiwali z jednej małej wysepki na drugą i tak pokonali kilkaset mil oceanu. Laurence i Hammond siedzieli na górze, przywiązani do łańcucha, na którym wisiał napierśnik Temeraire'a, a w prowizorycznej sieci ładunkowej, zrobionej z liny i płótna, byli wszyscy marynarze, ku ogromnemu niezadowoleniu smoka. Kulingile jednak zdecydowanie odmówił niesienia kogokolwiek oprócz Demane, a że Iskierka niezbyt nadawała się do transportu ludzi, przydzielono jej pozostałych awiatorów, tworzących mniejszą grupę.

— Obudziłeś się, Laurence? – zapytał Temeraire, zerkając do tyłu. – Te góry są jeszcze bardzo daleko. Gdzie twoim zdaniem powinniśmy wylądować? I czy myślisz, że oni będą mieli coś do jedzenia oprócz ryb?

Coraz lepiej widoczny brzeg był ciągiem nierównych, brązowych klifów, poza którymi tak daleko, jak Laurence sięgał wzrokiem przez swoją lunetę, rozpościerała się pustynna równina, całkowicie pozbawiona roślinności z wyjątkiem jednej zielonej linii, przecinającej ją na północy.

— Myślę, że to musi być rzeka spływająca z gór – powiedział, wskazując kierunek Temeraire'owi. – Jeśli nawet nie znajdziemy tam nic innego, chętnie napijemy się świeżej wody.

Kiedy podlecieli bliżej, stało się jasne, że można tam znaleźć dużo więcej: rzeka i ocean wycięły klify w miejscu swego połączenia i przy ujściu rzeki, gdzie dostęp do morza był najłatwiejszy, wyrosła duża, zamożna osada rybacka. Było w niej wiele domów sporych rozmiarów, o stromych, krytych strzechą dachach, i nawet jedna większa budowla z gładkiego kamienia;

przecinały ją szerokie, brukowane ulice, spokojne nawet o świcie, jeśli nie liczyć bladych plamek, kremowych i brązowych: owiec wałęsających się swobodnie w poszukiwaniu jedzenia.

— Mam nadzieję, że Inkowie będą uprzejmymi gospodarzami – odezwał się Temeraire, pożerając je wzrokiem; można było odnieść wrażenie, że te ostatnie mile dzielące ich od brzegu pokonuje szybciej niż poprzednie.

— Proszę pamiętać, kapitanie... Temerairze – wtrącił niespokojnie Hammond – że Pizarro i jego awanturnicy wylądowali na tym samym brzegu, być może nawet w tym samym miejscu... oni także przedstawili się jako posłowie i przyjęli gościnę miejscowych, a potem oczywiście... krótko mówiąc, musimy pamiętać, że nie przybyliśmy do dziewiczego kraju, ale takiego, którego mieszkańcy mają prawdziwe powody do podejrzeń... musimy zachować największą ostrożność...

Laurence miał tylko mętne pojęcie o dziejach konkwistadorów, nędzne resztki odgrzebane w pamięci z czasów szkolnych, ale opowieść o makabrycznym końcu Pizarra była ulubioną historią guwernerów, których zadaniem było wypełnianie czymś czasu kilku małym chłopcom, zwłaszcza gdy już została zaaprobowana jako powiastka moralizatorska przez ich ojca.

— Ufam, panie ambasadorze – odpowiedział sucho – że chociaż nie jesteśmy szczególnie ładną załogą, zdołamy się powstrzymać od grabieży i łupiestwa, i posunę się nawet tak daleko, że zapewnię pana, że nie porwiemy i nie zamordujemy obecnego władcy Inków, gdybyśmy go spotkali.

— Proszę, żeby pan nie żartował sobie z tej sprawy – odparł Hammond, w najmniejszym stopniu nieuspokojony jego słowami. – Jeśli Inkowie rzeczywiście są gotowi do rozpoczęcia negocjacji, do wymiany ambasadorów... jeśli w końcu są skłonni dać się przekonać, a Francuzi już tam wkroczyli...

Hammond nie musiał się zbytnio rozwodzić na ten temat. Pizarro nie mylił się, kiedy doszedł do wniosku, że odkrył wielkie imperium; napisał ściśle i szczegółowe raporty o doskonałych drogach, o bogactwach w złocie i srebrze, o pełnych spichlerzach; trafnie rozpoznał wartość terytorium, które znalazł. Jego jedynym błędem było uznanie występujących licznie smoków za stworzenia dzikie, które się nadmiernie rozprzestrzeniły z powodu braku broni palnej wśród tubylców – błędem, z którego go wyprowadziły z niezwykłą szybkością i brutalnością, kiedy zamordował swojego najważniejszego zakładnika, gdyż tylko troska o jego bezpieczeństwo powstrzyma-

wała je od natychmiastowego wymierzenia kary.

Ale ten błąd wyszedł tylko na dobre imperium Inków i przez następne dwieście lat obserwowano nieustanne powiększanie potęgi ich armii oraz granic państwa; nie było wątpliwości, że sojusz Francji z nimi może zmienić bieg wojny.

— Wprawdzie nie podoba mi się opóźnienie naszej misji do Brazylii – powiedział Hammond – nie mogę jednak nazwać inaczej jak zrzędzeniem opatrności tego, że możemy mieć okazję wtrącić się do takich negocjacji, o których, gdyby nie niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności, nic byśmy nie wiedzieli i nie mogli przez to na nie odpowiedzieć.

Laurence nie mógł nazwać „niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności” utraty *Allegiance* czy popadnięcia w niewolę i porzucenia na bezludnej wyspie, ale nie znaczyło to, że nie zgadzał się z wnioskiem Hammonda: że powinni dołożyć wszelkich starań, by doprowadzić do nawiązania przyjaznych stosunków między Inkami a Brytanią, nawet kosztem opóźnienia podróży do Brazylii. Jednak nawet jeśli Laurence zgadzał się w tej sprawie z ambasadorem, nie spodobała mu się sugestia Hammonda, że powinni wyładować skrycie.

— Nie rozproszymy ich podejrzeń, przekradając się po kryjomu na ich terytorium i bez zezwolenia pijąc ich wodę czy polując na ich zwierzynę – powiedział. – A zarówno wodę, jak i mięso musimy mieć natychmiast; uważam, że lepiej najpierw poprosić i liczyć na gościnne przyjęcie.

— Tak jakby można było nazwać to proszeniem, kiedy się pojawimy w towarzystwie trzech smoków – odparł ponuro Hammond.

Ale nie było innego wyjścia. Mapa piratów nie sprowadziła ich na manowce, ale wiele z zaznaczonych na niej wysepek niezbyt zasługiwało na tę nazwę i nie mogło oferować im bezpiecznego schronienia. Po dwóch tygodniach podróży polegającej na wykonywaniu skoków z jednej na drugą, z zaledwie kilkoma siatkami orzechów kokosowych i solonej wieprzowiny do jedzenia, nie byli w takim stanie, w którym mogliby się zarekomendować jako mile widziani goście, mimo że tym bardziej pragnęli to zrobić. Nieogolone twarze, brudne, o zapadniętych policzkach, złachmanione ubrania i popękane buty: wyglądali na żebraków i stosownie do swojego wyglądu umierali z głodu oraz pragnienia.

— Nie zamierzam niczego kraść i szepnę słówko Iskierce i Kulingile, żeby także tego nie robili – odezwał się Temeraire. – Ale te owce są takie ład-

ne i tłuste: przecież oni na pewno mogą podarować nam jedną lub dwie; albo nawet trzy. My ze swojej strony moglibyśmy postawić im ten mur z tyłu, który osunął się do oceanu, gdyby chcieli, żebyśmy się im jakoś odwdzięczyli, a może gdybyśmy rozpoczęli od zrobienia tego, oni poczuliby wdzięczność i byliby skłonni do uprzejmości wobec nas.

Laurence przyjrzał się zniszczeniom z góry: mur oporowy wokół wielkiej kamiennej budowli, niskiej piramidy o szerokich, schodkowych piętrach, którego część runęła do morza jak pojedynczy blok i leżała teraz blisko brzegu, obmywana przez fale przyboju.

— Gdzie? Och; tak, widzę... nie, to jest dom – mamrotał Hammond, bezowocnie starając się zobaczyć to przez lunetę, aż w końcu oddał ją Laurence'owi. – Przypuszczam, że to może tylko pomóc im w jakiś sposób pogodzić się z naszym przybyciem...

Żeby nie straszyć mieszkańców, zasygnalizowali Iskierce i Kulingile, by wylądowali trochę na południe od osady, a sam Temeraire leciał nadal starym kursem.

— Czy możesz wylądować na ich plaży, nie uszkadzając tych łodzi? – zapytał Laurence Temeraire'a, kiedy podlecieli bliżej: było tam kilka małych łodzi wyciągniętych na piasek; Laurence'owi przyszło do głowy, że być może większa część miejscowej flotyli jest już na morzu.

— To byłby prawdziwy łut szczęścia – odezwał się Temeraire – gdyby oznaczało to mniej ludzi, których musielibyśmy przekonać, że jesteśmy przyjaźni, nie jak ci konkwistadorzy; wyląduję bardzo ostrożnie.

Zdołał usiąść, nie poruszając niczego oprócz wielkiej tratwy, która leżąc nieco ukośnie, pod kątem, pochwyciła podmuch wzbudzony przez jego skrzydła, i poleciała do wody, ale smok pospiesznie zaczepił ją pazurem i wyciągnął z powrotem na piasek, zupełnie nieuszkodzoną, jeśli nie liczyć kilku wyżłobień w drewnie.

Ale nikt nie zszedł na piaszczystą plażę, żeby ich powitać, ani nawet nie podniósł alarmu; w każdym razie nie głośniejszego od wrzawy podniesionej przez marynarzy proszących, żeby ich wypuścić z sieci.

— Cisza tam, już prędzej wypuściłbym stado wilków, zanim zostaliśmy powitani – krzyknął Laurence. – Jeśli jest wśród was mężczyzna, który nie boi się pójść z nami i razem przedstawić gospodarzom, może wyjść: reszta ma czekać.

Odwiązał linę od napierśnika Temeraire'a i trzymając się jedną ręką łok-

cia Hammonda, zszedł na ziemię.

— Ja pójdę, sir – zawołał Baggy, wciąż łamiącym się młodzieńczo głosem; Laurence wziął także Mayhewa, ignorując jego niezadowolone pomruki, które nie osiągnęły poziomu głośności wymagającego jakiejś reakcji: Laurence był zdecydowany awansować go przy pierwszej okazji, i to niezależnie od tego, czy Mayhew przyjmie to z zadowoleniem, czy też nie. Jeszcze kilku innych marynarzy zgłosiło się na ochotnika, z ciekawości lub chęci rozprostowania nóg.

— Nie rozumiem, dlaczego mam tu siedzieć, kiedy ty pójdziesz – mówił niepoczyszony Temeraire. – W końcu znam lepiej keczua niż ty czy ktokolwiek inny poza Hammondem, a mój akcent jest lepszy od akcentu Hammonda. Och, nie chciałem nikogo obrazić.

Ponieważ Temeraire był większy od wszystkich domów w miasteczku, z wyjątkiem budowli na wzgórzu, a przez uliczki nie zdołałby się przecisnąć, Laurence nie mógł się zgodzić, żeby poszedł z nimi.

— W każdym razie nie mogą nie widzieć ciebie z miasteczka – powiedział – i twoja tu obecność musi skłonić ich do ostrożności. Nie sądzę, żeby groziło nam jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

— Coś jest nie tak z moim akcentem? – mruknął pod nosem Hammond, kiedy ruszyli w drogę.

Nie miało się wrażenia, jakby szli w stronę miejsca zamieszkanego przez ludzi: wdrapali się na niskie, piaszczyste wzgórze, weszli do osady, mając za sobą Temeraire'a, którego sylwetki groźnie rysującej się na plaży nie można było nie dostrzec, i zbliżyli się do pierwszych domów, wciąż nie ujrawszy żywego ducha.

— Hej – zawołał Laurence, ale jedyną odpowiedzią było pojawienie się tłustego, człapiącego jak kaczka stworzenia, jakby skrzyżowania pieska salonowego i szczura, które wystawiło nos zza drzwi jednego z domów i wybiegło im naprzeciw z wszelkimi oznakami radości.

— Świnka morska, jak sądzę – stwierdził Hammond, podnosząc zwierzątko: nie opierało się, tylko obwąchiwało go z ciekawością.

— Wygląda jak coś dobrego do jedzenia – powiedział Baggy, mierząc stworzenie spojrzeniem tak samo pożądlivym jak to, którym Temeraire obrzucił owce. – To znaczy, gdyby nam je podarowano, nie powiedziałbym nie – dodał pospiesznie.

— Czy oni wszyscy mogli opuścić miasteczko tak szybko i niepostrzeże-

nie? – zapytał Hammond. – Może nas zobaczyli, kiedy się zbliżaliśmy... nasze latarnie?

— Nie – odparł Laurence: nie było żadnych dymów z palenisk, a ulice gęsto porosły chwasty i trawa. – Tu nie ma nikogo.

— Trudno mi uwierzyć, żeby tak prosperujące osiedle zostało opuszczone – sprzeciwił się Hammond. – Ich stada... łodzie na plaży.

Laurence podszedł do drzwi chaty, z której wybiegła świnka morska, i zajrzał do środka. Było tam kilka niskich posłań, pustych, zakrytych kocami, trochę glinianych garnków do gotowania, i dzban, z którego bił ostry zapach alkoholu. W sumie panowała tam atmosfera lekkiego nieładu, charakterystyczna dla domu zamieszkanego lub tylko chwilowo opuszczonego. Na zewnątrz, na drewnianej suszarce, suszyły się w słońcu kolby kukurydzy, dziobane przez ptaki, ale wciąż jeszcze bogate w ziarno.

Pnącą się w górę drogą podeszli do schodkowej piramidy. Ziemia wokół niej, po obu stronach ścieżki, została w wielu miejscach rozkopana i wszędzie widać było małe kopczyki; większość z nich dopiero zaczynała porastać zielenią. Wejście do piramidy było niczym czarna, pusta paszcza, czekająca na nowe ofiary; Laurence wszedł tylko na kilka kroków do środka, żeby zejść ze słońca, i zatrzymał się, czekając, aż jego oczy dostosują się do mroku.

A potem szybko wyszedł na zewnątrz, zasłaniając peleryną usta.

— Wracamy na brzeg – rzucił rozkazująco. – Nie pan puści to zwierzę, Hammond. Natychmiast wracamy do Temeraire'a i niech nikt nie schodzi z tej ścieżki ani nie wchodzi do domów.

— Co? – zapytał Hammond w tej samej chwili, gdy marynarze ruszyli w drogę powrotną. – Co się dzieje, kapitanie?

— Mór – odparł Laurence. – Mór; a oni wszyscy nie żyją.

Temeraire'owi oczywiście było żal tych ludzi, ale jako że nie mogli już mieć żadnego pożytku z owiec – które nie były owcami, ale zupełnie innymi zwierzętami, większymi, o długich szyjach i mięsie podobnym w smaku do sarniny, nazywanymi przez Hammonda lamami – nie miał skrupułów, że tak bardzo mu smakowały. Ryby były bardzo dobre, ale mogły się znudzić, jeśli jadło się je nieustannie, zwłaszcza kiedy nie można ich było inaczej przyrządzić, i chociaż na ostatniej wyspie udało im się złapać trochę lwów morskich, nie była to w istocie wystarczająco duża odmiana.

— Mógłbyś spróbować udusić kilka na jutro – powiedział do Gong Su,

ogryzając do czysta ostatnią kość – i nie miałbym także nic przeciwko tej kurydzy, czy tak to pan nazwał, panie Hammond? Ma bardzo przyjemny zapach – rozchodzący się z ogniska, na którym smażyło się wiele kolb do zjedzenia przez ludzi razem z partią kilkunastu świnek morskich.

Były także ziemniaki – w bardzo specyficznym, krzykliwie purpurowym kolorze – które znaleźli w wielkim magazynie na skraju osady. Znajdowało się w nim jeszcze wiele innych rzeczy oprócz żywności: koce, sandały i nawet kilka narzędzi z brązu, których przeznaczenia nie potrafili się domyślić: długie drzewce z osadzonym na jednym końcu ostrzem, ale niewyglądające na broń.

— To ma coś wspólnego z uprawą roli, jak sądzę – powiedział Granby, obracając narzędzie w rękach.

Większość tego, co znaleźli w magazynie, stanowiły jednak ryby: suszone ryby, solone ryby, ryby, ryby, ryby. I kiedy się popatrzyło na lamy z myślą o przygotowaniu zapasów, łatwo dochodziło się do wniosku, że nie zostało ich zbyt dużo.

— Lepiej żebyśmy zaczęli szukać jakiegoś innego miasta – rzekła Iskierka, kiedy skończyli jeść i przyjrzeni się reszcie stada. – Tych tam nie starczy na długo, a mnie prędzej szlag trafi, niż zjem jeszcze trochę ryb.

Ludzie też chcieli ruszyć w drogę, gdy tylko znane będzie jakieś miejsce, do którego mogliby się przenieść.

— Najlepiej będzie, jeśli polecicie w trójkę – powiedział Granby. – Jest mała szansa, żeby ktoś przybył do nękanego przez mór miasteczka, a jeśli nawet zostali tu jacyś ludzie, którzy mogliby mieć nam za złe, że tak swobodnie częstowaliśmy się ich jedzeniem, nie może być ich zbyt wielu. My sobie tu doskonale poradzimy, a wy powinniście mieć odpowiednie siły, kiedy spotkacie się z miejscowymi smokami, jeśli są gdzieś w okolicy.

— Nie zostawię Demane z marynarzami – oświadczył stanowczo Kulingile.

— Ja pójdę na polowanie – rzekł Demane – a ty znajdziesz nam jakieś miejsce, w którym będziemy mogli się zatrzymać. Nie jestem dzieckiem, które musi być stale pilnowane.

Powiedziawszy to, odszedł sztywnym krokiem. Temeraire pomyślał, że był nadto surowy wobec Kulingile, który opuścił smutno głowę, ale w słowach Granby'ego było sporo sensu.

— I tak nie chciałbyś mieć ze sobą Demane w chwili, kiedy po raz pierw-

szy spotkamy obce smoki – powiedział do Kulingile, żeby go w ten sposób pocieszyć, choć w głębi ducha też wolałby zatrzymać Laurence’a przy sobie; wbrew woli wciąż wracał myślą do Afryki, kiedy to też myślał, że Laurence będzie bezpieczny, a powróciwszy z zaledwie jednodniowego lotu do Kapsztadu, odkrył, iż porwali go Tswana.

— Nie odlecimy też bardzo daleko – dodał.

Nie było przynajmniej potrzeby zataczania szerokich łuków nad ziemią: była tam rzeka, po jej obu stronach wąskie pasy zieleni, a poza nimi tylko rozległa, zakurzona pustynia; wystarczyło, żeby smoki trzymały się koryta. Raz natknęły się na coś, co Temeraire uznał po zastanowieniu się za drogę, a raczej ścieżkę dla pieszych, z całą pewnością nie dla smoków, ale znaczoną regularnie rosnącymi drzewami, które z natury nie mogły ustawić się tak równo. Droga przecinała rzekę, biegnąc na północ i południe, co wywołało pewną dyskusję: Iskierka była za tym, żeby skręcić i podążyć w jednym z tych kierunków.

— Zbudowali ją ludzie – argumentowała – co musi oznaczać, że nią podróżują, a jeśli znajdziemy ludzi, najpewniej znajdziemy też więcej lam, a może i innych zwierząt.

— Jeśli są podróżnikami, to mogą pokonywać duże odległości, nie mając ze sobą innych zwierząt poza końmi lub jakimiś innymi stworzeniami do jeżdżenia, a nie jedzenia – odparł Temeraire. – Nie mogę się zgodzić, że to dobry pomysł, lecieć gdzieś w głąb pustyni, kiedy nie chcemy się za bardzo oddalać. Jest dużo bardziej prawdopodobne, że znajdziemy jakichś ludzi żyjących nad tą rzeką, jeśli tylko będziemy się jej trzymać.

— Ale jeśli oni żyją nad rzeką, to najpewniej jedzą ryby – zrzędziła Iskierka.

W miarę jak smoki leciały coraz dalej w górę rzeki, pasy zieleni po obu jej stronach były coraz szersze. Kulingile śledził wędrówkę słońca na niebie, obserwując cień swojego skrzydła, i widać było, że pragnie jedynie natychmiast ruszyć w drogę powrotną, ale kiedy Temeraire zaproponował z litości, by to zrobił wcześniej od niego i Iskierki, Kulingile odparł cichym głosem:

— Nie. Gdybym wrócił bez was, Demane domyśliłby się, że przyleciałem, by go poszukać; nie chce, żebym był wcześniej.

— Cóż – powiedział Temeraire ze współczuciem – w takim razie lepiej, żebyśmy się rozdzielili i poleciali w różne strony; w ten sposób zbadamy więcej terenu, szybciej coś znajdziemy i wrócimy razem też szybciej.

Kulingile rozpromienił się, a Iskierka też nie była niechętna temu planowi. Uzgodnili, że spotkają się za godzinę, i rozdzielili się.

Minęła niemal cała godzina, zanim Temeraire ostatecznie się poddał i zawrócił w kierunku miejsca spotkania nad rzeką, a potem całkiem przez przypadek natknął się na pewną konstrukcję, akwedukt odprowadzający wodę z rzeki na północ, i chociaż nie znał celu, w jakim go zbudowano, jasne było, że postawiono go umyślnie, zatem skręcił, żeby podążać wzdłuż niego, i po zaledwie kilku minutach lotu znalazł się nad rozległym polem. Zobaczył na nim małego smoka z zielonymi i żółtymi piórami, który ciężko pracował, ciągnąc osobliwe urządzenie do spulchniania ziemi.

To urządzenie, pomyślał Temeraire, było zrobione z sześciu dziwnych brązowych narzędzi, które widzieli w wiosce nad oceanem, dość nieporadnie połączonych, a następnie przymocowanych sznurami do barków smoka. W pracy towarzyszyło mu kilkoro ludzi, mężczyzn i kobiet, podążających za nim przez pole i odwracających ziemię, którą rozciąły ostrza.

Temeraire zawisł nad drzewami, ale nikt z nich nie spojrzał w górę, gdyż wszyscy byli skupieni na ziemi pod ich nogami, więc postanowił wylądować, żeby się przedstawić. Kiedy jednak się zniżył, mały smok uniósł głowę, zobaczył go, zapisał z przerażenia i rzucił w niego cały brązowy pług.

— Au! – krzyknął Temeraire, krzywiąc się z bólu, kiedy ta cała pobrzękująca masa uderzyła go w pierś i głowę. – Nie masz nawet jednej ósmej mojej wagi; co ty sobie myślisz...

Ale mały smok nie czekał, aż on skończy; chwycił garstkę ludzi w łapy i już wzbijał się w powietrze.

— Och! – krzyknął rozzłoszczony Temeraire i ryknął za nim; nieznajomy smok nabrał tylko większej prędkości, ale równie nagle wyhamował, kiedy tuż nad wierzchołkami drzewami ukazał się Kulingile, lśniący złotem w promieniach słońca.

– Myślałem, że może jesteś Supay albo jeden z jego sług – powiedział z roz-targnieniem mały smok, mający na imię Palta, nie odrywając nadal zachwyconego spojrzenia od Kuligile. Ale czym był Supay, Temeraire nie wiedział, choć mały smok zdawał się mieć na myśli jakiegoś stwora spod ziemi.

— Nie rozumiem, jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy – odparł Temeraire. – To brzmi tak, jakbyś mnie wziął przez pomyłkę za bunyipa lub coś w tym rodzaju, zamiast za smoka, co jest doprawdy absurdalne.

— Nie chcę być nieuprzejmy – powiedział Palta, strosząc pióra tak, że zaczął wyglądać na dwa razy większego, niż był naprawdę – ale jesteś cały czarny i pomarszczony, jakbyś był spalony, a więc nie myślę, by to było aż tak absurdalne.

To jednak było nieuprzejme, w opinii Temeraire’a, i właśnie miał to powiedzieć, kiedy wylądowała Iskierka.

— Dlaczego tak tu siedzicie? Znaleźliście już inne miasto? – zapytała i popatrzyła krytycznie na Paltę. – Czy w pobliżu jest coś do jedzenia? – zapytała go.

Nie zrozumiał jej oczywiście, tylko odsunął się, wystraszony przez jej spowitą w parę głowę, którą wysunęła gwałtownie do przodu.

— Moi rybacy mieli właśnie bardzo obfity połów... złowili dużo... – zaczął nieśmiało, kiedy Temeraire przetłumaczył pytanie Iskierki.

— W takim razie do czego on nam się może przydać? – przerwała mu niecierpliwie. – Wracajmy do obozu i tam dowiemy się więcej od tego jegomościa.

— Jakiego jegomościa? – zapytał Temeraire, a potem odkrył, że Iskierka niosła na grzbiecie człowieka, którego najwyraźniej gdzieś pochwyciła. Był to starzec o bardzo białych włosach, pomarszczonej i zbrązowiałej na słońcu skórze oraz twarzy całej w plamach. Nawet nie zapytała go, czy ma coś przeciwko temu porwaniu.

— Jak mogłam go zapytać, kiedy nie mówię w ich języku? – odparła, odrzucając protesty Temeraire’a. Był całkowicie pewny, że powinna zapytać, a jeszcze lepiej postąpiłaby, gdyby nie zabrała go w ogóle. – Przecież nie zamierzam go skrzywdzić. Zapytamy go, gdzie można znaleźć coś lepszego do jedzenia, a potem odniosę go tam, skąd go zabrałam... to było gdzieś tam – dodała, pokazując głową kierunek.

— Jestem pewny, że ona wcale nie wie, gdzie go znalazła – mruknął pod nosem Temeraire, a potem zapytał Paltę: – Pewnie go nie znasz?

— Nie, on nie jest mój, i nie możecie wziąć sobie żadnego z moich – odrzekł Palta, ustawiając się z niepokojem między nimi a swoją małą grupką mocno wystraszonych ludzi. – Jeśli spróbujecie...

— Proszę, przestań, dlaczego mielibyśmy ich zabierać? – uspokoił go Temeraire. – Nie próbujemy wziąć cię do niewoli; chcemy się tylko dowiedzieć, gdzie jesteście i jak moglibyśmy się dostać do Brazylii; nie jesteśmy złodziejami. – Przerwał, uświadomiwszy sobie, że Iskierka już dowiodła, że to fałsz.

– No cóż, z wyjątkiem Iskierki, ale... widzisz... ona zamierza odstawić tego dżentelmena z powrotem do domu, kiedy już zadamy mu trochę pytań – do końca, czując się bardzo niezręcznie.

Palta, nieprzekonany, dał się namówić do towarzyszenia im w drodze powrotnej na wybrzeże dopiero wtedy, kiedy Temeraire przystał na jego żądanie, że pozwoli mu najpierw odesłać do domu garstkę jego towarzyszy. Mimo to starał się trzymać z przodu, kiedy ruszyli w drogę, jakby mógł nie dopuścić do tego, żeby Temeraire zobaczył, w którą stronę się skierowali, gdy już weszli między drzewa; a następnie nalegał, żeby poczekali, aż odgłosy przejścia ludzi zupełnie ucichną. Potem zażyczył sobie, żeby wszystkie cztery smoki leciały razem, skrzydło w skrzydło, chociaż nie było to wcale wygodne, gdyż Kulingile był najwolniejszy z nich wszystkich, a Temeraire mógłby wysforować się na czoło.

Marynarze zbudowali tymczasem prowizoryczny obóz z materiałów znalezionych w magazynie: postawili kilka szałasów i namiotów nad rzeką, w pewnej odległości od miasteczka, i rozpalili kilkanaście ognisk, jak z zadowoleniem zauważył Temeraire. Kiedy lądowali, ludzie śpiewali właśnie *Hiszpańskie dziewczyny*.

— Och – powiedział Palta, rozglądając się po obozowisku. – Och, tak wielu! Czy oni wszyscy są twoi?

Pytał Kulingile, chociaż ten go nie rozumiał i nie mógł mu odpowiedzieć. Temeraire prychnął z niezadowoleniem.

— Oni są nasi – odrzekł – chociaż nie tak, jak myślisz; to marynarze i są tutaj, ponieważ nie zostawiliśmy ich, żeby utonęli, i powinni być za to dużo bardziej wdzięczni, niż są. Laurence – powiedział, odwracając się – to jest Palta, a ten człowiek nazywa się Taruca. Iskierka go pochwyciła i nie mogę się dowiedzieć, czy go chociaż zapytała o zgodę.

Chociaż rozbili obóz w górze rzeki, w pewnej odległości od domów, świątynia na wzgórzu rzucała długi cień. Ludzie rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami i nie próbowali nawet wymykać się do miasteczka na rabunek, a Laurence nie powiedział nikomu, nawet Granby’emu, co jeszcze widział wewnątrz piramidy zamienionej na kostnicę: blachy kutego złota na ścianach i srebrne naczynia stojące pośród sienników z rozkładającymi się zwłokami.

Magazyn stworzył przynajmniej możliwość zaspokojenia zachłanności

marynarzy w skromniejszym zakresie i Laurence bez wahania rozkazał Forthingowi rozdzielić między nich dzbany z lokalnym piwem, które znaleźli w środku: lepiej żeby ludzie byli senni i spokojni niż skłonni do rozglądania się po okolicy; nie miał złudzeń, że w obliczu tak ogromnego skarbu którykolwiek z nich zdołałby zachować rozsądek i powściągliwość.

Na szczęście smoki niebawem wróciły, chociaż dały im nowy powód do zmartwień w osobie Taruki, a Iskierka zarazem nie odczuwała żadnej skruchy i nie potrafiła powiedzieć, skąd dokładnie go zabrała.

— W każdym razie był sam – mówiła – siedział na słońcu blisko starego, pustego domu i nie próbował nawet uciec, kiedy wylądowałam i go podniosłam.

— Och, Boże – rzucił zdesperowany Granby. – Oczywiście, że nie uciekał, ty obłąkana bestio: jest ślepy jak kret.

Twarz Taruki znaczyły ślady po ospie, skupione głównie wokół jego zniszczonych przez chorobę oczu, ale wydawał się bardziej zrezygnowany niż przerażony swoim porwaniem. W każdym razie był gotów przyjąć ich przeprosiny, jak również zjeść z nimi obiad i wypić trochę podkradzionego piwa.

— Dziękuję wam; jest bardzo orzeźwiające – powiedział uprzejmie, nie wspominając, co równie dobrze mógł zrobić, że częstują go napojem z zapasów jego ludu. – Ale słyszę ocean: czy to nie jest Quitalén? Nie możemy tu pozostać: gubernatorzy zakazali ludziom przebywać w tym miejscu, dopóki jest tu niezdrowe powietrze.

— Jeśli dobrze zrozumiałem – dodał Hammond do swojego tłumaczenia – mór przeszedł przez miasteczko niecałe trzy miesiące temu, a... czerwona gorączka?... miesiąc później i według jego słów była gorsza.

— Odra? – zasugerował Ferris.

— Odra chyba nie byłaby gorsza od moru – powiedział z powątpiewaniem Granby. – Ale tu rzeczywiście musi być niezdrowe powietrze; kto słyszał, żeby te choroby występowały w tak krótkich odstępach czasu jedna po drugiej; do tego ospa, jeśli twarz tego człowieka może być wskazówką. Niech pan go zapyta z łaski swojej, gdzie jest jego dom, dokąd mamy go zabrać.

Kiepska znajomość języka ewidentnie przyczyniła się do tego, że Hammond miał pewne problemy z przekazaniem tej wiadomości. Taruca zdawał się zakłopotany pytaniem, a po wysłuchaniu go smok Palta zerknął ukrad-

kiem na Temeraire'a, po czym zaproponował ostrożnie:

— Jeśli go nie chcecie, chętnie go wezmę: mógłby pomagać przy zmarłych i wykonywać tylko takie lekkie prace; zapewniam was, że bylibyśmy dla niego bardzo dobrzy.

— Nie zabraliśmy go po to, żeby zrobić z niego służącego u obcych – odparł Laurence, kiedy przetłumaczono mu tę propozycję. – Panie Hammond, proszę go zapewnić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć jego ludzi; w każdym razie Iskierka może nam ogólnie wskazać kierunek. A jeśli nam się nie uda... – Przerwał; nie miał najmniejszego pojęcia, co powinni zrobić z tym starcem; raczej nie mogli zostawić go na pastwę losu, ale zabranie go w dalszą drogę, oderwanie od domu, ojczystej ziemi oraz ludzi, wśród których przeżył całe życie, wydawało się niewiele mniej okrutne. – Niech pan go zapyta, co jego zdaniem powinniśmy zrobić – dokończył bez przekonania.

Kiedy w końcu ta propozycja została przekazana i zrozumiana, Taruca zapytał niepewnie:

— Czy... czy zabralibyście mnie do domu, do moich dzieci? Mieszkają w *ayllu* Curicuillor, nad Titicacą... zabierzecie mnie z powrotem do nich?

— Obawiam się, że nie znam dokładnego znaczenia tego słowa – dodał Hammond do swojego tłumaczenia. – Przedtem wydawało mi się, że oznacza rodzinę, ale w tych okolicznościach nie wydaje się to zupełnie poprawne.

— Tak czy owak, niech pan mu powie, że chętnie to zrobimy – rzekł Laurence – jeśli będzie mógł nami pokierować. Gdzie to jest?

— Jezioro Titicaca; to jest w górach, w pobliżu Cusco – odpowiedział Paltta – i niemal dwa tygodnie lotu stąd, lotu w złym powietrzu; naprawdę lepiej zostawcie go ze mną, jeśli sami go nie chcecie.

— Dwa tygodnie lotu? – powtórzył skonsternowany Granby, kiedy Temeraire przetłumaczył słowa małego smoka. – Mogłem się spodziewać, że schwytasz akurat takiego człowieka, którego najbliżsi krewni żyją po drugiej stronie kraju – zwrócił się do Iskierki – ale zastanawia mnie, co on w takim razie robił tutaj.

Tymczasem Hammond, jak zwykle całkowicie skupiony na głównym celu, zgłosił natychmiastowy i zdecydowany sprzeciw.

— Nie możemy po prostu latać po kraju bez zgody władz, zwłaszcza na takie odległości – powiedział. – Nawet jeśli takie wtargnięcie nie spowoduje wrogiej odpowiedzi... która, kapitanie – dodał – raczej nie pozwoli nam

przydać się na coś temu biedakowi...

— Nie musi pan mnie tak przekonywać, panie Hammond; zgadzam się, że najpierw musimy się przedstawić, nawet wyglądając tak, jak wyglądamy, jakiemuś najbliższemu reprezentantowi władz – rzekł Laurence. – I dlatego to musi być naszą sprawą do załatwienia w pierwszej kolejności, a potem...

— Być może znajdziemy jakiegoś tubylca podróżującego w tamtym kierunku i skłonnego zabrać tego dżentelmena ze sobą – przerwał mu Hammond, demonstrując optymizm oparty na niezbyt realnych podstawach, zwłaszcza w kontekście odległości, które wchodziły w grę. Laurence wiedział, że o ile szczęśliwym trafem nie zdarzy się coś takiego, o tyle Hammond już wkrótce zacznie namawiać, by kontynuowali misję i zapomnieli o odstawieniu starca nad jezioro Titicaca. Był zmuszony przyznać, że jego argumenty będą rzeczywiście przekonujące, jeśli wziąć pod uwagę stratę czasu, jaką pociągnie za sobą tak daleki lot w kierunku odbiegającym od właściwej trasy ich podróży.

— Tak czy inaczej – odezwał się Temeraire, zwracając ku nim głowę po krótkim przesłuchaniu małego smoka – możemy zapytać gubernatora, co powinniśmy zrobić. Palta mówi, że on się nazywa Hualpa Uturuncu i mieszka w mieście o nazwie Talcahuano.

Rozdział 8

Odległość nie ma wielkiego znaczenia – odpowiedział gubernator Hualpa, kiedy Temeraire wytłumaczył mu ich kłopot. – Jednakże kradzież oczywiście ma.

Znajdowali się wewnątrz świątyni, wspaniałej budowli, wielokrotnie większej od piramidy, którą widzieli na brzegu, chociaż wzniesionej w tym samym stylu, z niezmiernie szerokimi tarasami z wielkich kamiennych bloków, tak ściśle do siebie dopasowanych, że przerwy między nimi widać było tylko z bardzo bliska. A w środku, och, w środku! Ściany były całkowicie pokryte złotą blachą, cienką i misternie grawerowaną, i lśniącą w świetle wielu lamp oraz słońca, którego promienie wpadały wielkimi snopami przez okna wykute w sklepieniu.

Jeden z marynarzy podszedł do ściany i potarł ją, zanim Forthing przywołał go z powrotem ostrym głosem: Temeraire usłyszał, jak mówi cicho do swoich kompanów: „Złoto, prawdziwe złoto”. A zatem nie był to zwykły mosiądz – chociaż nawet mosiądz byłby niemal tak samo cudowny. Temeraire nie odmówiłby nikomu, kto chciałby podarować mu takie panele, wykonane z mosiądzu, dla jego pawilonu.

W takiej scenerii tym bardziej przygnębiające było to, że przed miejscowym dostojnikiem stanęli tacy zaniedbani i obdarci. Laurence zatrzymał ich na cały dzień, żeby się wyszorowali w rzece i w miarę możliwości doprowadzili do porządku ubrania przed wejściem do miasta i zaprezentowaniem się Hualpie, ale istniały granice tego, co można było zrobić w zimnej wodzie i za pomocą kilku krzywych igieł. Temeraire bez powodzenia próbował namówić Laurence’a do tego, żeby na spotkanie włożył swoją szatę, a wszyscy inni posiadali tylko takie ubrania, jakie akurat mieli na sobie.

Smok potrafił oczywiście zrozumieć, dlaczego Laurence chciał cierpieć z innymi ogólny niedostatek, ale kiedy schylił głowę pod nadprożem

ogromnego wejścia i wszedł do środka, i jego oczy dostosowały się do blasku tych wszystkich wspaniałości, jakie zobaczył przed sobą, pożałował tego znowu, a jeszcze bardziej, gdy gubernator wyszedł im naprzeciw. Hualpa nie był tak długi jak sam Temeraire, ale niewiele krótszy, a jego pierzaste łuski były tak szeroko nastroszone wokół jego szyi i barków, że wydawał się większy, niż był naprawdę.

Tak czy inaczej, ozdoby związane z jego stanowiskiem dodałyby powagi nawet stworzeniu mniejszego formatu: górną część jego szyi obejmowała obręcz ze złota, nałożona na wełniany kołnierz z jasnozielonymi frędzlami, które kontrastowały z głębokim fioletem jego łusek, a w uszach miał tak ogromne złote koła, że zwisały aż do jego dolnej szczęki. W dolnych krawędziach jego skrzydeł były złote pierścienie, rodzaj ozdoby, jakiej Temeraire nigdy nie widział: niezwykle pięknej, jego zdaniem.

— Należy brać pod uwagę to, że obcokrajowcy i goście mogą nie znać miejscowych obyczajów – kontynuował Hualpa – ale to jest naprawdę dziwne. Czy spodziewacie się, że pochwalę wasze zachowanie?

Usiadł na tylnych łapach, a złote pierścienie zadźwięczały, uderzywszy w kamienną podłogę, kiedy skomplikowanym ruchem opuścił skrzydła i przełożył je na grzbiet: zdobiące je również szmaragdy wpadły w snopy światła przebijające wielką salę i na chwilę rozbłysły jaskrawą zielenią.

— Wiadome jest, że ludzie z morza są notorycznymi kłamcami i złodziejami – dodał surowym tonem – i chociaż słyszałem głosy mówiące, że to dlatego, iż są ludźmi pozbawionymi *ayllu*, oto zjawiacie się tu wszyscy razem i bezczelnie stajecie przede mną, nie próbując nawet ukryć swojego przestępstwa.

— Ale wszyscy ludzie byli martwi – zaprotestował Temeraire. – Lamy wałęsały się tylko po okolicy, zupełnie swobodnie...

— Nie chodzi o lamy – przerwał Hualpa – oczywiście możecie sobie jeść lamy, jeśli nikt ich nie pilnuje, a wy jesteście głodni. Chodzi o tego człowieka.

– Nie wiedziałem, że oni praktykują niewolnictwo w tym kraju – powiedział dość zaniepokojony Hammond do Laurence'a, gdy Temeraire przetłumaczył tę wymianę zdań – ale jeśli to ich zwyczaj... jeśli to ich prawo...

Hammond miał prawo się niepokoić, pomyślał ponuro Laurence: nie potrafił wyobrazić sobie, by czegoś mniej pragnął od oddania człowieka w nie-

wolę, przy czym to, czy miałyby zostać własnością innego człowieka czy też smoka, nie robiło żadnej różnicy. Tłumaczyło to wielką odległość między domem Taruki – skąd z pewnością zabrano go wbrew woli – i ostatnim miejscem zamieszkania, jak również rezygnację, z jaką przyjął nowe porwanie. Człowiek, który raz popadł w niewolę, mógł obojętnie przyjąć zmianę właściciela i raczej nie wierzyć w to, że jego nowi porywacze postąpią wobec niego uczciwie i litościwie.

— Proszę zapytać tego dżentelmena – powiedział Laurence, przerywając mamrotanie Hammonda – dlaczego zabrano go z jego domu. Czy popełnił jakieś przestępstwo?

— Muszę panu przypomnieć, kapitanie, że nie możemy się wtrącać z naszymi ocenami w ich sprawy... – Hammond urwał, widząc wyraz twarzy Laurence'a, i odwrócił się, żeby porozmawiać z Tarucą, którego oburzenie, kiedy już zrozumiał sens pytań Hammonda, nie wymagało żadnego tłumaczenia.

— Nie było żadnego innego powodu oprócz tego, że oddaliłem się zbyt daleko, wyszedłszy poza obszar będący pod ochroną mojego *ayllu*, i mogłem być bezkarnie pojmany. Dlaczego ktoś miałby mnie chcieć, gdybym był przestępcą i złodziejem? – odparł Taruca i zawahał się, a potem wyprostował się dumnie i dodał: – Gdyby jednak jakiś powód był potrzebny, mogę dodać, że należę do *khipukamayuc*, spłodziłem trzech synów i siedem córek i wszyscy oni jeszcze żyli, kiedy widziałem ich ostatni raz, a poza tym jestem oczywiście naznaczony, czego nie muszę wam mówić.

Skończywszy tę przemowę, znowu się zgarbił i powiedział z rezygnacją, tak cicho, jakby kierował te słowa tylko do siebie:

— Oczywiście nie zamierzacie odstawić mnie z powrotem do domu.

Laurence chciałby go uspokoić bardziej zdecydowanie, niż mógł w zaistniałych okolicznościach.

Tymczasem przysłuchujący się tej wymianie zdań gubernator pochylił głowę i przyjrzał się Taruce zmrużonym, czerwonym okiem.

— Czy on jest naznaczony? – zapytał. Uniósł znowu głowę, potrząsnął nią, tak że pierścienie jego osobliwego wyposażenia zadźwięczały, i powiedział do Temeraire'a: – A więc on przeżył ospę? Sprawa staje się coraz gorsza. Wy jesteście ludźmi morza: nie macie dla niego żadnego *kipu*, z którym miałby pracować, i żadnych innych zadań odpowiednich dla mężczyzny w jego wieku. Co chcieliście z nim zrobić? I z tego, co mówisz, wynika, że nie

rzuciliście nawet odpowiedniego wyzwania.

— Ale nie mogliśmy rzucić wyzwania, nawet gdybyśmy chcieli – odparł Temeraire. – Jak już tłumaczyłem, Iskierka nie zapamiętała zbyt dobrze miejsca, z którego zabrała Taruce; nie wiedziała, że on jest ślepy i nie będzie mógł nam pokazać drogi powrotnej. Tak czy inaczej, zamierzamy go zabrać do jego dzieci, a nie zatrzymywać, żeby dla nas pracował. I myślę, że to bardzo nieładnie, że go rozdzielono z nimi. Jeśli zamierzasz robić nam wyrzuty z tego powodu, że odebraliśmy go właścicielowi, to nie jest to chyba gorsze od odebrania go rodzinie.

Jeszcze zanim Temeraire skończył tłumaczyć swoje słowa, Laurence zrozumiał, do czego zmierzał smok, głównie dzięki coraz gwałtowniejszym gestom protestu Hammonda, który starał się zwrócić na siebie jego uwagę; w końcu Laurence dotknął ręką boku Temeraire'a, żeby mu przerwać, i usłyszał krótką relację z rozmowy.

— Nie możesz się tak zwracać do przedstawiciela innego kraju! – rzucił Hammond ostrym tonem. – Gubernatorze – powiedział, unosząc głowę w stronę Hualpy, i krzyknął: – muszę Waszą Dostojność poinformować, że to, co powiedział Temeraire, w żadnym razie nie reprezentuje stanowiska Jego Królewskiej...

Gubernator Hualpa, który do tej pory nie zwracał szczególnej uwagi na ludzkich członków ich grupy, pochylił głowę, żeby skierować ogromne czerwone oko na Hammonda, którego głos na ten widok zaczął się lekko łamać.

— Dlaczego na mnie krzyczysz? – zapytał Hualpa. – Gubernator ludzi nie przyjmie was, bo wasi rodacy okazali się niegodni zaufania i wy też najpewniej spróbowalibyście wziąć go do niewoli, żeby później wymienić na złoto; nie możecie o to winić nikogo oprócz siebie samych. Czy próbujesz mi powiedzieć, że ten smok nie ma odpowiedniej pozycji, by mówić w waszym imieniu?

To pytanie sprawiło, że Hammond zamarł z szeroko otwartymi ustami, wyraźnie nie przejawiając ochoty, by rzeczywiście zastąpić Temeraire'a w roli przedstawiciela ich grupy. Jeśli jednak miała im pozostać choć najmniejsza nadzieja na przekonanie gubernatora, żeby pozwolił odejść wolno Taruce bez prowokowania poważnego incydentu, jakaś możliwość utrzymania kontaktu była im niezbędna; Laurence wziął Hammonda za rękę.

— Sam pan się przyznał do niewiedzy co do tego, jaki sposób znaleźli Francuzi, żeby nawiązać negocjacje – powiedział do niego. – Jeśli Inkowie

przyjmą smoka jako ambasadora, a jednocześnie nie zaakceptują w tej roli żadnego człowieka, tajemnica jest wyjaśniona: jeżeli pragnie pan, żebyśmy zyskali jakąkolwiek szansę nawiązania z nimi stosunków, nie wolno panu podważać autorytetu Temeraire'a.

— Tak... tak, oczywiście – odparł Hammond niechętnie, z ociąganiem, i ostatecznie przekazał to samo Hualpie, ale najpierw zrobił wszystko, żeby wyciągnąć od Laurence'a przyrzeczenie, iż dopilnuje, by Temeraire mówił tylko to, co on, Hammond, najpierw zaaprobuje.

– Wiesz, co o tym sędzę – powiedział Laurence, kiedy Hammond przemawiał do Hualpy – i było mi przykro, bardzo przykro, kiedy się dowiedziałem, że w tym kraju praktykuje się niewolnictwo, ale Hammond ma rację, nie możemy liczyć na doprowadzenie do jakichkolwiek zmian w ich społeczeństwie, jeśli rozpoczniemy od antagonizmu, i tak naprawdę nie bardzo wypada nam to robić, jeśli naszemu własnemu krajowi można postawić zarzut udziału w tym barbarzyństwie.

— Cóż, oczywiście będę uprzejmy – odpowiedział mu Temeraire – ale muszę powiedzieć, że to raczej przesada nazywać nas złodziejami, tylko z tego powodu, że nie trzymamy niewolników, nie zakuwamy ich w łańcuchy i nie odrywamy od rodzin, by sprzedać obcym. Wydaje mi się także, że to, iż nie uważałem ich za właścicieli niewolników, było dla nich komplemmentem, a nie zniewagą...

— Nie zniewagą! – dobiegł z tyłu inny głos, kiedy Temeraire odwrócił się, by wspomnieć o tym wszystkim Hualpie. Temeraire spojrzał przez ramię do tyłu i zobaczył, że do sali wszedł kolejny smok: tylko trochę większy od Palty i o całkowicie zielonym upierzeniu. – To ma nie być zniewagą, kiedy mówisz, jakbym traktował go jak lamę... zakuwanie w łańcuchy! sprzedaż! och!

Nowo przybyły smok imieniem Cuarla, skinąwszy głową gubernatorowi Hualpie, przedstawił się jako poszkodowany właściciel Taruki.

— I byłoby nie do zniesienia – dodał – gdyby pozwolono zabrać go temu popalonemu smokowi. Jestem pewny, że on zakułby go w łańcuchy.

— Nikogo bym nie zakuł! – zaprotestował Temeraire. – A poza tym to nie ja go zabrałem, tylko Iskierka.

— Co o mnie mówisz? – zapytała Iskierka, przerywając swoją pełną zachwyty kontemplację ściany; znudziło ją słuchanie rozmowy, której nie mogła zrozumieć, i podeszła do ściany, żeby popatrzeć na złote panele. Kilku

marynarzy podkradło się razem z nią, starając się wykorzystać jej ciało do ukrycia swych prób odłamania małych kawałków złotej blachy; Ferris musiał co kilka minut przeganiać kolejne grupki z powrotem na miejsce.

— Tylko szczerą prawdę – odparł Temeraire – więc musisz to jakoś przełknąć. To ty zabrałaś Tarucę, a ten smok przyszedł tu, żeby złożyć na ciebie skargę i przysporzyć nam wszystkim kłopotów z powodu tego, co zrobiłaś.

Iskierka zmierzyła Cuarłę wzrokiem i prychnęła lekceważąco.

— To małe stworzenie może się na mnie skarżyć przez cały dzień, jeśli chce, ale co zamierza w związku z tym zrobić?

— Dobry Boże – wtrącił Hammond. – Temeraire, nie...

— Oczywiście, że tego nie przetłumaczę – odparł Temeraire, unosząc krewę; nie był przecież głupi, chociaż musiał przyznać, że w uwagach Iskierki, jakkolwiek nieuprzejmych, było sporo racji. Jednak samo prychnięcie nie wymagało żadnego tłumaczenia: nawet nie usłyszawszy żadnego zrozumiałego dla niego słowa, Cuarła nastroszył łuski tak, że powiększył się niemal dwa razy – osiągając w ten sposób mniej niż jedną czwartą wielkości Iskierki.

— Nie pozwolę na to! – rzucił z wściekłością. – Nie pozwolę! Domagam się walki, jeśli nie odda mi go z powrotem, i jej przeprosin; ma mi też dać jednego ze swoich ludzi; nie powinna mieć ich tylu, jeśli przez to staje się tylko bardziej zachłanna i chce ich posiadać coraz więcej. – Spiorunował wzrokiem Iskierkę, zmrużywszy wściekle oczy.

Temeraire przyjrzał mu się z pewną konsternacją: z pewnością nie mógł być rozsądnym stworzeniem.

— On chce się z tobą bić – powiedział do Iskierki, która domagała się dalszego tłumaczenia. – Nie, nie jestem w błędzie, i nie, on nie myśli, że musi walczyć z jakimś innym smokiem; sama widzisz doskonale, że patrzy prosto na ciebie, chociaż nie znasz jego języka.

— Może – wtrącił z niepokojem Hammond – może powinniśmy się nad tym zastanowić... kapitanie Laurence, wydaje mi się... ten smok wydaje się bardzo przywiązany do Taruki i jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby go źle traktował...

Usłyszawszy to, oburzona Iskierka odwróciła głowę.

— Nie przegram z nim.

— Raczej nie posunie to do przodu naszej sprawy, jeśli okaleczysz lub zabijesz miejscowego smoka po tym, gdy rozpoczęłaś od kradzieży jednego

z jego... – Hammond urwał, szukając w myślach słowa, jak założył Temeraire, które brzmiałoby ładniej od „niewolnik”.

— Wystarczy – powiedział w końcu Laurence, podczas gdy Granby mówił coś gorączkowo do Iskierki, która naburmuszyła się i wydyszała trochę pary, ale ustąpiła. – Temeraire – podjął Laurence – przekaż, proszę, tym... dżentelmenom, że w tej chwili nie wiemy, jak rozwiązać sprawę oddania Taruki, jako że on tego nie chce, ale nie ma mowy o jakiegokolwiek walce. Mam nadzieję, że przynajmniej gubernator nie wyobraża sobie, by Cuarla miał najmniejszą nawet szansę na zwycięstwo, i nie popiera tak nierównych pojedynków.

Ale kiedy Temeraire spróbował to wytłumaczyć, Hualpa pokręcił łbem, a jego złote ozdoby zadźwięczały jak dzwony.

— Oczywiście, że Cuarla nie będzie z nią walczyć osobiście – powiedział. – Jaki byłby pożytek z prawa, jeśli tylko tak moglibyśmy rozwiązywać podobne problemy? Równie dobrze moglibyśmy żyć bez żadnej cywilizacji. Nie: jeśli odmawiacie oddania tego człowieka i zapewnienia odpowiedniej rekompensaty...

— Cóż, z pewnością nie damy mu nikogo z naszej załogi tylko dlatego, że popełnił błąd, to po prostu nonsens – wtrącił od siebie Temeraire; nie czuł potrzeby przedyskutowania tego z Hammondem, jako że to rozumiało się niemal samo przez się.

— ...to ona musi stoczyć walkę z reprezentantem państwa – oświadczył Hulapa – a nie ze smokiem, którego skrzywdziła.

— Och – mruknął Temeraire.

— Wcale się tym nie przejmuję – odparła Iskierka. – Będę walczyć z każdym, kogo wystawią, i dam im nauczkę.

To, że Iskierka była gotowa w każdej chwili stanąć do walki, nie budziło niczyjej wątpliwości; ale Laurence nie był wcale bardziej zadowolony od Hammonda z tego, że znaleźli się w takiej sytuacji: pomijając całe ryzyko przegranej, niebezpieczeństwo grożące im w razie wygranej było niemal tak samo duże, gdyż najprawdopodobniej zrodziłaby ona urazę i wrogość.

— Proszę się nie obrazić – zwrócił się do Taruki, zwerbowałszy Temeraire'a jako tłumacza – ale jeśli Iskierka ma zaryzykować swoje życie za pańską wolność, chciałbym najpierw mieć pewność, że nie ma lepszej możliwości rozwiązania tego problemu od pojedynku.

Kiedy Temeraire to przetłumaczył, Taruca odpowiedział:

— Jaka lepsza możliwość? To nie jest winą Cuarli, biednego stworzenia; nie porwał mnie z jakiegoś miejsca ukrycia. Dał za mnie młodego mężczyznę mojemu ostatniemu *ayllu*: nie miałem tam żadnych krewnych, a chłopiec chciał się ożenić z jedną z młodych kobiet, więc powiedziałem, że pójdę. Tak więc teraz Cuarla ma oczywiście prawo domagać się walki.

— Temeraire, czy on na pewno powiedział, że przeszedł do Cuarli z wyboru? – zapytał zaskoczony Laurence. – Czy nie twierdził przedtem, że został schwytany nielegalnie?

— Zostałem, ale to było wiele *ayllu* temu – odparł Taruca, wyraźnie niewidzący żadnej sprzeczności między swoim prawem do wolności a prawem Cuarli do uzyskania satysfakcji, i zdziwiony, że Laurence w ogóle o to zapytał. – I wy nie jesteście z mojego *ayllu*; nie macie takiej pozycji, żeby móc żądać, by walczył za was obrońca państwowy.

— A czy ty nie masz żadnego prawa, by odwołać się do gubernatora?

— On jest smokiem – odrzekł Taruca, jeszcze bardziej skonsternowany.

— W takim razie do... do gubernatora ludzi? – nie rezygnował Laurence, a sfrustrowany Taruca uniósł ręce, po czym opuścił je bezradnie.

— O co miałbym prosić gubernatora? Nie mam skarg na Cuarłę, nie szukam innego *ayllu* w pobliżu, a nie mogę żyć bez żadnego, bo jestem ślepy i stary. Poza tym najpierw zostałem porwany w Collasuyo, innej prowincji, leżącej daleko stąd; nawet gdybym był młodym człowiekiem i spróbowałbym wrócić tam sam, to najprawdopodobniej zostałbym schwytany gdzieś po drodze. Dlaczego mnie wzięliście i dlaczego mówiliście, że zabierzecie mnie do mojego domu, jeśli nie jesteście gotowi rzucić wyzwania? Jestem starym człowiekiem i nie powinniście wzbudzać we mnie takich nadziei. Kiedy poprosiłem Cuarłę, a on odmówił, przynajmniej rozumiałem dlaczego: to nie leżałoby w naturalnym porządku rzeczy, gdyby taki mały smok z takim małym *ayllu* miał ze mnie zrezygnować. Ale wy na mnie naciskaliście i w końcu zacząłem myśleć tak: macie trzy potężne smoki, a poza tym słyszę, że wasze *ayllu* jest duże, pełne młodych mężczyzn; może naprawdę zamierzacie być tak wspaniałomyślni. Ale wygląda na to, że wy tylko zabraliście mnie z mojego *ayllu*, nie znając zupełnie prawa.

Laurence umilkł; nie mógł zakwestionować słuszności oskarżenia Taruki. I nawet to, że nie zamierzali zatrzymać go jako sługi, było kiepskim usprawiedliwieniem, gdyż nadal nie zmieniało to tej prostej prawdy, że

Iskierka, zabierając go, myślała jedynie o ich dobru, i Laurence nie był pewny, czy Taruki nie czekają jakieś represje ze strony właściciela, który choć poprzednio był łagodny, teraz, kiedy dowiedział się o jego pragnieniu powrotu do rodziny, mógł się zmienić.

— Temeraire – odezwał się w końcu – powiedz, proszę, gubernatorowi, że chociaż nie zamierzaliśmy nikogo obrazić, zrobiliśmy to bezwiednie, co stwierdzamy z żalem, i że odstawienie Taruki do jego domu jest dla nas kwestią honoru. Jeżeli przyjmując to wyzwanie, możemy zapewnić mu wolność i nie pogorszymy jeszcze bardziej stosunków między naszymi krajami, podejmiemy to ryzyko, dopóki Iskierka jest skłonna to zrobić.

– Mógłbym równie dobrze stanąć do walki zamiast niej – powiedział Temeraire, żałując poniewczasie, że tak przekonująco rozprawił o odpowiedzialności Iskierki. Żałował tego od chwili, gdy Hualpa wyjaśnił, że przed wejściem na arenę Iskierka musi przywdziać odpowiedni strój, a chwilę potem kilkanaście młodych kobiet zwanych mamaconas wyniosło z magazynu złoty naszyjnik-obrożę, bardzo podobny do tego, który nosił Hualpa, z frędzlami wspaniale utkanymi z czarnej wełny. – W końcu wszyscy jesteśmy z jednej grupy.

— Ponieważ to ona dopuściła się przestępstwa, ona musi za to odpowiedzieć – odrzekł Hualpa. – Chodźmy: możecie usiąść po jej stronie dziedzińca.

Temeraire westchnął.

— Tak, to jest dla ciebie – powiedział, gdy mamaconas przyniosły naszyjnik Iskierce, która zaczęła mu się przyglądać z wcale nieskrywaną chciwością; nie musiała tak otwarcie pokazywać, że byli bliscy całkowitej nędzy. – Laurence, reszta z nas musi wyjść na zewnątrz, na dziedziniec.

Który był nie mniej wspaniały od samej sali: wyłożony kamiennymi płytami, z dwiema fontannami po obu końcach i wylegującym się na słońcu po drugiej stronie smokiem, z którym miała walczyć Iskierka. Było to lśniące stworzenie z długimi, srebrzystymi i zielonymi na koniuszkach łuskami, oraz niezwykle długimi czarnymi kłami, które sięgały poniżej jego dolnej szczęki.

— Co to za smok? – zapytał Granby z grzbietu Temeraire'a, na który wdrapał się razem z Laurence'em, gdyż smok miał zanieść ich na trybuny.

Temeraire ze smutkiem wspominał czasy, kiedy to jego grzbiet, a nie żaden inny, był właściwym miejscem Granby'ego; to, że obecnie jego dawne

stanowisko zajmował Forthing, było zbyt przykre, by się nad tym dłużej zastanawiać: jakby Temeraire spadł bardzo nisko w oczach świata, w porównaniu ze swoim znaczeniem z tych dawnych dni.

— Nazywa się Manca Copacati – odpowiedział Temeraire po konsultacji z Hualpą, sadowiac się na jednym z tarasów świątynnej ściany, górującej nad długim bokiem dziedzińca.

— Copacati? – powtórzył Granby. – Plujący jadem?

Po przeciwnej stronie dziedzińca srebrny smok ziewnął szeroko i potrząsnął głową, splunął raz na ziemię niczym stary żeglarz, charknięciem oczyszczający gardło, a nad rzadką, zielonkawą substancją, która wylądowała na kamieniach, wzniosły się zaraz smużki pary, dobrze widocznej w świetle słońca.

Iskierka, która właśnie wyszła z korytarza prowadzącego na dziedziniec – i w opinii Temeraire’a nie robiła niczego sensownego oprócz puszenia się i nadymania – spojrzała na nich przez bark i zawołała:

— Och! Prawdziwa walka. Granby, patrzysz na to? Czy masz dobry widok? Mógłbyś się trochę obrócić, Temeraire, żeby Granby lepiej widział, jak wygrywam.

— Szlag by trafił to jej pozerstwo – zaklął Granby. – Czy mają tu chociaż lekarza?

— Jestem pewny, że sam bym też wygrał – bąknął pod nosem Temeraire, a jego żal zaostrzyło jeszcze to, że nie miała być to jakaś tam bijatyka, tylko walka z wyśmienitego powodu, aprobowanego przez Laurence’a.

— Ja też bym wygrał – powiedział niecierpliwie Kulingile do Demane. – Jestem dużo większy od tamtego smoka.

— *Cui?* – odezwał się Hualpa, wykonując jednocześnie gest łapą, i grupa młodych mężczyzn przyciągnęła wóz wyładowany koszami gorących, cudownie pachnących potraw, świnek morskich, oskórowanych i upieczonych z nadzieniem z jakichś orzechów i fasoli, a same kosze były zrobione z łusek kukurydzy, więc można było podnosić je kolejno i zjadać od razu w całości. Temeraire na pocieszenie zjadł pieć.

Granby tymczasem wypił tyle samo kubków mętnego piwa. Laurence nie bardzo mógł go za to strofować, zważywszy na okoliczności: przedłużające się oczekiwanie na to, aż zgromadzi się tłum żądnych rozrywki widzów, i zachowanie Copacatiego, który na drugim końcu dziedzińca dla zabawy opowiadał głośno o swoich dawnych zwycięstwach siedzącym po

jego stronie znajomym. Iskierka domagała się tłumaczeń tych historii, których Temeraire niechętnie dokonał: ułożyły się w długą opowieść o okaleczaniu i zabijaniu, która nawet gdyby była dziesięciokrotnie przesadzona, i tak budziłaby przygnębienie.

Widząc ból i niepokój Granby'ego, Hualpa powiedział coś do Temeraire'a, a ten nastroszył krezę.

— Jakbym pozwolił na coś takiego – sapnął z oburzeniem.

— Co znowu? – zapytał smutnym głosem Granby; siedział pochylony do przodu, oparty o szyję Temeraire'a, a czoło przycisnął do zdrowego ramienia, zasłaniając się przed słońcem, które zbliżało się do zenitu.

— Powiedział, że nie powinieneś się bać, bo Manca ma wspaniałe *ayllu* i weźmie cię do niego, jeśli zabije Iskierkę. Ale nie ma powodu do obaw: powiedziałem mu, że oczywiście zostaniesz ze mną, a gdyby srebrny smok próbował cię zabrać, będę z nim walczyć.

— Sir, minęło południe – odezwał się Forthing i w tej samej chwili Hualpa usiadł na tylnych łapach, po czym pokręcił głową, ewidentnie dając sygnał.

Copacati przerwał kolejną opowieść i odwrócił się ku stojącej po drugiej stronie dziedzińca Iskierce, rozkładając szeroko upierzone skrzydła, których końcówki musnęły ziemię.

Iskierka, naśladując go, wyciągnęła swoje długie ciało i też rozłożyła skrzydła, których delikatna błona przeświecała w jasnym słońcu, a kolor zdawał się mdły w porównaniu z kolorem długich, lśniących łusek inkaskiego smoka.

— Jaki to może mieć wpływ, pańskim zdaniem, na sprawność smoka; mam na myśli te pióra? – zapytał Forthinga zaciekawiony Hammond, wyraźnie nie wyczuwając sytuacji.

— Cóż... – zaczął Forthing – wyglądają jak łuski; przypuszczam, że może trudniej będzie jej się dobrać do jego skrzydeł, jeśli się na nie rzuci w walce...

— Nie rzuci się na jego skrzydła – przerwał mu Ferris, trochę niegrzecznie – chyba że zupełnie nie ma rozumu. On ma dwanaście kręgów szyjnych, licząc od stawu barkowego, a więc może obracać głowę o ponad sto osiemdziesiąt stopni. Jeśli Iskierka zbliży się do niego od tyłu, on po prostu obróci łeb i wbije jej te swoje kły poniżej mostka: nie musi być Longwingiem, żeby to wystarczyło.

— Jeśli mu się uda ją nimi zaczepić – odrzekł Forthing. – Nie wiem, czy

ktos kiedyś słyszał o wbijaniu kłów w przelocie...

— Panowie – rzucił ostro Laurence i obaj umilkli; mimo to Granby nie wyglądał na dużo bardziej szczęśliwego.

Może ze czterdzieści innych smoków wylądowało na świątyni i porozsia-
dało się w różnych miejscach na jej schodach. Cztery największe, bez wątpie-
nia w klasie ciężkich, dzieliły ich poziom, i wszystkie były ozdobione taką
ilością złota i srebra, że mogłyby zawstydzić każdą księżną, ale nawet im to-
warzyszyło dość niewielu ludzi, których otaczały zazdrośnie swoimi ciała-
mi. Kiedy spoglądały w ich stronę, nie patrzyły na Temeraire'a i Kulingile,
ale na Laurence'a i Granby'ego oraz innych członków ich grupy, a w ich
spojrzeniach widać było zazdrość.

— Możesz zapytać Hualpę, czy w tym mieście jest jakaś wyjątkowa liczb-
ba smoków? – poprosił Laurence cichym głosem Temeraire'a.

— Oczywiście, to trzecie największe miasto w Chirisuyo i może jedena-
ste pod względem wielkości w całym Pusantinsuyo – odpowiedział Hualpa;
jak sprecyzował, była to położona najdalej na południe prowincja imperium,
jedna z ośmiu takich prowincji i druga w państwie pod względem gęstości
zaludnienia; z pospiesznie narysowanego szkicu dowiedzieli się, że od czasu
panowania przedostatniego Sapa Inki terytoria imperium sięgały do okolic
Cieśniny Magellana.

— Jeśli jest tu połowa miejscowych smoków, co muszę uznać za mało
prawdopodobne – powiedział Hammond – to w siedmiu takich miastach...
nie licząc tych, które żyją w bardziej odległych rejonach...

Jego obliczenia zostały przerwane przez wszystkie smoki, które zarycza-
ły jednocześnie pełnym głosem, a Kulingile i Temeraire, siadając na tylnych
łapach, dołączyli z pewnym opóźnieniem do reszty. Zanim ten hałas ucichł,
Copacati wzniósł się w powietrze, a Iskierka pomknęła za nim.

Ich pierwsze przeloty koło siebie były zwykłymi popisami. Copacati rzu-
cił się ku niej i natychmiast odskoczył, próbując ją skusić do nieostrożnego
ataku; Iskierka błyskawicznie kłapnęła na niego paszczą, ale zbyttnio nie sta-
rała się do niego zbliżyć: ścigał go tylko szczęk jej zębów. Rzucane przez nich
cienie wyznaczały ich pozycje na ziemi. Temeraire doszedł do wniosku, że
sam dziedziniec wytyczał granice obszaru ich walki i że wypadnięcie poza te
granice było równoznaczne z poddaniem się; Laurence zauważył, jak Iskier-
ka rzuca szybkie spojrzenie na ziemię, żeby przed rozpoczęciem swojego
próbne go ataku ustalić, gdzie jest.

Zrobiła pętlę ku słońcu i wzbiła się wysoko z wysuniętymi do przodu pazurami, a Copacati nie spieszył się z reakcją.

— Jasna cholera, to podstęp; niech cię diabli! – krzyknął Granby do Iskierki. – Nie...

Za późno; zanurkowała na odsłonięty grzbiet Copacatiego i kiedy była już blisko, drugi smok gwałtownie przekręcił swoje ciało niemal na wznak i dzięki temu mógł na nią czekać z odsłoniętymi i już lśniącymi od jadu kłami. Nad trybunami dał się słyszeć cichy syk aprobaty; smoki wyprostowały się, niecierpliwie czekając na dalszy rozwój wypadków.

Ale Iskierka już zaczęła zmieniać kierunek, odbijając od prostej linii, po której rozpoczęła atak. Pierwsze ruchy, uświadomił sobie Laurence, zamaskowało słońce, oświetlające ją od tyłu. Minęła Copacatiego w odległości tylko nieco większej od zasięgu jego uderzenia; o kilka stóp raczej, a nie jardów, ocenił obserwujący to przez lunetę Laurence, ale to wystarczyło; a potem zataczając krąg, pomknęła w stronę granicy wyznaczonej przez drugi koniec dziedzińca.

Pragnące zachować bezstronność w swoich ocenach smoki zasyczały także na jej cześć, nawet z trochę głośniejszym entuzjazmem; Hualpa powiedział coś do Temeraire'a.

— On mówi, że to się zapowiada na naprawdę wspaniałą walkę, która jest najlepszym sposobem oddania czci bogom – przetłumaczył Hammond – i być może skończy się... – przerwał, po czym dokończył z zakłopotaniem – śmiercią, ale jak zrozumiałem, kapitanie Granby, coś takiego zdarza się niezmiernie rzadko.

— To był dość ładny manewr – przyznał niechętnie Temeraire – także jego, ale nie myślę, żeby można go było zaliczyć do najniebezpieczniejszych smoków. Sam widziałeś, Laurence, że nawet nie próbował splunąć na Iskierkę, co oznacza, że musi mieć bardzo ograniczoną ilość jadu, bo inaczej mógłby spróbować to zrobić, albo może musi ugryźć, żeby był jakiś rezultat.

Copacati wzbijał się niemal pionowo w górę, wyginając ciało w lewo i prawo i odsłaniając kusząco brzuch; na tę prowokację Iskierka chętnie odpowiedziała. Wystrzeliła do przodu, pokonując dzielącą ich przestrzeń z otwartą szeroko paszczą, i Laurence przez chwilę myślał, że może zamierza plunąć ogniem, ale zamiast tego znowu skrzyła, tym razem w dół, i przemknęła pod inkaskim smokiem w taki sposób, że jej tylne łapy i najeżony kolcami ogon otarły się o dolną część jego brzucha.

Ten zadany z ukosa cios nie mógł być mocny; Copacati wrzasnął bardziej ze złości niż bólu, a obserwujące walkę smoki postukały pazurami w kamienie.

— Ona ma pierwsze dotknięcie – przetłumaczył Temeraire.

— Hurra – krzyknął jeden z marynarzy, po chwili podchwycili to inni; kilku zdjęło koszule i zaczęło nimi powiewać niczym prowizorycznymi flagami.

— Nie ma powodu do takiej radości, zwłaszcza że to dopiero początek – powiedział Temeraire z ponurą miną, ale ludzie nie zwrócili na to uwagi, tylko wydawali kolejne okrzyki poparcia i zachęty.

— Tylko tak dalej, mała! – ryknął jakiś marynarz o tubalnym głosie. – Daj mu nauczkę!

Zadowolona Iskierka zerknęła w dół i nawet w odpowiedzi przerwała na chwilę walkę, a następnie dokonała niskiego przelotu nad trybunami, wyciągając imponująco swoje ciało i pozwalając, żeby koniuszek jednego skrzydła niemal dotknął ziemi. Na ziemię spadł ze stukotem grad kamyków, które wraz z tumanami kurzu wzniosł podmuch jej skrzydeł, i Temeraire, prychnąwszy z niezadowoleniem, uniósł skrzydło, żeby ich zasłonić; ale w najmniejszym stopniu nie ostudziło to entuzjazmu ludzi.

— Nie spuszczaaj z niego oka, ty nieszczęsny, pyszałkowaty stworze – krzyknął Granby, ale ta jego krytyka utonęła we wrzasku innych, a Copacati wykorzystał tę chwilę nieuwagi Iskierki, żeby wzbić się wyżej. Teraz krążył wysoko, w pełni kontrolując pole walki i mając pod sobą Iskierkę, odsłoniętą i podatną na atak; jego cień na dziedzińcu był tylko małą, nieregularną plamą, natomiast jej był niemal takiej samej co ona wielkości.

Hualpa wydał z głębi gardła dźwięk przypominający chrząknięcie, tak wyrażając dezaprobatę, a sama Iskierka leciała nieco nieporadnie, zataczając wznoszące się kręgi i próbując przy tym utrzymać głowę przekręconą w jedną stronę, żeby móc obserwować Copacatiego. To była niewygodna pozycja, trudna do utrzymania, i smoczyca najwyraźniej szybko straciła do niej cierpliwość, gdyż najpierw pokręciła energicznie głową, a następnie zaczęła się wzbijać w górę.

Copacati natychmiast zanurkował ku niej, wyciągając przed siebie łapy z rozczapierzonymi pazurami. Wypuścił z płuc całe powietrze, a jego pierzaste łuski przylgnęły gładko do ciała, tak że mknął ku niej jak strzała z zatrważającą szybkością.

— Och, nie – wyrwało się Kulingile i nawet Temeraire się wyprostował, rozplaszczając krezę na karku; dłonie Granby’ego, zaciśnięte na linie ich prowizorycznej uprzęży, były trupio blade.

Dla wszystkich było jasne, że impet uderzenia, obojętnie, w którym miejscu do niego dojdzie, rzuci ją w dół, na kamienie, gdzie oszołomiona stanie się łatwą do dobitcia ofiarą, i Laurence nie widział sposobu, w jaki mogłaby tego uniknąć, oprócz rzucenia się szerokim łukiem w bok, tak by ostatecznie wylądować na ziemi poza granicami dziedzińca. I gdy Copacati był już blisko, Iskierka wypuściła powietrze i parę, której strumienie trysnęły pod dużym ciśnieniem z jej każdego kolca, i zamiast wznosić się nadal naprzeciw niemu, runęła wraz z nim ku ziemi.

Jego prędkość była większa; w mgnieniu oka znalazł się przy niej i sycząc głośno, uderzył, ale ona szarpnęła głowę w bok i zaatakowała go pazurami, zmuszając do tego, żeby trzymał się z daleka. A potem oba smoki znowu się rozdzieliły. Żeby uniknąć uderzenia w ziemię, musiały wykonać zwroty, po czym wściekle dysząc, wzbiły się znowu wyżej.

Wyłoniły się z gęstej chmury pary, którą wytworzyła Iskierka, tumanów mgły oświetlonej z góry przez słońce, i rozproszyły ją. Ciągając jej pasma za sobą, oderwały się od siebie i odleciały w obie strony, po czym dotarły do końców dziedzińca i zaczęły tam krążyć, żeby trochę odetchnąć i poszukać jakiejś przewagi, kiedy już każde z nich miało czas, by wyrobić sobie opinię o przeciwniku.

W każdym razie Copacati z pewnością wyrobił ją sobie o Iskierce. Krążył teraz leniwie, wymachując od czasu do czasu ogonem w sposób sugerujący, że jest gotowy robić to jeszcze bardzo długo; przez cały czas uważnie obserwował Iskierkę i jego szczęki były lekko rozwarte, ale nie wykonywał żadnego ruchu świadczącego o zamiarze ataku.

— Och, niech go szlag – jęknął Granby.

Tym razem nie musiał nawet odsłaniać brzucha, żeby ją zwabić. Iskierka, która zdążyła zatoczyć kilka kół, była już wyraźnie znudzona bezczynnością i parskła niecierpliwie. W końcu opuściła swoją pozycję, rezygnując z przewagi, jaką jej dawała, i pomknęła w stronę Copacatiego. On zakończył swoje koło i wydawało się, że zacznie nowe, z którego wyszedłby akurat na czas, żeby się z nią spotkać, ale kiedy się do niego zbliżyła, nagle uderzył z całej siły dwa razy skrzydłami i wystrzelił do przodu z zaskakującą szybkością, otwierając szeroko paszczę.

Cofnął głowę, co nadało mu na chwilę wygląd gotowej do uderzenia kobry, i plunął, ale właśnie wtedy, gdy to zrobił, nadlatująca mu na spotkanie Iskierka też rozwarła szeroko szczęki i z jej gardła trysnął ogień, który dzielącą oba smoki przestrzeń zamienił we wnętrze rozpalonego pieca.

Cienki strumień trucizny trafił w płomień i spalił się, czemu towarzyszył tak silny smród, że można go było wyczuć nawet na ziemi; uniosła się czarna chmura drażniącego dymu i oba smoki skrzyły gwałtownie w przeciwne strony, żeby się od niej oddalić. Copacati, którego pysk i przednie łapy nosiły czarne ślady poparzeń, jaskrawo kontrastujące ze srebrzystymi łuskami, wydawał ciche okrzyki bólu. Iskierka nie miała dla niego litości i zatoczywszy krąg, rzuciła się w pogoń. Naciskała go mocno, wysyłając kolejny płomień, przed którym uskoczył w bok, a potem jeszcze jeden, i nagle wszystkie smoki znowu zaryczały, gdyż cień Copacatiego przesunął się poza granice dziedzińca i zanurzył się w płynącym obok strumieniu.

Rozdział 9

To było rzeczywiście niezwykle – powtórzył kolejny raz Hualpa, pochylając głowę z uznaniem, podczas gdy Iskierka pyszniła się swoim zwycięstwem; Manca Copacati siedział skulony na drugim końcu dziedzińca, z garstką służących, którzy polewali jego oparzenia wodą z fontanny i przykładali jakieś maści.

— Przecież on nie wiedział, że ona potrafi ziać ogniem; wydaje mi się, że wykorzystanie tej umiejętności do wygrania było trochę... trochę nieładne. A w każdym razie nie robi takiego wrażenia, jak by zrobiło, gdyby on wiedział... – powiedział Temeraire, a raczej chciał powiedzieć, ale ostatecznie nie potrafił tego usprawiedliwić nawet przed sobą samym; byłoby to zbyt podłe i, co sobie ze zgrozą uświadomił, takie musiałyby się wydać Laurence'owi. Zamiast tego pogratulował zatem niechętnie Iskierce, mówiąc: – To była ładna walka – a zaraz potem postanowił w duchu, że gdy następnym razem ktoś rzuci im wyzwanie do jakiegokolwiek walki, sam pokaże, na co go stać.

— Tak – odparła z zadowoleniem Iskierka – i myślę, że w przyszłości zastanowią się dwa razy, zanim znowu mnie wyzwą. Teraz możesz powiedzieć temu gubernatorowi, że chcielibyśmy poznać drogę do domu Taruki, bo nadal zamierzamy go tam odstawić.

Musieli z tym trochę poczekać, ponieważ przyniesiono właśnie kilka wielkich pieczeni: uginający się pod ciężarem młodzi mężczyźni wnieśli lamy na roznach, wciąż ociekające skwierczącym tłuszczem, przy czym dwie z nich, niezwykle smakowicie wyglądające, dostała Iskierka, i natychmiast rzuciła się na nie.

— Hm – mruknął Hualpa, ogryzając w zadumie swój rożen – zrobiono go z drewna o interesującym smaku, które przyjemnie było potrzymać na języku po zjedzeniu mięsa. – A więc wy naprawdę zamierzacie go oddać?

Myślałem, że tylko tak mówicie, żeby się usprawiedliwić.

— Dlaczego mielibyśmy wymyślać takie usprawiedliwienie? – rzucił Temeraire. – Przecież nikt z nas, Iskierka... lub ktokolwiek inny, nie miałby nic przeciwko walce, gdyby inni chcieli się z nami bić.

Hualpa wzruszył jednym masywnym barkiem.

— Wy, Europejczycy, zawsze kłamiecie w jednej lub innej sprawie – co było oskarżeniem, którego Temeraire nie uważał za usprawiedliwione, a poza tym on był smokiem chińskim – ale jeśli naprawdę go nie chcecie, równie dobrze może zostać tutaj. Chętnie wezmę go do mojego własnego *ayllu*. Nie ma sensu wlec starego człowieka przez pół imperium tylko po to, żeby zostawić go gdzie indziej.

— W rzeczy samej, kapitanie – powiedział skwapliwie Hammond do Laurence'a, podsłuchawszy tę sugestię – musi pan przyznać, że w tym, co on mówi, jest sporo sensu, i jest oczywiste, że oni tu nie znają niewolnictwa, przynajmniej nie rodzaju zachodniego; z pewnością nie ma tu okrucieństwa ani nadużywania władzy...

— Panie ambasadorze – przerwał mu Laurence – proszę, niech pan zapyta tego dżentelmena, czy woli zostać tutaj, czy też chciałby wrócić do miejsca, o którym mówił na początku – i Hammond westchnął z rezygnacją, zanim jeszcze zadał to pytanie. Taruca bez wahania potwierdził swoje pragnienie powrotu do domu, i to z entuzjazmem powiększonym przez jego rosnącą wiarę w szanse urzeczywistnienia tego pragnienia.

Kiedy Temeraire dał jasno do zrozumienia, że są zdecydowani zrealizować swoje zamiary, Hualpa także westchnął.

— Cóż, ponieważ z tego powodu przyjęliście wyzwanie, to, jak sądzę, prawo jest teraz po waszej stronie – powiedział. – Dam wam zezwolenie na podróż do Titicaki, a skoro już tam będziecie, to równie dobrze możecie kontynuować ją aż do Cusco i zobaczyć, co Sapa Inka o was sądzi. Słyszałem, że goszczą tam obecnie jacyś Europejczycy, więc może to jest dozwolone.

— Czy w takim razie Cusco jest stolicą? – zapytał Temeraire. – Czy leży daleko od Titicaki?

— Dwa dni lotu, powiedziałbym – odrzekł Hualpa.

— Och – wyrwało się Hammondowi i wszystkie sprzeciwy, jakie już zaczął zgłaszać Laurence'owi, nagle zamarły mu w gardle.

– Dziwi mnie, że on jest nadal tak pełen wątpliwości, kiedy zrobiliśmy dla

niego wszystko, co było w naszej mocy – powiedział Granby z lekką nutą niechęci w głosie: osobiście zbadał każdy cal głowy Iskierki, upewniając się, że nie wylądowała na niej ani kropelka jadu, który potem mógłby się dostać do jej nozdrza, oka lub paszczy. – Przecież do tej pory mógłby już uwierzyć.

— Jestem wdzięczny; ale ukradziono mnie już czternaście razy od czasu tego – odparł Taruca, dotykając dziobatej twarzy, kiedy zadano mu to pytanie. – Ale jeśli taka będzie wola Inti, chętnie wrócę do domu; jeżeli możecie mnie zabrać.

Jego ostatnia wątpliwość miała przyczynę czysto praktyczną: było jasne, że wykonana z lin i płótna żaglowego prowizoryczna uprząż, którą zrobili jeszcze na wyspie, nie posłuży im już bardzo długo. Shipley i wszyscy marynarze, którzy choć trochę potrafili szyc, naprawiali ją każdego dnia, ale obecnie miała już więcej łąt niż oryginalnego materiału i trzy tygodnie lotu przez nieznaną górę z pewnością byłyby ciężką próbą zarówno dla sieci, jak i ludzi, chyba że lubili ryzyko i nie przerażało ich niebezpieczeństwo upadku na poszarpane zbocza Andów. Tylko że nie mieli żadnych zapasów. Hualpa wspaniałomyślnie pozwolił im swobodnie polować w całej okolicy, ale chociaż biegało tam tak dużo dzikich i niepilnowanych lam, że smoki mogły się najeść do syta, nie było żadnego łatwo dostępnego źródła wyprawionej skóry; spośród ocalałych członków załóg naziemnych nie został ani jeden rymarz, a najbliższy tej profesji był stary marynarz z okrągłym brzuchem, który miał mgliste wspomnienia z czasów, gdy jako dziecko terminował przez parę miesięcy w zakładzie garbarskim.

Gong Su zaczął gromadzić zapasy żywności, najlepiej jak mógł przy braku soli; Temeraire powalił dla niego wielkie, puste w środku drzewo na drewno do wędzenia, a on sam w jakiś sposób, dzięki obserwacji i mowie gestów, zdołał opanować miejscową metodę suszenia mięsa. Część już wysuszonego udało mu się także wymienić na worki suszonej kukurydzy.

— Nie obiecuję, że zrobię z tego dobre jedzenie – powiedział do Laurence'a, zorganizowawszy to tak, że kilku marynarzy przytaszczyło te worki do ich nędznego, małego obozowiska na obrzeżach miasta – ale przynajmniej nie będziemy głodować.

Ale chociaż ich stos zdartych z lam skór stale rósł, potrafili z nich wyprodukować tylko na wpół przegniły, łuszczący się materiał, który dziwnie śmierdział i nie budził w nikim zbyt wielkiej wiary w to, że wytrzyma podczas nawet najspokojniejszego lotu.

— Tylko, sir – powiedział w zaufaniu Forthing – nie odpowiadam za ludzi, jeśli szybko stąd nie odlecimy. Wymkną się do świątyni przy pierwszej okazji, jaką będą mieli. W tym tygodniu musiałem przepędzić kilkunastu z nich, a Battersea dostał się do samego środka: kiedy go dopadłem, ciął ściągając nożem kieszonkowym.

Nie było to ich jedyne zmartwienie z ludźmi: na początku trzeciego tygodnia pracy Forthing przyszedł zameldować, że dwóch zaginęło, a cztery dni później zniknął również Handes.

— Gdyby chodziło tylko o niego, sir, pomyślałbym, że po prostu uciekł – powiedział Forthing – ale Griggs nie jest urodzonym szubienicznikiem, a Yardley jest zbyt leniwy, by nawet iść po złoto, o ile ktoś go do tego nie zmusi. A jeśli one ich tu złapały, te bunyipy... – Te stworzenia, żyjące na australijskich pustyniach, były odpowiedzialne za podobne zniknięcia, kiedy się na nie po raz pierwszy natknęli.

— To jest kraj od dawna zasiedlony – odrzekł Laurence – i nie wyobrażam sobie, żeby Hualpa nie ostrzegł nas przed takim niebezpieczeństwem, gdyby istniało; miejscowi nie przejawialiby też takiej nieostrożności i nie chodzili swobodnie na otwartym terenie. Nie, muszę założyć, że ukradziono nam ich, w tym uroczym, miejscowym stylu – dokończył sucho.

— I chciałbym wiedzieć, jak, do diabła, mamy ich odnaleźć? – dodał Granby.

Temeraire był oburzony i z determinacją zaczął prowadzić poszukiwania; ale bez większego powodzenia, a kilka dni później do obozu wszedł Ferris z Griggsem, mającym dość zakłopotaną minę, i półtuzinem ludzi niosących kosze, które, gdy gestem kazał postawić je na ziemi, okazały się pełne doskonałej skóry, grubej i dobrze wyprawionej.

— Sir – zwrócił się do Laurence'a – nie wiem, czy uzna pan, że zrobiłem dobrze... sam nie wiem...

— Skąd to wszystko się wzięło, panie Ferris? – zapytał Laurence, zamykając wieko jednego z koszy.

— To za Handesa – odpowiedział Ferris – i za Yardleya; mam na myśli zapłatę. Albo coś podobnego: ziemia po drugiej stronie lasów należy do smoka, a raczej smoczycy, i wydaje się, że ma ona tam kogoś, kto potrafi mówić po hiszpańsku i trochę po angielsku – kilka lat temu wędrował z misjonarzem – i on podkraść się do nas nocą i namówił ich, żeby z nim odeszli.

— Namówił ich? – powtórzył z niedowierzaniem Laurence, wstając

z miejsca.

Ferris poczerwieniał.

— Tak, sir – odrzekł. – Widziałem ich... no, Griggs jest tutaj, Yardleya widziałem, jak wystawił głowę zza rogu i patrzył na mnie, a Handes nie chciał się pokazać, dopóki tam byłem. Griggs po zastanowieniu zmienił zdanie, ale tamci dwaj nie chcieli wrócić.

Griggs wyglądał na zaniepokojonego i zawstydzonego i kiedy Laurence popatrzył na niego, wymamrotał:

— Obiecali nam, że nie będziemy musieli pracować, sir, i dużo złota, i kobiet, ale potem pomyślałem o mojej starej mamie i o tym, jak ona będzie musiała sobie radzić, więc...

— Cóż, panie Griggs – przerwał mu ponurym głosem Laurence – nie uznaję pana za dezertera, ponieważ rozmyślił się pan, zanim opuściliśmy port, ale dopóki tu jesteśmy, nie wyjdzie pan już z obozu nawet na chwilę. Panie Ferris, proszę, niech pan się wytłumaczy.

— Sir, zamierzałem ich zgarnąć – zaczął Ferris – i porozmawiałem z tym jegomościem, przewodnikiem misjonarza, o tym, co on przez to rozumiał i jak nasze smoki przyjmą taką wiadomość. No więc on wtedy powiedział, że ponieważ oni nie chcą wrócić, zawleczenie ich z powrotem wydaje się zbyt okrutne, może lepiej by było, gdybyśmy wzięli jakieś dary w zamian i pozwolili im zostać, i zaoferował mi skórę. I.. – Urwał, a potem wzruszywszy bezradnie ramionami, powiedział: – Sir, wydało mi się, że nie ma sensu ściągać ich z powrotem, kiedy zamiast tego...

— ...moglibyśmy ich sprzedać i na tym zyskać? – dokończył Laurence.

Ferris zagryzł wargę i milczał.

— Laurence – odezwał się Granby, który otworzył właśnie kolejny kosz i przesuwał skórę w palcach – w żadnym razie nie zamierzam się z tobą sprzeczać o to, jak radzić sobie z marynarzami, ale powiem, że w każdej sytuacji wolałbym mieć sześć koszy tej skóry niż Handesa; i moim zdaniem mieliśmy szczęście, znajdując kogoś, kto chciał go wziąć za taką cenę. Czy nie moglibyśmy go zostawić, a odebrać tylko Yardleya?

— Nie mogę się nie zgodzić, jeżeli chodzi o Handesa – wtrącił Temeraire, obwąchując z upodobaniem kosz – a poza tym czy nie mieliśmy go powiesić, gdy tylko możliwe będzie zwołanie sądu wojennego? Ale, Laurence, rozumiem oczywiście twoje stanowisko. Nie możemy pozwolić obcym smokom odciągać od nas naszych ludzi i myśleć, że mogą to robić w sposób nie-

kontrolowany; już wkrótce zaczęłyby kusić moją załogę. Może lepiej polecę tam i porozmawiam z tą smoczycą, a jeśli zechce walczyć, chętnie wyświadcę jej tę grzeczność i zmierzę się z nią.

Laurence przeczesał palcami włosy – już rozczochrane po dniu pracy, a teraz z pewnością mające popaść w jeszcze większy nieład – i popatrzył na stojącego ze spuszczoną głową Griggsa. To, że człowiek oddawał się świadomie i dobrowolnie w niewolę, nawet pod wpływem obietnic najbardziej sybaryckiego życia, było czymś nie do pojęcia; to ten sam duch, uznał bezradnie Laurence, który skłania ludzi do tego, by poddawali siebie oraz swoje kraje władzy Napoleona.

Przynajmniej Handesa nie można było oskarżyć o to, że uległ zwykłej głupocie i ślepej chciwości: miał do zyskania życie, a Laurence tak bardzo nie lubił wieszać ludzi, że nie odczuwał teraz szczególnej ochoty, by dążyć do tego za wszelką cenę. A jednak Handes więcej niż zasłużył na karę...

— Nie sugeruję, że powinniśmy pozwolić uciec skazańcowi – odezwał się Granby. – Ale on jeszcze nie został osądzony, jak wiesz, i my tak właściwie to nie jesteśmy jego oficerami. Co więcej, sąd wojenny może go skazać tylko na chłostę; marynarka robi takie rzeczy od czasu do czasu, gdy w sprawie występują awiatorzy. Och, bardzo przepraszam.

— Królewska Marynarka w żadnych okolicznościach nie patrzy przychylnie na buntowników – odparł Laurence. – A nawet gdyby tak było, to czym innym jest pozostawienie człowieka, by żył i był przydatny dla kogoś innego – w pewnym sensie – a czym innym przyjęcie za niego zapłaty, jakbyśmy byli gotowi sprzedawać swoich.

— Mógłbyś o tym myśleć jak o posagu – zasugerował Granby, a kąciki ust zadrgały mu podejrzenie.

— Tak, wielkie dzięki, John – odparł sucho Laurence.

Udał się z Temeraire'em do sąsiedniej posiadłości. Było to duże, najwyraźniej dobrze prosperujące gospodarstwo z wielkimi i widocznymi z dala kamiennymi spichlerzami i innymi magazynami oraz rozległym dziedzińcem, wokół którego stały rezydencje i pewna liczba krytych strzechą chat. Sama smoczyca, przeciętne stworzenie o wadze dziesięciu lub jedenastu ton, przekazywała właśnie dostarczony przez siebie ładunek drewna w ręce kilkunastu czekających na nie ludzi, którzy ewidentnie przygotowywali się do wzniesienia kolejnej z tych chat. Złożyła drewno na ziemi i przeskoczyła przez nie, by ustawić się między swoimi ludźmi a Temeraire'em, który zbli-

żał się do lądowania.

— On mówi, że wy go zabijecie – powiedziała Magaya z wielkim oburzeniem, kiedy wyjaśnili, co ich sprowadza – i nawet bez jakiegoś szczególnie istotnego powodu, takiego jak bardzo ważna ofiara, których zresztą się już nie składa. To, co chcecie zrobić, byłoby haniebnym marnotrawstwem, i jestem pewna, że gubernator nic o tym nie wie; nie pozwoliłby na to, gdyby wiedział. Ja wam go nie oddam i już! – I tu cofnęła głowę wyzywająco; jednak popsuła nieco efekt, odskakując pospiesznie, gdy Temeraire rozłożył szeroko krezę, a z jego gardła wydobył się niski, grzmiący pomruk.

— Jestem pewny, że nigdy nie widziałem czegoś takiego jak zachowanie smoków w tej krainie – zaczął. – To przekracza wszelkie granice. Najpierw był Palta, który uznał mnie za kogoś w rodzaju bunyipa, a potem Hualpa, który powiedział, że jesteśmy złodziejami, i teraz ty, która kradniesz naszych ludzi...

— Wcale ich nie ukradłam! – zaprotestowała. – Oni przyszli do mnie! To wcale nie jest to samo...

— Kradniesz – powtórzył Temeraire – a potem bezczelnie mi się przeciwstawiasz, jakbyś mi dorównywała wagą; pewnie dlatego, że myślisz, że możesz mieć obrońcę, który będzie ze mną walczył zamiast ciebie... co mogłoby być do zniesienia, gdybyś miała rację, ale z pewnością jej nie masz, a zresztą i tak pokonałbym każdego obrońcę, który chciałby spróbować.

— Mój drogi – powiedział Laurence na boku, kładąc uspokajająco rękę na szyi smoka, kiedy ten skończył mu tłumaczyć tę wymianę zdań – muszę ci przypomnieć, że to nie jest kradzież: ci ludzie są poddanymi króla, ale mimo to nie należą do niego, nie są jego własnością, i jeśli pominąć to, że muszą wykonywać obowiązki służbowe oraz te, które nakłada na nich prawo, mają prawo rozporządzać sobą, jak chcą.

— Cóż... tak, oczywiście – odparł Temeraire, chociaż Laurence nie mógł nie dostrzec, że gdy chodziło o jego załogę, smok bardzo chętnie zaadoptowałby miejscowe pojęcie własności – ale widzisz, Laurence, dla niej to z pewnością była kradzież; to znaczy, ona zamierzała ich ukraść i wcale nie wiedziała, że oni nie są moi, a więc to, że ci dwaj nie należą do mnie, wcale nie czyni jej mniej winną.

— Miałam rację – broniła się tymczasem Magaya – ponieważ ty wcale o nich nie dbałeś. Gdybym ja zaczęła wieszać moich ludzi na drzewach, bić ich i zmuszać przez cały czas do ciężkiej pracy, to oczywiście poskarżyliby

się na mnie gubernatorowi i znaleźli kogoś, kto lepiej by się o nich troszczył, a więc prawo oczywiście na to pozwala.

— Ja też... – zaczął Temeraire.

— Właśnie, że nie – przerwała mu Magaya. – Wszyscy są w łańchmanach, no, prawie wszyscy, i żaden z nich nie ma niczego ładnego, co każdy może zobaczyć.

Wyraźnie zmieszany Temeraire rozpląszczył krezę na karku i trzeba go było trochę przymusić, żeby przetłumaczył tę część rozmowy.

— Ale to tylko dlatego, że nasza podróż była bardzo ciężka – powiedział na swoją obronę – a także dlatego, że najlepsze rzeczy Laurence’a schowałem w bezpiecznym miejscu. A poza tym – dodał – jak się dowiedziałas o tym wszystkim, jeśli nas nie obserwowałaś i nie próbowałaś ściągać do siebie naszych ludzi?

Zawstydzona Magaya nastroszyła pióra na szyi i barkach i schowała w nich głowę, przypominając trochę w tej pozie skulonego kurczaka.

— Tak więc – kontynuował triumfalnie Temeraire – to nonsens twierdzić, że moi ludzie uciekli do ciebie. Może Handes to zrobił, ale tylko dlatego, że nie chce ponieść kary za swoje naprawdę złe zachowanie, natomiast Griggs i Yardley poszli do ciebie wyłącznie z powodu obietnic, które im potajemnie złożyłaś. Tak się nie robi i jestem pewny, że prawo na to nie zezwala.

— Nie przyznaję się, że zrobiłam coś takiego – odparła z oburzeniem Magaya – ale nawet jeśli bym zrobiła, nie posłuchaliby mnie, gdyby nie byli niezadowoleni. Ponieważ jednak tak cię to zdenerwowało – ciągnęła pospiesznie – widzę teraz, że są dla ciebie ważni. Może jednak zamiast oddawać ich, mogłabym dać ci więcej prezentów?

— Nie ma najmniejszej możliwości, żebyśmy ich tutaj zostawili, zwłaszcza Yardleya – odpowiedział Temeraire. – Oni są poddanymi króla i członkami mojej załogi...

— Och, niech ci będzie, ale mógłbyś przynajmniej zostawić Handesa – weszła mu w słowo. – Przecież tak naprawdę to go nie chcecie; zamierzacie go tylko zabić. Mogłabym dać wam ubrania, żeby wasi pozostali ludzie nie byli tak obdarci...

— Cóż – mruknął Temeraire i, jak z przykrością zaobserwował Laurence, z entuzjazmem wdał się w coś, co i bez dobrodziejstwa tłumaczenia można było uznać tylko za targowanie się o cenę.

W końcu usiadł na tylnych łapach, wyraźnie usatysfakcjonowany, a Magaya z równym zadowoleniem przyglądała pióra na szyi. Następnie zawołała coś do obserwujących to wszystko robotników i kilkunastu z nich ruszyło gromadą do magazynów. Wrócili szybko z wieloma koszami, w których były ubrania, skórzane sandały, noszone przez miejscowych, suszona kukurydza i nawet sól, w jednym z mniejszych.

Wyprowadzony z jednej z chat Yardley podszedł do Laurence'a z miną winowajcy.

— Jestem pewny, że zachorowałem, sir, na tę zarazę, co zabiła tych wszystkich ludzi – zaczął – pomyślałem więc, że równie dobrze mógłbym tu zostać i umrzeć, a oni daliby wam dużo rzeczy dla wszystkich chłopaków...

— Dostyc tego, panie Yardley – powiedział Laurence, przerywając ten potok usprawiedliwień. – Ma pan szczęście, że pan Ferris pana odnalazł. Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że pozwolono by panu pędzić życie w bezczynności po naszym odlocie, kiedy ta smoczyca nie musiałaby już dłużej kusić pana obietnicami do pozostania przy niej? Nie widzę na tej farmie nikogo, kto by nie pracował.

— Ja nie boję się pracy – odrzekł z oburzeniem Yardley i dodał – a ona jest najśłodszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem, sir; tak przyjazna, że bardziej nie można. – Zdumiony jego słowami Laurence patrzył przez chwilę na Magayę z jej jedenastoma tonami i przerażającymi, ząbkowanymi zębami, aż dostrzegł na progu chaty młodą kobietę, stojącą tam i machającą radośnie na pożegnanie, zupełnie rozebraną, jeśli nie liczyć koca, którym była owinięta i który przyciskała do ciała jednym nagim ramieniem.

Pokręcił głową.

— Temeraire – zwrócił się do smoka – dowiedz się od Magai, czy tej młodej kobiecie złożono jakieś obietnice... czy ona się spodziewa, że wyjdzie za mąż...

— O co ci chodzi? – zapytała podejrzliwie Magaya. – Nie możesz jej zabrać! A może mimo wszystko chcesz zostawić z nami Yardleya?

— Nie, nie – odparł Temeraire. – Chodzi mi o to... Laurence, o co mi chodzi? – zapytał niepewnie.

— Jeśli będzie dziecko – odparł Laurence – trzeba się zastanowić nad kwestią opieki nad nim.

— Oczywiście, że się nim zaopiekujemy – odpowiedziała Magaya, kiedy Temeraire przetłumaczył jej słowa Laurence'a. – Matka jest w naszym *ayllu*,

więc dziecko też w nim będzie.

— Tak, ale – zaczął Laurence – czy jej szanse wyjścia za mąż nie zmniejszyły się przez... przez jej połączenie z...

— A dlaczego miałyby się zmniejszyć? – zapytała Magaya.

— Nie mam pojęcia – odpowiedział jej Temeraire i popatrzył pytająco na Laurence'a.

— Bo już nie jest dłużej dziewicą – odpowiedział Laurence w desperacji, zmusiwszy się do poruszenia tej kwestii. – I nawet jeśli smoki o to nie dbają, być może ludziom ta sprawa nie jest obojętna; proszę, zapytaj o to młodą damę.

— No dobrze, ale to mi się wydaje głupie – rzekł Temeraire, a kiedy zadał jej pytanie, młoda kobieta zamrugła ze zdziwienia i wyglądała na równie zakłopotaną, jak przedtem była Magaya. Laurence pokręcił głową i poddał się: dziewczyna nie była ani samotna, ani jakoś szczególnie smutna z powodu rozstania; nie czuł też, by robił jej jakąś wielką krzywdę, zabierając Yardleya.

Przez cały ten czas nie zobaczył ani śladu Handesa, z wyjątkiem być może cienia przyczajonego człowieka, który słońce rzucało zza jednego z magazynów, jakby ktoś się tam ukrył między ścianą a sięgającym niemal do ziemi dachem. Laurence był niezdecydowany; nie chciał zrobić z siebie świętoszka i czuł się przymuszony, zarówno przez konieczność zaspokojenia ich ogromnych potrzeb, jak i zwykłą litość, do pozostawienia Handesa w tym miejscu, ale jednocześnie kłóciło się to z jego zasadami, nawet jeśli z praktycznego punktu widzenia było całkowicie uzasadnione.

— Nie sądzę, żeby było w tym coś złego – starał się go uspokoić Temeraire. – Magaya wydaje się przyzwoita, teraz, kiedy zaczęła się lepiej zachowywać, i jestem pewny, że dobrze zaopiekuje się Handesem, na co on i tak nie zasłużył. Poza tym, Laurence – dodał – sam dopiero co powiedziałaś, że poddani króla mają prawo robić to, co chcą, dopóki nie jest to sprzeczne z ich obowiązkiem. Handes chce tu zostać i wydaje mi się, że nawet gdyby nie chciał, należałoby to uznać za jego obowiązek, gdyż w wyniku jego decyzji dostaniemy tyle przydatnych rzeczy.

— Nie jest obowiązkiem wolnego człowieka dać się sprzedać w niewolę w obcym kraju, niezależnie od tego, jak dobra jest cena – odparował Laurence.

— Tylko że to nie jest, ściśle rzecz biorąc, niewola – powiedział Temera-

ire. – Nie powiesz przecież, że jesteś niewolnikiem tylko dlatego, że należysz do mnie.

Upłynęło już sporo czasu od tych dni, kiedy Laurence uważał, że ma prawo żądać od Temeraire'a posłuszeństwa, co pozwoliłoby mu łatwo wyjaśnić tę sprzeczność, a ponadto uświadomił sobie z pewną konsternacją, że na pierwszy rzut oka relacje między kapitanem i smokiem można rzeczywiście z dużą dozą racjonalności potraktować jako stosunki między posiadaczem a posiadany, przy czym posiadaczem jest raczej smok, a nie kapitan.

— Zapewne tak jest – odparł Granby, kiedy Laurence podzielił się z nim tym spostrzeżeniem tego samego wieczoru. Siedzieli, obserwując krzątających się w całym obozie ludzi, którzy pod energicznym kierownictwem dumnego ze swojej roli Shipleya zszywali nowe uprzęże. – W każdym razie jestem cholernie pewny, że Iskierka zgodziłaby się z tobą w tej kwestii; proszę, nie mów tego tak głośno. Ten cholerny kraj nie może mieć na nie dobre go wpływu: będziemy mieli szczęście, jeśli Temeraire nie wróci do domu, myśląc, że smoki powinny posiadać ludzi, nie tylko prawo głosu.

Rozdział 10

Dom i Anglia wydawały się bardzo dalekie, kiedy rankiem dotarli na pogórze wielkich, drących niebo niczym pazury szczytów Andów, poszarpanych i lśniących zimnym błękitem w miejscach, gdzie na stokach leżały długie połacie śniegu. W miarę jak wznosili się coraz wyżej, rzeka rozdzieliła się na setkę małych dopływów spływających po górskich zboczach, i pod wieczór smoki wylądowały na położonej wysoko łące, z trudem łapiąc powietrze. Pokonali zaledwie dziesięć mil, jeśli ich postępy miały być mierzone jako linia na mapie, pomyślał Laurence, a ponadto w rzeczywistości.

Potknął się, schodząc z grzbietu Temeraire'a, i zauważył, że wszyscy mieli zadyszkę i zdradzali oznaki dziwnej choroby, której zapewne nabawili się, wdychając jakieś miazmaty z górskiego powietrza. Niektórzy ludzie przewracali się, dysząc jak kowalskie miechy, i leżeli tam, gdzie padli.

Laurence przeszedł na skraj urwiska, którym kończyła się łąka, by odechnąć czystszy powietrzem, i kiedy już wciągnął je do płuc, stwierdził, że patrzy w dół na szereg tarasowych pól, które niewątpliwie były dziełem ludzkich rąk, ale teraz leżały odłogiem; kukurydza toczyła na nich walkę o dominację z chwastami i wysoką trawą, widać było nawet trochę narzędzi rolnych, porzuconych i na wpół pogrzebanych w zieleni.

Przez resztę podróży, do samego końca, czuli to samo, jakby przechodzili przez pozostawiony bez nadzoru dom obcego człowieka, w którym nie było ani gospodarza, ani służby, żeby ich powitać. Co jakiś czas widywali smoki, niektóre nawet pracujące na polach, a inne noszące ładunki drewna. Tylko raz w ciągu kilku pierwszych dni zobaczyli ludzi: dwie małe dziewczynki, które obejmując rękami kolana, siedziały na polu i pilnowały wielkiego stada lam pasących się w położonej wysoko w górach dolinie.

Popatrzyły z zaskoczeniem na dziwne smoki, po czym ukryły się szybko w pobliskiej jaskini, nieco większej od szczeliny w skale, zbyt wąskiej, żeby

jakikolwiek smok mógł sięgnąć do środka, i zaczęły bić w dzwon na alarm.

— Proszę, lećmy dalej – krzyknął zaniepokojony Hammond prosto do ucha Laurence’a – tak szybko, jak to tylko możliwe; nic nie zyskamy, stwarzając nawet pozory prowokacji...

— Mogliśmy tam zostać i zjeść trochę tych lam, nawet na surowo – gderała Iskierka później tego samego wieczoru; zamiast pozostać, polecieli dalej i wylądowali na spoczynek na innym opuszczonym polu, z magazynem żywności, i właśnie jadła ugotowaną przez Gong Su owsiankę z suszonej kukurydzy, doprawioną do smaku wędzonym mięsem lam.

— Ilość zapasów, jakie ten naród zgromadził wzdłuż swoich dróg, to naprawdę coś cudownego i niezwykłego zarazem – stwierdził Hammond, obejrzawszy dokładnie spichlerz. – Wydaje mi się, że tylko dziś widzieliśmy ich nie mniej niż sześć; zgodzicie się ze mną, panowie?

Gong Su był także zainteresowany konstrukcją magazynu i kiedy zobaczył oglądającego go Laurence’a, pokazał, co w projekcie budynku przykuło jego uwagę.

— To musi wspaniale działać, jeśli chodzi o odprowadzenie deszczówki; w każdym razie żywność złożono tu dość dawno, a tylko trochę się zepsuło.

Gromadzenie wielkich zapasów ułatwiało także i to, jak stwierdzili na podstawie obserwacji, że tak mało było tych, którzy z nich korzystali. Było coś dziwnego i smutnego w widoku smoków uprawiających wielkie pola, żeby zebrać plony, których nikt nie będzie jadł. Te nieliczne z nich, z którymi rozmawiał Temeraire, spoglądały na dwustu ludzi w sieci ładunkowej i jeszcze kolejnych na jego grzbiecie oczami, w których widać było jednocześnie pragnienie i urazę, i złożono mu wiele ofert.

— Kiedyś było więcej ludzi – odpowiedział Taruca, kiedy Laurence go o to zapytał. – Dużo więcej. Mój dziadek mówił mi, że było ich tak wielu, że tylko połowa z *ayllu* miała choćby jednego smoka wśród swoich *curaca*... – przez które to słowo zdawał się rozumieć wodzów każdego klanu. – To był wielki zaszczyt namówić smoka, żeby wstąpił do czyjegoś *ayllu*: mógł tego dokonać tylko wielki wojownik lub bardzo zręczna tkaczka.

— A więc widzi pan, kapitanie – powiedział przysłuchujący się temu Hammond – wcale się nie myliłem. To nie jest niewolnictwo, w zwykłym znaczeniu tego słowa.

— Nie było, w tamtych czasach – poprawił go Taruca. – Dlaczego smok chce decydować, jak człowiek powinien wieść swoje życie? Wtedy honor

ayllu był honorem smoka; siła *ayllu* jego siłą; one nie rządziły. Ale potem przyszły zarazy i ludzie powymierali, a teraz jest tak, że niemal wszyscy wzdowie wszystkich *ayllu* to smoki. I stały się tak niespokojne, pełne obaw, że nie chcą, byśmy gdziekolwiek chodzili, i słusznie, skoro podkradają sobie nawzajem ludzi.

Oczywiście żyli tam ludzie: kraj nie był całkowicie opustoszały. W miarę jak posuwali się coraz dalej na północ, zagłębiając się w obszary bardziej zaludnione, coraz częściej widywali na drogach ludzi prowadzących karawany jucznych lam i ozdobione charakterystycznymi, niebieskimi frędzlami smoki, które najwyraźniej wykonywały loty patrolowe nad szlakami lądowymi.

— Ona mówi, że obserwują drogi, pilnując, by nie było żadnych kradzieży – wyjaśnił Temeraire, kiedy jedna smoczyca zatrzymała ich i zażądała, żeby wylądowali w opuszczonej dolinie i pokazali jej glejt, który dostali od gubernatora.

Wszystkie trzy smoki były skłonne uznać jej postępowanie za obraźliwe, jako że nie mogła mieć nawet dwóch ton; Laurence ocenił na oko, że była nawet mniejsza od małego smoka kurierskiego Volly'ego. Jednakże smoczyca zdawała się nie przejmować tym, że tak nad nią górują wielkością, a kiedy zobaczyła, że ludzie w większości mają na sobie tubylcze stroje – dzięki podarunkom Magai – uparła się, żeby każdy z nich przemaszerał przed nią, by mogła się upewnić, iż wszyscy rzeczywiście są Europejczykami. Spowodowało to pewne trudności, jako że nie byli, i poza garstką malajskich i chińskich marynarzy, którzy wzbudzili w niej największe podejrzenia, kilku Brytyjczyków było tak mocno opalonych, że zmusiła ich do rozebrania się, by mogli ukazać swój naturalny kolor. Natomiast Demane, Sipho i trzech innych czarnych członków załogi podejrzewała o to, że zostali pomalowani w jakimś tajemniczym celu.

— Demane jest mój – powiedział Kulingile, kiedy odniósł wrażenie, że smoczyca przygląda się jego kapitanowi zbyt długo.

Nastroszyła tylko pióra w odpowiedzi, wciąż przyglądając się uważnie młodzieńcowi, i wtedy cierpliwość smoka się wyczerpała. Usiadłszy prosto, rozłożył szeroko swoje skrzydła i wypiął pierś: zawsze był niezwykle zrównoważony i nie miał zbyt wielkich skłonności do popisywania się, ale mimo niedostatków, jakie ostatnio cierpiał, ciągle rósł, a kiedy smok o masie blisko trzydziestu ton się na coś zdecydował, nie można go było zignorować,

tak jak nie można zignorować lawiny. Mała smoczyca odskoczyła w bok, spojrzała zaskoczona w górę na niego, a on wtedy uniósł głowę i zaryczał.

Kulingile nadal miał dość słaby i piskliwy głos, ale jego ryku w żadnym razie nie dało się tak opisać. Nie było w nim tych samych, niesamowitych i osobliwie rezonujących tonów, co w boskim wietrze, ale grzmot zrodzony w dwojgu tak ogromnych płuc był pomimo to wstrząsający, zwłaszcza gdy słyszało się go z tak bliska. Wielu marynarzy zasłoniło mimowolnie uszy, a gdy Kulingile pochylił się do przodu, smoczyca z patrolu odskoczyła roztropnie jeszcze dalej, rzuciła pośpiesznie kilka uwag o tym, że jest usatysfakcjonowana, po czym wzbiła się w powietrze i czmychnęła.

— Nie musiałeś robić aż takiego rabanu – zaprotestował Temeraire, którego kreza była zupełnie rozplaszczona na karku. – Oczywiście ona mogłaby być bardziej uprzejma, ale była też bardzo mała: nie stanowiła tak naprawdę żadnego zagrożenia.

— Nie była taka mała w porównaniu z Demane – odparł Kulingile i trudno było z tym dyskutować – a poza tym te smoki są też bardzo szybkie. Co by było, gdyby go pochwycała, a ja nie zdołałbym jej złapać? Tak czy inaczej – dodał z niepokojącym dudnieniem w głosie – skończyłem z przełykaniem zniewag.

— Mam nadzieję, że on nie stanie się kłótniwy – powiedział zatroskany Laurence do Temeraire’a tego samego wieczoru, kiedy rozbili obozowisko. Kulingile porzucił ich towarzystwo i siedząc na uboczu, rozmyślał nad ciałami trzech zabitych lam. – Nigdy przedtem nie zachowywał się tak...

— Myślę, że wciąż jest roztrzęsiony – odparł Temeraire. – Wyznam szczerze, Laurence, że sam także nie jestem w głębi ducha spokojny, jeśli chodzi o marynarzy. O ile straszniejsze to musi być dla Kulingile, którego kapitana oni faktycznie dostali w swoje ręce. Poza tym muszę powiedzieć, że Demane mógłby być dla niego miłszy – dodał.

Laurence zastanawiał się początkowo, czy nie powinien poprosić Roland o to, by porozmawiała z Demane, ale uświadomił sobie, że młodzi nie siedzieli już razem, jak to mieli w zwyczaju. Emily uczyła Gerry’ego, a razem z nim i Baggy’ego, matematyki, i był to pierwszy raz, o ile Laurence dobrze pamiętał, kiedy bez najmniejszego przymusu wykazała zainteresowanie jakimkolwiek rodzajem zajęć szkolnych. Jej rana zagoiła się najlepiej, jak w tych warunkach można było oczekiwać, i zostały jej po niej tylko siatka cienkich linii przecinających policzki oraz zakrzywiony w miejscu złama-

nia nos, czego wcale nie zamierzała zasłaniać; zamiast tego zaplatała swoje włosy jeszcze bardziej do tyłu.

Tymczasem Demane siedział w pewnej odległości od niej, tak daleko, żeby nie wyglądało to na narzucanie się, i obserwował ją w ponurym milczeniu. Co jakiś czas odrywał od niej wzrok, by przesunąć podejrzliwym spojrzeniem po marynarzach, szczególnie Baggym, którego mierzył najzimniejszym wzrokiem. Emily przez cały czas niezłomnie unikała jego spojrzeń i dlatego Laurence nie potrafił się zdobyć na to, by prosić ją o przerwanie milczenia. Milczenia, którego powód mógł tylko pochwalić, jeśli dziewczyna rzeczywiście wzięła sobie do serca jego radę i zamierzała wprowadzić stosowny dystans w swoich stosunkach z Demane, bez względu na to, jak kłopotliwe mogło się to okazać w tych konkretnych okolicznościach.

Nie można było powiedzieć, że jej dezaprobata, jeśli to była dezaprobata, poprawiła Demane nastrój.

— Nie mam zamiaru zawsze siedzieć w koszu i być bez przerwy obserwowany – odparł krótko, nie odrywając oczu od Emily, kiedy Laurence powiedział mu bez ogródek o zgryzocie Kulingile. – Pan nie trzyma się z tyłu podczas walki, nawet gdy Granby mówi, że powinien pan tak zrobić – dodał, a ten strzał trafił w cel aż nadto dobrze. Laurence był często ganiony za narażanie się na niebezpieczeństwo w stopniu większym, niż było dozwolone w ramach obowiązków jako awiatora, i nigdy jeszcze nie zdołał się zmusić się do trzymania się ogólnie przyjętych zasad postępowania, które oficerowi marynarki mogły się kojarzyć jedynie z tchórzostwem.

— Jest różnica – odrzekł Laurence – między postrzeganiem swojego obowiązku inaczej a zupełnym jego zaniedbaniem. Unieszczęśliwianie swojego smoka tylko po to, żeby zademonstrować nadmierną niezależność, bez żadnej istotnej przyczyny, można nazwać tylko tym drugim.

— Nie będziesz pouczać Demane – wybuchnął Kulingile, podsłuchawszy ich rozmowę w miejscu, gdzie leżał. Uniósł gwałtownie głowę i dodał: – On także jest kapitanem, a ja jestem większy od Temeraire’a; nie przewyższasz go stopniem.

— Och! – rzucił Temeraire i z kolei on podniósł się z oburzeniem. – Nie urósłbyś nigdy taki duży, gdybym nie przeniósł cię przez pół Australii i nie dzielił się z tobą moimi kangurami, kiedy sam nie mogłeś jeszcze latać, a poza tym nawet jeśli Laurence i Demane są obaj kapitanami, Laurence ma od niego wyższe starszeństwo.

— Nie, wcale nie – sprzeciwił się Kulingile – bo nie był kapitanem, kiedy Demane po raz pierwszy założył mi uprząż; został zwolniony ze służby.

— To – odparł Temeraire – było tylko chwilowe; to nie ma znaczenia.

— A właśnie, że ma – upierał się Kulingile – bo Cezar mi powiedział, jeszcze w Sydney, że wszyscy kapitanowie są na liście, a ich nazwiska zapisuje się na niej po kolei, zatem Demane jest na niej przed Laurence’em.

— A Granby przed nimi dwoma – wtrąciła Iskierka, dolewając z zadowoleniem własnej oliwy do ognia, i kiedy Temeraire nastroszył wściekle krezę, wszystkie trzy smoki wyglądały tak, jakby za chwilę miały zacząć się bić.

— Kapitana Laurence’a przywrócono do służby razem ze starszeństwem! – krzyknął Hammond, zrywając się ze swojego miejsca przy ognisku, żeby zapobiec zbliżającej się walce, po czym dodał szybko, kiedy smoki skierowały głowy w jego stronę: – I jeśli się nie mylę, kapitanie, datuje się ono od dnia objęcia przez pana tego stanowiska jeszcze w marynarce.

— A zatem Laurence jest pierwszy, i to z dużą przewagą – powiedział Temeraire z głęboką satysfakcją, ale Kulingile wyglądał na zarazem zawziętego i urażonego, a zatem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, i to z powodu zwykłej błahostki. Laurence nie zadał sobie trudu sprawdzenia, jakie miejsce zajmował na listach Admiralicji; było to nawet mniej istotne od podtrzymywanej z grzeczności fikcji przywrócenia go do służby.

— Bez względu na wszystko – zaczął – kapitanie Demane, pragnę pana przeprosić; to absolutna prawda, że mówiłem do pana w taki sposób, w jaki nie powinienem się zwracać do kolegi kapitana. Wtrącanie się w cudze sprawy nie jest dozwolone w Korpusie, i nie bez racji; mam nadzieję, że pozwoli mi pan błagać o wybaczenie.

— Och – bąknął osłupiały Demane; wiatr wyraźnie przestał wiać w jego żagle. – Ja nie... tak, oczywiście – dokończył niepewnie, a potem spojrzał na Emily, która pospiesznie odwróciła oczy.

W tej chwili Gong Su zawołał ich na kolację, przerywając tę wymianę zdań. Ale kiedy już zjedli, Demane podszedł swobodnym krokiem i z celowo obojętną miną do Kulingile, żeby przy nim posiedzieć; zamiast iść z procą na polowanie, jak miał w zwyczaju robić w poprzednie noce ich podróży, tę przespał między przednimi łapami swojego smoka.

Wobec jakości i regularności dróg oraz ogólnej doskonałości budownictwa Laurence spodziewał się znaleźć jakąś piękną osadę nad jeziorem Titica-

ca, ale kiedy w końcu ujrzeli w dali błękitną mgiełkę wody, roztaczający się widok całkowicie przerósł jego oczekiwania: w pewnej odległości od brzegu rozłożyło się przed nimi wielkie miasto, skupione wokół podniesionego placu, usianego ogromnymi, rzeźbionymi w kamieniu figurami, i otoczone osobliwymi polami, które były pocięte zalanyymi wodą rowami.

— Czy to jest twój dom? – zapytał Tarucę, kiedy podlecieli bliżej. – Tam jest miasto z czerwonego kamienia...

Taruca pokręcił głową,

— Nie, to jest Tiwanaku, ale teraz już tam nikt nie mieszka – i kiedy lecili obok miasta, Laurence zobaczył, że szerokie ulice są opuszczone, a wielka świątynia, bo tym mu się wydała ta budowla, stoi pusta; pola leżały odłogiem i były suche.

Kontynuowali lot w stronę jeziora; albo śródlądowego morza, jak łatwo można je było nazwać, rozciągającego się szeroko we wszystkie strony, otoczonego przez góry, intensywnie, niemal nienaturalnie błękitnego. Były tam wioski porzucane na wyspach jeziora, a największa z nich mieściła więcej niż jedną osadę i była niemal całkowicie otoczona pierścieniem pól tarasowych.

Taruca skierował ich w stronę południowego krańca wyspy, gdzie wznosiło się szerokie wzgórze o zboczach pociętych tarasami; u jego podnóża stał rząd magazynów żywności, a na szczycie rozciągał się wielki dziedziniec, na którym spała naprawdę ogromna smoczyca: dłuższa nawet od Kulingile i być może dorównująca mu wagą, choć pod tymi pióropodobnymi łuskami trudno było ocenić masę jej ciała; ubarwienie miała ciemnopomarańczowe i fiołkowe, ale jej łuski wyblakły już na całej długości i na końcach były prawie siwe, a oczy, które otworzyła, gdy wylądowali przed nią, były zamglone ze starości.

Kiedy wylądowali, z innych miejsc nad jeziorem wzbily się w powietrze cztery smoki i przyleciały na wzgórze. Wszystkie były jej potomkami, jak z dyskusji, która rozwinęła się między nimi a Temeraire'em, wywnioskował Laurence.

— Nie przybyliśmy tu, żeby ukraść cokolwiek albo kogokolwiek – rzucił w końcu zirytowany Temeraire – jest wręcz przeciwnie, bo chcemy wam kogoś oddać: oto Taruca, który nas prosił, żebyśmy go do was przynieśli.

— Taruca został ukradziony jedenaście lat i trzy miesiące temu – odpowiedziała stara smoczyca – i żaden z moich potomków nie zdołał go odna-

leżć; co masz na myśli, mówiąc, że przybyliście tutaj, by go oddać?

Taruca pomachał ręką z grzbietu Temeraire'a i zawołał:

— Jestem tutaj, *curaca*; jestem tutaj.

Smoczyca obróciła ku niemu swoją ogromną głowę, a potem podniosła się z wysiłkiem na swoich przednich łapach i pochyliwszy się do przodu, powąchała go.

— To rzeczywiście jest Taruca – powiedziała – to jest... jak śmieliście go zabrać? Wezwę natychmiast przedstawicieli prawa, jeśli go nie oddacie.

— Ale my go właśnie oddajemy! – odparł Temeraire. – To dlatego tu przylecieliśmy, już ci to mówiłem.

Ta wymiana zdań ciągnęła się jeszcze przez kilka minut, przedłużana bardziej przez nieufność niż cokolwiek innego, zanim w końcu Curicuillor zarówno zrozumiała, jak i uwierzyła, że oni naprawdę zamierzali oddać jej Tarucę, i to bez żadnej rekompensaty. Przyjęła to ostatecznie do wiadomości dopiero wtedy, gdy z pomocą innych zszedł z grzbietu Temeraire'a i został doprowadzony do niej, a ona dokładnie go obwąchała, żeby się co do niego upewnić.

— Wygląda na to, że wasz naród został niesprawiedliwie oczerniony – powiedziała w końcu, układając się z powrotem, powoli i z wyraźnym bólem, na kamiennym łożu. – Musicie wybaczyć starej smoczycy jej konsternację, ale naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek w całym moim życiu zetknęła się z tak zdumiewającym przejawem wspaniałomyślności. Taruca powrócił do nas, po tak długim czasie, kiedy już zupełnie daliśmy za wygraną! Musimy to uczcić i musimy was uhonorować, musimy zasiąść razem do uczyty i złożyć specjalne podziękowania Inti.

— Tak! – zawołała Iskierka, kiedy Temeraire przetłumaczył zaproszenie: przez ostatnie trzy dni nie natrafili na żadne niepilnowane stado i byli zmuszeni racjonować nawet suszone mięso.

Chociaż przygotowany w pośpiechu, obiad był naprawdę wspaniały: podano delikatne i przyjemnie skruszałe mięso lam oraz pięć gatunków ryb; wszystko to z mnóstwem ziemniaków i kolb kukurydzy, smażonych, solonych i podlanych roztopionym tłuszczem. Jeden ze smoków przyniósł wielkie kotły z zupą, pełne grudek, które chociaż później okazały się żabami, były przepyszne; do tego podano pieczone w całości świnki morskie, tak lubiane przez Temeraire'a i pozostałe smoki.

Do czterech smoków, które przyleciały na początku, dołączyły jeszcze

trzy, każdy ze swoim ludzkim klanem, oraz dwa samotne, ewidentnie młodsze.

— Tak, dobrze nam się powodzi – powiedziała Curicuillor z usprawiedliwioną dumą, kiedy przesunęła słabnącym wzrokiem po swoim całkiem licznym klanie. – Każdemu z moich potomków, kiedy tylko zmądrzał na tyle, żeby móc stanąć na czele własnego *ayllu*, dałam po dwie rodziny, a jeśli dobrze sobie radził, pozwalałam wziąć więcej. – Westchnęła i ułożyła się wygodniej, szeleszcząc cicho łuskami po kamieniu. – I zrobię to znowu, już niedługo. Nie jestem jednym z tych chciwych stworzeń, które trzymają wszystko dla siebie; nie będę musiała się troszczyć aż o tylu ludzi, kiedy pójdę na drugi świat.

Tak powiedziała, ale z pewnym ociąganiem, które sprawiło, że Laurence przyjął sceptycznie jej twierdzenia, zwłaszcza kiedy zobaczył, jak zazdrośnie otoczyła przednią łapą Tarucę. Starzec się jednak temu nie sprzeciwił, tylko siedział z błogim wyrazem twarzy, trzymając na kolanach jedno ze swoich prawnucząt, dziecko zbyt małe jeszcze, by mówić, i ssące w zamyśleniu wykonaną ze złota grzechotkę, która po sprzedaniu przyniosłaby co najmniej tysiąc funtów, pomimo znaków zębów.

— Jestem panu bezgranicznie wdzięczny, kapitanie – powiedział, kiedy Laurence i Hammond mieli okazję z nim porozmawiać, aczkolwiek poprzez przednią łapę Curicuillor. – Tak naprawdę nie wierzyłem panu do czasu, aż usłyszałem głosy moich dzieci, ale wy rzeczywiście odstawiliście mnie do domu. To jest moja córka, Choque-Ocllo – dodał, wyciągając rękę po omacku w stronę siedzącej obok niego kobiety o wyglądzie dostojnej matrony. – Mówiłem jej o waszym pragnieniu spotkania się z Sapa Inką.

Choque-Ocllo skinęła im spokojnie głową.

— Nie widzą powodu, dlaczego miałoby to być niemożliwe do zorganizowania. W końcu od śmierci Atahualpy upłynęło już dużo czasu, a poza tym to najwyraźniej byli ludzie samowolni i łamiący prawo. Wasz król wysłał wielkie *ayllu*, by mówiło w jego imieniu, a wy dowiedliście, że jesteście ludźmi innego charakteru; to po prostu właściwe, żebyście zostali przyjęci przez Sapa Inkę. Chociaż to bardzo niefortunne, że nie macie ze sobą kobiety; ta dziewczynka nie może jeszcze mieć dziecka.

Hammond popatrzył z zakłopotaniem na Laurence'a, ale ukłonił się i odpowiedział:

— Pani, trudy tak długiej podróży i rejsu przez pół świata są zbyt ciężkie,

by narażać na nie kobiety. Mam nadzieję, że ich nieobecność nie zostanie uznana za zniewagę, gdyż nic takiego, zapewniam panią, nie było naszym zamiarem.

— Zniewaga? – powtórzyła. – Nie, nic podobnego, ale uzyskanie pozwolenia na spotkania z Sapa Inką będzie dla was trudniejsze. Wyślę z wami wiadomość... mój syn Ronpa, którego tam widzicie, już ją zaplata, a mój ojciec doda swoje osobiste świadectwo; jeśli nie pozwolą wam na bezpośrednie spotkanie z Sapa Inką, to przynajmniej zobaczy się z wami gubernator Collasuyo – to ta prowincja – a on zajmuje wysoką pozycję w radzie przybocznej Sapa Inki.

Wiadomość była zbiorem osobliwie powiązanych sznurków, nazwanym przez Tarucę *kipu*, składającym się z jednego grubszego, od którego odchodziły cieńsze, w różnych kolorach i z supełkami w różnych odległościach; siedzący niedaleko młodzieniec splatał wprawnie całość ze stosu leżącej przed nim przędzy, a także zawiązywał węzły. Kiedy skończył, podał swoje dzieło Taruce, który przesunął palcami po sznurkach, zapytał raz lub dwa razy o ich kolory, a potem, pomimo swojej ślepoty, szybko dodał jeszcze trochę węzłów od siebie.

— Tak, w ten sposób możesz czuć słowa – powiedział, kładąc dłoń Laurence'a na supełkach. – Obecnie niektórzy z młodych wolą kłaść znaki na papierze, tak jak to robicie wy, Europejczycy. Pewnie tak jest szybciej, ale stary sposób jest najlepszy, kiedy informacja ma jakieś znaczenie. Co by się stało, gdyby papier został przemoczony, podarty albo zjedzony przez robaki? Nie można polegać na czymś takim.

— Bardzo chciałbym, żeby można się było w jakiś sposób dowiedzieć, nie znieważając przy tym nikogo, jaką pozycję ma jego córka, skoro wysłała taką wiadomość do władcy – powiedział Hammond półgłosem do Laurence'a, kiedy już znaleźli się z powrotem na swoich miejscach, i niezdecydowanie obrócił w dłoniach masę pokrytych węzłami sznurków. – Czy wieziemy list od zwykłej matrony, szlachcianki czy... – Wzruszył bezradnie ramionami.

— Każdy list polecający musi być dla nas korzystny – odrzekł Laurence – niezależnie od pozycji autora, a poza tym wystarczy, żeby się pan rozejrzył: to nie jest małe gospodarstwo, ale wielka posiadłość. Na pewno może pan zapytać o liczbę mieszkających tu ludzi.

Kiedy Hammond zadał to pytanie samej Choque-Ocllo, kilka smoków jednocześnie podniosło głowy i odpowiedziało, zanim ona zdążyła to zrobić

– ewidentnie podając nieco różne liczby, co doprowadziło do sprzeczki między nimi; kiedy one się kłóciły, Choque-Ocllo powiedziała:

— Niektóre z nich nie lubią wliczać dzieci, dopóki jeszcze nie chodzą; strata któregokolwiek sprawia smokom zbyt wielki ból. Ale we wszystkich *ayllu*, w których jest przynajmniej jeden wódz z linii Curicuillor, żyje trochę ponad cztery tysiące ludzi: to dlatego, oczywiście, inne smoki przybywają tu czasem, żeby kraść ludzi, i mądrze zrobicie, jeśli będziecie pilnie strzec waszej grupy.

– Czy one często tu przybywają? – zwrócił się Temeraire do Curicuillor. Podśluchał rozmowę Laurence’a i teraz, gdy rzucił okiem na swoją załogę i marynarzy, przyszła mu do głowy myśl, że dobrze by było, gdyby zorganizowali bardziej systematyczne warty i dowiedzieli się, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo im grozi.

— Teraz sytuacja jest lepsza, niż była przedtem, zanim sformowano patrole. Ale nadal nie jest taka, jaka była w czasach, kiedy się wyklułam – odpowiedziała smutno Curicuillor. – Wtedy nie było żadnych kradzieży. Gdyby mężczyzna z innego *ayllu* zapragnął poślubić jedną z moich kobiet, przeniósłby się po prostu do nas, a ja wysłałabym w zamian podarunek, albo, jeśli się szczególnie polubiło jakichś ludzi, można było próbować namówić ich do przejścia z jednego *ayllu* do drugiego. Sama kiedyś znalazłam w górach dziewczynę ze wspaniałym głosem, która żyła w *ayllu* składającym się z samych ludzi, bez żadnego smoka; przygarnęłam więc razem z nią jej całe *ayllu* i oni przyszli z taką radością, byli tacy szczęśliwi... ale ona umarła na plamistą gorączkę sto lat temu.

Straszne zarazy dziesiątkujące ludność przez ostatnie dwa stulecia zmieniły sytuację. Smoki, którym powymierały całe *ayllu*, kradły ludzi, żeby zastąpić nimi zmarłych.

— I oczywiście będą szczególnie starały się dostać takich jak mój Taruca – dodała Curicuillor, obwąchując go delikatnie – bo każdy widzi, że on nie umrze, przynajmniej nie na ospę. I obowiązują teraz prawa zakazujące tych praktyk, ale mimo to niektóre smoki próbują kraść ludzi w miejscach bardzo odległych od ich *ayllu*, przez co trudniej jest je wytropić i złapać, a kiedy nie możemy ich odnaleźć, nie możemy też rzucić wyzwania lub odebrać ludzi.

— Sapa Inka czasem zabiera ludzi i przenosi ich gdzie indziej, jeśli jakiś

smok ma ich bardzo dużo, a inny stracił wszystkich swoich – dodała z lekką urazą w głosie Churki, jedna z jej młodszych córek – i nie można odmówić. Gdyby można było, mielibyśmy jeszcze więcej ludzi, niż mamy.

— No cóż – westchnęła Curicuillor, poprawiając kilka zwojów swojego ciała i zmieniając lekko pozycję – nie można oczekiwać, żeby ktoś, kto stracił wszystkich ludzi ze swojego *ayllu*, żył dalej, jakby nic się nie stało, jakby był jakąś dziką bestią pędzącą żywot na pustkowiu. Jest oczywiste, że jeśli nie podejmie się jakichś kroków, takie smoki będą kraść.

Kiedy sprzątnięto resztki wspaniałej uczyty, Temeraire, zachęcony do tego przez Laurence'a, zapytał ją o kierunek ich dalszej podróży.

— Cusco jest tam – odpowiedziała Curicuillor, pokazując mu drogę na leżącej na dziedzińcu jej domu cudownej mapie plastycznej, wykonanej ze złota i szlachetnych kamieni, ukazującej całą okolicę – i damy wam także następny glejt, który powinieneś zawiesić sobie na piersi; to może ci pomóc, pomimo twojego wyglądu, uspokoić strażę, kiedy będziecie blisko miasta.

Temeraire rozpląszczył krezę; nie było nic ani trochę złego w jego wyglądzie, jego zdaniem.

— A jeśli zechcesz – dodała w zamyśleniu Curicuillor – to po załatwieniu tam swojej sprawy mógłbyś tu wrócić albo, jeśli już o to chodzi, wcale tam nie lecieć, ponieważ ta cała kwestia zagranicznych wojen wydaje mi się głupia. Łatwo ulec ekscytacji z powodu perspektywy walki, ale to nie jest dojrzałe zachowanie. Powinieneś być gotowy walczyć, jeśli nie ma innego wyjścia, żeby bronić swojego *ayllu* albo powiększyć swoje terytorium i dać ludziom szansę lepszego życia, ale nie po to, by robić zamieszanie dla samego zamieszania. Przecież jesteś tutaj z blisko dwustoma ludźmi, z których prawie każdy jest w odpowiednim wieku, żeby móc płodzić dzieci, i tylko dwójkiem małych; czemu nie ma się co dziwić, kiedy nie masz ze sobą żadnych kobiet.

— Och – westchnął niepewnie Temeraire. Jej słowa sprawiły, że poczuł się nieswojo: od Chin dzielił go wielki ocean, a mimo to ta smoczyca, która w sposób oczywisty była bardzo stara i mądra – chociaż czasem trzeba jej było powtarzać niektóre rzeczy po kilka razy, zanim w nie uwierzyła – była niemal tego samego zdania na temat wojny, co jego matka, Qian. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że pod tym jednym względem chiński zwyczaj można uznać za gorszy od zachodniego, ale usłyszenie tego w tym miejscu na końcu świata, powtórnego niezależnie i przekonująco,

podważyło jego wcześniejszą konkluzję.

— Nie brakuje nam kobiet – odparł – czyli żon, bo, jak przypuszczam, je masz na myśli; byłbym bardzo zadowolony, gdybym miał więcej takich kobiet jak Roland. Ale nie myślałem o tym, że Laurence mógłby wziąć sobie żonę. – Nie widział żadnego powodu, dla którego miałyby to być w ogóle wskazane.

— A skąd w przeciwnym razie wezmą się dzieci? – zapytała Curicuillor z lekkim rozdrażnieniem w głosie. – Mam nadzieję, że nie związałeś się sercem z tylko jedną osobą. Co się stanie, jeśli on umrze bezdzietnie, ponieważ ty pragniesz skupiać na sobie całą jego uwagę? Zostaniesz zupełnie sam i będzie to całkowicie zasłużona kara za to, że nie chciało ci się budować planów na przyszłość.

Temeraire nie rozumiał, dlaczego Laurence miałyby w ogóle umierać, ale dręczyła go niepokojąca świadomość, że ludzie to robią, dość często; pomyślał o Rileyu i milczał.

— Cóż, jesteście wszyscy bardzo młodzi – powiedziała Curicuillor z westchnieniem. – Nie wiem, jak to wygląda w twoim kraju, kiedy smoki w naszym wieku mają już własne *ayllu*. Jesteś w odpowiednim wieku do walki, ale w takim razie powinieneś być z armią, a nie obarczać się odpowiedzialnością za innych; nic dziwnego, że słyszymy takie dziwne raporty o waszych ludziach.

Podniósłszy się z wysiłkiem, poczłapała w dół na skraj wody. Kiedy Temeraire doszedł do niej, wskazała głową przeciwną stronę jeziora, gdzie między drzewami widać było piękną, białą plażę.

— Chciałam, żeby Churki przeniosła się tam ze swoim *ayllu*, kiedy urodzi się jeszcze trochę dzieci – powiedziała – bo wtedy panowalibyśmy nad tą częścią jeziora ze wszystkich stron i tylko naprawdę bezczelny złodziej mógłby próbować kogoś nam ukraść. Ale nie ma potrzeby czekać. Dlaczego nie miałbyś zmienić zdania w kwestii tej waszej wojny? Ty i twoi przyjaciele możecie tu zostać. Ja pozamieniam się z wami, żebyście mieli wystarczająco dużo młodych kobiet do założenia normalnych rodzin, i będziemy mieli nową krew, co będzie dobre dla nas wszystkich.

– Wydaje się, że oni tu mają wszystko lepiej zorganizowane – stwierdził smętnie Kulingile.

Siedział wraz z Temeraire'em i Iskierką na plaży, obserwując, jak jeden

z młodszych smoków przygotowuje nowy taras uprawny w zbczu wzgó-
rza; pracował z grupą kilkunastu młodych mężczyzn i kobiet, którzy rozsyp-
ywali przynieszone przez niego ładunki najpierw żwiru, a potem ziemi.
Kiedy smok skończył kłaść ostatnią warstwę gleby, siedzące do tej pory na
boku dwie młode kobiety wdrapały się na jego grzbiet z koszem wielkich,
srebrnych obręczy, które polerowały przez cały ranek, i pozakładały mu je
z powrotem na właściwe miejsca wzdłuż skrzydeł.

— Wolę mieć Granby'ego niż tuzin innych ludzi, nawet gdyby wspaniale
polerowali szlachetne kamienie – odezwała się Iskierka – ale oni zdają się
mieć tu całe sterty skarbów, a ja nie miałabym nic przeciwko temu, żeby
Granby miał dzieci.

Temeraire nie powiedział tego, ale odnosił wrażenie, że miałby coś prze-
ciwko temu, gdyby Laurence był nimi zbyt bardzo zajęty.

— Oczywiście nie zostaniemy tutaj – kontynuowała Iskierka. – To było-
by niedorzeczne, kiedy w Europie toczy się wojna, na którą możemy wrócić.
Równie dobrze jednak moglibyśmy wymienić z nią część marynarzy na ko-
biety. To mi się wydaje bardzo rozsądne: nie rozumiem, dlaczego w ogóle
nie mamy więcej kobiet w naszych załogach.

— Cóż, ja także nie rozumiem; Roland jest szczególnie bystra i mogę jej
zaufać we wszystkim, nawet gdy chodzi o przechowanie klejnotów – od-
rzekł Temeraire. – Ale marynarze mają obowiązek pozostać z nami i poma-
gać nam w walce, i nie możemy nimi handlować, bo nie są naszą własno-
ścią.

— Nie rozumiem dlaczego – upierała się Iskierka – jeśli chcą tu zostać,
a właśnie tego chcą, bo słyszałam, jak Granby mówił Laurence'owi, że będzie
trudno zapobiec dezercji połowy ludzi, kiedy kobiety rzucają im cielece spoj-
rzenia, a na stołach widzą srebrne kielichy.

— Ale w takim razie jest bardzo mało prawdopodobne, by kobiety chcia-
ły polecieć z nami – odrzekł Temeraire. – Tak czy owak, nie sądzę, żeby Curi-
cuillor pozwoliła nam zabrać je ze sobą. Co tu dużo mówić, prehandluje je
z nami, jeśli zostaniemy tutaj, gdzie może je zobaczyć, kiedy tylko zechce;
w ten sposób tak naprawdę wcale ich nie odda.

— Och, niech ci będzie – powiedziała Iskierka, łatwo rezygnując ze swo-
jego planu. – Chyba poczekam, aż wrócimy do domu, i wtedy znajdę jakieś
młode kobiety do mojej załogi i do rodzenia dzieci Granby'emu.

— Nie chciałbyś mieć stale dzieci, prawda, Laurence? – zapytał Temera-

ire tego samego wieczoru.

— Słucham? – odpowiedział Laurence, a kiedy Temeraire przedstawił mu plan Iskierki, szybko zapewnił go, że nie ma takich pragnień. – Mam nadzieję – dodał – że ona najpierw zapyta Johna o zdanie, zanim wcieli w życie swoje zamiary; choć nie sądzę, żeby były jakiegokolwiek podstawy do takiej nadziei.

Następnego ranka ludzie zaczęli przygotowania do opuszczenia wyspy, a Temeraire poleciał z ich obozu poszukać Curicuillor, żeby się z nią pożegnać: była znowu na swoim dziedzińcu, pogrążona w półśnie i otoczona przez grupę kobiet, które pilnie tkwały przepiękny materiał w kolorach jaskrawoczerwonym i żółtym. Temeraire nie próbował nawet ukryć zachwytu na jego widok: nie był to wprawdzie jedwab, ale wyglądał niemal tak samo dobrze.

— To było zbyt wiele, oczekiwać, że w waszym wieku wykażecie się rozsądkiem – powiedziała ze smutkiem Curicuillor, kiedy Temeraire wyjaśnił, że nie mają jednak zamiaru zostać. – Ale mimo to byliście bardzo uprzejmi i zachowaliście się o wiele lepiej, niż można było się spodziewać po istotach tak młodych i pochodzących z niecywilizowanego kraju. Poślę z wami Churki, żeby was przedstawiła na dworze. A Choque-Ocillo dała wam kipu, chociaż nie mogę powiedzieć, czy oni pozwolą waszym ludziom zobaczyć Sapa Inkę. Mężczyźni i kobiety mają tak krótką pamięć, ale my nie zapomnieliśmy strasznej śmierci Atahulapy. Żyła wtedy moja własna matka: trzy komnaty wypełniono złotem i srebrem na okup za niego, a mimo to ci źli ludzie wyciągnęli go na wielki dziedziniec w Cajamarce, założyli mu sznur na szyję i zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, został uduszony. Pahuac oglądał to od początku do końca. Potem rzucił się z góry w przepaść ze złożonymi skrzydłami, karząc się za to, że do tego dopuścił; oczywiście kiedy już ich wszystkich zabił.

Temeraire aż się skulił ze zgrozy. Widział raz wieszanie, nad kanałem: zdrajcy Choiseula, któremu prawie udało się porwać kapitan Harcourt i który przekazywał tajemnice Napoleonowi; egzekucję przeprowadzono także na oczach jego smoka Praecursorisa. Ale on przynajmniej zrobił coś, czym zasłużył sobie na taki los: nie był niewinnym człowiekiem, który oddał stopy skarbów za swoją wolność i zaraz potem został zamordowany.

— Nie wiem, jak Pahuac mógłby przewidzieć, że coś takiego się stanie: nikt nie mógł – odrzekł. – Ci ludzie musieli być zupełnie szaleni. Laurence na

pewno by czegoś takiego nie zrobił.

— Tak, ale też nie każdemu smokowi powierza się obowiązek ochrony Sapa Inki – powiedziała na to. – Pahuac powinien wziąć pod uwagę możliwość, że oni są szaleni, i interweniować wcześniej, ale on się za bardzo bał. To było krótko po tym, gdy przez kraj przeszły pierwsze zarazy i zmarło bardzo dużo ludzi; on był gotowy oddać wszystko, żeby tylko ochronić Atahualpę. Trzeba uczciwie przyznać, że ci ludzie nie mieli ze sobą smoków, więc najwyraźniej nawet we własnym kraju nie byli godni tego, by należeć do smoczego *ayllu*: biedni wieśniacy albo nawet złodzieje lub mordercy, jak sądzę.

— Cóż, większość ludzi w Europie nie żyje pod opieką smoków – odparł Temeraire. – Boją się nas; poza tym jest ich zbyt dużo, a nas za mało, jak mi się wydaje. Laurence mówi, że w Brytanii jest dziesięć milionów ludzi: był spis w roku tysiąc osiemset pierwszym.

Leżała spokojnie do tego momentu, a jej oczy były na wpół zamknięte, nawet gdy mówiła; ale kiedy usłyszała jego słowa, uniosła gwałtownie głowę, całkowicie już obudzona; nawet ciężko pracujące dookoła niej kobiety przerwały swoje rozmowy.

— Dziesięć milionów – powtórzyła Curicuillor. – Dziesięć milionów? Czy Brytania to duży kraj? – Kiedy na podstawie wspomnień Temeraire’a ustalili, najlepiej jak mogli, jej przybliżone rozmiary, smoczyca usiadła na tylnych łapach. – Dziesięć milionów, i tak małe miejsce; w całym Pusantinsuyo żyją obecnie ledwie trzy miliony.

Pochyliła nisko głowę i milczała przez kilka chwil, rozmyślając ze smutkiem; jej upierzenie rozpląszczyło się na szyi. A potem powiedziała do Temeraire’a:

— Możesz im o tym powiedzieć, kiedy przybędziecie do Cusco; jestem pewna, że będą przez to bardziej skłonni pozwolić wam na rozmowę z Sapa Inką. Dziesięć milionów. Gdybyśmy my mieli tak dużo ludzi!

Laurence nie żałował, że znowu ruszają w drogę, pomimo bezsprzecznej hojności gościnnej Curicuillor; nie uważał po prostu, by jej wpływ na Temeraire’a i pozostałe smoki był bezwzględnie dobry, zwłaszcza gdy zachęcała je do przyjęcia miejscowego sposobu myślenia, ale pomijając nawet tę okoliczność, przedłużenie pobytu o dowolny okres miałoby z pewnością ten skutek, że ich siły uległyby gwałtownemu osłabieniu. Tej ostatniej nocy trzech ma-

rynarzy usiłowało się wymknąć z obozu, a kiedy smoki były w końcu załadowane i gotowe do drogi, Laurence był zmuszony zignorować fakt, że dwóm innym udało się jednak zdezerterować, pomimo wszystkich wysiłków Forthinga, gdyż w innym wypadku nie mogliby wyruszyć w drogę: w czasie, który poświęciliby na poszukiwanie tych ludzi, uciekliby inni.

— Laurence – odezwał się zatroskany Temeraire, kiedy kilka godzin później wylądowali, by zaspokoić pragnienie i uzupełnić zapas wody – coś jest nie w porządku. Brakuje nam dwóch ludzi.

A zatem Temeraire zauważył zniknięcie dwóch z blisko dwustu, chociaż nigdy nie był nadmiernie skrupulatny, jeśli chodziło o pasażerów; miał oczywiście ulubieńców pośród swojej załogi, ale do niedawna raczej lekceważył marynarzy, niż ich ceniał.

— Cóż, aż tak bardzo mi na nich nie zależy – stwierdził smok, kiedy Laurence go przekonał, że nie mogą wrócić i zacząć szukać dezertorów – bo oni nie należą właściwie do mojej załogi, i przypuszczam, że i tak musielibyśmy ich oddać po powrocie do Brytanii. – To ostatnie zdanie wypowiedział jak pytanie, patrząc badawczo na Laurence’a, a kiedy ten potwierdził to skinieniem głowy, westchnął. – Czy myślisz, Laurence, że dostaniemy znowu pełną załogę, kiedy wrócimy? Przyjemnie byłoby być porządnie szorowanym, w regularnych odstępach czasu, i gdyby moja uprzęż była lepiej założona, i utrzymywana w lepszym stanie.

Pogodził się ostatecznie ze stratą, kiedy sobie przypomniał, że Curicuillor dała im na drogę mnóstwo jedzenia, a nawet zrobiła mu prezent z pary srebrnych obręczy, które chciał natychmiast założyć, przekłuwając sobie krawędzie skrzydeł, ale Laurence przekonał go z trudem, żeby tego nie czynił.

— Mogą o coś zaczepić podczas bitwy – powiedział między innymi.

— Jestem pewny, że potrafiłbym tego uniknąć – odparł Temeraire – ale to prawda, że jedna para nie robi większego wrażenia. Kiedy wezmę następny przyz, może kupimy kilka tuzinów, i wtedy to będzie dopiero coś.

— Coś jak tancerka z Covent Garden – powiedział Laurence do Granby’ego z westchnieniem.

— W porównaniu ze mną nie masz się na co skarżyć – zwrócił mu uwagę Granby, nie bez racji.

Woda w źródle była chłodna i pyszna i przez resztę tego dnia lecieli ponad pofałdowanym stepem, na którym widzieli wałęsające się stada dzikich wi-

goni oraz trochę wiosek: Churki ich prowadziła, lecąc na czele, i dlatego smoki patrolujące ten obszar nie zatrzymywały ich do sprawdzenia. Miała to samo pomarańczowo-fioletowe upierzenie, co jej matka, i chociaż nie dorównywała jej jeszcze wielkością, w wieku dwudziestu kilku lat, jak poinformowała Hammonda, była więcej niż godnym przeciwnikiem dla każdego Regal Coppera.

— Aż do ostatniego roku byłam w armii – powiedziała, mierząc go spojrzeniem, które można było jedynie nazwać niepokojącym – i zdobyłam wiele zaszczytów, a potem wróciłam do domu, żeby się nauczyć dobrego zarządzania od matki, zanim ona przejdzie do drugiego świata. Jestem już gotowa do objęcia własnego *ayllu*. Już bardzo niedługo zacznę budować moje gospodarstwo.

Umilkła na chwilę, a potem dodała:

— Czy dobrze zrozumiałam, że ty nie należysz tak naprawdę do *ayllu* Temeraire’a? Ani Iskierki i Kulingile?

— To mi pochlebia – wyznał Hammond Laurence’owi – ale mam nadzieję, że moja odmowa przyjęcia tej oferty nie zostanie uznana za zlekceważenie możliwości przysłużenia się w przyszłości ojczyźnie. Bardzo wątpię, żeby ona była skłonna wrócić ze mną do kraju, gdybym zgodził się na jej propozycję.

— Mógłbym ją zachęcić – zaoferował się Temeraire. – Curicuillor była pod wielkim wrażeniem, kiedy jej powiedziałem, jak dużo ludzi mamy w Brytanii, może więc Churki zastanowiłaby się jednak nad tym.

— Och, nie – wysapał Hammond z pewnym niepokojem; wciąż jeszcze był lekko zielony po całodziennym locie i nie miał najmniejszej ochoty należeć do smoka.

Następnego dnia rano Churki zasugerowała, że powinien jej towarzyszyć w czasie lotu; a kiedy zaczął się słabo sprzeciwiać, wskazała nosem wysoką kępę krzewów o zielonych liściach i powiedziała:

— Zaparz tamte zielone liście, zamiast tych dziwnych, wysuszonych, które ze sobą nosisz, i poczujesz się dużo lepiej. Weź też garść na drogę i żuj je co jakiś czas.

— Ufam, że ona wiedziałaby, gdyby to było dla mnie trujące – powiedział niepewnie Hammond i zaniósł próbkę liści Gong Su, żeby poznać jego zdanie. Gong Su ugryzł kawałek, po czym go wypluł i wzruszył ramionami.

— Zawsze jest bezpieczniej, gdy się najpierw zagotuje – zawyrokował,

a po zaparzeniu okazało się, że napar ma osobliwy, ale wcale przyjemny smak; do końca dnia Hammond wypił siedem kubków i na pewno by umarł, gdyby był choćby lekko trujący.

— To doprawdy cudowne – powiedział tej nocy. – Czy pan wie, kapitanie, że przez cały dzień nie zwymiotowałem ani nawet nie miałem mdłości? Czuję się tak dobrze jak nigdy dotąd od czasu, gdy opuściliśmy Nową Południową Walię, i każdy dzień byłem zmuszony spędzić albo na pokładzie okrętu, albo, gorzej, na grzbiecie smoka. Naprawdę mam cudownie jasny umysł; jestem skłonny oświadczyć, że ten napój przewyższa herbatę zarówno pod względem smaku, jak i właściwości zdrowotnych.

Następnego dnia dolecieli do głębokiej doliny rzeki, którą Churki nazwała Urubambą, i od tego miejsca podążyli w górę rzeki przez jej głębokie wąwozy. Byli teraz niżej, najwyższe góry pozostały za nimi, a w dole widzieli coraz więcej dróg oraz porozrzucanych tu i tam wiosek, aż na koniec, wyleciawszy zza zakrętu wąskiego w tym miejscu przełomu rzeki, zobaczyli ogromny most wiszący, który spinał oba jej brzegi.

Był bardzo obciążony: przechodziło nim właśnie trzech jeźdźców, prowadzących swoje wierzchowce oraz karawanę kilkudziesięciu lam, a także równie duża grupa ludzi idących pieszo – a raczej chwytających się kurczowo jego bocznych lin. Most wyraźnie chylił się ku upadkowi: grube liny były postrzępione, a w chwili gdy do niego dolatywali, do rzeki zleciał kawałek wiklinowej maty chodnikowej, rozpadając się na patyki, z których ją spleciono.

Koniom zawiązano oczy, żeby dały się spokojnie przeprowadzić na drugą stronę, ale mimo to były zaniepokojone grożącym im niebezpieczeństwem; kiedy wyczuły niesiony przez wiatr zapach smoków, oszalały z przerażenia i zaczęły stawać dęba, szarpiąc się z trzymającymi je ludźmi. Jeśli nawet wcześniej była nadzieja, że tej gromadzie uda się przejść przez most, zanim cała konstrukcja runie w dół, teraz ona zniknęła, i jasne się stało, że od katastrofy dzielą ich dosłownie chwile.

Temeraire zanurkował natychmiast; ludzie na moście zaczęli krzyżeć, wskazując go palcami, ale on minął ich, zawisł w powietrzu pod główną częścią mostu i podtrzymał ją, starając się w miarę swych sił nie dopuścić do tego, żeby spadła.

— Trochę bardziej na lewo – zawołał do niego Laurence, rozpinając rze-

mienie swojej uprzęży – i jeśli zdołasz się cofnąć, ciężar rozłoży się na twoim zadzie. Roland, wyciągnij z dołu tę zapasową uprzęż; musimy spętać te konie, zanim się rzucą w dół.

Wciągnął się na most w pewnej odległości przed przechodzącą przezeń grupą, w ślad za nim poszli Forthing i Ferris, i wszyscy razem zdołali uspokoić pierwszego konia, jeśli można to było nazwać uspokojeniem; musieli go niemal całkowicie unieruchomić rzemieniami, a potem we trzech zaczęli go ciągnąć, i kiedy tak wlekli parskające, przerażone zwierzę, pękł jego popręg. Wszystko, siodło, koce, i uprzęż, spadło z grzbietu konia, odbiło się od kości biodrowej Temeraire'a i pokoziołkowało w głąb wąwozu, podzwaniając strzemionami, aż w końcu znikło w widocznych w dole kataraktach.

Nawet z Temeraire'em podtrzymującym go na niemal całej długości most zdawał się niepokojąco słaby. Kiwał się niczym bocianie gniazdo w wietrzny dzień, tyle że pod stopami nie czuło się twardości starej dębiny, a w zasięgu ręki nie było trójżyłowej liny okrętowej. Laurence zdołał przeciągnąć przez całą jego długość opierającego się konia – ogiera, jak zauważył z pewną irytacją, nie dziwiąc się już, że tak trudno było nad nim zapanować – przy czym Ferris bezlitośnie smagał go po zadzie, aż na koniec dotarli na drugi brzeg, gdzie zostawił zwierzę pod opieką Forthinga, polecając, by przywiązał je do pobliskiego drzewa.

Wdrapał się ostrożnie z powrotem na rozkołysany most i wyciągnął rękę do bladego ze strachu człowieka, który leżał na brzuchu i trzymał się kurczowo jednej z mat chodnikowych; po co, skoro most miał się właśnie rozlecieć, Laurence nie rozumiał.

— Idź tam – rzucił, popychając go we właściwą stronę, po czym odwrócił się ku drugiemu koniowi, ale biednego zwierzęcia, oszalałego z przerażenia, nie można było już uratować. Kopiać wściekle, przebiło jedną nogą matę chodnikową, rozdzierając ciało o kawałki wikliny, i nawet jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nie ma nadziei: krew lała się szerokim strumieniem, a od pęciny aż do stawu skokowego bieląła kość.

Mężczyzna trzymający jego uzdę też to zobaczył; wyciągnął zza pasa pistolet, rzucił Laurence'owi szybkie, smutne spojrzenie, a kiedy nie dostrzegł sprzeciwu w kiwnięciu głową, jakim Laurence mu odpowiedział, przyłożył lufę do głowy zwierzęcia i położył kres jego cierpieniom.

— Temeraire – zawołał Laurence – czy możesz zdjąć ten zewłok?

— Niezbyt łatwo, obawiam się – odparł smok, wyciągając szyję – ale rano

zjadłem lamę. Kulingile, masz ochotę na konia? – zawołał; pozostałe smoki przeleciały na przeciwną stronę wąwozu i usiadły tam, gdzie mogły, na nagiej skale.

— *Arrêtez, arrêtez!* – zaprotestował jeździec, wskazując brzuch padłego zwierzęcia, który, jak Laurence dopiero teraz zauważył, był rozdęty na skutek ciąży; w chwili gdy obaj na to patrzyli, malutkie kopytko wypchnęło skórę od środka, jakby w proteście.

— Co on, do diabła, chce, żebyśmy zrobili, wycięli to źrebię w powietrzu, wstrzymując wszystkich? – zapytał Ferris; dołączył z trudem do Laurence’a, gdyż most pod nimi wyginał się jak wstążka powiewająca na wietrze.

Kulingile spłynął ze ściany wąwozu i przelatując nisko nad nimi, zgarnął ciało martwego konia jednym ruchem ogromnego pazura, a następnie, kończąc swój przelot, położył je po drugiej stronie rzeki. Demane ześliznął z jego barku i chwilę później doskoczył do zewłoku z wyciągniętym nożem, żeby otworzyć brzuch. Jeździec patrzył na to wystarczająco długo, by dostrzec, że Demane wie, co robi, a następnie odwrócił się w stronę ostatniego z koni. Wraz z trzecim jeźdźcem zmusili w końcu zwierzę, żeby ruszyło z miejsca, a tymczasem karawana lam wraz z przewodnikami wycofała się z mostu na drugą stronę wąwozu.

Wycięte z ciała matki małe źrebię chwiało się na tyczkowatych nogach; jeździec wytarł je delikatnie do czysta.

— Czym on zamierza je karmić? – zapytał Demane, marszcząc czoło, ale trzeci koń, kolejna klacz, była w nie mniej zaawansowanej ciąży od tej, która zginęła. Choć była słusznie zdumiona, gdy przystawiono jej źrebię, zanim urodziła swoje, nie sprzeciwiała się zbytnio i już wkrótce małe zwierzę ssało na tyle energicznie, by wzbudzić we wszystkich nadzieję, że jednak przeżyje.

— *Mille fois merci* – powiedział jeździec, który najwyraźniej był także opiekunem wszystkich koni; odszedł od ssącego źrebięcia, żeby ucisnąć energicznie dłoń Laurence’a.

— *De rien* – odpowiedział Laurence, kłaniając się uprzejmie, i uświadomił sobie poniewczasie, że mówili po francusku, a także to, że jego ręka była teraz cała we krwi. Francuz zauważył to mniej więcej w tym samym momencie i z pewnym zakłopotaniem puścił jego rękę.

— Chcesz mi powiedzieć – rzucił z niedowierzaniem Granby, kiedy Iskierka wylądowała i rozbili się na noc w niewielkiej odległości od ludzi, którym pomogli – że ryzykowaliśmy życie, żeby uratować francuską kara-

wanę?

— Tak – potwierdził Laurence. – Podróżują lądem do Cusco, podążając za De Guignesem: on i członkowie jego poselstwa na pewno już tam są.

— I nie mam wątpliwości, że ta karawana przewozi dary – odezwał się Hammond – przeznaczone dla Sapa Inki; te konie są zwierzętami hodowlanymi. – Powiedział to z niejakim wyrzutem, jakby winił Laurence'a za to, że uratował Francuzów oraz ich towary. – A my tu wyglądamy tylko trochę lepiej od żebraków.

— Ponieważ nie mamy nic do podarowania, panie ambasadorze – powiedział Laurence – pozostaje nam liczyć na to, że władca tak potężnego kraju nie da się łatwo zjednać błyskotkami i innymi podarunkami.

— Miejmy nadzieję, że bez nich w ogóle zostaniemy dopuszczeni przed jego oblicze – odparł Hammond.

Rozdział 11

Cusco leżało w górskiej niecce, otoczonej poszarpanymi, niskimi szczytami, zielonymi i porośniętymi mchem, i przykrytej zasłoną chmur. Widziane z góry miasto miało dziwny i osobliwie przemyślany kształt: oglądanego z boku jaguara, którego głową była ogromna kamienna forteca, wzniesiona na wzgórzu, a samo miasto jego wielkim ciałem, leżącym wzdłuż brzegów rzeki i składającym się z licznych wielkich domów o pięknej budowie, w większości ze stromymi, strzelającymi wysoko w górę dachami z kładzionej grubymi warstwami strzechy. Budynki stały grupami dookoła dziedzińców: na kilku z nich smoki leżały, śpiąc, na innych siedziały czujne; upierzenia wszystkich lśniły całą gamą jaskrawych barw, a ciche podzwanianie złotych i srebrnych ozdób, którymi były obwieszane, słyhać było nawet z góry.

Tak daleko, jak Laurence sięgał wzrokiem, nie widać było żadnych ruder ani nawet mniejszych domów, i w granicach miasta nie było nawet śladu jakiegoś targowiska; ta praktyczna strona życia najwyraźniej ograniczała się do wiosek, które tuliły się do siebie wokół miejskich murów w skupiskach, wzdłuż krótkich i dobrze utrzymanych dróg.

Kilka smoków z odznakami patrolu wyleciało im naprzeciw, gdy byli jeszcze daleko od tych murów, i teraz zataczały kręgi wokół Temeraire'a, popatrując na jego glejt i rozmawiając z Churki. W końcu dolecieli pod tą eskortą – trudno było powiedzieć, czy jako goście czy jeńcy – do ogromnego placu, leżącego bezpośrednio na północ od rzeki, który najwyraźniej pełnił jakieś ceremonialne funkcje i na którym pomieściłaby się nawet mała armia smoków.

— Mamy się zatrzymać w kallance po tamtej stronie – poinformowała Hammonda Churki, wskazując wielką, nakrytą dwuspadowym dachem halę przy placu. – Inni cudzoziemcy, jak mówią, są po drugiej stronie...

— Inni cudzoziemcy? – zapytał Hammond. – A zatem De Guignes jest tutaj?

Kiedy wylądowali, Laurence dostrzegł Genevieve, śpiącą po przeciwnej stronie placu w innej, przykrytej podobnym dachem hali. Wielkie jak lampy oczy Fleur-de-Nuita były przymknięte, tak że widać było tylko blade szpary.

Smoki patrolowe wylądowały dookoła nich i swoim zachowaniem wyraźnie dawały do zrozumienia, że zamierzają zostać. Churki przeprowadziła z nimi jeszcze kilka rozmów i w pewnym momencie odwróciła się i wyszczała coś na boku do Hammonda, który drgnął zaskoczony, a potem powiedział do Laurence'a:

— Kapitanie, czy nie możemy już wypuścić ludzi? Churki jest zdania, że... że nie uda nam się ich przekonać o naszych pokojowych intencjach, dopóki nie zobaczą, jak wszyscy schodzimy na ziemię...

Widząc jego zdradzające zakłopotanie spojrzenie, Laurence zwątpił, czy Hammond przethumaczył dokładne znaczenie tego, co powiedziała Churki, ale Temeraire był w tej chwili zdekoncentrowany, gdyż wdał się w cichą sprzeczkę z Iskierką na temat ornamentyki ogromnej świątyni widocznej trochę dalej na południowy wschód od placu:

— Laurence – zapytał, odwracając głowę – czy myślisz, że to naprawdę może być złoto, tam na zewnątrz tej budowli? Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawiłby złota tam, gdzie może się pobrudzić lub gdzie mogą na nie padać deszcze.

— Lepiej zwróć się z tym pytaniem do Churki, która powinna o tym wiedzieć więcej ode mnie; to mogą być tylko płatki złota – odparł Laurence, sam niepewny; ten fryz rzeczywiście wyglądał na złoty, ale to wydawało się nieprawdopodobne. – Panie Fer... panie Forthing, myślę, że teraz pozwolimy ludziom zejść na ziemię, jeśli łaska.

Wylądowanie blisko dwustu ludzi z pewnością wywarło wrażenie na obserwatorach. Kiedy sieć ładunkowa została opuszczona na ziemię i marynarze z wdzięcznością rozeszli się na wszystkie strony, żeby rozprostować nogi, a zaraz potem zaczęli głośno domagać się piwa, smoki patrolowe powyciągały szyje, przyglądając się im z zainteresowaniem i mamrocząc coś z uznaniem oraz, jak się wydało Laurence'owi, być może zazdrością. W każdym razie patrzyły teraz na Temeraire'a, Iskierkę i Kulingile z mniejszą podejrzliwością w oczach.

— Tak – odpowiedziała Churki – teraz zaczynają mi wierzyć, kiedy im

mówię, że przynieśliście z powrotem jednego z ludzi mojej matki, ukradzionego wiele lat temu. Przedtem myślały, że coś pomyliłam i muszę być w błędzie. I oczywiście są pod wielkim wrażeniem; widzisz, nie ma powodu, byście się zamartwiali tym, że Francuzi przywieźli konie i klejnoty; czym one są w porównaniu do tego, co wy przywieźliście?

Kończąc tłumaczenie, Temeraire dodał od siebie:

— Nie mam pojęcia, co ona może mieć na myśli, przecież widzi, że jesteśmy nędzarzami – i zapytał o to samo Churki.

Smoczyca potrząsnęła skrzydłami, podzwaniając głośno ozdobami.

— Jak to co, tych wszystkich ludzi, oczywiście – odpowiedziała.

— Panie Forthing – powiedział Laurence, kiedy zaczęli rozkładać sienniki i rozbijać prymitywne namioty, żeby zyskać dodatkową osłonę przed zimnym, wysokogórskim powietrzem – wystawi pan z łaski swojej wartę z zaufanych ludzi i niech zawsze będzie z nimi oficer na służbie. – Ta warta według jego zamierzeń miała ich chronić przed zagrożeniem ze wszystkich stron. Laurence był nieprzyjemnie pewny, że Hammond bez najmniejszych skrupułów wymieniłby nawet dwustu ludzi na każdą przewagę, jaką zyskałby nad Francuzami w procesie nawiązywania stosunków dyplomatycznych z Inkami.

List, *kipu*, został przekazany władzom; Churki także odleciała, żeby porozmawiać z jakimś ich ważnym przedstawicielem. Ale dzień mijał bez odpowiedzi, a tymczasem zobaczyli, jak po drugiej stronie placu ląduje wielki francuski Grand Chevalier Piccolo w towarzystwie kilku smoków inkaskich, które w pazurach niosły wiele zabitych lam dla Genevieve.

— Chętnie zjadłbym lamę – odezwał się Kulingile, przyglądając się temu uważnie. – Może polecimy zapolować? Robi się późno.

Ale Hammond nie chciał się zgodzić, żeby którekolwiek z nich opuściło plac, zanim dostaną jakieś upoważnienie. Nie bez racji niepokoił się, że któryś ze smoków, lecąc samotnie, sprowokuje jakąś miejscową bestię do zakwestionowania ich prawa do pobytu w sercu imperium. Stał się jeszcze bardziej niewzruszony, kiedy Churki w końcu wróciła z informacją, że ich wiadomości trafiły we właściwe ręce i niedługo na spotkanie z nimi przybędzie przedstawiciel dworu.

— Musimy zrobić wszystko, żeby wywrzeć na nich jak najlepsze wrażenie – oświadczył i zarządził, by smoki ustawiły się w linii, a ludzie w szeregach dookoła nich, tak żeby wyglądało na to, że jest ich jeszcze więcej, niż

naprawdę było.

— Mógłbyś teraz włożyć swoją szatę, Laurence – zasugerował Temeraire, rozochocony entuzjazmem Hammonda.

Laurence z najwyższym trudem odwrócił jego uwagę od siebie, nakłaniając do tego, by zajął się poprawą własnego wyglądu: rozpakowano pochwy na pazury, wypolerowano platynowy napierśnik, a potem marynarze pod przewodnictwem Roland uformowali rząd i podając sobie wiadra, zaczęli przenosić wodę z wielkiej fontanny na środku dziedzińca do smoków i polewać nią ich grzbiety.

— Nie mogę się nie zgodzić z panem Hammondem, że musimy wyglądać możliwie przyzwoicie – powiedział na swoją obronę Temeraire, kiedy ryknął, cichutko, na kilku marynarzy, którzy nieopatrznie wyrazili sprzeciw, gdy skierowano ich do tej pracy – i przykro mi to mówić, ale w tej sprawie możemy polegać tylko na Kulingile, Iskierce i na mnie: nie da się zaprzeczyć, że jako grupa wyglądamy bardzo dziwnie, z tymi wszystkimi ubraniami, które Curicuillor tak uprzejmie nam podarowała. Z pewnością nie chciałbyś, żebyśmy wzbudzili w tych inkaskich arystokratkach odrazę, Laurence. Czy na pewno nie zastanowisz się jeszcze nad...

Na szczęście zanim Temeraire zdołał ponowić próbę wepchnięcia Laurence'a w chińskie szaty, Churki powiedziała:

— Tam: jest już niedaleko, i popatrzcie, to władca osobistego *ayllu* Sapa Inki, we własnej osobie; czy nie dotrzymałam obietnicy, Hammond?

Siedzący na tylnych łapach Temeraire wyprostował się gwałtownie i przycisnąwszy złożone skrzydła do tułowia, zaczął się rozglądać po pustym dziedzińcu tak samo nadaremnie jak reszta z nich; a potem popatrzył w górę, opuścił skrzydła i jęknął:

— Och nie, to znowu on?

Na placu przed nimi wylądował Maila Yupanqui.

– Nie rozumiem, dlaczego musisz się zachowywać tak nieprzyjaźnie – powiedziała Iskierka i zrobiła z siebie widowisko, zdaniem Temeraire'a, kiwając głową do Maili, który ukłonił się jej kokieteryjnie, odpowiadając jednocześnie na wykrzykiwane przez Hammonda pytania.

— Z pewnością jakiś urzędnik mógłby się z wami spotkać, jeśli tego chcecie. Może przedstawiciel polityczny Antisuyo; przecież chcecie podróżować przez dżunglę, nieprawdaż, do tej Brazylii?

— Tak... tak, oczywiście – odrzekł Hammond, rzucając ostrożne spojrzenie Laurence'owi – ale naturalnie, skoro już tu jestem, to jako na przedstawicielu rządu Jego Królewskiej Mości spoczywa na mnie obowiązek... byłoby czymś niewybaczalnym, gdybym nie złożył ukłonu Sapa Ince i nie przekazał wyrazów sympatii Jego Królewskiej Mości, a także pozdrowień od jednego władcy wielkiego narodu dla drugiego oraz informacji dotyczących obecnej sytuacji w Europie i przebiegu wojny...

— Cóż, jesteś człowiekiem – przerwał mu lekceważąco Maila. – Nie jest jeszcze dla mnie jasne, czy takie spotkanie jest konieczne. Ale – tu zwrócił się w stronę Iskierki – nie ma żadnego powodu, dla którego ty nie mogłabyś złożyć wizyty na dworze i zostać tam przedstawiona. Sapa Inka już wie o twoim zwycięstwie na arenie w Talcahuano i bardzo chce cię poznać: wielki Manca Copacati nie przegrał żadnej walki przez dwadzieścia trzy lata i wszyscy chcieliby się dowiedzieć, jak tego dokonałaś.

Oburzony Temeraire rozpląszczył krezę na karku: jakby on nie był w stanie pokonać Copacatiego, i to bez najmniejszego trudu, i jakby nie był najstarszym smokiem w ich grupie...

— Oczywiście, że przybędę – odparła Iskierka, puszczając się w najbardziej absurdalny, pełen samozadowolenia sposób – spotkam się z Sapa Inką i z przyjemnością wytłumaczę, jak wygrałam. Oczywiście to była wspaniała walka, a on był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, ale dla mnie to było nic. Czy polecimy tam od razu?

— Ale... – zaczął Hammond – ale...

— Nie ma powodu, żeby zwlekać – odpowiedział Maila. – Dwór się właśnie spotyka. Sapa Inka chętnie się z tobą zobaczy, jeśli możesz przybyć.

— Co ty wyrabiasz? – zapytał zirytowany Temeraire. – Panie Hammond, przecież nie może pan jej pozwolić polecieć na dwór i mówić w imieniu Anglii...

— A dlaczego nie? – przerwała mu Iskierka. – Jeśli Sapa Inka nie chce się widzieć z tobą, najpewniej dlatego, że chcesz rozmawiać o takich męczących sprawach jak handel i polityka, o wszystkim, co nudne, to dlaczego nie miałabym tam pójść zamiast ciebie. Chyba że chcesz, byśmy tu siedzieli i patrzyli, jak Francuzi krążą między tym dziedzińcem a dworem.

Ten ostatni argument, jak z bólem zauważył Temeraire, okazał się bardzo celny. Hammond zwrócił się do Iskierki i powiedział:

— Musisz zrozumieć, że żadną miarą nie wolno ci mówić w imieniu rzą-

du Jego Królewskiej Mości bez uzgodnienia ze mną konkretnych sformułowań i że twoim głównym celem ze wszystkich spraw musi być przekonanie Sapa Inki do przyjęcia mnie jako przedstawiciela Jego Królewskiej Mości...

— Tak, tak... – przerwała mu Iskierka, machnąwszy końcem ogona. – Prowadź, proszę – zwróciła się do Maili, który pochylił głowę i wzbił się przed nią w powietrze.

Temeraire odprowadził ich oboje wzrokiem, zdumiony i zawiedziony, że cały porządek świata przewrócił się do góry nogami.

— Nie przekona Sapa Inki, żeby to zrobił – powiedział wzburzony do Hammonda – nawet nie spróbuje tego zrobić; ona tylko wróci i będzie nas dręczyć tym, że była na dworze, a my nie; przecież musisz to widzieć całkiem jasno. Och! Wysłać Iskierkę z misją dyplomatyczną... można by pomyśleć, że nigdy jej nie spotkałeś, że nie spędziłeś dziesięciu minut w jej towarzystwie. Zapewne straci panowanie nad sobą i rozpocznie w naszym imieniu nową wojnę.

— Mówisz tak, jakbym dokonał rozmyślnego wyboru – odparował Hammond z pewną irytacją w głosie – kiedy ja byłbym niewymownie zachwycony, gdybym miał inną możliwość nawiązania kontaktu... innego pośrednika poza smoczyką, która nie dość że ma wybujały temperament, to jeszcze zupełnie nie przejmuje się opinią innych na swój temat. Jeśli tylko taka możliwość się pojawi, wykorzystam ją bez chwili zwłoki; tego możesz być pewny.

Granby'ego było nawet trudniej pocieszyć niż Temeraire'a.

— Laurence – powiedział – a jeśli ta moja wariatka wpadnie w szal i obrazi cesarza lub podpali pałac...

Laurence chciałby go uspokoić argumentami, w których szczerze przeważałaby nad komunałami, ale nie mógł nie podzielać obaw związanych z każdą misją, której sukces miałby zależeć od dobrego zachowania Iskierki.

— Możesz się pocieszyć tym – powiedział w końcu – że po pokonaniu tak wybitnego mistrza Iskierka przybywa na dwór poprzedzona reputacją, dzięki której raczej nie będzie narażona na jakieś obcesowe zachowania i rzucone bez namysłu zniewagi.

— Chyba że jakiś inny smok uprze się, żeby ją wyzwać – odparł Granby – powodowany chęcią zemsty lub ambicją. Postaw kogoś na warcie, dobrze? Dopóki ona nie wróci, będę wariować z niepokoju; a jeśli zbliży się ktoś

inny, daj mi znać, a ja się ukryję do czasu, aż będziemy wiedzieć, że nie zaczęła wojny.

Tylko Kulingile był zadowolony. Maila przyznał im prawo swobodnego korzystania z miejscowych stad i Demane wraz z Kulingile polecili na polowanie, z którego przynieśli dziewięć lam, piekących się już na roznach pod nadzorem Gong Su: za hałą były wielkie doły do pieczenia, ewidentnie przygotowane z myślą o karmieniu zgromadzonych tłumów, oraz wielkie zapasy suszonego łajna lam na opał. Laurence mógł tylko mieć nadzieję, że taki brak umiarkowania podczas polowania nie będzie niemile widziany przez gospodarzy, ale kiedy Shipley zawołał: – Kapitanie, tam są jacyś ludzie i myślę, że idą do nas – i dojrzeli małą grupę ludzi, którzy z przeciwnej strony placu zmierzali w kierunku ich obozowiska, uświadomił sobie, że mają aż za dużo uzasadnionych powodów do zmartwień.

Kiedy grupka podeszła tak blisko, że można było rozpoznać twarze, okazało się, iż na jej czele idzie De Guignes z panią Pemberton pod rękę. Doprowadził ją do ich obozu z uśmiechem, który był jednocześnie greczny i dziwnie wymuszony, na przekór jego zwykle nienagannej uprzejmości, i powiedział:

— Cieszę się, że widzę was wszystkich w dobrym zdrowiu. Nie będę udawać – dodał z ukłonem – że nie jestem zaskoczony, ale jestem pełen podziwu dla waszej pomysłowości. Musicie mi w wolnej chwili opowiedzieć, jak tego dokonaliście, i ufam, że wasz pobyt na tej wyspie nie był aż tak nieprzyjemny, żeby zrodzić uczucie trwałej niechęci do nas.

Wyraz twarzy Hammonda świadczył, że uczucie niechęci jest żywe i ma się dobrze; Laurence odpowiedział bardziej uprzejmie w imieniu ich grupy i dodał:

— I jestem panu wielce zobowiązany za otoczenie opieką pani Pemberton, a co więcej, pani, poproszę w pani imieniu o przedłużenie tej opieki jeszcze o krótki czas, jako że nie jesteśmy...

— Ależ oczywiście...

— Kapitanie, jeśli mógłbym...

— Nie, dziękuję – powiedziała bardzo stanowczo pani Pemberton, przerywając pytanie Laurence'a, natychmiastową odpowiedź De Guignesa, a także wtrącenie Hammonda. – Bardzo dotkliwie odczułam to, że nie dopełniłam moich obowiązków, panowie, i chociaż mam nadzieję, że panna Roland wybaczy mi, iż opuściłam ją na tak długo – mina panny Roland dowo-

dziła wystarczająco jasno, że łatwiej wybaczyłaby opuszczenie niż coś przeciwnego – nie mogę dopuścić, by trwało to dłużej. Dziękuję panu, monsieur De Guignes, za pańską wspaniałomyślną gościnność i proszę, żeby pan przekazał moje podziękowania madame Récamier za jej życzliwość i za suknię, którą mi podarowała – dodała, wyciągając do niego rękę, i w jakiś sposób na tym otwartym placu, otoczona ze wszystkich stron przez obdartych marynarzy, nabrała całego autorytetu guwernantki o trzydzieści lat od siebie starszej.

Wyraźny brak entuzjazmu, z jakim De Guignes przyjął odmowę, przebiły tylko buntownicze miny Emily Roland, ale w końcu, poczyniwszy jeszcze kilka uprzejmych uwag, on i jego ludzie wrócili wreszcie do swojego obozowiska po drugiej stronie placu, zostawiając panią Pemberton, która stojąc spokojnie w swojej eleganckiej sukni i rękawiczkach, wyglądała dziwnie nie na miejscu, dopóki Laurence nie przygotował dla niej siedzenia ze zwoju sieci ładunkowej, zakrytej kilkoma miejscowymi pelerynami w roli tapicerki.

De Guignes przywiózł ją do Cusco razem z resztą towarzyszących mu ludzi.

— I zapewne bardzo tego teraz żałuje – zaczęła opowiadać, kiedy już się usadowiła. – Nie był w najmniejszym stopniu zachwycony moim powrotem do was i wierzę, że gdybym nie widziała waszego przylotu na własne oczy, najchętniej ukrywałby tę wiadomość przede mną tak długo, jak by tylko mógł.

— Przykro mi słyszeć, że monsieur De Guignes mógłby się kiedykolwiek zachować tak nie po dżentelmeńsku – powiedział Laurence, zaskoczony jej potępieniem kogoś, kto, jak mu się zdawało, chciał jedynie zapewnić jej wygodę.

— Och, złego słowa na niego nie powiem, kapitanie, zapewniam pana – odparła pani Pemberton. – W końcu pozwolił mi odejść, a w tych okolicznościach nie można go tak naprawdę winić za to, że nie zrobił tego z wielką ochotą; przecież raczej nie może liczyć na moją dyskrecję.

— Z pewnością nie – podchwycił z entuzjazmem Hammond – oczywiście, że nie; jak mógłby oczekiwać, że poddana Jego Królewskiej Mości nie wyjawia francuskich sekretów w każdej sprawie, która dotyczy jej kraju. Pani, proszę mi powiedzieć, czy przed oblicze Sapa Inki dopuszczono Francuzów we własnych osobach, czy też tylko ich smoki?

— Nie wszystkich z ich grupy – odrzekła pani Pemberton – ale tak, bywa-

ją na dworze codziennie...

— Codziennie – krzyknął przerażony Hammond. – Wielkie nieba, musimy jakoś namówić ich, żeby nas także wpuścili na dwór. Kapitanie Granby, musi pan wywrzeć nacisk na Iskierkę... musi pan ją przekonać, by postarała się zdobyć zaproszenie...

— Panie ambasadorze – przerwała mu pani Pemberton – zaproszono mnie, żebym tam ponownie przyszła jutro; oczywiście chętnie...

— Co? Pani go spotkała? – zapytał Hammond. – Jak to zostało zaaranżowane? Czy...

— Ją, panie Hammond – powiedziała pani Pemberton.

— Słucham? – bąknął Hammond.

— Sapa Inka jest kobietą – odpowiedziała pani Pemberton.

Cesarzowa, jak wyjaśniła pani Pemberton, była wdową po ostatnim władcy i córką poprzedniego.

— O ile dobrze zrozumiałam – mówiła – umarł na ospę. Ponieważ ona zdażyła wyzdrowieć, zanim on zachorował, w czasie kiedy legł na łożu boleści, przyjęła rolę pośrednika i mówiła w jego imieniu na dworze, a on, zdaje się, umierał szalenie długo. Zamiast stosownie grzebać zmarłych, mają tu wielce osobliwy sposób zabezpieczania zwłok przez rozkładem, ale jak rozumiem, jego szczątki nie nadają się do oglądania i zostały ukryte przed ludźmi.

— Dosyć to makabryczne – skomentował Granby. – A kiedy nie mogła się już nim dłużej zasłaniać?

— Do tego czasu, jeżeli dobrze zrozumiałam – odpowiedziała pani Pemberton – przekonała najważniejsze smoki na dworze, że kobieta lepiej nadaje się do roli władcy: kiedy obowiązek każe mężczyźnie wyruszyć w pole na czele armii, ona może zostać w domu pod ich opieką. Ten argument był dla nich bardzo przekonujący.

Laurence zapytał:

— Pani Pemberton, jak wiarygodne są te informacje?

— Są całkowicie pewne – odparła. – Większość z nich mam od samej cesarzowej albo od jej służących. Ona już mówi po francusku i prosiła mnie o to, żebym ją uczyła angielskiego.

Okazało się, że Francuzki, które widzieli na pokładzie *Triomphe*, zostały wysłane, ni mniej, ni więcej, tylko po to, by w imieniu De Guignesa prowadziły negocjacje z Sapa Inką.

— Oraz, gdyby było to możliwe, nakłoniły ją do tego, żeby się z nim zobaczyła, ale jak dotąd nie odniosły w tej sprawie sukcesu. Zostałam członkiem ich grupy i mogłam wraz z nimi regularnie bywać na dworze, ale nie byłam świadkiem – mówiła dalej pani Pemberton – ich wszystkich rozmów z Sapa Inką, a te damy są zbyt bystre, żeby wypaplać jakieś sekrety podczas zwykłego plotkowania. Myślę, że pan lepiej ode mnie może sobie wyobrazić, jakie warunki Francuzi najpewniej zaproponowali i do czego dążą.

— Wymianę – powiedział w zadumie Hammond. – Nie byłbym w najmniejszym stopniu zaskoczony, gdyby zaproponowali wymianę... to znaczy ludzi na smoki. Jestem zupełnie pewny, że Napoleon byłby zachwycony, gdyby do Francji przybyła pewna liczba smoków za cenę, na przykład, skażalców, których ma w więzieniach. Ale jestem również pewny, że zadowoliliby go także zwykłe porozumienie o przyjaźni – swego rodzaju rozejm – ponieważ on tak naprawdę nie potrzebuje nowego sojusznika na tym kontynencie, kiedy już wysyła tu statki smoków i wojowników Tswana. Może oni są tutaj tylko po to, żeby nie dopuścić do pozyskania sojusznika przez nas? – Przerwał i przez chwilę gryzł z roztargnieniem kciuk. – Tylko czy De Guignes przybyłby tu z tak mało ważną misją? I jeszcze ze względu na nią wiązał się ze smokiem? Nie. A niech to szlag trafi.

Mamrotał coś do siebie w tym mniej więcej duchu jeszcze przez kilka chwil. Pani Pemberton słuchała cierpliwie, aż wyczerpały mu się pomysły i odwrócił się od niej do swojego dzbanka, żeby nalać sobie kolejną filiżankę herbatki z liści koki, po czym powiedziała spokojnie:

— Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć, panie ambasadorze, i za pańskim pozwoleniem przedstawię Jej Cesarskiej Mości pannę Roland.

Zapomniawszy natychmiast o parującej w jego dłoni filiżance, Hammond popatrzył niepewnie na nią, a potem na Emily Roland, która odpowiedziała mu równie niepewnym spojrzeniem.

— Nie zaszkodzi nam, jeśli w otoczeniu Sapa Inki będziemy mieli jeszcze jedną parę oczu i uszu – zwróciła im uwagę pani Pemberton. – Panna Roland i ja prześlemy Jej Cesarskiej Mości wszystkie propozycje, jakie pan przygotował, panie Hammond, i na pewno nie będziemy szczędzić wysiłków, żeby osiągnąć wszystko, co pan zechce.

– Wszystko, co zechcę – powiedział Hammond do Laurence'a kilka dnia później, niemal wyrywając sobie włosy z głowy: wszystkie próby uzyskania

przez niego posłuchania u cesarzowej zawiodły. – Chciałbym mieć swobodę prowadzenia własnych negocjacji, bez konieczności uciekania się do pośredników, niewykwalifikowanych pośredników. Nader kłótniwa smoczyca, guwernantka i piętnastoletnia dziewczyna! I ja muszę je upoważniać... mam nadzieję, że nikt w Anglii o tym nie usłyszy.

— Może się pan przynajmniej pocieszyć tym, że Francuzi mogą być tylko trochę lepiej od nas przygotowani do tego typu negocjacji – odpowiedział Laurence.

— Czyżby? – zapytał z goryczą w głosie Hammond. – Oni przynajmniej wiedzieli, czego się spodziewać... na pewno od dwóch lat przysyłali tu szpiegów przez Brazylię. Wiemy już, że madame Récamier przybyła tu, by reprezentować ich interesy; myślałem, że ona nienawidzi Bonapartego, ale najwyraźniej bardziej kocha możliwość knucia intryg na taką skalę. No i przynajmniej smoczyca De Guignesa nie uparła się, żeby okazywać niechęć jednemu z głównych smoków inkaskich.

Laurence nie mógł zakwestionować słuszności tej ostatniej skargi: Temeraire i Maila Yupanqui byli już ze sobą prawie otwarcie na noże. I ogólnie byłyby wszelkie powody do desperacji z powodu tempa, w jakim konflikt między nimi narastał, gdyby nie to, że Maila aż nadto chętnie utrzymywał kontakty z resztą z nich, szczególnie z Iskierką, którą regularnie prosił o prywatne rozmowy, pod pretekstem kontynuowania jego wysiłków nauczania się angielskiego.

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego Iskierka musiałaby znosić kogoś tak irytującego – włączył się do ich rozmowy Temeraire.

— A ja nie widzę niczego innego, co mogłoby podziałać na naszą korzyść – odparował Hammond – a zatem bądź tak dobry i nie wtrącaj się.

Urażony Temeraire umilkł, a jego nastrój tylko się pogorszył, kiedy krótko potem Iskierka wylądowała i oświadczyła:

— Poleciałam daleko z Mailą i on pokazał mi kopalnię, w której wydobywają złoto prosto z ziemi, całe wozy złota, i powiedział, że mogliby wydobywać jeszcze więcej, ale brak im rąk do pracy, i tylko ludzie mogą to robić dobrze.

— Laurence, czy w Anglii też może być taka kopalnia? – zapytał Temeraire półtonem, krótko po tym, gdy jego pogardliwe zlekceważenie relacji Iskierki doprowadziło do kłótni między nimi, po której oboje zajęli miejsca na przeciwnych końcach kallanki. – Albo może w naszej dolinie, w Nowej

Południowej Walii?

— Nie wydaje mi się to prawdopodobne – odparł Laurence. – Kopalnie złota nie występują zbyt często; sądząc z tego, co widzieliśmy podczas naszej podróży przez kontynent australijski, jest to raczej kraina opali.

— Och! – wyrwało się Temeraire'owi. – Takich jak te kamienie, które wszyli w twoją szatę? To wspaniale, wolałbym mieć opale niż podobną ilość złota. Laurence, czy nie włożyłbyś swojej szaty i nie przeszedł się po placu, gdzie wszyscy mogliby cię zobaczyć?

Laurence wykręcił się z tego z dużym trudem, argumentując, że nie jest to odpowiednio ważna okazja, ale tego popołudnia Iskierka po wylądowaniu oświadczyła triumfalnie:

— No dobrze, załatwiłam wszystko tak doskonale, jak tylko moglibyście sobie życzyć. Inka przyjmie cię, Granby!... Aha, Temeraire, ty i Laurence też możecie przyjść, jeśli chcecie.

Temeraire w pierwszej chwili miał ochotę oburzyć się na to bezceremonialne zaproszenie, ale potem rozpromienił się i rzekł do Laurence'a:

— Teraz już włożysz swoją szatę i jestem przekonany, że Inka od razu dostrzeże w tobie najwyższego rangą oficera naszej ekspedycji.

– Proszę, żebyście nie podchodzili do niej bez zaproszenia – powiedział niespokojnie Hammond. – Bez bardzo wyraźnego zaproszenia... i jeśli to możliwe, w ogóle unikajcie zbliżania się do niej... z wyjątkiem oczywiście sytuacji, kiedy będziecie mieli wrażenie, że takie unikanie może być uznane za zniewagę...

— Nie rozumiem, dlaczego to pan nie idzie zamiast mnie – odparł Granby. – Ja nie mam głowy do spraw natury dyplomatycznej, i jeśli oni nadal są wściekli z powodu swojej waśni z Hiszpanami sprzed ponad dwustu lat, to z pewnością woleliby raczej zobaczyć ambasadora niż oficera.

— Oczywiście, że musisz iść – wtrąciła Iskierka, odrzucając wszelkie sprzeciwy. – Jesteś moim kapitanem; to zrozumiałe, że ona chciałaby się z tobą spotkać.

— Nie możemy powiedzieć... może w ich społeczeństwie są jakieś szczególne względy, jakieś wyróżnienie, okazywane tylko wojskowym... na pewno ich najważniejsi ludzie są wodzami i żołnierzami – mówił gorączkowo Hammond. – Nie możemy ryzykować; z pewnością tym zaproszeniem okazano nam szczególną przychylność... pani Pemberton zapewniła mnie, że

De Guignes nie otrzymał żadnego, o ile jej wiadomo, i musi być z tego powodu wściekły. Kapitanie Laurence, pamięta pan... żadnego zbliżania się, o ile nie zostanie pan bardzo wyraźnie wezwany...

— Tak – odparł Laurence, z ponurą miną odwijając rękawy swojej szaty.
– Pamiętam.

Ich oficjalna prezentacja odbyła się w ogromnej sali, z której wychodziło się na jeszcze jeden wielki plac o nazwie Cusipata. Iskierka poprowadziła ich dumnie i wbrew radzie Hammonda wylądowała niemal na samym końcu długiego dziedzińca, żeby pokonując dłuższą drogę, mogli wywołać jak najlepszy efekt. W sali czekało na nich wielkie schodkowe podwyższenie, obłożone ze wszystkich stron złotymi blachami, z niskim ceremonialnym siedziskiem na górze.

Cztery wielkie smoki, wśród nich Maila Yupanqui, zajęły miejsca wokół podwyższenia, zasłaniając je częściowo, tak że wypolerowany metal połyskiwał tylko tu i tam między ich ciałami. Wszystkie na widok przybyszów zaczęły się niespokojnie wiercić, kołysząc głowami. Laurence, patrząc na cztery ogromne bestie obserwujące jego i Granby'ego z tak zimnym, skupionym lękiem, a niezwracające niemal uwagi na Iskierkę i Temeraire'a, nazwałby to zabawnym absurdem, ale wyraźnie wyczuwalne napięcie, sugerujące, że w każdej chwili może się rozpętać przemoc, pozbawiło sytuację wszelkich elementów humorystycznych.

Po obu stronach podwyższenia stały też dwa szeregi gwardzistów uzbrojonych w miecze i muszkiety – hiszpańskiej lub portugalskiej produkcji, doszedł do wniosku Laurence, i najpewniej uzyskane od handlarzy docierających na wybrzeżu lub sprowadzone z samej Brazylii – i mających na sobie coś w rodzaju pancerzy z grubej wełny. Ich obecność może w zamierzeniu miała jedynie podnieść status spotkania, ale atmosfera, którą stwarzali, przywodziła na myśl bardziej obóz wojskowy niż oficjalną ceremonię, a rzucone przybyszom spojrzenia były tak nieprzyjazne, że można by pomyśleć, iż są zabójcami, a nie honorowymi gośćmi.

Cesarzowa siedziała na ceremonialnym siedzisku postawionym na podwyższeniu. Była wysoką i szczupłą kobietą o osobliwie szerokich ramionach, na głowie miała ciemnoszkarłatny turban z zatkniętymi weń piórami, a jej bardzo długie, czarne włosy zwisały w warkoczach pospinyanych ozdobami ze złota wysadzanego szmaragdami; jej lśniący klejnotami strój wykonano z tkaniny wełnianej o niezwykłej delikatności, ze wspaniale utkanym

wzorem w postaci małych kwadratów w jaskrawych kolorach. Kiedy się zbliżyli, Laurence zauważył również, że na jednym policzku miała blizny po ospie, które zostały przypudrowane złotym proszkiem i błyszcząły w świetle słońca, padającym z dachu wielkim snopami.

— Laurence, popatrz tylko na fontannę – szepnął Temeraire, pokazując głową wielki basen ze szczerego złota, ozdobiony także reliefami i szlachetnymi kamieniami, który tak chwycił i skupiał światło, że tryskająca w górę woda zdawała się płonąć. A po ich obu stronach nawet same ściany były pokryte złotem.

Temeraire, naśladowując Iskierkę, położył się na lwi sposób, chociaż Maila i inne smoki inkaskie, w sumie sześć, pozostały w pozycji siedzącej, a napięte mięśnie ich łap zdradzały gotowość do skoku.

— Nie będziemy robić sprawy z ich niegrzecznego zachowania – powiedział Temeraire do Laurence’a głosem, który miał być zapewne szeptem – ponieważ są tak bardzo zdenerwowane, ale nie bój się, Laurence, bo jeśli nas zaatakują, ja na pewno nie pozwolę, żeby coś ci się stało; gdybyś miał jakiegokolwiek wątpliwości w tym względzie, nie powinniśmy tu przychodzić.

Laurence westchnął; ostatnią kwestię smok wygłosił z naciskiem, który zapowiadał kłopoty, w przyszłości, kiedy obowiązek każe mu narażać się na niebezpieczeństwo. Zatrzymał się i złożył ukłon Ince, która patrzyła na nich z zamyśloną miną. Była niezbyt piękną kobietą, dodatkowo oszpeconą przez blizny po ospie, ale oczy miała wyjątkowo ciemne i wyzierało z nich przebiegłe wyrachowanie.

— Jestem Anahuarque Inka i witam was w Pusantinsuyo – powiedziała cesarzowa po angielsku z tylko lekkim akcentem, a potem, przeszedłszy na zaskakująco doskonały francuski, zaprosiła ich, żeby się rozgościli; przyniesiono natychmiast grube tkaniny, które rozłożono na podłodze, żeby mieli na czym usiąść.

— Przynajmniej wiadomo, jak blisko możemy do niej podejść – wymamrotał Granby do Laurence’a, bardzo ostrożnie sadowiąc się na kocach, a potem poderwał się zaskoczony, gdyż cesarzowa wstała z tronu i zeszła z podwyższenia na podłogę sali, a nawet, nie bacząc na pełne niepokoju poruszenie, które zapanowało wśród jej wojowników i smoków, usiadła na innym grubym kocu, nie dalej niż pięć kroków od nich.

— Czy jest wam wygodnie? – zapytała, patrząc na nich z ciekawością. – To zwyczaj waszego ludu: siedzieć podczas rozmowy?

— Och, hm – bąknął Granby. – Cóż... dziękujemy, tak, bardzo wygodnie...

— A jak wam się podróżowało? Czy drogi były w dobrym stanie, a magazyny z żywnością pełne? – zapytała.

Granby rzucił Laurence'owi rozpaczliwe spojrzenie, ale ona wyraźnie zwracała się bezpośrednio do niego.

— Tak, pani... Wasza Cesarska Mość?

Chętnie by na tym zakończył, ale Iskierka opuściła głowę i trąciła go nią w ramię, sycząc:

— Powiedz coś więcej, Granby, dlaczego zachowujesz się tak głupio? Ona sobie pomyśli, że nie jesteś inteligentny.

— Wcale nie jestem inteligentny w rozmowie, a tym bardziej rozmowie prowadzonej po francusku! – odpowiedział jej z pewną irytacją Granby, a potem zaczął rozpaczliwie szukać w głowie czegoś do powiedzenia. – Magazyny są niezwykle, Wasza Cesarska Mość – dodał. – Prawie wcale nie musieliśmy polować po drodze... Och, do diabła – sapnął, powróciwszy do angielskiego, i wymamrotał do Laurence'a: – Czy powinniśmy się przyznać do tego, że korzystaliśmy z nich przez całą drogę?

— Miło mi to słyszeć – odpowiedziała jednak Anahuarque bez żadnej oznaki świadczącej o tym, że plądrowanie przez nich magazynów wzbudziło jej sprzeciw. – Zbiory były dobre na południu, jak słyszałam; o ile dobrze pamiętam, tak mi powiedziałeś, Ninan?

Powtórzyła to pytanie w keczua, kierując je do jednego z wyczekujących w pobliżu wojowników. Ów dżentelmen, wysoki i piorunujący ich wściekłymi spojrzeniami młodzieniec, którego ręka spoczywała na rękojeści pistoletu zatkniętego za opasującą go w pasie szarfę, zaczął jej po chwili odpowiadać. Przeszła z powrotem na francuski i zapytała Granby'ego o to, czy jest zadowolony z ich kwater, potem omówiła pogodę i zbliżającą się zmianę pory roku, za każdym razem wciągając do rozmowy jednego z towarzyszących jej mężczyzn.

Laurence, który w dzieciństwie zwykł podsłuchiwać przez poręcz biegnącej ponad salą galerii rozmowy prowadzone podczas politycznych kolacji wydawanych przez jego matkę, co robił, zanim jeszcze był dostatecznie duży, żeby móc samemu zasiąść do stołu, szybko uświadomił sobie, że w pozorowanej banalności tej wymiany zdań nie było wcale przypadku, ale raczej mistrzowsko urzeczywistniony zamysł. Mógłby to wprawdzie zrzucić na trud-

ności, jakie napotkała Anahuarque, mówiąc w obcym dla niej języku, ale naturalnie prowadziłyby to do jąkania się i przerywania, a tak nie było.

Ponieważ ciężar prowadzenia rozmowy spadł na biednego Granby'ego, Laurence mógł spokojnie przyjrzeć się wojownikom skupionym wokół tronu, a kiedy już to zrobił, stwierdził, że najwyraźniej nie są oni zwykłymi strażnikami. Kilku z nich było starszymi mężczyznami, inni najwyraźniej żołnierzami zaprawionymi w boju, a wszystkich zdobiły wielkie złote dyski zawieszane na uszach oraz turbany z frędzlami, które Laurence zaczął uważać za oznakę może szlchetnego urodzenia lub wojskowej rangi. A podejrzliwe spojrzenia, które rzucali ci ludzie, nie ograniczały się do Granby'ego i Laurence'a: z równym ferworem mierzyli się nimi nawzajem.

— Myślę, że ona prowadzi grę Penelopy – powiedział Laurence do Granby'ego, kiedy w końcu, odprawieni przez cesarżową, wylądowali przed kalkaną, w której ich zakwaterowano. – Nalegają na nią, żeby wzięła małżonka, który z pewnością będzie dążył do odebrania jej władzy, a ona rozgrywa to w ten sposób, że jej rywale ścierają się ze sobą.

— A my możemy posłużyć do odwrócenia uwagi równie dobrze jak cyrk – podsumował Granby. – Nie mogła mieć żadnego innego powodu, by chcieć rozmawiać z nami, jeśli zapytała mnie jedynie o pogodę w Anglii, a ja nawet nie mogę powiedzieć, czy jest tam teraz lato, czy zima. Laurence, ona będzie nas tu wszystkich trzymać bez końca, z resztą tych jegomości, jeśli jej na to pozwolimy.

— Tak – zgodził się Laurence, po czym powiedział do Hammonda, który czekał, żeby się z nimi spotkać – ale myślę, że przynajmniej możemy pana uspokoić pod jednym względem: nie wydaje mi się, żeby ona planowała zawrzeć jakikolwiek poważny sojusz z Francją, w każdym razie nie taki, który wymagałby zaangażowania choćby nawet małej części jej sił. Nie może sobie pozwolić na wyniesienie żadnego z tych mężczyzn ponad pozostałych; jeśli uczyni jednego z nich wielkim wodzem albo pozwoli któremukolwiek zbudować sobie reputację największego wojownika imperium, skaże się natychmiast na jego łaskę i niełaskę.

— Chyba że – odezwał się z goryczą w głosie Hammond – znajdzie odpowiednią przeciwwagę – i zaprosił ich gestem do środka wewnętrznej komnaty.

— Co pan ma na myśli? – zapytał Laurence. – Czy usłyszeliście o czymś?

To ostatnie pytanie skierował do Emily Roland, wciąż ubranej w suknię,

którą pani Pemberton kazała jej wkładać przed ich wizytami w kobiecej części dworu, przez co można się było domyślić, że przyszły prosto stamtąd: w innym wypadku Roland natychmiast by ją zrzuciła, zamieniając na swój mundur. Pani Pemberton stała w rogu pomieszczenia, pocierając dłonie nad małym piecykiem z rozżarzonymi węgielkami, niemal wykręcając je w nietypowy dla siebie sposób, który zdradzał zaniepokojenie.

— Tak, sir – odpowiedziała Emily. – Cesarzowej nie było na dworze tego popołudnia, bo spotykała się z wami, i żadna z nas nie miała nic do roboty, poza siedzeniem i obserwowaniem, jak jej damy dworu tkają, a potem ta francuska dama, madame Récamier wygadała się trochę, mówiąc do jednej z pozostałych: „Tak, biedna Józefina, ale nie tak biedna, jak była kiedyś: ma Fontainebleau, ale nie ma jego”.

— Co? – zapytał Granby. – Co to, do diabła, znaczy?

— To znaczy, kapitanie, że Napoleon w końcu rozwiódł się z Józefiną – odpowiedziała pani Pemberton. – Może się znowu ożenić.

Rozdział 12

To nie jest rozsądne – powiedział Temeraire do Iskierki – żeby Napoleon próbował także zostać cesarzem Inków; można by pomyśleć, że powinien być ukontentowany Francją, nie wspominając o Italii, Prusach, Hiszpanii i tych wszystkich innych miejscach, które podbił. To naprawdę oburzające i przypuszczam, że ten Maila zachęcał ich do tego projektu, bo w innym wypadku nigdy by tu z nim nie przyłączyli: mam nadzieję, że teraz już go tak nie cenisz.

Ale Iskierka nie chciała uznać powagi sytuacji i podeszła do problemu dość lekceważąco:

— Jestem pewna, że Inka nie wyjdzie za mąż za Napoleona. Dlaczego jakkolwiek kobieta miałaby wychodzić za Napoleona, kiedy my go niedługo pobijemy? Nie masz się o co martwić. Chociaż – dodała – wy wszyscy zrobiliście straszny bałagan z negocjacji. Dobrze, że ja tu jestem. Jestem pewna, że w przeciwnym razie Inka nie miałaby nam nic do powiedzenia.

— Jest absurdalnie stronnicza, tylko dlatego, że Maila tak bardzo zachwyca się tym, że ona tak dobrze walczy i potrafi zionąć ogniem – powiedział poirytowany Temeraire do Laurence’a – co jest śmieszne samo w sobie, bo oni też tu mają smoki zionące ogniem.

— To raczej małe stworzenia, sądząc z tego, co widzieliśmy, i z ograniczonym zasięgiem, mój drogi – odparł Laurence.

Temeraire prychnął; nie rozumiał, dlaczego miałoby to robić tak wielką różnicę.

— Gdyby ona miała choć tyle rozumu, żeby zasugerować Ince, by nie wychodziła za Napoleona... – zaczął Hammond. – Gdyby, powiedzmy, Maila mógł przekazać prywatnie... – Zerknął na Laurence’a i dodał pospiesznie: – Nie sugeruję, żeby ona zawiodła prawdziwe zaufanie, ale wystarczyłaby

drobna sugestia... jakkolwiek wiarygodny powód ...musiałaby tylko zrobić aluzję...

— Jestem pewny, że ona wcale nie ma rozumu – powiedział Temeraire i odszedł dumnie, po czym wzbił się w powietrze i poleciał złapać parę wigoni na kolację; kiedy jednak z nimi wrócił, Gong Su był już zajęty, gdyż Maila przysłał dwie świnie – prawdziwe świnie, uzyskane od handlarzy z krajów kolonialnych – jako prezent i Iskierka siedziała teraz na dziedzińcu, przyglądając się z wielce zadowoloną miną, jak Gong Su piecze je na roznach.

— Nie, dziękuję – odpowiedział chłodno Temeraire, kiedy zaoferowała mu porcję.

— Ja chętnie wezmę, jeśli ty nie chcesz tego zjeść – wszedł mu w słowo Kulingile.

— Możesz robić, co chcesz – odrzekł Temeraire. – Ja poczekam, aż gotowe będzie to, co złapałem, jeśli będziesz tak uprzejmy, Gong Su; ta wieprzowina nie wygląda mi na nadzwyczajnie świeżą.

— Smakuje wspaniale – zapewnił go Kulingile, chrupiąc żeberka; Temeraire ułożył się pod wiatr od pieczonej wieprzowiny i zrobił wszystko, żeby zignorować odgłosy ogólnej uczyty.

– Mam nadzieję – powiedział Hammond – mam nadzieję, kapitanie Laurence, że nie będziemy mieć żadnych kłopotów. Każda otwarta kłótnia ogromnie zaszkodzi naszym interesom. Churki zapewniła mnie, że po wyzwaniu, nawet po zwycięstwie Temeraire'a – na które musimy oczywiście mieć nadzieję, gdyby sprawy przybrały taki obrót – znajdziemy się w sytuacji niewiele lepszej, niż gdyby poniósł sromotną klęskę. Maila jest nie tylko szanowany, ale uważa się go za strażnika i opiekuna rodziny panującej, i nawet jeśli szwanku dozna tylko jego duma, wywoła to powszechne oburzenie.

Laurence popatrzył na dziedziniec. Maila znowu przyleciał z wizytą i rozmawiał właśnie z Iskierką po drugiej stronie, zbyt cicho, żeby można to było podsłuchać, zwłaszcza że głowy obu smoków były do siebie zbliżone, jakby się ze sobą zmawiały, a Temeraire siedział bliżej ich kallanki i z wyniośle uniesioną głową słuchał Siphona recytującego mu jakieś wiersze. Albo raczej udawał, że to robi: jego głowa był lekko przechylona, pod kątem, który dawał mu najlepszą szansę podsłuchania dalekiej rozmowy, a kiedy Siphon przerwał, żeby zadać pytanie, dopiero po kilku chwilach Temeraire popa-

trzył w dół i przemówił do niego.

— Nie mam dla pana łatwej odpowiedzi, panie Hammond – odrzekł Laurence. – Kiedyś w żadnym razie nie powiedziałbym, że Temeraire zaangażował się uczuciowo w stopniu, który umożliwia Iskierce sprawienie mu bólu; nawet teraz skłaniam się raczej do przekonania, że to cierpi jego duma, a nie serce.

— Przyczyna znaczy bardzo niewiele – powiedział Hammond – jeśli prowadzi do takiego samego rezultatu; nie wiadomo tylko, czy może pan go powściągnąć; jest bowiem coraz bardziej oczywiste, że umiejętność panowania nad sobą będzie potrzebna nam wszystkim.

Laurence'owi nie podobało się, że nie był pewny zakresu swojej władzy nad Temeraire'em, i jeszcze bardziej nie podobało mu się dyskutowanie na ten temat z Hammondem. Przeprosił go zatem i wyszedł na zewnątrz, żeby dołączyć do Granby'ego w jego ulubionym ostatnio miejscu na dachu kal-lanki, skąd otwierał się wspaniały widok na całe miasto. Granby przesiadywał tam całymi dniami i kiedy smoki przylatywały lub odlatywały, szkicował je, a także robił notatki na temat ich typowych cech swoim koślawym pismem, osobliwie kontrastującym z precyzyjnymi i czystymi liniami jego szkiców. Lewą rękę zdjął wreszcie z temblaka, chociaż nadal trochę go bolała, ale mógł ją teraz kłaść na szkicowniku, żeby przytrzymać go podczas rysowania.

— Mam dzisiaj dwa nowe trafienia – oznajmił Granby, pokazując Laurence'owi rezultaty: jednego smoka średniej wagi, według opisu całego złotego z zielonymi oczami, i małe, jasnookie stworzenie o rozpiętości skrzydeł dwa razy większej od jego długości, które zgodnie z jego notatkami potrafiło grać na flecie. – Co? Och... tu jest napisane: „latać do tyłu” – powiedział, kiedy Laurence poprosił o przetłumaczenie notatki. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego: zatrzymała się w powietrzu i cofnęła się bez najmniejszego nawet trudu. Razem z tymi dwoma mamy dwadzieścia sześć ras – dodał – a widziałem jeszcze z dala kilka innych bestii, które przylatywały tu i odlatywały.

Popatrzyli w dół na dziedziniec, na którym Iskierka i Maila kontynuowali swoje tête-à-tête, a Temeraire swoje dąsy.

— Przypuszczam, John, że nie wiesz, jak poważnie Iskierka zaangażowała się w ten swój związek z Mailą? – zapytał Laurence.

— Nie wiem; i zastanawiam się nad tym, bo normalnie całymi dniami

chwali się wszystkim przede mną – odparł Granby. – Spróbuję to z niej wyciągnąć, jeśli chcesz, ale nie pozwól Hammondowi wyprowadzać się z równowagi. Nie będzie żadnej walki o nią, chociaż ona by tego bardzo chciała. Bez większego powodzenia uganiała się za Temeraire’em przez ponad rok i dziesięć tysięcy mil albo coś koło tego. Myślę, że chce go trochę poirytować, odegrać się na nim, a flirt z Mailą jest dla niej dogodnym sposobem osiągnięcia tego celu. Zamiast się zamartwiać, mógłbyś spróbować go przekonać, żeby zaczął ją lepiej traktować. Nie ma co ukrywać, że byłoby to wspaniałe dla Korpusu, gdybyśmy mogli dostać od nich obojga jajo lub dwa.

Laurence nie zgodził się tego zrobić. Chociaż doskonale rozumiał, że połączenie obu smoków w parę byłoby bardzo pożądane, to jeszcze ostrzej odczuwał niestosowność ingerowania w takie sprawy; pamiętał także, że chociaż początkowo Temeraire reagował na propozycje angielskich hodowców tak, jakby mu one bardziej pochlebiały, niż go oburzały, później to natrętne nagabywanie zaczęło budzić w nim obrzydzenie.

— A zresztą jeśli Temeraire spróbuje się do niej teraz zbliżyć i zostanie odrzucony, czy to z powodu Maili, czy też jakiegoś fortelu Iskierki, nie poprawi to w najmniejszym stopniu sytuacji, raczej rozbudzi w nim jeszcze gorętsze uczucia, jeżeli chodzi o jego nastawienie do Maili.

— Cóż, nie sądzę, żeby zrobiła coś takiego – odparł Granby – gdyby tylko trochę ją zachęcił, ale porozmawiam z nią i postaram się dowiedzieć, do czego ona zmierza. Nie żebym się spodziewał – dodał z rezygnacją w głosie – że zdołam ją przekonać do zmiany planów, jeśli już jest zdecydowana wsadzić kij w mrowisko, ale nie zaszkodziłoby, gdybyś szepnął słowo Temeraire’owi; może to go trochę uspokoi.

Wstał, żeby ją zawołać, ale zanim zdążył to zrobić, Iskierka znowu wzbiła się w powietrze z Mailą, a Temeraire porzucił swoją fikcyjną obojętność i patrzył za nimi z niepokojąco szeroko rozłożoną krezą.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, kapitanie, zaproponowałbym raczej napój chłodzący – powiedział Gong Su do Laurence’a, który zwrócił się do niego z prośbą o przygotowanie obiadu w jakimś niezwykłym stylu, żeby odwrócić uwagę Temeraire’a. – Miejscowe papryki są wyśmienite, ale w obecnych okolicznościach raczej bym ich nie rekomendował. Obawiam się, że wskutek nadmiaru *yang* Iskierka bywa niekiedy trudną towarzyszką dla Temeraire’a – dodał, wykazując się delikatnością.

— Widzę, że ukrywanie uczuć niezbyt mu się udaje – stwierdził Laurence.

— Jeśli pan pozwoli – powiedział Gong Su – zobaczę, czy uda mi się zająć jego uwagę czymś bardziej uspokajającym – i krótko potem poprosił Temeraire’a o przyniesienie dużego bloku lodu, wyciętego z lodowca na jednym z otaczających miasto szczytów, a następnie sztaby żelaza. Temeraire i Kulingile położyli ją potem na lodowym bloku, po czym przeciągnęli po jego powierzchni, zeskrobując wielką stertę miękkiego lodu do ustawionego obok koryta; tymczasem Gong Su w swoim wielkim kotle przygotował jakiś syrop. Kiedy uznał, że lodu jest już wystarczająco dużo, a niepokojąco zielona mikstura wystygła, polecił smokom zalać nią zeskrobany lód.

— Ach! – westchnął Temeraire, unosząc pysk znad sterty, która powstała po połączeniu obu składników – ach, to jest wspaniałe, pyszne ponad wszystko, Gong Su; mógłbym to jeść bez końca.

Kulingile nie przerywał swojej ekstatycznej konsumpcji, nie chcąc tracić nawet chwili na składanie wyrazów uznania dla kucharza, ale gdy skończył, usiadł na tylnych łapach i westchnął z cichym zachwytem.

— Przykro mi, ale nie mogliśmy nic dla ciebie zostawić – poinformował Iskierkę wielce zadowolony Temeraire, kiedy wróciła z jeszcze jednej wycieczki – bo lód by się oczywiście roztopił; szkoda, że nie mogłaś tego spróbować.

— Myślę, że kiedyś spróbuję – odparła lekceważąco.

— Dobrze – powiedział Granby do Laurence’a – idę to z niej wyciągnąć. Nie byłoby niczym niezwykłym, gdyby złapała Gong Su i pognała z nim natychmiast po lód, nawet jeśli miałyby to zrobić tylko dla zabawy i przyjemności, a gdyby jej celem było drażnienie Temeraire’a, byłaby dziś wściekła jak wszyscy diabli.

— Nie dbam o słodycze; zajmuję się o wiele ważniejszymi sprawami – wyjaśniła Iskierka, kiedy Granby ją o to zapytał. – Tak jak – dodała, zerkając z ukosa na Temeraire’a – wydaje mi się, powinni to robić i inni. Ja nie zapomniałam o naszej misji i nie zaniedbuję obowiązków, a tymczasem wy nie robicie niczego poza załamywaniem rąk lub przygotowywaniem sobie, samolubnie, jakichś smakołyków.

— Aha – rzucił Temeraire – jakbyś ty naprawdę coś negocjowała, kiedy tylko podlizujesz się Maili...

— Wypełniałam naszą misję! – przerwała mu Iskierka. – Cesarzowa zgo-

dziła się przyjąc Granby'ego tylko z mojego powodu; gdyby to zależało od was, zapewne poślubiłaby Napoleona. Maila powiedział mi, że myślała o tym i że Francuzi złożyli jej mnóstwo obietnic.

— Co? A ty nie powiedziałaś nam ani słowa przez cały czas...! – wybuchnął Hammond. – Czy wiesz coś o ich propozycjach? Czy przez to małżeństwo uzyska w jakiś sposób dowództwo nad ich armią lub choćby jej częścią... siłami powietrznymi? Ale przecież ona musi się przenieść do Francji, jeśli go zaakceptuje... czy powołałaby jakiegoś gubernatora?

— Nie, nie! Powiedziałabym wam, gdyby istniała taka groźba, ale możecie przestać się martwić; ona go wcale nie poślubi – powiedziała Iskierka i wyraźnie zadowolona z siebie wypuściła trochę pary. – Ona poślubi Granby'ego.

— Co? – zapytał Hammond.

— Co? – powtórzył za nim Granby.

Z sytuacji zadowoleni byli tylko Iskierka i Hammond, który gdy tylko doszedł do siebie po początkowym wstrząsie, namawiał ich, żeby nie podejmowali żadnych nieprzemyślanych kroków.

— W końcu musimy mieć dla nich jakąś alternatywną propozycję – powiedział. – Jeśli Sapa Inka rzeczywiście jest skłonna rozważyć...

— Niech cię diabli, Hammond – przerwał mu gniewnie Granby – czy nie rozumiesz, że Iskierka musiała kłamać jak najęta, żeby do tego doprowadzić? Nie myśli pan chyba, że inkaska cesarzowa chce poślubić oficera w służbie czynnej albo że jej ludzie pozwoliliby jej na to, gdyby o tym wiedzieli. Ona nie proponuje jakiejś małej mistyfikacji, jak ta, którą pan zaaranżował w Chinach i o której wszyscy mogą zapomnieć, zanim atrament wyschnie na papierze.

— Nie wiemy niczego o tej propozycji ani o zobowiązaniach, jakie zostały przyjęte w naszym imieniu – odparł uspokajającym tonem Hammond, kładąc rękę na ramieniu Granby'ego – i właśnie dlatego musimy postępować ostrożnie, dopóki wszystkiego nie zrozumiemy, albo zaryzykować, że kogoś obrazimy. Mam nadzieję... – dodał – jestem pewny, kapitanie Granby, że nie mylę się w ocenie pańskiego charakteru: dla dobra swojego kraju nie odmówiłby pan wypełnienia żadnego obowiązku, zwłaszcza takiego, który tylko pan może spełnić...

— Laurence – jęknął odrętwiały z przerażenia Granby, kiedy Hammond

opuścił ich pod jakimś pozorem – ten cholerny dyplomata i moja po trzykroć przeklęta smoczyca ożenią mnie z cesarzową, jeśli tylko zdołają to zrobić: oni oboje oszaleli.

Laurence nie miał pojęcia, co odpowiedzieć; mimo wszystkich zapewnień Iskierki nie wierzył tak do końca, że coś takiego mogłoby się wydarzyć, dopóki na dziedzińcu nie wylądował Temeraire, płonąc nowym oburzeniem.

— Bo rozmawiałem z Churki – odpowiedział na pytanie – która rozmawiała z innymi dworzanami, i ona mówi, że to wszystko blaga: Inka wcale nie obiecała poślubić Granby’ego.

— Och, dzięki Bogu – westchnął Granby.

— Ona się tylko nad tym zastanawia – ciągnął smok – i...

— Jeszcze czego! – przerwał mu Granby. – Co Iskierka powiedziała im o mnie? Czy Jej Cesarska Mość wie, że jestem trzecim synem handlującego węglem kupca z Newcastle? Co ona myśli...

— Och! Inki takie rzeczy zupełnie nie obchodzą, Granby – odparł Temeraire. – Ona myśli, że jak ciebie poślubi, Iskierka da im jaja i następny Sapa Inka będzie miał wielkiego smoka, który zijeje ogniem; taką obietnicę im złożyła.

Co, ku przerażeniu Granby’ego, czyniło tę całą kombinację zdecydowanie bardziej prawdopodobną: Brytania niemal opróżniła skarb, żeby kupić jajo z Iskierką w środku, a zagrożony przez zachłannych sąsiadów kraj, którego suwerenność w tak wielkim stopniu zależy od sił powietrznych, z pewnością będzie jeszcze bardziej zdecydowanie dążył do zdobycia smoka zięjącego ogniem, i to jeszcze tak dużego. Chociaż na tym kontynencie żyły stworzenia posiadające tę zdolność, były one małe, a ich płomienie należały do zupełnie innego rodzaju: tryskały bardzo krótko, płonęły w dużo niższej temperaturze, co także zdradzał chłodny, czerwony kolor, i szybko gasły; bardziej nadawały się do użytku domowego niż militarnego, z wyjątkiem sytuacji, gdy mogły służyć do rozproszenia uwagi przeciwnika lub jako broń krótkiego zasięgu.

— Nie musisz być takim psem ogrodnika – powiedziała Iskierka do Temeraire’a, kiedy postanowili się jej przeciwstawić. – Obiecałam, że będę miała z tobą jajo, i tak się stanie, ale najpierw będę miała jajo z Mailą i nie masz najmniejszego prawa do zazdrości, skoro przez te wszystkie miesiące byłeś taki nieśmiały, bo bałeś się, że nie możesz.

— Nie jestem zazdrosny, a już na pewno niczego się nie boję; wcale nie chcę mieć z tobą jaja – odparował Temeraire.

— To nonsens – odrzekła niezrażona Iskierka – dlaczego miałbyś nie chcieć? A Granby będzie cesarzem – dodała i uniesiona radością wypuściła tyle pary, że promienie słońca odbite od złotych blach na ścianach ozdobiły jej głowę całkiem niezasłużoną aureolą światła.

— To na pewno zmienia obraz sytuacji – stwierdził w zadumie Hammond, kiedy go poinformowano. – Przyznam, że niepokoiła mnie kwestia zobowiązań, które mogła przyjąć w naszym imieniu... obietnic, jakie mogła złożyć... ale jeśli jesteśmy pewni, że jak dotąd obiecała tylko siebie...

— I mnie – przypomniał mu ostrym tonem Granby.

— Tak, oczywiście – odparł Hammond ze spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że guzik go to obchodzi.

Kolejne pytania pomogły im ustalić, że Iskierka nie ograniczyła się do złożenia tylko tych dwóch obietnic; zapewniła beztrąsko Maile, że Brytyjczycy chętnie przyślą dziesięć tysięcy ludzi, by ponownie zaludnili *ayllu* wielu inkaskich smoków; dawała przy tym dość ogólnie do zrozumienia, że marynarze codziennie wystawiający się na pokaz na dziedzińcu sami mogą być dostarczeni smokom na dworze. W ten sposób jednak nie zaoferowała niczego, przeciwko czemu Hammond by jakoś zdecydowanie oponował; tak naprawdę, myślał Laurence, Hammond chętnie wystawiłby tych wszystkich ludzi na licytację i oddał tym, którzy zaproponują najwięcej.

— Oczywiście należy się dowiedzieć, co o tym myślą, kapitanie, ale jeśli niektórzy spośród nich chcą stworzyć sobie dom w tak luksusowych warunkach – mówił Hammond – chcą służyć swojemu krajowi w taki sposób... to nie widzę żadnych prawdziwych powodów, by się temu sprzeciwić. W każdym razie – dodał pospiesznie – nie na tym, jak sądzę, polega prawdziwy urok propozycji Iskierki. Widzi pan, kapitanie, miał pan rację. Mimo tej całej zwłoki cesarzowa musi w końcu wyjść za mąż, a gdyby wyszła za Napoleona, musiałaby wyjechać do Francji: kraju rozdartego przez rewolucję i toczącego wojnę. Myślę, że ta okoliczność ma ogromne znaczenie dla smoków na jej dworze.

— Inaczej mówiąc – podsumował Granby – jeśli ona poślubi mnie, nie będzie musiała nigdzie wyjeżdżać; a ja przez resztę mojego życia będę włóczył się po pałacu. Powinien pan mnie najpierw zapytać, Hammond, albo przynajmniej zadbać o pozory.

— Kapitanie Granby, błagam, żeby nie poświęcał pan czasu na rozmyślanie o czymś, co musimy nadal uznawać za bardzo mało prawdopodobne – odpowiedział Hammond i zaczął przesuwając się bokiem w stronę dziedzińca. – Proszę o wybaczenie, muszę zamienić kilka słów z Iskierką... – rzucił na odchodne i już go nie było.

— Myślę, że wkrótce będziemy musieli życzyć ci szczęścia – powiedział sucho Laurence do Granby’ego, który zaczerwienił się z gniewu – skoro masz po swojej stronie tak gorliwych swatów.

— No już dobrze, kapitanie Granby – rzucił pocieszającym tonem O’Dea z miejsca, gdzie siedział przy wspólnym ognisku, rozkoszując się kropelką rumu i najprawdopodobniej podsłuchując – przecież w małżeństwie nie ma niczego złego. Chociaż wszystko musi się skończyć na tym padole łez, niczego lepszego nie znajdzie się w popiołach tego smutnego, doczesnego życia. Dlaczego nie miałyby pan się ożenić?

— Nie bądź taki bezczelny, O’Dea, do diabła – odparował gniewnie Granby. – Co ty możesz o tym wiedzieć?

— No wie pan, pochowałem cztery żony – odpowiedział O’Dea i uniósł wyżej szklaneczkę. – Katherine, Felidia, Willis i Kate: najśliczniejsze kobiety, które kiedykolwiek zdołały ziemię i które zlitowały się nad takim starym nędznikiem jak ja, oby Dobry Pan troszczył się o nie nawet teraz, gdy są w jego marmurowych salach pośród świętych; chociaż prawdą jest także i to, że nie ma pewności zbawienia.

Opróżnił szklaneczkę i próbując wycyganić trochę trunku od innych mężczyzn przy ognisku, powiedział:

— No dalej, chłopaki, dajcie mi jeszcze kropelkę, jeśli coś wam zostało; mężczyzna potrzebuje w sobie odrobiny serca, kiedy myśli o dawno minionej miłości.

— W takim razie masz w sobie tyle serca, żeby móc rozpamiętywać upadek Rzymu – odpowiedział Granby i odszedł sztywnym krokiem.

Tej nocy Granby przyszedł do komnaty Laurence’a i zapukawszy cicho, poprosił, żeby wyszedł razem z nim na zewnątrz. Przeszli razem przez dziedziniec, a następnie wspięli się na tarasy, którymi pocięte było zbocze wzgórza; znalazłszy się na szczycie, skierowali wzrok w dół na szeroki plac, na który przez okna kallanki padał pomarańczowy blask płonących w środku ognisk.

— Pewnie jestem głupcem, bo początkowo nie przyszło mi nawet do głowy, że to naprawdę może się zdarzyć... a tym bardziej, że Hammond będzie chciał, by się zdarzyło, i teraz... – Granby umilkł.

— Doprawdy nie wiem, co ci doradzić – odpowiedział zmartwiony Laurence; tak samo niechętnie zgodził się kiedyś zostać pionkiem w prowadzonych przez Hammonda negocjacjach w Chinach, nawet jeśli zakończyły się one bardzo dla niego korzystnie, a porozumienie, do którego dążyła niestrudzona Iskierka, oznaczałoby dla Granby'ego znacznie większe wyniesienie.

— Jest jeszcze gorzej – podjął przerwany wątek Granby. – Laurence, ja nie mogę się z nią ożenić. Wiem, że powinienem powiedzieć to od razu i nie zwlekać z tym tak długo, ale jest... w gruncie rzeczy to by nie zrobiło większej różnicy, kiedy Iskierka skrywała całą sprawę pod swoim skrzydłem przez tak długi czas. Tak czy owak, nie mogłem... nie mogę powiedzieć tego Hammondowi. Nie ufam mu do tego stopnia, ale jeśli mu nie powiem, nie wiem, jak... co zrobić... – Przerwał to nietypowe dla siebie jąkanie i przesunął dłonią po szczęce, pociągając ją gestem wyrażającym frustrację.

Laurence popatrzył mu prosto w oczy.

— Jesteś już żonaty? – zapytał niepewnie.

— Och! Boże, gdybym tylko był – odpowiedział Granby. – Moja siostra chciała mnie wyswatać z jedną ze swoich przyjaciółek; gdybym tylko pozwolił jej to zaaranżować! Nawet Hammond nie mógłby mnie prosić, żebym został bigamistą, jak sądzę. Nie, Laurence... ja... ja nie lubię kobiet w tych sprawach... wolę mężczyzn.

— Co? – wyrwało się zaskoczonemu Laurence'owi.

Oczywiście słyszał o tym zjawisku, zwłaszcza że wywodził się z floty; znał kilku świetnych oficerów uzależnionych od takich przestępczych praktyk, przy czym te ich słabości były powszechnie znane i po cichu ignorowane; zawsze jednak uważał, że takie zachowania brały się z braku sposobności do bardziej naturalnych kontaktów płciowych, czego nie można było powiedzieć o sytuacji awiatorów.

— Cóż, nie wiem, jaka jest tego przyczyna, ale nie ma to nic wspólnego ze sposobnością lub jej brakiem, w każdym razie dla mnie – odparł na to krótko Granby i obaj zamilkli.

Laurence nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie podejrzewał Granby'ego o to, że jest nawet zwyczajnie rozwiązy, i ponieważ uświadomił sobie, że już to było samo w sobie dowodem.

— Jest mi bardzo przykro – wydusił z siebie po chwili, czując, jak bardzo nieadekwatne są te słowa do wyznania, które usłyszał – naprawdę bardzo przykro – powtórzył bezradnie.

— Och... – Granby wzruszył jednym ramieniem – wiesz, w normalnych okolicznościach to nie ma prawie żadnego znaczenia. Nigdy nie widziałem żadnego pożytku w tym, że awiator żeruje na jakiejś dziewczynie, która najprawdopodobniej boi się pisnąć choćby słowo przeciwko smokowi, a potem zostawia ją, żeby do końca życia przez jedenaście z dwunastu miesięcy w roku siedziała sama w pustym domu, podczas gdy on mieszka w kryjówce ze swoją bestią. I jeśli o to chodzi, wolałbym raczej mieć cichy, dyskretny związek z jakimś oficerem, niż chodzić do półpensowych zamtuzów w pobliżu kryjówek, jak to robią inni. – Machnął ręką, jakby chciał odegnać tę myśl. – Ale teraz... to szaleństwo...

— Hm – mruknął Laurence i wzięwszy się w garść, zapytał: – Czy ty nie możesz? – Powiedziawszy to, aż się skręcił w duchu z powodu niedelikatności swego pytania; ale w końcu jeszcze służąc we flocie, słyszał o kapitanie Farrawayu: jedenaścioro dzieci, po jednym na każdy urlop od czasu, gdy się ożenił, i to z kobietą będącą tak wzorcową żoną, że było zupełnie nieprawdopodobne, by w czymkolwiek zblądziła, a już tym bardziej w ten konkretny sposób; a zatem najwyraźniej nie było to niemożliwe...

— Spodziewam się, że dam sobie z tym radę, jeśli będę musiał – odpowiedział Granby. – I tak musiałbym już niedługo spróbować spłodzić syna dla Iskierki. Ale raz lub dwa razy to nie to samo, co małżeństwo. Ona na pewno będzie urażona; to znaczy Inka, i dlaczego nie miałyby powiedzieć „ściąć mu głowę”, jeśli nie będzie się jej to podobało?

— A gdyby się nie dowiedziała...? – podpowiedział Laurence. – Nie żebym doradzał ci nieuczciwość – dodał – ale gdyby to nie było przeszkodą w spełnianiu twoich obowiązków wobec niej...

— To się na nic nie zda – przerwał mu obcesowo Granby. – Nie dlatego, że zrobiłbym z siebie durnia, nawet większego niż kiedykolwiek, ale nie zamierzam także do końca moich dni być mnichem. Próbowałbym oczywiście być dyskretny, ale oczekiwać, że nikt się nie dowie i nie wypapla jej, to o wiele za dużo: nie byłbym jakimś tam awiatorem, o którego nikt nie dba, ale mężem ich władczyni.

— Z drugiej strony – zaczął powoli Laurence – ona nie może szukać uczucia normalnego rodzaju, takiego, które ludzie zwykle mają nadzieję znaleźć

w małżeństwie. Jeśli o to chodzi, już niedługo się dowie, jeżeli jeszcze nie wie, że Napoleon rozwiódł się dla niej z inną kobietą, którą poślubił z miłości, a ona sama niedawno została wdową. Jej małżeństwo musi być raczej aktem państwowym niż wydarzeniem osobistym; nie sądzę, żeby poczuła się tak urażona wiadomością o twoim stylu życia, jak kobieta, która zawiera małżeństwo w bardziej zwyczajnych okolicznościach.

— Laurence – krzyknął Granby, patrząc na niego z wyrzutem – nigdy nie powiedziałbym ani słowa o tym tobie lub komukolwiek innemu, nawet gdyby mnie palono żywym ogniem i włączono końmi, tylko że nie mam najmniejszego pojęcia, jak się z tego wykręcić bez pomocy innych, a ty właściwie mówisz mi, że twoim zdaniem powinienem to zrobić.

Zmartwiony Laurence odrzekł:

— Powiedziałbym raczej, że nie wiem, co ci doradzić – ale tak naprawdę nie mógł twierdzić, że wyznanie Granby’ego przewyciężyło jego nieprzyjemną świadomość korzyści płynących z takiego związku – lub, bardziej konkretnie, śmiertelnych zagrożeń będących następstwem drugiej możliwości. Pogorszyło to tylko w znacznym stopniu i tak już godną pożałowania sytuację kapitana Iskierki, nie sprawiając wcale, by Laurence poczuł, że zgoda na zawarcie takiego porozumienia, jeśli było to możliwe, nie jest wcale obowiązkiem Granby’ego. – Samo to nie wydaje mi się większą przeszkodą w zawarciu waszego małżeństwa niż wszystkie pozostałe: różnica w waszych pozycjach i niepewności lokalnej polityki, koniec twojej kariery...

Tu Laurence urwał, gdyż sam kiedyś zakończył swoją karierę, żeby móc zrobić coś, co uważał za swój obowiązek, i Granby, który odwrócił wzrok, dobrze o tym wiedział: czyny Laurence’a świadczyły aż za wyraźnie o tym, jakiego wyboru on by dokonał.

— To nie jest oczywiście twój obowiązek – powiedział Laurence.

— Usilnie proszę, żeby pan się zastanowił, czy nie jest to pański obowiązek – rzekł Hammond, kiedy wrócili do hali; leżał przy drzwiach, czekając na nich. – Oczywiście nie ma mowy o narzucaniu panu tego związku wbrew pańskiej woli – dodał – absolutnie nie...

Jeśli nawet to było prawdą ze strony Hammonda – bardzo grube założenie – to na pewno nie można było tego powiedzieć o Iskierce; odrzuciła protesty Granby’ego, wszystkie razem i każdy z osobna, nawet ostatnią rozpaczliwą próbę, którą podjął, odciągając ją na stronę, poza zasięg słyszenia wszystkich innych z wyjątkiem Laurence’a.

— Wiem oczywiście, że nie lubisz kobiet w ten sposób – powiedziała. – Nie jestem głupia; wiem, że ty i kapitan Little byliście...

— Och, na litość boską, zamilknij wreszcie – krzyknął zaczerwieniony Granby i z wyrazem udręki na twarzy spojrzął z ukosa na Laurence'a.

— W porządku, ale dlaczego w takim razie o tym mówisz? – zapytała rozsądnie Iskierka. – Ja nie podniosłam tego tematu. Immortalis powiedział mi, że nie powinniśmy tego robić, chociaż nie rozumiem dlaczego; przecież nie pozwoliłabym nikomu aresztować ciebie, bez względu na sytuację. Ale tutaj to nie może oznaczać... Anahuarque nie chce, żebyś był w niej zakochany, chce tylko, żebyś robił jaja i był cesarzem. Zapytam Mailę, jeśli chcesz, by się upewnić, że nie będzie z nią żadnych kłopotów, ale nie będzie.

Granby bardzo wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie chce tego, ale pod presją niesłabnącej determinacji Iskierki i zachęt Hammonda ustępował, co mogło budzić tylko współczucie, niczym jeleni nękanymi przez stado głodnych wilków. Dał się w końcu przekonać do udziału w zaplanowanej wspólnie przez Mailę i Iskierkę ceremonii, podczas której miał być oficjalnie zaprezentowany cesarzowej jako zalotnik.

— Co, kapitanie Granby, jeśli nawet nie przyniesie żadnych innych dobrych rezultatów, skłoni ich, jak zapewnia nas Maila, do dopuszczenia mnie przed jej oblicze – powiedział Hammond – a to powinno mi pomóc tak poprowadzić negocjacje, by obróciło się to na naszą korzyść...

— I moją niekorzyść – powiedział Granby do Laurence'a, bardziej z posępną rezygnacją niż prawdziwym sprzeciwem w głosie; a potem dodał: – Nie sądzę, żeby któryś z nas miał choć jeden czysty krawat, co? Muszę przynajmniej spróbować doprowadzić się do porządku i zrobić wszystko, by nie wyglądać jak strach na wróble.

Temeraire nie uważał, że Laurence prawidłowo ocenia sytuację. O ile oczywiście nikt nie mógłby chcieć małżeństwa Sapa Inki z Napoleonem, wydawało mu się czymś całkowicie niedorzecznym, że biedny Granby ma być poświęcony, by temu zapobiec, zwłaszcza kiedy tak mu się to nie podobało. Ktoś inny mógłby poślubić cesarzową, której w końcu osoba przyszłego męża była obojętna i która pragnęła tylko jaja zionących ogniem smoków od Iskierki, co zresztą każdy z odrobiną rozumu w głowie nazwałby poważnym błędem w ocenie sytuacji. Iskierka mogła zostać z Mailą, ponieważ go tak lubiła – poza tym nikt jej tak naprawdę nie chciał – a Granby mógł po-

nownie dołączyć do załogi Temeraire'a.

Napomknął o tym Granby'emu – nie bezpośrednio, bo Iskierka na pewno podeszłaby do tego pomysłu bez zrozumienia, a przecież Temeraire nie zamierzał być nieuprzejmy ani zachowywać się tak, jakby chciał ukraść Granby'ego; wcale nie chciał. Tylko wydawało się to bardzo nie w porządku, że Iskierce w ogóle pozwolono zabrać Granby'ego z jego załogi i że teraz może go unieszczęśliwiać i trzymać go bez końca w tym dalekim kraju, bez względu na to, ile złota zdawało się w nim wszędzie walać.

Ale pomimo tego złota Granby odpowiedział mu ponuro:

— W tej chwili dałbym bardzo dużo, żeby wciąż być porucznikiem i nie mieć żadnych zmartwień oprócz tego, czy kiedykolwiek wpadnie mi w ręce smocze jajo; nie chcę nawet myśleć, co powie moja matka, kiedy o tym wszystkim usłyszy.

Która to odpowiedź była zdaniem Temeraire'a dobrym uzasadnieniem jego pomysłu poszukiwania alternatywnego rozwiązania.

— Przypuszczam, że chciałbyś tu zostać, poślubić Sapa Inkę i być cesarzem? – zapytał eksperymentalnie Forthinga.

— Ani mi się śni – odrzekł Forthing z prychnięciem.

Temeraire westchnął; chętnie zostawiłby Forthinga w tym kraju, ale musiał przyznać, że to nie byłaby rozsądna zamiana. Rzeczywiście musiał w tym tygodniu dwa razy dość ostro powstrzymać Forthinga; posuwał się za daleko w przygotowaniach do tej absurdalnej i niepotrzebnej ceremonii prezentacji.

— Do tej pory cesarzowa nie widziała niczego złego w ubraniu Granby'ego – powiedział do niego Temeraire – a jeśli jego buty są znoszone, zostały mu jeszcze te sandały, nie ma zatem potrzeby, żebyś zadawał sobie tyle trudu i poświęcał tyle skóry na zrobienie nowych. – To samo dotyczy ciebie – zwrócił się z wyrzutem do Ferrisa, który właśnie wrócił z targowiska na obrzeżach miasta, z dwiema alpakami obładowanymi pięknie utkanym, zielonym materiałem; ewidentnie myślał o wykorzystaniu go do uszycia nowych płaszczy dla wszystkich awiatorów, którzy mieli wziąć udział w uroczystości. – Skąd wzięły się pieniądze na to wszystko? Bo przecież przedtem żadnych nie mieliśmy.

— Hm... cóż... – zaczął wymijająco Ferris – są te kamienie, które Maila dał Iskierce.

— Ona nie pozwoliłaby wam wymienić ich na zwykłe sukno – powie-

dział Temeraire z rosnącą podejrzliwością i obrócił głowę, żeby policzyć drzemiących na dziedzińcu marynarzy: przykro mu było to powiedzieć, ale nie zdziwiłby się, gdyby Forthing, a nawet Ferris, pozwolił któremuś z ludzi wymknąć się do innego smoka w zamian za łapówkę; była to praktyka, którą Temeraire zamierzał ukrócić. Po pierwsze, Laurence był temu przeciwny, a oprócz tego, chociaż marynarze nie byli zbyt dobrzy i nie uważał ich za swoją załogę, tak do końca, z pewnością był za nich odpowiedzialny.

Rozumiał teraz, że taki smok, który zajmuje się tylko jedną osobą, jest bardzo marnego rodzaju; oczywiście Laurence przeważa znaczeniem nad całą resztą, a jego oficerowie i załoga, kiedy już będzie miał znowu załogę naziemną, są zaraz po nim pod względem ważności, ale to wcale nie musi być wszystko. Temeraire nie widział powodu, żeby nie mógł otoczyć opieką większej grupy ludzi, niż mógł naraz unieść, jeśli robili to Curicuillor i jej potomkowie, a w istocie można by powiedzieć, że jego własny wuj jest w pewien sposób odpowiedzialny za całe Chiny, jako smok samego cesarza.

W każdym razie Laurence pracował nad wpajaniem załodze dyscypliny i byli już dużo lepsi, zwłaszcza teraz, po odejściu Handesa. Narzekali trochę, ale wykonywali swoją robotę, a kiedy Ferris przekazał im cały nowy zapas materiału, okazało się nawet, że są w stanie uszyć całkowicie zdatne do użytku płaszczki, kiedy już poświęcono jeden ze starych i wytartych na zrobienie wykrojów. Przeto Temeraire nie zamierzał pozwolić na to, by choćby jednego z nich przehandlowano, zwłaszcza w takiej sprawie, i dlatego uważał na nich wszystkich.

— Jednego brakuje – rzucił gniewnie następnego ranka – Cricktona, i chciałbym natychmiast się dowiedzieć, gdzie on zniknął, jeśli łaska – no i wyszło na jaw, że Crickton rozmiłował się w służącej, która żyła w posiadłości gubernatora prowincji wschodniej.

— On nie zniknął – powiedział pospiesznie Ferris do Laurence’a, kiedy Temeraire wezwał go, żeby się wytłumaczył – on tylko wybrał się do niej z wizytą, na krótko; nie widziałem w tym niczego złego.

— Uhm – mruknął ponuro Laurence.

— Cóż – mówił dalej Ferris – chłopakom jest trudno, kiedy w mieście poniekąd nie ma żadnych dam, i sędzę, sir, że kobietom też jest tutaj ciężko, bo nie mogą brać sobie mężów spoza swoich *ayllu* bez długich i kłopotliwych negocjacji...

Crickton najwyraźniej przez kilka nocy próbował się wymknąć, by od-

wiedzieć damę – ośmielony zachętami nie wykraczającymi zbyt daleko poza uśmiechy, rzucane mu z wejścia do wielkiego domu, w którym mieszkała – i został przyłapany przez Ferrisa.

— I powiedziałem mu, sir, że to nie może należeć do jego obowiązków służbowych, jeśli próbuje się oddalić w taki sposób; on zaproponował, że uda się do niej tylko z wizytą i wróci, a zarządca tej posiadłości uznał za stosowne przysłać nam ten materiał w ramach podziękowania...

— Za zapewnienie usług rozplodnika – stwierdził bezbarwnym głosem Laurence, a Ferris w pierwszej chwili się zmieszał, a potem wzruszył ramionami.

— Przecież sami też to robimy, sir – powiedział. – To znaczy, robią ci, którzy mają smoki.

Laurence wyraźnie się zmartwił, a później powiedział do Temeraire'a:

— Mój drogi, mam nadzieję, że nie pragniesz, bym... to znaczy, nie czuję... wyjąwszy małżeństwo, nie jestem gotowy...

— Proszę, nie myśl o tym, Laurence – odpowiedział od razu smok uspokajająco; doskonale rozumiał obawy Laurence'a. – Ja nigdy nie żądałbym od ciebie, żebyś się ożenił, kiedy tego nie chcesz, tylko po to, by zostać cesarzem; co się tyczy dzieci, wolałby raczej mieć właściwie wyszkoloną załogę. Tak czy owak – dodał – może admirał Roland będzie ich miała trochę dla ciebie, ponieważ Emily musi przejść do Ekscidiuma, a skoro o tym mowa, nie wydaje mi się to sprawiedliwe, że muszę ją oddać wtedy, kiedy jest w pełni wyszkolona i gotowa zostać znakomitym oficerem.

Ta rozmowa najwyraźniej nie w pełni pocieszyła Laurence'a i Crickton dostał pozwolenie na przebywanie ze swoją lubą zupełnie bez powodu. Temeraire chętnie odesłałby materiał i ściągnął z powrotem Cricktona, a gdyby zarządca się sprzeciwił, był gotowy bronić swoich praw. Jednak nawet zakazawszy na przyszłość takich transakcji, Laurence nie mógł się wycofać z tej właśnie, materiał bowiem był już pokrojony; tak więc płaszcze zostały uszyte.

A potem Forthing nie chciał się okazać gorszy – chociaż Temeraire nie rozumiał, dlaczego miałoby mu to przeszkadzać, kiedy ostateczny cel tych wszystkich działań był tak mało pożądanym – i nakłonił Shipleya, który pragnął mu się przypodobać, żeby zagonił marynarzy do uszycia z pozostałych skrawków kilku dodatkowych części garderoby. Forthing od pewnego czasu systematycznie uczył się języka – Temeraire teraz gorzko żałował tego, że

sam kiedyś zgłosił chęć udzielania lekcji wszystkim chętnym – i zdołał jakoś wymienić te ubrania na okazały zwój czerwonej, wełnianej tkaniny, z której uszyto piękną pelerynę dla Granby’ego. Forthing miał nawet czelność zaproponować, żeby część opali z szaty Laurence’a wykorzystać do wykonania jej ozdobnych wykończeń.

— Pewna okazałość stroju byłaby w najwyższym stopniu wskazana – podchwycił Hammond i uciszyło go dopiero zimne spojrzenie Temeraire’a oraz jego zdecydowana odmowa nawet rozważenia takiej możliwości.

— Niech pan z tym skończy, już i tak zrobił pan ze mnie dziwoląga – powiedział sam Granby z niecierpliwością. – Jest pan tak zły jak ona – dodał, mając na myśli Iskierkę, która tymczasem paradowała dookoła z nieznośnie zadowoloną miną, robiąc słodkie oczy do Maili przez cały dzień. Temeraire nigdy by nie pomyślał, że Iskierka wyda Granby’ego komuś innemu, wrabiając go w małżeństwo, a Granby nawet nie chciał się ożenić z Sapa Inką.

— Moglibyście przynajmniej poczekać na ładniejszą pogodę – zasugerował Temeraire, uciekając się w ostateczności do tego argumentu, ale nawet Granby nie zgodził się z nim w tej materii.

— Załatwmy jak najszybciej sprawę tej prezentacji i mam nadzieję, na Boga, że ona uzna to za zły pomysł – powiedział i dwa dni później ich grupa zebrała się na dziedzińcu Cusipata: dwudziestu awiatorów w nowych, zielonych płaszczach i białych spodniach, porządnie wypranych, wybielonych sokiem z cytryn i pocerowanych; Hammond w eleganckim, brązowym surducie, który nie nosił żadnych śladów podróży, przepasany swoją ambasadorską szarfą; pani Pemberton w czarnej sukni; i Granby bezsprzecznie wspaniały w czerwonej pelerynie. Temeraire nie mógł się nawet pocieszyć widokiem Laurence’a w jego uroczystym stroju; szata pozostała w skrzyni, a Laurence miał na sobie jeden z nowych płaszczy i połatane buty.

— Nie mogę zaćmić Granby’ego przy takiej okazji – wyjaśnił, a Temeraire uznał, że może i dobrze się złożyło: gdyby Anahuarque ubzdurzyła sobie, że zamiast Granby’ego woli jednak Laurence’a, byłoby to straszne. Oczywiście Laurence stałby się wspaniałym cesarzem, ale Temeraire nie był Iskierką, żeby sprzedawać Laurence’a w małżeństwo w taki sposób, tylko po to, by podnieść jego pozycję społeczną.

— I powiększyć jego majątek – uzupełniła Iskierka – bo wszystko to stanie się własnością Granby’ego – dodała półgłosem, przesuwając chciwym spojrzeniem po wnętrzu wielkiej sali cesarzowej. Specjalnie na tę okazję

ściany zostały wypolerowane, złoto i srebro lśniło jasnym blaskiem, przyćmionym jedynie przez blask szlachetnych kamieni osadzonych w wielkich lampach, które zawieszono, chociaż wciąż jeszcze był dzień.

Sama Inka miała na sobie suknię o niezrównanej wspaniałości, która, Temeraire nie był w stanie temu zaprzeczyć, mogła nawet rywalizować elegancją i świetnością z szatą Laurence'a: utkano ją z nici żółtych, czerwonych i nawet złotych, tak że błyszczała w świetle. Na głowę władczyni Inków założyła z tej okazji koronę ze złota i srebra, z przymocowanymi do niej na górze, zachwycająco pięknymi piórami.

— To był mój pomysł – szepnęła Iskierka do Temeraire'a, który słuchał jej z wielką niechęcią – nie mają tutaj koron, ale ja powiedziałam Maili, że monarchowie w Europie wszyscy je noszą, i on całkowicie zgodził się ze mną, że to znakomity projekt, no i zrobił jedną dla Inki, a Granby też taką dostanie, kiedy już będą małżeństwem, i będą mieli też normalne trony, tylko że zrobienie ich potrwa trochę dłużej.

— Jeszcze nie są małżeństwem; nic jeszcze nie zostało załatwione – odpowiedział jej chłodno Temeraire, ale to była kiepska replika i Iskierka całkowicie słusznie ją zignorowała.

Sapa Inka mierzyła zachłannym spojrzeniem Granby'ego, jej dworzanie patrzyli na niego z ponurymi minami, a Maila mizdrzył się do Iskierki, strojąc pióra na barkach, i ogólnie robił z siebie widowisko.

— Zapewnię ją, kapitanie Granby – powiedział półgłosem Hammond, kiedy podeszli bliżej – że nie jest pan zainteresowany rządem... że nie zamierza pan ingerować...

— Tak – odparł ze znużeniem Granby – może pan jej powiedzieć, że będę idealnym pieskiem salonowym, pozwolę jej decydować o wszystkim i nie będę robił niczego, tylko siedział przy niej i kiwał głową, kiedy mnie szturchnie; i może pan jej także przypomnieć, że nawet gdybym kiedyś chciał postąpić inaczej, nadal nie będę w stanie tego zrobić, gdyż nie znam jeszcze nawet dziesięciu słów w ich języku i przez najbliższy rok najpewniej nie uda mi się ułożyć nawet jednego zdania.

— Kapitan Granby błaga Waszą Cesarską Mość o wybaczenie – zaczął Hammond – ale nieznamość języka uniemożliwia mu wyrażenie jego wdzięczności za zaszczyt, który mu uczyniłaś tym zaproszeniem, i pragnie przekazać Waszej Cesarskiej Mości...

Mówił dalej w tym doskonale fałszywym tonie, którym Anahuarque zda-

wała się być całkiem usatysfakcjonowana. Temeraire odwrócił wzrok, żeby dla odmiany obserwować ruch smoków, przylatujących i odlatujących pośród wielkich tarasów oraz wysokich dachów miasta, rozłożonego poniżej ich obecnego punktu obserwacyjnego. Nawet jeśli nie tak niezwykle, było to przynajmniej mniej przygnębiające od tego żalosnego widowiska, które rozgrywało się przed nim, i co interesujące, z południa nadlatywały trzy smoki, dwa z wielkimi, powiewającymi na wietrze chorągwiami.

I wtedy Temeraire gwałtownie się wyprostował: chorągwie były trójkolorowe, a lecący w środku smok był biały.

— Laurence! – odezwał się, przerywając Hammondowi – Laurence, zbliż się tu Lien, a te dwa przy niej to Flammes-de-Gloire.

Rozdział 13

To oczywiście nie była jego wina, ale Temeraire musiał przyznać, że jego słowa nieodwracalnie popsuły uroczystość. Wszystkie smoki z inkaskiego dworu siedziały wyprostowane, czujnie śledząc nadlatujące smoki i nie zwracając najmniejszej uwagi na Hammonda, który próbował powrócić do swojej przerwanej mowy, a Maila, stanąwszy na tylnych łapach, przednią położył na podwyższeniu Inki, jakby zamierzał chwycić ją i natychmiast odlecieć.

Temeraire dostrzegł, jak z dziedzińca przed kallanką, w której kwatrowali Francuzi, wzbiła się w powietrze Genevieve, z depczącymi jej po piętach Piccolem i Ardenteuse, żeby dołączyć do zbliżającej się trójki, a potem wszystkie sześć smoków zatoczyło w górze krąg i kolejno wylądowało na dziedzińcu cesarskiego pałacu, przy czym Piccolo mało subtelnie naparł na bark Kulingile, żeby zrobić miejsce dla lądującej Lien.

Wyglądała wspaniale, Temeraire musiał to niechętnie przyznać: oprócz ogromnego brylantu na piersi, który chwycił światło lamp, na przednich łapach miała coś w rodzaju rękawic – usiane rubinami pochwy na pazury, połączone delikatnymi łańcuchami ze srebra z szerokimi mankietami, które lśniły brylantami i które z kolei były połączone z innymi mankietami, umiejscowionymi ponad jej stawami łokciowymi i wysadzanych szafirami, tak że sama miała na sobie trzy kolory francuskiej flagi. Nie miała żadnej innej uprzęży i niosła tylko jednego człowieka...

Wszystkie francuskie smoki pochyliły nisko głowy, a ludzie na ich grzbietach zdjęli kapelusze; De Guignes zsunął się z Genevieve i ukląkł, kiedy Napoleon zsiadł z grzbietu Lien, łatwo schodząc na jej podsuniętą przednią łapę, którą ona potem opuściła na ziemię.

Chwycił De Guignesa za ramiona, podniósł go z klęczek i pocałował w oba policzki, powiedział po francusku:

— Najlepszy z emisariuszy! Nie powinieneś się czuć urażony, że przybyłem tu osobiście, tak jak żaden z moich marszałków nie może być urażony, kiedy przejmuję dowództwo; pewne bitwy człowiek musi wygrać sam. To jest cesarzowa? – A kiedy De Guignes potwierdził, Napoleon rzekł: – W takim razie powiedz jej, mój przyjacielu, że przybyłem osobiście. Podjąłem to ryzyko, żeby jej pokazać, jak ja i Francja ją uhonorujemy, jeśli przybędzie do nas i ozdobi nasz tron.

Nawet jeśli inkaskie smoki miały za złe Francuzom zakłócenie uroczystości, a Napoleonowi lekceważenie ich protokołu, sama jego zuchwałość zdawała się działać na korzyść cesarza. De Guignes został wysłuchany, a nastroszone smoki stopniowo się uspokoiły, słuchając tłumaczenia jego ekstrawaganckiego powitania. To pewne, że oddawszy się we władzę obcego monarchy, okazał odwagę, która robiła wielkie wrażenie, chociaż Laurence zauważył, że oba Flammes-de-Gloire miały większe niż normalnie obsady strzelców, wszystkich czujnych i z gotowymi do strzału karabinami w rękach.

Pośród inkaskich smoków dał się słyszeć pomruk prowadzonych półgłosem rozmów; nawet Maila wyglądał niepewnie, jakby nie wiedział, co powinien zrobić. I wtedy Anahuarque uniosła nagle rękę, a jej dwór zamilkł.

— Powiedz cesarzowi, że witamy go na naszym dworze – powiedziała. – Po tak długiej podróży musi być zmęczony; idźcie teraz odpocząć, a wieczorem zjemy wszyscy razem kolację, by uczcić początek przyjaźni między wszystkimi naszymi krajami.

Kiedy Hammond tłumaczył tę nadmiernie optymistyczną przemowę na użytek Laurence'a, Sapa Inka zwróciła się do Maili i położywszy rękę na jego pysku, coś mu po cichu powiedziała. Następnie weszła na łapę smoka, a ten rzucił ostatnie spojrzenie Iskierce, wzbił się w powietrze i wyniósł swoją władczynię z sali; pozostałe smoki w krótkim czasie zrobiły to samo z resztą jej świty, zostawiając dziedziniec cudzoziemskim gościom.

Napoleon nie odleciał natychmiast do kwater swojej delegacji; odwrócił się z uśmiechem do Francuzek, które pełniły rolę zastępczyni De Guignesa, i pocałował każdą z nich w dłoń; nieusatysfakcjonowany tym, podszedł do grupy Anglików i wykrzyknął:

— Kapitan Laurence! Mam nadzieję, że zastałem pana w dobrym zdrowiu.

Przywitał się z Hammondem i Granbym, przedstawionym mu przez De

Guignesa, i zrobił to z podobnie ciepłym uśmiechem, którym zdawał się zbywać wszystkie słuszne powody, jakie miał każdy Brytyjczyk, by żywić do niego urazę za zarówno jego nadmierne ambicje, jak i ostatnią inwazję na Anglię, odpartą zaledwie dwa lata wcześniej strasznym kosztem życia admirała Nelsona i ponad dwudziestu tysięcy ludzi oraz utraty czternastu okrętów liniowych.

Laurence odpowiedział na jego pytania z całą rezerwą, na jaką mógł się zdobyć; Napoleon nie zważał na to drugie i z nieoczekiwane dużym zainteresowaniem skupił się na pierwszym: zasypany gradem pytań Laurence stwierdził w pewnej chwili, że mówi więcej, niż zamierzał, o osobliwościach australijskiego interioru i nawiązanym z Chinami handlu, który był możliwy dzięki transportowi towarów przez węże morskie. Usłyszawszy o tym, Lien z dezaprobatą rozpląszczyła krezę na karku.

— Przypuszczam, że ona uważa, że Chiny nie powinny rozwijać handlu z innymi krajami – powiedział Temeraire, kiedy już wrócili do swoich kwater – tak jak myśli, że Niebiańskie nie powinny brać udziału w bitwach.

Hammond zdołał uwolnić ich od towarzystwa cesarza, posługując się usprawiedliwieniami, które tylko o włos różniły się od otwartej nieuprzejmości, a kiedy już wrócili, zaczął nerwowo krążyć po ich hali, mrużąc coś do siebie i dosypując co jakiś czas liście koki do swojego dzbanka do herbaty.

— Proszę, żebyście pozostali w tych ubiorach – powiedział w pewnej chwili, unosząc głowę. – Nie wiemy, kiedy zostaniemy wezwani na kolację, i musimy być gotowi; oni na pewno mają plany... propozycje... Och! Przybyli w najgorszym z możliwych momentów. Czy Maila przyleciał zobaczyć się z Iskierką?

— Jesteśmy tu ledwie pięć minut, a więc nie, nie było go. I sytuacja jest naprawdę godna pożałowania – powiedział Granby do Laurence'a, po czym siadł z westchnieniem na podłodze, nie zważając na to, że przy okazji gniecie swoją piękną, czerwoną pelerynę – jeśli ja muszę sympatyzować z Napoleonem i mieć nadzieję, że pokona nas wszystkich; ale mój Boże, kiedy wylądował, byłem tak szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu.

Temeraire nie mógł być zadowolony z pojawienia się Napoleona, a tym bardziej Lien, ale nie znaczyło to, że czuł się w choćby najmniejszym stopniu nieszczęśliwy z tego powodu, iż ich przybycie przerwało uroczystość. Uważał, że Iskierka zasłużyła sobie na tę porażkę. Kiedy zatem Maila wylądował

na dziedzińcu, żeby się z nią zobaczyć, Temeraire rozpląszczył krezę na karku i popatrzył pogardliwie w jej stronę.

— Mam nadzieję – powiedział głośno – że żaden szanujący się smok nie poniży się prośbami kierowanymi do przedstawiciela obcego państwa tylko dlatego, że spotkało go rozczarowanie.

— Och! – odrzekła Iskierka – ja nikogo o nic nie proszę – i Temeraire musiał oddać jej sprawiedliwość: przyjęła Mailę bardzo chłodno i ochłodziła jeszcze bardziej, kiedy inkaski smok zaczął się chyłkiem wycofywać z ustaleń, mówiąc o dramatycznym przybyciu Napoleona i o tym, jak to wydarzenie musi zmienić ich najbliższe plany – o Flemmes-de-Gloire, które jeszcze tego samego popołudnia zademonstrowały zasięg ich ognistego oddechu, o Lien, smoczycy w najwyższym stopniu niezwyklej i wyraźnie błogosławionej przez bogów z powodu jej niespotykanego koloru...

— Możesz z nią popróbować szczęścia – przerwał mu Temeraire, nawet nie zadając sobie trudu udawania, że nie podsłuchuje – może ona będzie miała dla ciebie jaja, ale ja bym tego nie oczekiwał.

Maila nastroszył pióra, tworzące rodzaj kołnierza na jego szyi, i odpowiedział:

— Lien wyjaśniła, że nie może mieć jaja ze smokiem, który ma rodowód tak odległy od jej własnego... że smoki Niebiańskie nie mogą się krzyżować z innymi rasami. Nie chce, żebyśmy marnowali czas, ale w innej sytuacji byłaby zaszczycona, dlatego właśnie zabrała zionące ogniem smoki, które należą do jej straży honorowej. Pozostaną tutaj, jeśli tego zechcemy, żeby stworzyć bliższe więzi między naszymi narodami.

Zbulwersowany Temeraire umilkł, a Iskierka prychnęła:

— Jeśli myślisz, że dwa nędzne francuskie smoki są tak dobre jak ja – rzuciła gniewnie – bo potrafią trochę zionąć ogniem, możesz się zaprzyjaźnić z nimi i cieszyć się ich towarzystwem. Ja mam lepsze pomysły na spędzenie czasu od marnowania go na popieranie kogokolwiek, a już tym bardziej kogoś tak niewybrednego.

— Ja taki nie jestem! – zaprotestował Maila. – Wcale nie uważam, żeby one były tobie równe, to dlatego tutaj jestem. Chcę tylko ciebie ostrzec. Musisz przyjść i porozmawiać z Anahuarque; musisz ją przekonać... ona musi poślubić Granby'ego i odesłać tego obcego cesarza; nie może wyjść za niego i popłynąć na drugą stronę oceanu.

– Jeśli chcesz wiedzieć – powiedział Temeraire, wymachując gwałtownie ogonem; był bardzo wzburzony od wizyty Maili i Laurence nie miał jeszcze okazji ustalenia, jaka była tego przyczyna – on wcale nie jest zainteresowany tobą ani twoimi jajami; chce tylko zatrzymać cesarzową, zamkniętą bezpiecznie gdzieś w tych górach, i nie pozwolić jej na robienie czegokolwiek: jestem pewny, że to samo będzie chciał zrobić także z Granbym.

— On jest także zainteresowany moimi jajami – odparowała gniewnie Iskierka, natomiast Hammond namawiał ich do złożenia natychmiastowej wizyty Ince; Maila był gotów wyjednać im prywatną audiencję, nieoficjalną, żeby mogli wystąpić w swojej sprawie.

— Nie ma chwili do stracenia... dzisiejsza kolacja może zadecydować o wszystkim, a poza tym De Guignes być może już składa im propozycje, wykorzystując jakiś inny kanał – mówił Hammond, to ciągnąc Granby'ego do wyjścia, to popychając go w tamtą stronę. Przez cały czas wygładzał przy tym jego pogniecioną pelerynę i ignorował podejmowane przez Granby'ego próby odepchnięcia go na bok. – Musimy tam lecieć natychmiast, już!

Rozmowa była całkowicie jednostronna. Granby z ulgą usunął się na drugi plan, po pierwszej prezentacji, podczas gdy Hammond całym sercem rzucał się w wyłom. Ale kiedy próbował jedną możliwość po drugiej, Anahuarque tylko słuchała niewzruszona i obojętna. Napomknął o niebezpieczeństwach podróży oceanicznych... opowiedział o rewolucji we Francji i egzekucji króla oraz królowej... wymienił wszystkie kraje, które wspólnie przeciwstawiły się ambicjom Napoleona, nie wspominając wszakże o tym, że Hiszpania prawie już upadła, Prusy zostały pokonane, Austria zgodziła się na rozejm, a Rosja tylko przyglądała się temu z daleka...

Wreszcie skończyły mu się argumenty, ale Anahuarque nadal nic nie mówiła, tylko przyglądała im się swoimi ciemnymi, zamyślonymi oczami. Laurence'owi przyszło do głowy, że jej milczenie było rozmyślnie, zaplanowane po to, by sprowokować Hammonda do wylania z siebie tego właśnie potoku słów oraz ujawniania, nawet niezamierzonego, wszelkich informacji, jakie posiadał.

Laurence wstał i powiedział:

— Pani, nie wiemy, co może wpłynąć na pani decyzję, najlepiej więc będzie, jeśli się teraz oddalimy i damy pani czas na zastanowienie. Powiem tylko, jeśli pani pozwoli, że cesarz jest nadzwyczaj utalentowanym człowiekiem – zignorował Hammonda, które zaczął go nagle szarpać za rękaw –

nadzwyczaj utalentowanym człowiekiem, który wszystkie swoje zdolności podporządkował niepohamowanej ambicji. Jego pragnienie podbojów i podporządkowywania sobie innych narodów nie ma granic i możesz być pewna, pani, że każda pomoc, jakiej mu udzielisz, zostanie wykorzystana do tych właśnie celów, bez względu na nieszczęścia i nędzę, jakie ich realizacja sprowadzi na świat.

Uklonił się i odwrócił w stronę Temeraire'a, który czekał, żeby podnieść go na swój grzbiet.

— To było świetnie powiedziane, Laurence – pochwalił go smok, kiedy w towarzystwie Iskierki lecieli z powrotem na swój dziedziniec. – Jestem pewny, że to musi skłonić ją do podjęcia decyzji na naszą korzyść. Nikomu nie może się podobać pomaganie Napoleonowi w prowadzeniu kolejnych wojen; nie żeby wojny nie były podniecające, ale to jest niemądre.

Laurence pokręcił głową; wiedział tylko tyle, że w końcu powiedział prawdę. Popatrzył na panią Pemberton, która im towarzyszyła; po chwili powiedziała:

— Byłabym większą optymistką, panie kapitanie, gdyby ona sama także nie zagarnęła bezprawnie władzy... ale z drugiej strony – dodała – myślę, że nie ma zbyt wielkiej ochoty dzielić się nią.

Uczta była bardzo osobliwym wydarzeniem: francuscy i brytyjscy żołnierze siedzieli naprzeciw siebie, przeważnie nie będąc w stanie lub nie chcąc porozumiewać się ze sobą w sposób inny niż wymiana groźnych min, wodzowie Inków, którzy zajęli miejsca na obu końcach placu, przyłączali się do tego, okazując niechęć zarówno jednej, jak i drugiej stronie, a siedzące za ludźmi smoki wymieniały po cichu między sobą jakieś uwagi, jedząc swoje pieczone lamy. Nawet Hammond i De Guignes sprawiali wrażenie zakłopotanych sytuacją, nabrzmiałą napięciem, łagodzoną jedynie przez zapadającą co jakiś czas milczenie, a jedyną osobą, która zdawała się czuć całkowicie swobodnie, był Napoleon.

Najwyraźniej liznął trochę keczua i teraz śmiało wprawiał się w używaniu garści znanych sobie słów, pomimo, jak pogardliwie powiedział Temeraire do Laurence'a, okropnego akcentu i całkowitej nieznajomości gramatyki. Nieustannie i nieustępliwie zalecał się do cesarzowej, chociaż posadzano go w pewnej odległości od niej, i sprytnie wykorzystał dosyć niegrzeczne pytanie jednego z siedzących przy niej wojowników, żeby zrobić miejsce na

rozłożonym przed sobą obrusie i przedstawić na nim swoje zwycięstwo pod Austerlitz, przy czym kawałki ziemniaków reprezentowały bataliony piechoty. Nawet Laurence nie mógł się oprzeć pokusie pochylenia się do przodu, żeby lepiej słyszeć jego relację; skruszony pomyślał później na swoją obronę, że pomimo całej i w pełni uzasadnionej niechęci do tego człowieka nie było na świecie żołnierza, który nie byłby zachwycony opisem tej bitwy, oczywiście do chwili, kiedy wzięłby pod uwagę strasznie dużą liczbę zabitych i następstwa dla całej Europy.

Tymczasem Anahuarque odzywała się bardzo rzadko; przesyłała Napoleonowi uśmiechy zachęty, ale kiedy zaczął opowiadać wojownikom o bitwie, Laurence zauważył, że przygląda się uważnie cesarzowi, i ze zdziwieniem dostrzegł na jej twarzy wyraz chłodnego i stanowczego wyrachowania. Zerknęła za siebie na Mailę Yupanqui, który leżał zwinięty i zamyślony z głową obok jej siedziska, i położyła mu delikatnie rękę na pysku; następnie pochyliła się i wyszeptała coś do niego, może kilka uspokajających słów na temat tych wszystkich cudzoziemców zgromadzonych przy jej stole, a po chwili jego nastroszone pióra ułożyły się na szyi.

— Cóż – odezwał się Granby z fatalistyczną nutą w głosie, kiedy wstali od stołu – wiem przynajmniej jedno. Ona wyjdzie za mnie tylko wtedy, gdy będzie chciała kogoś, kto nie sprawi jej żadnych kłopotów; może nawet będę mógł odejść za kilka lat.

— Jeśli do tego czasu da jej pan dziecko, a najlepiej dwoje lub troje. Pańska rodzina jest płodna, mam nadzieję? – powiedział Hammond, kiedy zmierzali do wyjścia, rzucając to tylko jako uwagę na marginesie; był wyraźnie przygnębiony i nawet nie zauważył cierpkich spojrzeń wywołanych przez jego słowa.

— Nie sędzę, żeby ktoś mógł powiedzieć, że okazuję nadmierną wrażliwość w tej sprawie – powiedział Granby, co zdaniem Laurence’a było grubym niedopowiedzeniem – a zresztą trudno się zamartwiać o dziecko, które będzie miało, o ile dobrze widzę, z tuzin nianiek o ciężarze powyżej dziesięciu ton każda, ale kiedy Hammond tak mówi o moich ojcowskich przymiotach, jakbym był koniem, to już trochę tego za dużo.

— Jestem pewny, że to była tylko wymówka Lien – rzucił podenerwowany Temeraire – że to wcale nie jest prawda; ani przez chwilę nie uwierzę, że Niebiańskie nie mogą się rozmnażać.

— Jeśli tak mówisz – odparł spokojnie Kulingile. – Nie sędzę, żeby to mia-

ło jakieś znaczenie – dodał, z czym Temeraire jakoś nie mógł się zgodzić, ale z drugiej strony Kulingile był dość młody i nie myślał jeszcze o jajach jako o czymś pożądanym. Nie doceniał tego, że jajo z Temeraire'em w środku było tak cenną zdobyczą, iż dwie ósme jego wartości, przypadające Laurence'owi jako kapitanowi okrętu, który je zdobył, wystarczyły na kupno wspa-
niałego, platynowego napierśnika z szafirami, wciąż z dumą noszonego przez smoka, i że za jajo z Iskierką zapłacono sto tysięcy funtów, i to złotymi monetami – oczywiście nikt wtedy nie wiedział, jaką będzie miała osobo-
wość, a Temeraire'a uważano początkowo za smoka tylko Cesarskiego, a nie Niebiańskiego. Ale to wszystko pokazywało jedynie, jak bardzo ważne były jaja: nikt w Brytanii nie dałby teraz stu tysięcy funtów za Iskierkę, tego był zupełnie pewny, może z wyjątkiem Hammonda w tej chwili.

— To tylko przypadek – podjął niepewnie Temeraire – że nie miałem do tej pory jaja...

Iskierka, która z uwagą obserwowała to, co działo się po drugiej stronie wielkiego dziedzińca, gdzie w świetle lamp widać było Mailę siedzącego na zewnątrz francuskiej kallanki i rozmawiającego z Flammes-de-Gloire, prychnęła i rzuciła, nie obejrzawszy się nawet do tyłu:

— A co z tym całym twoim narzekaniem, jak to musiałeś wypełniać swój obowiązek z tymi wszystkimi smoczycami, które ci przyprowadzali na terenach rozplodowych? A to było lata temu. Do tej pory na pewno już by to rozgłosili, gdyby któraś z nich miała z tobą jajo.

— Cóż, jeśli w tym, co mówi Lien, jest trochę prawdy, to być może nie próbowałem odpowiednio mocno z odpowiednią smoczycą – odrzekł Temeraire – bo oni ciągle przyprowadzali mi bardzo potulne i uległe... nie żeby – dodał – nie były miłymi stworzeniami, ale żadna nie wyróżniła się niczym szczególnym w bitwach, a większość była tylko średniej wagi...

— Nie musisz robić aluzji – przerwała mu lekko naburmuszona Iskierka – chociaż dobrze by ci zrobiło, gdybym nie miała już na to ochoty; ale spróbuję teraz z tobą, jeśli chcesz, a Maila może poczekać – dodała dość jadowitym tonem – jeśli tak lubi tam przesiadywać i robić słodkie miny do żabojadów.

— Ja nie robiłem aluzji... – zaczął Temeraire, ale gdy Iskierka uniosła gwałtownie głowę i spojrzała na niego z błyskiem w oku, potrząsnął krezą i szybko dokończył: – och, mniejsza z tym, no dobrze. – W głębi duszy nawet on musiał przyznać, że to byłoby coś, mieć młode, które potrafi zarówno

wzbudzać boski wiatr, jak i zionąć ogniem. Pochylił głowę i ukradkiem potarł napierśnik; ponieważ zaczął żałować, że wcześniej nie uparł się, by zabrać na uroczystość swoje pochwy na pazury; tylko że wtedy nie miał ochoty występować we wszystkim, co ma najlepszego, przy tak smutnej okazji.

— No to chodźmy – powiedziała Iskierka. – Najpierw bym coś przekąsiła; wczoraj widziałam stado tych dzikich lam na równinie na południe stąd i przypuszczam, że ciągle tam są; i była też miła, przytulna dolinka, ukryta wśród gór.

– Były naprawdę smaczne – mruknęła z zadowoleniem Iskierka, oblizując pysk; kiedy skończyli polować, Temeraire namówił ją, żeby podgrzała kilka głązów i mniejszych ułamków skalnych swoim ogniem. Wrzucił je wszystkie do dołu z lamami i zasypał razem z przyjemnie pachnącymi krzakami oraz odrobiną wody ze słonego źródła, tak że po jakimś czasie lamy były ugotowane i gotowe do zjedzenia.

— A teraz zajmiemy się jajem – kontynuowała. – Nie wydaje mi się, żeby to było bardzo trudne, i jestem pewna, że przynajmniej z mojej strony wszystko pójdzie gładko. Jestem od dawna gotowa. Gdybyś tylko nie był zawsze taki trudny, mielibyśmy to już za sobą.

— Jakbyś miała jakiegokolwiek prawo do oskarżania innych o to, że są trudni – odparował Temeraire, ale bez większego zapału; lamy były wyśmiewane, co uznawał za swój wielki sukces, gdyż była to jego pierwsza próba ugotowania czegokolwiek. No i nikt nie mógł zaprzeczyć, że Iskierka była wspaniałym smokiem. Nawet jej kolce nie przeszkadzały tak bardzo, jak się tego spodziewał, choć wymagały pewnej pomysłowości w dopasowywaniu się.

Kiedy ruszyli z powrotem do miasta, był już niemal świt i niebo za rysującymi się przed nimi górami lekko pojaśniało. Temeraire niósł w pazurach dwie ugotowane lamy, które chciał przedstawić do oceny Gong Su.

— Co tam się dzieje? – zapytała nagle Iskierka, kiedy podlecieli bliżej. Za murem wielkiej miejskiej twierdzy zgromadziło się wiele smoków oraz bardzo dużo wojowników, odzianych w charakterystyczne, watowane tuniki i uzbrojonych w miecze i muszkiety, którzy ustawiali się właśnie w szeregi.

— Poczekaj, lećmy w tę stronę, nie mogą się dowiedzieć, że ich widzieliśmy – rzucił Temeraire, uszczypnąwszy lekko Iskierkę w skrzydło, i po-

mknęli z powrotem, żeby się ukryć za zboczem góry. Temeraire złożył na ziemi lamy i zwrócił się do Iskierki: – Poczekaj tutaj... och, proszę, przestań gderać. Jeśli wypuścisz choć trochę pary, a co dopiero ogień, oni cię na pewno zaraz zobaczą.

— Nic mnie to nie obchodzi – odparowała gniewnie Iskierka. – Co oni tam robią? Oczywiście przygotowują pułapkę – dodała niecierpliwie – ale na nas czy na Francuzów? – Wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć na zbierające się w dole siły.

Temeraire wzbił się w powietrze, uważając, żeby stopniowo jaśniejące niebo mieć zawsze przed sobą, i zaczął badać sytuację. Brytyjska enklawa leżała na wschód od pozycji wojowników, francuska na zachód; obie znajdowały się w zasięgu możliwego ataku. Inkascy żołnierze nieśli tarcze pokryte pięknie srebrem i jedna z nich pochwyciła promień wstającego słońca, który błysnął boleśnie z tarasu, kiedy Temeraire popatrzył w tamtą stronę.

— Na nas – odpowiedział Iskierce, gdy wylądował, żeby znowu zabrać lamy; pomyślał, że żywność może być im potrzebna. – Zaatakują nas; musimy tam natychmiast lecieć.

Część III

Rozdział 14

W odospad nie był szeroki, ale bardzo wysoki, i szum wody spadającej po długiej, popękanej ścianie urwiska zagłuszał ciężkie oddechy drzemiących smoków; wysokie piętro koron drzew lasu równikowego zapewniało im dodatkowo osłonę od góry. Złote łuski Kulingile były zasmarowane błotem, a wygląd Temeraire'a i Iskierki nie był wcale lepszy; wszędzie pod rzemieniami uprząży powtykano im gałęzie, a ich grzbiety przykrywały porozrzucane gęsto pnącza, które miały je ukryć przed nieustępliwym pościgiem.

Zastęp małych smoków, szybkich jak błyskawica, ścigał ich i nękał przez blisko trzysta mil, które przebyli w trochę ponad dwa dni i jedną noc, chociaż nawet małej części tego dystansu nie pokonali prostym lotem: ich kurs był linią rozpaczliwie zygzakującą, pełną esów-floresów. Kiedy się zatrzymywali lub próbowali zaatakować, małe smoki po prostu uciekały, żeby powiadomić o ich pozycji swoich większych braci, którzy czekali z tyłu, rezerwując siły na bezpośrednie starcie z uciekinierami.

Już kilka razy ledwie uniknęli takich starć z różnymi batalionami inkaskich sił powietrznych, składającymi się albo z sześciu ciężkich, albo trzynastu średnich smoków, które manewrując z dużą wprawą, próbowały ich otoczyć lub zmusić do lądowania. Za pierwszym razem udało im się wyrwać tylko dzięki wielkości Kulingile, który po prostu opuścił głowę i przebił się przez linię otaczających ich smoków, nie bacząc na to, że żaden z nich nie ma mniej niż dwadzieścia ton. Temeraire i Iskierka rzucili się jego śladem, a potem zawrócili oboje i wykorzystując swoją większą zwrotność, zaatakowali wrogów pazurami i powstrzymali pościg na tyle długo, by Kulingile zdążył skryć się w pokrywie chmur, w której sami krótko potem też zniknęli.

Inkaskie smoki prowadziły pościg ostrożnie, nie podejmując nadmierne-
go ryzyka; nie musiały się spieszyć, miały też przewagę znajomości terenu.

Z każdą chwilą lotu brytyjskie smoki były coraz bardziej znużone, a ich siły słabły.

Przed ucieczką nie było czasu ani na zgromadzenie zaopatrzenia, ani na jakąś naradę. Kiedy lamy, które Temeraire przyniósł z polowania, znikwały w gardle Kulingile, ludzie pospiesznie wchodzili do sieci ładunkowej. Nie doliczyli się co najmniej czterech marynarzy, którzy, jak domyślał się Laurence, najwyraźniej po kryjomu wymknęli się na jakąś nocną eskapadę. Pocięczał się tylko tym, że ich los zapewne nie będzie tak ciężki, jak mógłby być: zamiast wylądować w lochu, z którego trudno byłoby ich wydostać, trafią najpewniej do *ayllu* jakiegoś smoka, gdzie zostaną serdecznie przyjęci, pomimo różnic politycznych między ich ojczyzną a imperium Inków.

Siły, które przeciwko nim skoncentrowano – w celu, jak sądził, wzięcia smoków do niewoli i być może przeznaczenia ich do rozplodu, a także opóźnienia wysłania jakiegokolwiek raportu do Europy – uderzyły o wschód słońca. Kilkanaście minut, które zyskali dzięki ostrzeżeniu przyniesionemu przez Temeraire'a i Iskierkę, okazały się czasem, wprawdzie ledwie, ale jednak wystarczającym na zorganizowanie pospiesznej ucieczki; wzbili się w powietrze, ścigani pierwszymi rykami wyzwania, i rzucili się w spowity mgłami wąwóz, lecąc desperacko na wschód, gdzie sięgające nieba góry mogły dać im schronienie.

Minął dzień; noc nie przyniosła ulgi, gdyż piękny półksiężyc oświetlał pokryte lodem zbocza, a niektóre spośród ścigających ich smoków widziały w ciemnościach. Jednak w końcu lecący na czele Temeraire jako pierwszy przedarł się na wschodnią stronę Andów i pomknęli w dół, w stronę na pozór bezkresnej dżungli, która wyrastała, nieprzebyta i zielona, u podnóży gór.

Tu znaleźli chwilowe schronienie, na złapanie oddechu i krótki sen; każdy człowiek mógł też wypić kilka łyków wody, zbierając ją po prostu w złożone dłonie ze strużek, które spływały po gładkich pniach drzew. W ciągu pół dnia, które spędzili w ukryciu, dwa razy padał deszcz. Jednak z trzema tak wielkimi smokami nie mogli ukrywać się zbyt długo; Laurence obserwował przez liście pełznące po niebie słońce i mógł tylko mieć nadzieję, że schronienie posłuży im do nocy.

Hammond, drżący i trochę pozieleniały na skutek ogólnej uciążliwości ich lotu, złożył trzęsącymi się rękami kilka liści koki, które zdążył schować w kieszeni, kiedy uciekali z miasta; ponieważ nie mogli zagotować wody na

herbatę, włożył te liście do ust i zaczął żuć.

— To jest oburzające... złamanie wszelkich ogólnie przyjętych zasad dotyczących nietykalności ambasadorów... – zaczął mówić, a jego słowa były kolejną wariacją na temat, którego nie przestawał rozwijać od chwili, gdy pędząc na złamanie karku, opuścili stolicę imperium Inków.

— Jeśli pogląd na temat zasad wyrobili sobie na podstawie przykładu, który dali im Hiszpanie, nie ma się im co zbyt dziwić – odparł Laurence, starając się zapanować nad irytacją; sam chętnie wypiłby filiżankę herbaty, a jeszcze chętniej kubek mocnej, czarnej kawy; zamiast tego zebrał trochę wody do jednego z wielkich jak obiadowy talerz liści, które niczym pnącza zwisały z drzewa, i wlał sobie strużką do ust. – Musimy raczej zastanowić się nad dalszą trasą naszej ucieczki – powiedział i pochyliwszy się, naszkicował na ziemi z grubsza kształt kontynentu.

— Do Rio oczywiście? – zapytał Hammond, jakby to była tylko kwestia wyboru celu podróży. – Przed nami nie ma już nic, co mogłoby nas opóźnić; powinniśmy tam lecieć z maksymalną możliwą prędkością.

— Cóż, nie możemy: takie gnanie przez dżunglę bez pewności zaopatrzenia w wodę to proszenie się o kłopoty – odparł Granby. – Laurence, myślę, że nie mamy zbyt wielkiego wyboru w tej materii: te spływające po pniach strużki wystarczą dla nas, ale dla smoków to za mało. Pod drzewami mogą płynąć setki strumieni, ale nic nam to nie da, jeśli nie będziemy mogli ich dostrzec z powietrza. Jeśli będziemy się trzymać gór, to przynajmniej możemy być pewni, że każdego dnia zobaczymy jakiś potok.

— I że sami zostaniemy dostrzeżeni przez pościg – uzupełnił Laurence. – Ale zgadzam się z tobą. Jeśli będziemy się trzymać drzew za dnia, a nocami kierować się na północ, ku Wenezueli...

— Nie, nie – krzyknął Hammond. – Panowie, my musimy lecieć do Rio. Być może nie wzięliście pod uwagę tego, że nasza misja stała się jeszcze pilniejsza. Teraz, gdy Sapa Inka postanowiła związać się z Napoleonem, Brazylia jest osaczona ze wszystkich stron. Musicie pamiętać, że jest tam książę regent Portugalii i reszta rodziny królewskiej. Trzeba ich ostrzec... ostrzec, a być może i uratować; jeszcze nic nie wiedzą o grożącym im niebezpieczeństwie. Nalegam, żebyśmy to zrobili, i powołuję się na moje upoważnienia jako ambasadora. Zgodzicie się, mam nadzieję, że ich nie nadużywam w takiej sprawie.

— Jeśli nie może nas pożenić, to nas pozabija – powiedział Granby pół-

głosem do Laurence'a. – Czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy najpierw dotarli do Wenezueli, a potem, podążając wzdłuż wybrzeża, dolecieli do Rio?

— Musielibyśmy pokonać dodatkowo sześć tysięcy mil podczas takiej podróży – odparł Laurence – i to bez żadnej gwarancji, że pod drodze będziemy mieli zaopatrzenie.

Pochylili głowy nad ziemią, próbując bez większej nadziei na sukces wykreślić mniej okrężny kurs przez dżunglę. Swoją bieżącą pozycję znali tylko w dużym przybliżeniu, więc nawet początek nie był łatwy, a na skutek nalegania Granby'ego musieli jeszcze w swoich planach przeznaczyć połowę każdego dnia na poszukiwanie wody.

— I nazwałbym to wariantem ambitnym – dodał. – W każdym razie nie wolno nam odlatywać od ostatniego źródła wody na taką odległość, żebyśmy w razie konieczności nie mogli do niego wrócić w ciągu dnia.

— Cóż, to musi nam wystarczyć – powiedział ostatecznie Laurence, kiedy się w końcu zgodzili, i rozłożyli swoje nieprzyjemnie wilgotne sienniki na ziemi, żeby trochę odpocząć przed nocą; ale tuż po zmierzchu Demane obudził Laurence'a.

— Małpy ucichły – powiedział cicho.

Laurence usiadł, nasłuchując, ale szum wodospadu zagłuszył jakikolwiek odgłos skrzydeł. Siedzieli przez chwilę razem, patrząc w górę: a potem rozległ się jęk łamanych i szeleszczących gałęzi, pośród których pojawiła się wielka, pokryta pomarańczowymi piórami głowa smoka, który wyszeptał w keczua:

— Hammond? Jesteś tam?

— Co? – odpowiedział Hammond, unosząc głowę, i po chwili wylądowała wśród nich Churki, strosząc pióra, żeby się pozbyć liści i gałązek, które utkwiliły między nimi.

— Musimy stąd wyruszać natychmiast – powiedziała. – Patrole *tumi* są na waszym tropie i przeszukują teraz dżunglę w pobliżu tego miejsca. Przekupiłam jednego oficera, żeby pozwolił mi was uratować, ale on nie zdoła ich utrzymać zbyt długo z dala od tego miejsca.

Kiedy zażądali wyjaśnień i odpowiedzi na pytanie, dlaczego dopuściła się zdrady w ich interesie, zaprotestowała:

— Jak możecie to tak nazywać? To mój obowiązek. W końcu nie wiedziałam, że Sapa Inka postanowi poślubić waszego wroga, kiedy poprosiłam Hammonda, by dołączył do mojego *ayllu*. Jakim bym była smokiem, gdy-

bym nie zrobiła wszystkiego, co w mojej mocy, by go chronić, tylko dlatego, że stało się to kłopotliwe?

Oczywiście ze wszystkich wyobrażeń, jak taka ochrona powinna wyglądać, najbardziej podobał jej się pomysł, żeby Hammond wrócił razem z nią na terytorium jej matki.

— Sapa Inka nie będzie miała nic przeciwko temu, zapewniam cię – dodała przekonującym tonem – a moja matka da mi więcej ludzi, żeby dołączyli do *ayllu*: możesz mieć trzy własne żony, jeśli zechcesz.

— To się nazywa sprawiedliwość – powiedział Granby do Laurence’a, z wielką uciechą obserwując konsternację na twarzy Hammonda, co nie przeszkadzało mu kierować, razem z Laurence’em, dość chaotycznymi przygotowaniami do odlotu; wszyscy w wielkim pośpiechu ładowali się na smoki, ludzie wdrapywali się na nie, starając się przypiąć lub przywiązać do uprzęży, a Forthing i Ferris spychali tych co bardziej niezdarnych spośród nich z powrotem do sieci ładunkowej.

Hammond tymczasem próbował odwieść Churki od jej zamiaru, przysuwając się jednocześnie ukradkiem do Temeraire’a. Pewna zabarwiona irytacją zaduma, z jaką na niego patrzyła, zdawała się świadczyć o tym, że walczy z pokusą, by go po prostu pochwycić i zabrać wbrew jego życzeniom, skoro były one tak nieprzemyślane. Aż w końcu w desperacji wpadł na pomysł, żeby dodać:

— I wiesz, nie mogę opuścić mojej rodziny. Mam ośmioro braci i sióstr, a oni mają też sporo dzieci... musi ich teraz być ze trzy tuziny...

— Och! – westchnęła Churki. – Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu? Tuziny, i to w tym waszym niecywilizowanym kraju, gdzie nie ma smoków, które mogłyby się nimi opiekować. Oczywiście musimy do nich wrócić. – Nastroszyła pióra. – Oczywiście nie chciałabym, żebyśmy natrafili na patrol *tumi*; jestem pewna, że gdyby mój związek z wami wyszedł na jaw, przysporzyłoby to kłopotów mojej matce. Ale ona zrozumie, kiedy prześlę jej wiadomość.

Wzbili się w powietrze zaledwie dwadzieścia minut po ostrzeżeniu ich przez Churki. Zapadła już całkowita ciemność i właśnie wtedy, kiedy się wznosili, zostali zaatakowani przez patrol pięciu smoków o małych głowach w kształcie grotów włóczni i ciemnozielonych, krótko przyciętych piórach. Były najwyżej średniej wagi, żaden nie miał nawet jednej czwartej wielkości Temeraire’a, ale nadrabiały to liczbą i zdolnością widzenia

w ciemnościach; ich barwa czyniła je niemal niewidocznymi w nocy, a zamglone światło księżyca, które przenikało przez chmury, najwyraźniej wystarczało, by dobrze widziały.

Zielone smoki nawoływały się nawzajem po cichu głosami, które brzmiały niemal jak ćwierkanie.

— Nie rycz – krzyknął Laurence, kiedy jeszcze jeden smok rzucił się w bój od przodu i w przelocie chlasnął pazurami Temeraire’a po boku, po czym dołączył do pozostałych pięciu, które nie dawały im chwili spokoju, atakując po obu stronach. – Temeraire, słyszysz mnie? W dżungli musi się roić od tych bestii; jeśli zaryczysz, ściągniesz na nas całą ich chmarę. Musimy się znaleźć przed nimi, zanim zaryczysz.

Temeraire poruszył krezą na znak, że się zgadza: leciał i jednocześnie prowadził walkę, a Laurence musiał znosić świadomość tego, że w obecnych okolicznościach zarówno on, jak i załoga są zupełnie nieprzydatni; nie mieli ani karabinów, ani ładunków zapalających, ani nawet mieszanki błyskowej, dzięki której mogliby być pomocni w starciach z nieprzyjacielskimi smokami, i pozostało im tylko trzymać się z całych sił i mieć nadzieję, że nie będą przeszkadzać Temeraire’owi w jego wysiłkach.

— Panie Ferris – zawołał Laurence, przechylając się – czy mamy tę sieć... tę zrobioną z liny i płótna żaglowego, czy zostało jej jeszcze trochę tam pod spodem? Niech pan to tutaj wciągnie z łaski swojej...

— Tak jest, sir – krzyknął w odpowiedzi Ferris i wdrapał się po boku Temeraire’a owinięty w pasie liną, której koniec był przywiązany do ciężkiego, splątanego tłumoka. Forthing, Roland i nawet Hammond chwycili linę i wciągnęli na górę tobół ze śmierdzącego słoną wodą płótna żaglowego i na wpół przegniętego sznura. Laurence odciął szpadą część, a Emily pomogła mu, tnąc nożem płótno. Następnie ona, Ferris i Forthing, awiatorzy od najmłodszych lat, zdołali to podnieść i utrzymać się na nogach wystarczająco długo, żeby rzucić w ciemność dokładnie w tej samej chwili, gdy jeden z zielonopiórych smoków zbliżył się do zadu Temeraire’a. Śmierdzący tłumok rozwinął się w powietrzu, wydał na wietrze i spadł na łeb smoka, który wrzasnął zaskoczony, po czym odskoczył w bok, szarpiąc po omacku pazurami płachtę, która go oślepiła. Wpadł przy tym na swojego towarzysza, zakłócając jego lot, ale ten uwolnił się łatwo, zerwał mu z głowy postrzępioną szmatę i rzucił ją na drzewa. Poleciała w dół, błysnąwszy na moment białą płótna, i znikła pośród drzew za nimi.

Cały ten wspólny wysiłek zapewnił Temeraire'owi jedynie bardzo krótką chwilę wytchnienia, ale nawet to się liczyło. Laurence ciął linę stępionym ostrzem swojej szpady i zdołali spróbować po raz drugi, a potem i trzeci, ale zielone smoki nauczyły się już unikać tych ataków. Do pościgu dołączyły jeszcze trzy nowe. Laurence ponownie popatrzył w stronę, gdzie księżyc utworzył na niebie jaśniejącą plamę mgły, i stwierdził, że są spychani z powrotem na zachód, a poćwierkiwania smoków brzmią coraz energiczniej.

Iskierka także nie wypuściła jeszcze ognia, gdyż niczym zapalenie latarni morskiej, byłoby to zaproszeniem dla nieprzyjaciół; ale inkaskie smoki najwyraźniej i tak wiedziały już, że powinny się jej obawiać. Dlatego musiała wziąć na siebie główny impet ich błyskawicznych ataków, następujących jeden po drugim, i tylko dzięki swojej zwrotności jakoś ich unikała, ale mimo to krwawiła już z kilkunastu małych ran. Zasyczała z wściekłości, kiedy kolejny z napastników zaczepił ją w przelocie pazurem o bark, i odwróciła się, żeby wziąć na nim odwet. Zielony smok zdołał uciec, otrzymując częściowo chybiony cios, po którym stracił trochę piór, ale ta jej próba stworzyła sposobność, z której wróg, bardzo już liczny, nie omieszkał skorzystać.

Dwa smoki ruszyły w kierunku głowy Iskierki, z każdej strony jeden, bijąc wściekle skrzydłami, żeby zasłonić jej widok; trzeci, największy ze wszystkich, rzucił się na jej wygięty w łuk bok, który odsłoniła, chcąc ukarać ostatniego przeciwnika, i zaatakował ją brutalnie zębami oraz pazurami, rozdzierając jej ciało.

Iskierka zaryczała z bólu i odwróciwszy głowę, plunęła ogniem w smoka, który jednak zdążył już odlecieć. Poruszała głową tam i z powrotem, wyraźnie cierpiąc, a Laurence dostrzegł również strumień pary tam, gdzie jej krew płynęła swobodnie z rany. I wtedy usłyszał krzyk Granby'ego:

— Przypal ranę! Jeśli spadniesz, nic nie będzie miało znaczenia, Iskierka; przypal tę cholerną ranę albo przysięgam na mój honor, że i tak skoczę... przypal natychmiast...

Stał na jej grzbiecie, rzemienie jego uprząży zwisały luźno, z wyjątkiem jednego, który trzymał w ręce. Iskierka krzyknęła na znak protestu, ale potem odwróciła głowę do tyłu i tchnęła ogniem na swój bok; płomienie rozbłysły na jej skórze, obmywając ciało smoczycy na całej długości. Na tle żółtoczerwonej wstęgi ognia Laurence widział przez moment czarne sylwetki Granby'ego i Bardesleya, a potem noc znowu była ciemna choć oko wykol, ciemniejsza nawet z powodu chwili światła, i nie zobaczył, co się z nimi sta-

ło.

Zamrugnął, żeby odzyskać zdolność widzenia, i po chwili dojrzał Kulingile, który zbliżył się do Iskierki, próbując osłonić jej zraniony bok swoim ciałem, podczas gdy z drugiej strony ochraniał ją już Temeraire, ale trochę dalej widać było nieprzyjacielskie smoki gromadzące się do kolejnego ataku na nią, ataku, który z pewnością skończy się strąceniem jej na ziemię. Ich świergoczące nawoływania brzmiały wyraźnie, jednocześnie straszne i dziwaczne, kiedy tak przygotowywały się do uderzenia, ustawiając w formacji o kształcie grotu, skierowanego w ich stronę.

Laurence poczuł, jak Temeraire zbiera się w sobie, robiąc jeden po drugim wielkie wdechy i wydechy, które powiększały jego płuca, i jeszcze coś innego: kiedy dotknął jego skóry gołą ręką, poczuł, że jest napięta niemal jak membrana bębna. Wrogie smoki już nadlatywały, szybko; Temeraire zawrócił w powietrzu i zaryczał, ale nie tylko jeden raz. Ryknął raz, w miarę cicho, potem ryknął po raz drugi, i trzeci, i dopiero jego czwarty ryk zagrzmiął z tą straszną, druzgocącą mocą boskiego wiatru.

Samo powietrze zdawało się drżeć i wycić, pędząc w stronę wroga; unosząca się nad dżunglą mgiełka zmieniła się w ciasno zbite, wrzecionowate chmurki. Pierwsze smoki atakującej formacji właśnie hamowały lub zaczynały hamować, kiedy fala dźwiękowa w nie uderzyła, i Laurence zobaczył krew tryskającą z ich nozdrzy i uszu.

Te trzy, które leciały na czele formacji, spadły z nieba, nie wydawszy nawet dźwięku, zabite jeszcze w powietrzu; Laurence słyszał, jak ich ciała przebijały się z trzaskiem przez gałęzie rosnących w dole drzew. Inne też spadały, próbując machać skrzydłami i dławiąc się krwią; tylko te, które były na samym końcu, ocalały, osłonięte przez ciała towarzyszy – ocalały, zawróciły i uciekły w noc, wrzeszcząc z przerażenia.

Rozdział 15

Nikt ich już dłużej nie ścigał. Tej nocy leżeli wyczerpani wśród drzew, które wyrastały wysoko ponad dziwnie ciemne i puste dno lasu, gdzie można się było natknąć jedynie na paprocie i butwiejące pnie powalonych olbrzymów oraz na zadziwiające ptaki o tak fantastycznie kolorowym upierzeniu, jakiego Laurence nie widział nawet na obrazach, a co dopiero w naturze, i gdzie trzeba było ścierpieć niechęć wrzeszczących ze wszystkich stron małą.

Następnego ranka pochowali tam porucznika Bardesleya, w grobie, który Temeraire wyrył pazurami głęboko w ziemi. Nie można było uniknąć pogrzebu, jako że wilgotny upał i tętniące wokół nich życie wyraźnie wpłynęły na przyspieszenie normalnego tempa rozkładu: chociaż pani Pemberton poświęciła halki, swoją i Emily, na zrobienie całunu, już o pierwszym brzasku na zwłokach roiło się od mrówek wielkości koników polnych, których ukąszenia wściekle piekły. Nie odsłonili całunu, żeby mu popatrzeć w twarz, zanim położyli go na wieczny spoczynek.

Przypalona jej własnym ogniem rana Iskierki nie uległa zgorzeli, ale już następnego wieczoru wystąpiła u niej dziwna gorączka. Ilość pary, która normalnie wydobywała się z jej kolców, zmalała do niewielkich strużek, a jej oczy zrobiły się szkliste i tak nabiegłe krwią, że niemal czarne. Ciepło, którym emanowało jej ciało, stało się z bliska nie do zniesienia.

— Musi mieć wodę, i to szybko – powiedziała Churki bardzo stanowczo po powąchaniu ran Iskierki. Laurence znał smoki nawet starsze od niej – Messorię z ich formacji i Ekscidiuma – ale wszystkie one zostały wychowane na sposób brytyjski, by raczej słuchać, a nie rozkazywać, natomiast Churki najwyraźniej uznała, że należy jej się posłuch; oczywiście była zdecydowanie najstarsza ze smoków. – Gdzie żyje twoja rodzina, Hammond? Musimy wytyczyć najlepszy kurs, jaki nas do nich doprowadzi.

Kiedy Hammond z pewną dozą dwulicowości powiedział o ich pragnieniu dotarcia do Rio i znalezienia tam statku płynącego do Brytanii, popatrzyła na narysowany przez Laurence'a szkic ich planowanej drogi i pokręciła głową, strosząc pióra.

— To nie jest najlepszy plan; odgadywanie, gdzie może być woda, nie jest rozsądnym pomysłem. Musimy dotrzeć do Ucayali i podążać wzdłuż niej aż do morza.

Nie byli już ścigani, choć mało robili, żeby ukryć ślady swojego przejścia. Po trzech kolejnych dniach lotu pod przewodnictwem Churki dotarli do rzeki, którą przedtem opisała – ogromnej, leniwie toczącej brązowe wody, którymi właśnie wzbierała, gdyż w Andach topniały lody.

— Nawet jeśli to nie jest Amazonka, to i tak musi wpływać do oceanu – powiedział Laurence i osłoniwszy ręką oczy, patrzył w dół rzeki, podczas gdy Iskierka wpełzła do niej i całkowicie się zanurzyła; podobne do krokodyłów stworzenia odpłynęły, pełne urazy, a ona położyła głowę na brzegu i zamknęła oczy; nad jej ciałem, w miejscach, w których woda z chlupotem obmywała łuski, unosiły się kłęby pary.

W miarę jak podążali z jej biegiem, rzeka wzbierała jeszcze bardziej, zasilana przez kolejne dopływy, aż na koniec cała ta masa wody skręciła na wschód. I tak, pozostawiwszy góry za sobą, rozpoczęli długą, beznadziejnie powolną podróż w kierunku wybrzeża. Kraina, którą przemierzali, nie była bezludna; członkowie różnych miejscowych plemion obserwowali ich od czasu do czasu, zwykle z drugiej strony rzeki, ale szybko znikali, kiedy Laurence próbował ich przywołać, a nawet wtedy, gdy Temeraire wykrzykiwał po kilka słów w keczua. Ze smoków widzieli tylko kilka dzikich, niewielkich rozmiarów, a i to przypadkiem: Temeraire i Kulingile wybrali się wtedy na polowanie, a Iskierka, która znowu była w wodzie, gdyż nadal wołała płynąć niż lecieć, wyłoniła się zza zakrętu rzeki i zaskoczyła trzy zajęte jedzeniem smoki wielkości Winchesterów; pożerały na brzegu dziwne stworzenie o długim pysku, przypominające z wyglądu świnię.

Iskierka była niemal całkowicie zanurzona w wodzie i dlatego smoki nie przestraszyły się, tylko zaczęły się jej przyglądać z ciekawością, ale potem wyszła częściowo na brzeg i zapytała:

— Gdzie to znaleźliście i czy to jest choć trochę smaczne?

Chociaż nad powierzchnię wody wystawała mniej niż jedna czwarta jej ciała, to i tak było to więcej, niż one ważyły razem; małe smoki wzbiły się

w powietrze tak szybko, jakby wystrzelono je z armat, i uciekły, pozostawiając swój obiad. To było, jak się później okazało, ich jedyne spotkanie z tymi stworzeniami, jeśli nie liczyć tego, że od czasu do czasu widywali je z daleka, umykające przed nimi w popłochu.

— No cóż, trudno – powiedziała bezdusznie Iskierka i pożarła resztki, pijając je wodą z rzeki.

— Co jadłaś? – zapytał Kulingile po powrocie z polowania; ich wysiłki przyniosły do tej pory niezbyt imponujący rezultat w postaci kilku małych, czerwonych jeleni, które mimo wszystkich starań Gong Su nie mogły zaspokoić głodu czterech dużych smoków, w tym jednego powracającego do zdrowia.

— Nie wiem; nie chciały zostać i mi powiedzieć – odparła sennie Iskierka, która sprzeciwiwszy się naleganiom, by tego dnia pokonać jeszcze choćby kilka mil, leżała na brzegu pogrążona już w półśnie.

W środku nocy Laurence'a obudziły jej jęki i drażniący smród. Wymiotowała do rzeki, a kiedy skończyła, osunęła się, osłabła i zbolęła, na ziemię. Tego dnia nie ruszyli się z miejsca, a kiedy Temeraire wrócił z jeszcze dwoma jeleniami, Gong Su uparł się ugotować je do stanu niemal niejadalności. Znaczenie dla niego miały tylko cierpienia Iskierki, ale posiłek, jaki ostatecznie przygotował, nie wzbudził entuzjazmu smoków ani marynarzy, chociaż po całym dniu oczekiwania wszyscy cieszyli się, że mają cokolwiek do jedzenia.

Miazmaty dżungli osłabiły ich wszystkich. Hammond także miał dziwną gorączkę i był rozdrażniony, podobnie jak kilku innych, w tym Ferris. Laurence obawiał się, że to początek jakiejś tropikalnej choroby, na którą zapadli. Sam był nieustannie spocony; wełniane ubrania, tak odpowiednie w górskich siedzibach Inków, teraz stały się więzieniem dla każdego z nich, ale ogromne rozmiary miejscowych owadów zniechęcały wszystkich, z wyjątkiem najbardziej niewrażliwych, do odkrywania bez istotnej potrzeby najmniejszych nawet kawałków ciała.

— Cóż, kapitanie, tym razem znaleźliśmy się w części świata, która jest przesiąknięta złem – powiedział kilka dni później O'Dea, wyrażając tymi słowami powszechną opinię; Temeraire obudził ich wszystkich ogłuszającym rykiem protestu i strącił trzy nietoperze, które w ciemności przyczepiły się do niego.

— One mnie pogryzły – rzucił gniewnie; choć to oskarżenie wydawało

się mało prawdopodobne, dokładne oględziny wykazały istnienie drobnych ran na jego boku, w miejscach, w których nietoperze przyssały się i pożywiły, wszystko na to wskazywało, jego krwią; kilka innych odkryli na ciałach pozostałych smoków. W sposobie odżywiania tych zwierząt było coś szczególnie odrażającego, ale nie można było przed nimi uciec, tak jak nie można było uciec przed moskitami, których ukąszenia były źródłem podobnie nieprzyjemnych doznań, po jednym dniu twardniały, puchły i były gorące w dotyku.

Na wpół wyleczone obrażenie, jakiego Granby doznał podczas katastrofy *Allegiance*, odnowiło się, kiedy uciekając przed płomieniami, skoczył z grzbietu Iskierki i zawisł na rzemieniach swojej uprzęży. Laurence z ponurą miną obejrzał później, w świetle dnia, jego ramię: łokieć okropnie spuchnięty i zsiniały, ręka zwisająca bezwładnie. Nie mieli lekarza, tylko byłego golibrodę Deweya, który po nocy spędzonej na hulankach w porcie został wcielony przemocą do marynarki i który potrafił jedynie zaproponować:

— Mogę to uciąć tak łatwo, że ani się pan obejrzy, sir, jeśli panienka pożycz mi swój nóż i jeśli ktoś znajdzie mi coś do picia, żeby mi ręka nie zdrżała – rzucił, co wywołało gniewne spojrzenie Emily.

— Obwiąż mi ją ciasno, Laurence, z łaski swojej – poprosił pospiesznie Granby – i zobaczymy, jak będzie po kilku tygodniach. Nie boli mnie zbyt mocno... – to ostatnie powiedział cały wilgotny od zimnego potu i pobladły z bólu, ale Laurence za bardzo wątpił w sensowność odcięcia ręki, by się przy tym upierać; barku, który przede wszystkim został uszkodzony, nie można było amputować.

Cztery dni później ręka wyglądała jeszcze gorzej: posiniała od łokcia do palców i tak spuchła, że Granby nie mógł zacisnąć pięści. Przynajmniej wydawało się, że stan barku nieco się poprawił, a ramię, kiedy je obmacano, było tylko nieco cieplejsze, niż być powinno; rano jednak cała ręka powyżej łokcia płonęła już gorączką.

— Może należałoby ją amputować? – powiedział Granby, patrząc Laurence'owi w oczy.

— Myślę, że musimy to zrobić – odpowiedział ponuro Laurence, a Dewey, który przyszedł obejrzeć swoje przyszłe pole operacyjne, poklepał Granby'ego po ramieniu.

— Nie ma strachu, kapitanie; kiedyś w mniej niż trzy minuty odciąłem rękę gościowi dwa razy większemu od pana; chociaż tutaj nie mam mojej

piły. – Wziął do ręki nóż podany mu w milczeniu przez Emily, której irytację z powodu nazywania „panienką” przesłonił teraz niepokój, i poszedł z nim na brzeg rzeki, żeby go naostrzyć na leżących tam kamieniach.

— Laurence – odezwał się Temeraire, spoglądając na nich z góry – co wy chcecie zrobić? Chyba nie zamierzacie uciąć Granby’emu ręki na dobre? Iskierka teraz śpi; jestem pewny, że powinna być o tym powiadomiona.

— Tego mi jeszcze teraz brakuje – bąknął pod nosem Granby. – Pozwól jej spać z łaski swojej, i Laurence, byłbym wdzięczny za coś, co mógłby zagryźć.

Laurence skinął głową i wstał, żeby zawołać Forthinga i Mayhewa do pomocy w przytrzymywaniu Granby’ego, kiedy nagle znad brzegu rzeki dobiegł go wrzask. Odwrócił się i zobaczył Deweya wciąganego do wody przez krokodyla, który swoje masywne szczęki zacisnął na głowie nieszczęsnego marynarza. Wszyscy patrzyli na to z przerażeniem; z wody wystrzeliły jeszcze trzy takie potwory, chwytając go za ręce i nogi, którymi wciąż wyciągał, i ze straszliwą siłą zaczęły rozrywać ciało. Zanim nawet Temeraire zdążył przystąpić do działania, woda się już zaczerwieniła, a po swoim skoku do rzeki zdołał jedynie wydobyć bezgłowe ciało, pozbawione także nogi, i krokodyla wciąż uczeplonego drugiej.

— Och! – sapnął rozwścieczony smok – och, co one sobie myślą, jakim prawem go jedzą? – i zanurzył gwałtownie głowę we wciąż spienionej wodzie: wyciągnął ją po chwili z trzema rzucającymi mu się w pysku bestiami, z których każda mogła ważyć nawet i tonę, i zmiażdżył je w szczękach z odgłosem nie mniej okropnym od śmiertelnego krzyku Deweya.

Cisnął je na brzeg i ponownie zanurzył głowę w wodzie, a potem jeszcze raz, aż w końcu ułożył stertę z kilkunastu cielsk, a reszta krokodyli do tego czasu zanurzyła się już pod wodę i roztropnie odpłynęła.

— Zrobione – powiedział Temeraire, nieco zasapany – następnym razem pomyślą dwa razy, zanim zrobią coś takiego – a Laurence nie miał serca ani ochoty kwestionować jego oceny inteligencji tych zwierząt; w każdym razie pewne było, że ludzie pomyślą dwa razy, zanim zbliżą się do brzegu rzeki.

Hałas, którego w swym szale wściekłości narobił Temeraire, obudził Iskierkę; usiadła, ziewnęła i patrząc na cielska zabitych krokodyli, zapytała:

— Dlaczego to zrobiłeś? One są niesmaczne, ale zjem dwa, jeśli nie ma niczego lepszego – i po tych słowach kilku marynarzy odeszło między drzewa, gdzie zaczęli głośno i gwałtownie wymiotować.

Ostatecznie krokodyle pozostały niezjedzone, ale rzeź, której dokonał Te-

meraire, zmusiła ich do natychmiastowego opuszczenia tego miejsca, gdyż padlinożerne zwierzęta, które ściągały, zdawałoby się, z całej dżungli, były zbyt zachwycone przygotowaną dla nich ucztą, by czekać; mały nie bał się smoków, nie bał się też ich chrząszcze. Widząc, że nie ma innego wyjścia, Granby powiedział niepewnie: – Będę musiał jakoś sobie poradzić – i raz jeszcze przywiązał chorą rękę do boku, zanim pomagając sobie drugą, wdrapał się na grzbiet Iskierki.

Laurence przywykł do ogromnej szybkości, z jaką smoki połykały kolejne mile: piętnaście na godzinę w stałym tempie, dobrym dla lotów na duże odległości, i nie mniej niż dwieście na dzień, kiedy nie było żadnych przeszkód do pokonania ani przeciwnych wiatrów; jednak ich podróż przez dżunglę przypominała raczej powolne pełznięcie statku ciągniętego w strefie ciszy przez łodzie, gdyż Iskierka nie miała sił na zbyt długie loty. Często wspierała się na Kulingile i Temerairze, którzy na przemian ją podtrzymywali, ale nawet oni nie mogli unieść jej wielkiego ciężaru przez dłuższy czas. Granby omdlewał na jej grzbiecie, ona raptownie traciła siły w powietrzu i często szukała odpoczynku w rzece, płynąc z jej nurtem niczym jakiś wielki, tryskający parą, rzeczny wąż.

Upały były straszliwe, a wilgotne powietrze dżungli kleiło się do nich, niezależnie od tego, czy lecieli nisko nad lasem, czy też śladem Iskierki płynęli rzeką. Hammond nalegał, by jakoś przyspieszyli, i rozpaczliwie szukał sposobów osiągnięcia tego celu, mimo że brakowało mu sił: ocierał czoło drżącymi dłońmi niemal co minutę, a w nocy spał niespokojnie, rozpalony gorączką. Pozostali chorzy w większości już wyzdrowieli, ale Hammond nigdy nie sprawiał wrażenia jakoś szczególnie odpornego, a ta podróż wystawiła na ciężką próbę nawet najsilniejszych mężczyzn. Nie byli jednak w stanie przyspieszyć; można było odnieść wrażenie, że cała energia została z nich wyżęta.

Pani Pemberton w swojej długiej czarnej sukni, była nieprawdopodobną i samotną ostoją cywilizacji pośród wciąż rosnącej liczby łachmaniarzy. Dzięki spokojnym, ale stanowczym prośbom, które kierowała do kilku starszannie wybranych mężczyzn – nie tak zmęczonych, by nie chciało im się ruszyć, a jednocześnie nieskłonnych do sprzeczek lub kłótni – udało jej się doprowadzić do tego, że każdego wieczoru miała małe, osobne obozowisko z ogniskiem dla siebie i Emily, i nawet gorącą wodę do mycia.

Ciągnęli powoli przez dżunglę, aż pewnej nocy Laurence'owi przyśniło się, że słyszy wrzaski mew, a gdy się ocknął ze snu, stwierdził, że to właśnie ich głosy go obudziły. Kiedy Temeraire wzbił się wysoko w powietrze, zobaczyli całą ich chmurę wirującą w dali nad wielkim ujściem rzeki, która tam spotykała się z otwartym i bezkresnym błękitem oceanu: dotarli do wybrzeża Atlantyku.

Iskierka położyła się w basenie pływowym i zamknęła oczy; Granby'ego zniesiono z jej grzbietu i ułożono w cieniu palm. Temeraire i Kulingile wyprowadzili się nad ocean i wrócili dopiero po upływie całej doby; Laurence zaczął się już poważnie martwić, kiedy wypatrując ich ponad falami, zobaczył w pewnej chwili zbliżające się do nich dziwne widziadło: wielkie, zniekształcone stworzenie z czterema skrzydłami i bez żadnych kończyn.

— Zrobić miejsce na brzegu – krzyknął, kiedy oba wyczerpane smoki się zbliżyły i nie mogąc już dłużej jej utrzymać, prawie upuściły zdobycz: prawdziwe monstrum z głębin, wala błękitnego, może nie w pełni wyrośniętego, ale i tak większego od nich obu razem wziętych.

— Można by z tego wytopić ze dwadzieścia tysięcy funtów oleju – powiedział ściszone głosem jeden z marynarzy, stary wielorybnik, kiedy wbili zaostrome dzidy w warstwę tłuszczu wieloryba i po przecięciu jej stwierdzili, że ma grubość prawie stopy. Każdy człowiek dostał porcję, a Iskierka zjadła dobre dwie tony; Temeraire i Kulingile posilili się już wcześniej.

— Zabiłem go moim rykiem, kiedy wypłynął zaczerpnąć powietrza, i potem na zmianę jeden podtrzymywał go na powierzchni, a drugi jadł – opowiadał sennym głosem Temeraire, podczas gdy Laurence głąskał go po pysku – bo myśleliśmy, że dzięki temu będzie nam łatwiej zanieść go na brzeg, ale muszę ci się przyznać, Laurence, że i tak był za duży, i zacząłem się już martwić, czy zdołamy go donieść. Och, jaki ja jestem zmęczony.

Rano Iskierka zjadła jeszcze jeden posiłek z wielorybiego mięsa i tłuszczu i poczuła się na tyle dobrze, że ocknąwszy się z odrętwienia, zapytała z irytacją:

— Gdzie jest Granby? Dlaczego go nie ma przy mnie? – a potem go zobaczyła. – Jeśli nikt z was się nie ruszy, ja polecę – powiedziała z wściekłością, kiedy już ochłonęła ze zdumienia wywołanego tym, że Granby jej nie odpowiedział: oczy miał przymknięte, skierowane gdzieś w dal, zagubione w bólu i gorączce. – On musi mieć lekarza; on będzie miał lekarza. Połóżcie mi go natychmiast na grzbiecie.

Jeszcze siedmiu ludzi gorączkowało na skutek zakażenia drobnymi ran, zwykłych skaleczeń, które im się przytrafiły podczas podróży i które początkowo niezauważone, szybko zaczęły się jątrzyć; dwóch musieli już pochować. Laurence nie postanowił dotąd, czy powinni natychmiast ruszać w dalszą drogę, gdyż ciągle nie mógł się zdecydować, co jest gorsze. Widział tak wielu ludzi umierających w rękach chirurgów, że trudno było mu podjąć ryzyko wiążące się z przenoszeniem Granby'ego z miejsca na miejsce tylko po to, żeby przekazać go w te ręce, nawet gdyby gdzieś w okolicy można było znaleźć jakiegoś człowieka o odpowiednich kwalifikacjach.

Jednak determinacja Iskierki oraz coraz głębsze, smutne przekonanie, że ryzyka już właściwie nie ma, przeważały. Ułożyli delikatnie Granby'ego na noszach zrobionych z gałęzi i pnączy i przykryli czymś na kształt namiotu z dużych liści, które miały go chronić przed słońcem.

— Polecę z nim, sir – powiedziała Emily i Temeraire nawet nie zaprotestował, kiedy wdrapała się na grzbiet Iskierki, żeby pilnować Granby'ego i dbać o to, by był przez cały czas osłonięty.

Zwrócili się na południe i w ciągu jednego dnia dotarli do Belém. Kiedy w polu widzenia mieszkańców pojawiły się smoki, małe miasteczko skuliło się za swoimi murami, a dzwony rozdzwoniły się na alarm.

— Zatrzymać się! – krzyknął Laurence, uświadomiwszy sobie zbyt późno, że mieszkańcy zobaczyli tylko cztery smoki ogromnych rozmiarów, bez żadnych umundurowanych załóg oraz flag, i na dodatek ani jeden z nich nie należał do którejś z łatwo rozpoznawalnych, europejskich ras: Temeraire był smokiem chińskim, Iskierka tureckim, Churki inkaskim, a Kulingile nową krzyżówką, całkowicie nieznaną. – Temeraire, zatrzymaj się i zmusz Iskierkę, żeby zrobiła to samo, bo oni zaraz otworzą do nas ogień.

Iskierka, która myślała w tej chwili tylko o Granbym, zniżyła lot, kierując się w stronę rynku miasteczka. Temeraire zanurkował pod nią i uniósłszy się, wziął ją na grzbiet i wyniósł poza zasięg strzału. Zrobił to dosłownie w ostatniej chwili, gdyż właśnie wtedy przemówił tuzin dział pieprzowych; chmury czarnego dymu zasnuły miejskie mury, okrywając je niczym całun, a potem zagrzmiała wąska, długoszyja armata, wysyłając w ich stronę chmurę małych kul z zadziorami.

Miasto jednak było lepiej uzbrojone niż dowodzone. Pierwsza kanonada ucichła i na drugą trzeba było czekać niemal dziesięć minut, przy czym ogień został skierowany przeciwko smokom pomimo tego, że wszystkie

wycofały się poza zasięg skutecznego strzału; kiedy i ta strzelanina ucichła, Laurence dotknął Temeraire'a i smok zanurkował w stronę placu, gdzie właśnie próbował się uformować regiment, w którym najwyraźniej brakowało połowy żołnierzy.

— Przestańcie – powiedział gniewnie Temeraire, po francusku – nie przybyliśmy tu wcale po to, żeby was atakować: my jesteśmy Brytyjczykami, a nie Tswana, i chcemy wam pomóc.

Powinienem być bardziej wdzięczny, bo zdaję sobie sprawę, że mało brakowało, a leżałbym teraz w ziemi, i nie chcę narzekać, ale cóż to będzie za kłopot – rzekł Granby, odpowiadając Laurence'owi, który pochwalił szybkość, z jaką goił się kikut. Ulga, jaką poczuli mieszkańcy Belém, kiedy się przekonali, że mają przed sobą przyjaciół, a nie wrogów, rozbudziła w miasteczku ducha życzliwości, który się jeszcze umocnił, kiedy Hammond przedstawił ich miejscowemu gubernatorowi jako zbawców, którzy przybyli, by pomóc odeprzeć inwazję; Laurence podejrzewał, że sprytny dyplomata nie wspomniał jeszcze o zmianie sytuacji w inkaskim imperium. Szybko sprowadzono znakomitego chirurga, wraz z taką ilością mocnego alkoholu, że wystarczyło go, by całkowicie zamroczyć i tak już półprzytomnego z gorączki Granby'ego; a teraz kilka zakonnic pielęgnowało go dzień i noc.

— Wiem, że niektórzy dobrze sobie radzą na ziemi i w powietrzu bez ręki – dodał Granby – i pewnie będę mógł dostać jakiś hak, więc proszę, nie słuchaj mojego biadolenia, a póki co, to chyba najlepiej by było, gdybyśmy już ruszali w dalszą drogę, czyż nie? Nie rozumiem wszystkiego, co oni tu mówią, choć nauczyłem się trochę hiszpańskiego, kiedy stacjonowałem na Gibraltarze, ale wydaje się dosyć jasne, że jesteśmy potrzebni w Rio na wczoraj, jeśli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję znalezienia tam regenta.

— Nie wyruszymy stąd jeszcze przez kilka dni – odparł spokojnie Laurence; Granby był wciąż blady i nadal trawiła go gorączka. – Temeraire naraża się z księdzem oraz kilkoma handlarzami, którzy mają wytyczyć nam najlepszą trasę; zaoszczędzimy dużo czasu dzięki temu, że nie będziemy musieli marnować go na szukanie wody.

— W takim razie niech będzie, i powiedz Iskierce, żeby dobrze się zachowywała i że dziś wieczorem wymknę się znowu na balkon – rzekł Granby i opadł z powrotem na poduszki, zamykając oczy.

Laurence uściśnął jego zdrowe ramię i wyszedł na zewnątrz, gdzie nasko-

czyła na niego niespokojna i zdenerwowana smoczyca, która chciała poznać najnowsze wiadomości.

– Cieszę się, że zabiłeś tak dużo tamtych smoków – powiedziała Iskierka do Temeraire’a, kiedy Laurence zdał jej już swój raport i poszedł porozmawiać z lekarzem o jakimś szczególe operacji – bardzo się cieszę; żałuję tylko tego, że nie ja to zrobiłam, i być może wrócę tam teraz i zabiję ich jeszcze trochę. Jeśli Granby nie wyzdrowieje, też tam polecę.

— To nie byłoby w najmniejszym nawet stopniu rozsądne – odparł Temeraire – bo przecież walczyliśmy z nimi po ciemku. Nigdy nie rozpoznasz tych smoków, o które chodzi, a nie jest tak, że one wszystkie miały równy udział w napaści na nas. Przypuszczam, że wiele tamtejszych smoków nigdy o nas nie słyszało. Jeśli już chcesz koniecznie obarczyć kogoś winą, lepiej obwiń Inkę albo nawet Napoleona, bo sądzę, że Inka wypuściła na nas smoki ze względu na niego. A poza tym nadal nie czujesz się za dobrze; zjedz jeszcze trochę tej krowy.

Iskierka zjadła, chociaż trochę nadąsana, a Temeraire pochylił głowę nad mapą, którą rysował Siphon zgodnie z jego instrukcjami i opierając się na tym, czego się dowiedział od różnych handlarzy, zdecydowanie wbrew ich woli doprowadzanych do niego na przesłuchania.

Iskierka przełknęła zad i powiedziała:

— Ten wieloryb.

— Tak? – odparł z roztargnieniem Temeraire.

— Mogę go dostać? – zapytała i wyciągnąwszy się, szturchnęła Kulingile. – I twoją połowę także.

— A czy ja mogę zjeść łeb twojej ostatniej krowy? – zapytał w odpowiedzi Kulingile, otwierając oko.

— Tak, masz – odrzekła Iskierka i pchnęła w jego stronę kocioł, w którym dusiło się mięso.

— Jeśli chcesz, ale co zamierzasz z nim zrobić? – zapytał Temeraire. – On jest teraz o pół dnia lotu stąd i przypuszczam, że mięso nie może już dłużej być dobre, bo go w żaden sposób nie zakonserwowaliśmy.

— Nie chcę mięsa; chcę tłuszcz – odrzekła Iskierka i uparła się, iż nie obchodzi ją, że ten tłuszcz z pewnością przesiąkł już smrodem zepsutego mięsa; czego Temeraire zupełnie nie rozumiał do czasu, gdy wróciła pod koniec dnia, cuchnąca, usmolona i triumfująca, i rzuciła się na swoją porcję jedze-

nia, które miasto dostarczało im każdego dnia.

— Granby dwa razy pytał o ciebie – powiedział Temeraire z wyrzutem i rozpląszczył swoją krezę – i mogłabyś usiąść z wiatrem. Coś ty tam robiła?

— Wytapiałam tłuszcz z wieloryba – odpowiedziała Iskierka, rozrywając swoją owcę – dla kilku z tych handlarzy; jeden z marynarzy pokazał mi, jak się do tego zabrać. Teraz znowu jestem bogata; kupię Granby’emu złoty hak.

— Mogło się zdawać, że ona nie będzie się już zniżać do oszustw – powiedział Temeraire do Laurence’a – nie żebym oczywiście żałował czegokolwiek Granby’emu, ale to był mój wieloryb, mój i Kulingile, i ona mogła nam powiedzieć, jeśli wiedziała, że moglibyśmy dostać za niego złoto.

Nie potrafił opanować swojego niezadowolenia, kiedy kilka dni później zobaczył rezultat i musiał patrzeć, jak Granby schodzi ze swojego łoża boleści, by otrzymać od Shipleya – którego Iskierka uczyniła swoim zastępcą w tej sprawie i który cały w uśmiechach i w pięknym ubraniu z czarnego materiału, wręczył mu je z ukłonem – pudełko z prawdziwie wspaniałym hakiem, lśniącym złotem na czarnym aksamicie.

— Wiesz oczywiście, że to będzie zbyt miękkie, by nadawało się do codziennego użytku – odezwał się Granby, kiedy już odzyskał mowę – będziemy zatem to zakładać na specjalne okazje...

— Wcale nie – przerwała mu Iskierka – bo ja o tym pomyślałam, i dlatego oni to naprawdę zrobili ze stali, złoto jest tylko na powierzchni, a reszta pieniędzy poszła na brylanty.

— Tak, rozumiem – bąknął Granby, patrząc na lśniące fasetami kamienie, które równymi rzędami zdobiły podstawę haka.

— Załóż go od razu – rzuciła Iskierka, posykując parą z podniecenia, i wtedy Granby zamknął wieko pudełka, po czym powiedział:

— Nie.

Ponury Temeraire uniósł głowę i mrugając z niedowierzaniem, słuchał, jak Granby mówi:

— Nie, mam tego dosyć, Iskierka, słyszysz mnie? Mam dosyć tego, że ciągasz mnie, gdzie ci się podoba, że robisz ze mnie kogoś, kogo tylko szaleniec uznałby za modnie ubranego, że mnie żenisz...

— Ale się przecież nie ożeniłeś... – zaprotestowała Iskierka.

— Nie dzięki tobie – odparował Granby i trzeba przyznać, że powiedział prawdę. – I przypuszczam, że jeśli ci pozwolę robić to, co robiłaś do tej pory, spróbujesz jeszcze raz, gdy tylko znajdziesz jakąś wolną księżniczkę lub

księżnę – Iskierka drgnęła w sposób zdradzający, zdaniem Temeraire’a, poczucie winy – i dłużej nie będę tego znosić. Nie jesteś już młodym stworzeniem niedawno wyklutym z jaja i musimy przywrócić trochę zdrowego rozsądku w naszych relacjach. Albo możesz się ze mną pożegnać i znaleźć sobie kapitana, który będzie znosił twoje wszystkie wybryki i pozwalał ci robić to, co zechcesz...

— Nigdy, nigdy! – przerwała mu Iskierka, najeżywszy kolce. – Och! Jak możesz być taki okrutny, kiedy musisz widzieć, że myślę tylko o tobie.

— Myślisz o tym, jak się mną pochwalić, żeby w ten sposób zyskać w oczach innych – odpowiedział obcesowo Granby – co wcale nie jest tym samym.

Iskierka zwinęła się w kłębek z zażenowaniem. Temeraire’a też ogarnął pewien niepokój, ale, powiedział sobie, jego pragnienie, by Laurence zyskał uznanie za swoje liczne zasługi, było czymś zupełnie innym, no i przecież nie żądał, żeby Laurence nosił swoją szatę, tylko to proponował od czasu do czasu, kiedy wydawało mu się to w najwyższym stopniu stosowne i kiedy trzeba było lekko popchnąć Laurence’a, by przewyciężyć jego naturalną skromność.

— Ja naprawdę chcę myśleć tylko o tobie – powiedziała Iskierka na swoją obronę – i przecież musi ci się podobać, kiedy masz wspaniałe rzeczy i kiedy wszyscy widzą, jaki jesteś ważny...

— Najwspanialszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek mógłbym pragnąć – odparł Granby – jest smok rasy Kazilik, moja droga. Zawsze chciałem tylko tego, by móc się nazywać kapitanem Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości, i gdyby udało ci się zrobić ze mnie jakiegoś księcia, cesarza lub radzę, to nie miałbym najmniejszego pojęcia, jak sobie z tym radzić.

Z głębi gardła Iskierki dobiegł pomruk, ale opanowała się i powiedziała niechętnie:

— Cóż, jeśli tak bardzo nie podoba ci się pomysł zostania księciem, pewnie zrezygnuję z niego, ale potrzebujesz haka...

— Będę bardzo zadowolony z praktycznego haka z dobrej stali, bez żadnych błyskotek, o które w czasie bitwy może zaczepić klinga mojego przeciwnika – rzekł stanowczo Granby – a co do reszty pieniędzy, wykorzystamy je na uzupełnienie zaopatrzenia, jako że korzyść ze złapania wieloryba mieliśmy odnieść my wszyscy – dodał, naprawiając, ku radości Temeraire’a, niesprawiedliwość, do jakiej doszło z powodu samolubstwa Iskierki. – A jeśli

jeszcze kiedyś w przyszłości dostaniesz jakieś przyzwołe – zakończył Granby – zainwestujemy je w papiery wartościowe.

— A co to takiego? – zapytała Iskierka.

— Och... obligacje i tak dalej – odpowiedział wymijająco Granby – różne lokaty. Kiedy wrócimy do Anglii, znajdę jakiegoś człowieka interesu, który będzie nimi zarządzał. Wolałbym raczej trzymać pieniądze na lokatach dających pięć procent rocznie, niż nosić je na rękawie.

Kiedy zatem dwa dni później wyruszyli w dalszą drogę, wyruszyli przynajmniej znowu przyzwoicie wyekwipowani: były spodnie dla każdego awiatora i buty – nawet jeśli to wszystko nie pasowało zbyt dobrze, to i tak było bliższe prawdziwym mundurom od ubrań, które mieli na sobie przedtem – i przynajmniej koszula dla każdego marynarza. Temeraire ucieszył się z czterech karabinów przyniesionych triumfalnie przez Roland, która zdobyła je po długich i intensywnych targach, ale jeszcze bardziej radował się myślą, że znowu ma strzelców w swojej załodze. Laurence nakłonił Baggy'ego, żeby wziął jeden, zaprzysięgając chłopca jako chorążego, a drugi przypadł Ferrisowi. I na rozkaz Laurence'a cały zapas prochu został przesypany do małych rożków, które w razie potrzeby mogły być też użyte jako ładunki zapalające.

Uprząż także została naprawiona. Kiedy w końcu pozapinano wszystkie sprzączki i ludzie wspięli się na jego grzbiet w sposób zdyscyplinowany, prawie jak normalnie wyszkolona załoga, Temeraire odetchnął głęboko z zadowoleniem.

— Wszystko leży dobrze, i jak cudownie jest poczuć się znowu prawidłowo wyposażonym, Laurence – powiedział, zerkając przez bark na Laurence'a, który sadowił się na swoim miejscu.

— Tak, nie będę się czuł tak fatalnie bezużyteczny, kiedy przyjdzie nam znowu walczyć – odparł Laurence także z zadowoleniem i Temeraire zauważył z przyjemnością, że zarówno on, jak wszyscy członkowie załogi mieli znowu karabińczyki, dzięki czemu powinni być o wiele bardziej bezpieczni w czasie lotu.

— Powinienem lecieć na Temerairze – powiedział Hammond, próbując ominąć Churki, która nalegała, żeby leciał na jej grzbiecie; oprócz lekkiego paska na szyi nie miała niczego, co przypominałoby uprząż i co mógłby wykorzystać, żeby się przypiąć. – Gdybyśmy napotkali jakichkolwiek Tswana w powietrzu, powinienem być przy tym obecny...

— Będziemy się wszyscy trzymać razem – uspokoiła go Churki – a Temeraire jest smokiem bojowym; ty nie jesteś żołnierzem i dlatego nie powinienes być na grzbiecie stworzenia, które musi ruszać do walki, kiedy tylko nadarzy mu się do niej sposobność. Ja dużo łatwiej mogę cię ochronić, tak jak powinno się chronić ambasadora.

Ustąpił w końcu, niechętnie, ale pocieszył się garścią liści koki; odnowił swój zapas i do tego czasu przywróciły go niemal całkowicie do zdrowia.

— Pamiętaj, proszę – krzyknął do Temeraire’a – że gdybyśmy się natknęli na Tswana, musisz poczekać, aż ja się do niech zwrócę. Nie możemy sobie kolejny raz pozwolić na tę twoją nadmierną niezależność.

— Uważam, że to niesprawiedliwe – poskarżył się Temeraire Laurence’owi, kiedy wzbili się już w powietrze – bo to przecież nie moja wina, że nasze negocjacje w Pusantinsuyo spełzły na niczym; to nie ja próbowałem ożenić Granby’ego z cesarzową.

Pani Pemberton dołączyła do Hammonda na grzbiecie Churki: kiedy przedstawiono jej propozycję, by pozostała w Belém i poczekała tam na jakiś statek płynący do Anglii, odmówiła.

— Nie, kapitanie, chociaż dziękuję za ofertę – odpowiedziała. – Ale uznałabym się za naprawdę podszytą tchórzem, gdybym nie doprowadziła mojej podopiecznej do samego końca; przecież jesteśmy już blisko pierwotnego celu naszej podróży.

Zbliżyli się do Rio prosto od północy, lecąc najpierw ponad wielką połącią dżungli, a potem, już w pobliżu miasta, nad rozległymi pastwiskami, zielonymi i pełnymi pasącego się spokojnie bydła.

— Być może nie słyszeliśmy prawdy o tych zniszczeniach – powiedział Temeraire, połykając kolejny kawał przepysznej wołowiny, kiedy zatrzymali się niedaleko miasta, żeby dobrze zjeść i się odświeżyć. – Wszystko wydaje mi się tutaj w najlepszym porządku, a znowu jesteśmy bardzo blisko morza.

— Ale nikt nie pilnuje tych stad – odrzekł po cichu Laurence i poprosił go, żeby zatoczył krąg na południe, dzięki czemu mogliby zbliżyć się do miasta niepostrzeżenie, zasłonięci przez wzgórze Corcovado.

Tego samego popołudnia zobaczyli w końcu piękną zatokę, o której Laurence tak często mówił, i całe, rozłożone w dole miasto.

— Dobry Boże – odezwał się Hammond; wszyscy pozostali milczeli. W zatoce stał na kotwicy wielki transportowiec smoków, większy nawet od zatopionego *Allegiance*, i cała chmara mniejszych jednostek wokół niego:

sześć lekkich, najeżonych działami fregat. Na ich masztach powiewały radośnie trójkolorowe flagi.

Całe Rio było jednym rumowiskiem zniszczonych domów i opustoszałych ulic, pokrytych sadzą pożarów, a pośród tego wszystkiego odpoczywało kilkanaście smoków najróżniejszych rozmiarów; leżały w gruzach niczym w gniazdach lub przysiadły jak kruki na ruinach domów. Niektóre z nich jadły krowy, inne leżały czujnie wokół czegoś w rodzaju obozowiska namiotów i szałasów, rozbitego w pobliżu nabrzeża, w oczyszczonej ze zniszczeń części miasta.

— W każdym razie nie wszystkie są ciężkiej wagi – powiedział Temeraire, chociaż w głębi duszy – w żadnym razie nie chciał szerzyć niepokoju – w głębi duszy pomyślał, że pokonanie takiej gromady w pojedynczej walce byłoby dość trudne nawet dla ich czworga, gdyby Churki postanowiła walczyć razem z nimi. Pośród nieprzyjaciół było co najmniej pięć ciężkich smoków; a Iskierka nie odzyskała jeszcze pełni sił. – Chociaż ten czerwonobrazowy wygląda tak, jakby dorównywał mi wagą...

— Kefentse – przerwał mu Laurence. – On ma na imię Kefentse.

Rozdział 16

Cieszę się, widząc pana w dobrym zdrowiu, kapitanie Laurence – powiedziała pani Erasmus – lub raczej Lethabo, gdyż, jak go poinformowała, powróciła do swojego imienia z dzieciństwa, z czasu przed porwaniem. I rzeczywiście wydawało się, że nic już nie pozostało z cichej, przygaszonej kobiety, którą Laurence poznał podczas rejsu do Kapsztadu. Miała na sobie wyszukaną, wzorzystą suknię Tswana i masę złotej biżuterii, lśniącej jasno na tle jej skóry, ale to wszystko dotyczyło jedynie jej powierzchowności; prawdziwa zmiana zaszła w sposobie, w jaki trzymała głowę, w surowym i bezpośrednim spojrzeniu jej oczu, i w tym, że jej mocno zaczesane do tyłu włosy nie zasłaniały już blizn na czole. – Ale mam nadzieję, że nie przybył pan jako wróg – dodała otwarcie.

Powróciła do tego kraju, żeby razem z Kefentse kierować poszukiwaniami ocalałych Tswana pośród niewolników na plantacjach. Brazylia była miejscem docelowym niemal wszystkich niewolników porwanych przez tych handlarzy, którzy napadali na wioski Tswana, zanim armie Tswana, po uformowaniu, uderzyły na porty niewolnicze w Afryce i zdusiły ten handel. Ją samą przywieziono do Brazylii jako małą dziewczynkę, po porwaniu z domu i sprzedaniu w niewolę; tylko dzięki wielkiemu szczęściu udało się jej przeżyć, odzyskać wolność i ostatecznie powrócić do ojczyzny. Niewielu ludziom jednak los tak sprzyjał. Pomijając okropne żniwo samej podróży przez ocean w brudzie i smrodzie ładowni statków niewolniczych, tych, którzy przeżyli i dotarli do Brazylii, przeważnie czekała ciężka praca przy karczowaniu śmiertelnie niebezpiecznej dżungli lub na plantacjach trzciny cukrowej.

— Musicie wiedzieć, że Napoleon wykorzystuje was – odpowiedział Laurence – do swoich celów, które sprowadzają się do tego, że raczej większa, a nie mniejsza część świata ma zostać sprowadzona do stanu poddaństwa.

W rzeczy samej przywrócił handel niewolnikami, zamiast go zakazać, na terytoriach zależnych od Francji. Czy po tej napaści udało wam się odnaleźć tyłu ocalałych członków waszego konkretnego plemienia, żeby usprawiedliwiło to liczbę niewinnych ofiar?

— Nie było żadnej rzezi – odparła. – To nie my spaliliśmy miasto. Ogarnięci paniką Portugalczycy zrobili to sami, kiedy zatrzymaliśmy się w górach i przedstawiliśmy nasze żądania oddania ukradzionych. Zajęliśmy miasto, kiedy oni z niego uciekli. Co do ocalałych, możecie pójść i sami zobaczyć.

Rzuciwszy słowo Kefentse, poprowadziła Laurence’a, Granby’ego i Hammonda do obozowiska, a potem przez jego ciasne i wąskie ścieżki, na których ku ich zaskoczeniu koczowały tysiące ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci, oszołomionych zarówno otaczającymi ich zniszczeniami, jak i wyzwoleniem.

— Niektórzy z nich są dziećmi tych, których ukradziono – powiedziała – i nie pamiętają swoich domów w Afryce.

— A inni – dodał Granby półgłosem do Laurence’a – nie mają nic wspólnego z Tswana, jak sądzę. Te smoki chyba nie przywiązują większej wagi do tego, kogo znajdują, dopóki kogoś znajdują. – Przerwał pełen skruchy, zauważywszy, że Lethabo także mu się przysłuchuje.

— Ale on nie może się mylić – powiedział do niej Laurence, kiedy wrócili do nadbrzeżnego domu, który jako jeden z niewielu wciąż stojących służył jako jej kwatera główna. Ponieważ pokoje były wypełnione najróżniejszymi artykułami spożywczymi i ubraniami, wydobytymi z ruin, siedli pośród beczek z soloną wołowiną. – Trudno mi uwierzyć, że tym handlarzom udałooby się porwać tak wielu przed sprowokowaniem waszych smoczych krajan, którzy w odpowiedzi zrównali z ziemią porty niewolnicze, a pani sama powiedziała mi, że nawet jeden na dziesięciu nie mógł przeżyć do tej pory. Większa część tych, których uratowaliście, nie może pochodzić z ludu Tswana.

— Gdyby tak było – odrzekła Lethabo – a oni mimo to utrzymywaliby, że są tego pochodzenia lub mają jakieś dalekie wspomnienia o tym świadczące, to czy byłoby to mniej prawdziwe od odrodzenia się naszych przodków jako smoków, które nas chronią?

Nie wiedział, jak jej odpowiedzieć; była żoną misjonarza i, jak myślał, zbyt dobrą chrześcijanką, by wierzyć w takie przesady. Zobaczyła jego za-

kłopotanie i pokręciła głową.

— Nie nazywam kłamstwem tego, co staje się prawdą, kiedy się w to mocno wierzy, i myślę, że Bogu bardziej zależy na sprawiedliwości niż na przestrzeganiu litery prawa. Proszę mi wybaczyć na chwilę.

Wstała, bo właśnie do domu wbiegło czworo innych ocalonych: mężczyzna i kobieta z jednym dzieckiem na ręku, a drugim starszym, trzymającym się kurczowo jej ręki. Wszyscy oglądali się za siebie, zerkając ze strachem na średniej wielkości smoka, który odstawił ich pod drzwi; w przeciwieństwie do nich stojący na zewnątrz smok odprowadzał ich wzrokiem z wyraźną nadzieją w oczach.

Lethabo przemówiła do nich po portugalsku; Laurence nie rozumiał rozmowy, ale zobaczył, że wszyscy stopniowo się uspokoili, a potem niepewni i z wyraźnym powątpiewaniem wyrytym na twarzach zaczęli przyglądać się smokowi. W końcu Lethabo podeszła do stołu stojącego pod oknami i otworzyła wielką księgę, w której w dwóch kolumnach były zapisane imiona: przekartkowała ją, znalazła po lewej stronie imię „Boitumelo” i głośno przeczytała je nowo przybyłym.

Mężczyzna powtórzył je powoli i popatrzył pytająco na kobietę; ona spojrzała na dzieci i po chwili także powtórzyła to imię. Lethabo skinęła głową i zapisała coś w prawej kolumnie, a potem wyprowadziła wszystkich czworo na zewnątrz, do czekającego tam smoka, i przemówiła do niego w języku Tswana. Laurence stanął w drzwiach i usłyszał, jak mówi mu, że mężczyzna jest najprawdopodobniej wnukiem Boitumelo, a kobieta i dzieci to jego rodzina.

Smok krzyknął z radości, a potem odpowiedział, że tak mu się wydawało, gdyż twarz małego chłopca była uderzająco podobna do twarzy Boitumelo; i pochylił głowę, zbliżając ją do starszego dziecka, które po chwili niepewnie wyciągnęło rękę i poklepało go po nosie.

Po mniej więcej kwadransie Lethabo wróciła do środka, a jedna z asystujących jej kobiet odprowadziła nowo przybyłych do obozowiska. Zobaczywszy Laurence'a, który przeglądał księgę, uniosła brew i zapytała:

— Czy ma pan jeszcze jakieś wątpliwości co do mojej działalności?

— Nie – odparł Laurence i zamknął księgę – nie mam, z wyjątkiem pytania, jak zabierze pani do domu takie tłumy ludzi.

— Francuzi obiecali przetransportować nas z powrotem – odrzekła – a potem wrócić po kolejnych. Przewieziono nas tu z Afryki w mniejszych

statkach, a na każdym z tych wielkich transportowców może popłynąć blisko tysiąc ludzi, i to w znacznie lepszych warunkach, z uspokajającą świadomością, że płyną ku wolności, a nie niewoli. – Pokiwała głową, widząc jego minę. – W drodze powrotnej statki przywiozą jeszcze więcej smoków, tak. Oczywiście, że nas wykorzystują, a my ich; to nie jest prawdziwy sojusz i nasz król dobrze wie, że nie może ufać Napoleonowi, ale nie mamy zbyt wielu możliwości wybierania sojuszników w tej sprawie.

— Czy wolelibyście innych? – zapytał prosto z mostu Laurence, ignorując zaskoczoną minę Granby’ego i ledwie powstrzymany odruch protestu Hammonda.

— Być może, kapitanie – odpowiedziała Lethabo – a ja myślę, że wręcz musimy mieć innych, jeśli nie chcemy być wkrótce świadkami tej właśnie rzezi, o którą nas początkowo oskarżyliście.

– Kapitanie – zaczął Hammond, gdy tylko opuścili kwaterę główną Tswana i ruszyli z powrotem w kierunku skraju miasta, gdzie czekał Temeraire, żeby zabrać ich do obozu, który rozbili na wzgórzu – oczywiście podjęcie przez nas bezpośrednich działań w obronie kolonii byłoby obecnie nieco niepraktyczne...

Laurence wymienił spojrzenia z Granbym, którego mina wyraźnie mówiła, co sądzi o takim opisie konfrontacji trzech smoków z blisko dwoma tuzinami.

— ...ale czuję, że muszę panu przypomnieć, że Portugalczycy są naszymi sojusznikami, i to bezcennymi – być może nawet w tej chwili brytyjscy żołnierze lądują na ich ziemi – i dlatego nie zgodzę się na żadne porozumienie, które może zaszkodzić naszym stosunkom z tym narodem.

— Mam nadzieję, że nie zrobię niczego takiego – odpowiedział Laurence.

— Proszę mi wybaczyć – ciągnął Hammond – ale z punktu widzenia prawa ci wszyscy ludzie, których widzi pan stłoczonych w tych alejkach, są zbiegłymi niewolnikami... i legalną własnością poddanych Korony portugalskiej, tutejszych właścicieli ziemskich. W swojej rozmowie z tą kobietą – przy milczącej zachęcie, niemal aprobacie dla ich poczynań – ani przez chwilę nie zadał pan sobie trudu, by bronić praw... właścicieli...

Laurence zatrzymał się na ścieżce, wziął Hammonda za rękę i zmusił siłą, żeby popatrzeć: dzieci bawiły się na ulicy, budując forty z rozbitych cegieł, kobiety siedziały razem, piorąc brudne ubrania; była to scena, którą można

było zobaczyć w każdej wiosce, pomimo ruin, które obramowywały obraz.

— Panie Hammond – zaczął Laurence – jeśli przybył pan tu w celu oddania tysięcy ludzkich dusz w niewolę dla zwykłego zysku albo właścicieli ziemskich, albo całego kraju, to sprowadził pan sobie do pomocy niewłaściwego człowieka, i myślę, że pan o tym dobrze wiedział, kiedy przekonywał mnie, że powinienem tu przybyć.

— Ach... – Zakłopotany Hammond spróbował się odsunąć, ale bez większego powodzenia. – Kapitanie, ja mówię tutaj o suwerenności... o konieczności zachowania równowagi... muszę podkreślić, że nie zapewnimy wolności tym ludziom, jeśli rozpocznie pan od obrażenia Korony portugalskiej. Poruszając temat negocjacji z Tswana, bez żadnego odniesienia się do życzeń księcia regenta, uzurpował pan sobie jego władzę...

— Jeżeli może pan sobie wyobrazić jakiegokolwiek rozwiązanie problemów stojących tu przed Koroną, które nie wymaga dojścia do jakiegoś porozumienia z Tswana – odrzekł Laurence – to błagam, żeby pan mnie oświecił, i tak samo, jeśli wyobraża pan sobie jakiegokolwiek okoliczności, w których Tswana zgodzą się na potwierdzenie praw właścicieli niewolników. Ale poza tym słyszał pan opis sytuacji, jaki przedstawiła Lethabo, i jeżeli nie ma pan jakichś podstaw do zakwestionowania jego prawdziwości, to moim zdaniem nie mamy chwili do stracenia.

Lethabo wyjaśniła im, że po tym, gdy pożary strawiły Rio, a ich żądania pozostały bez odpowiedzi, smoki Tswana zaczęły krążyć po całej okolicy, wyszukując niewolników w najbliższych majątkach i zabierając ich do miasta. Pogłoski szybko je wyprzedziły i już wkrótce coraz więcej niewolników uciekało właścicielom i podążało do Rio w nadziei na wyzwolenie.

Nie doszło do żadnej otwartej bitwy ani poważniejszej potyczki. Tswana za bardzo bali się, że niewolników może spotkać jakaś krzywda, a tych kilka mniejszych starć z miejscową milicją rozstrzygnęli szybko na swoją korzyść, przejmując lub niszcząc już na początku niemal całą artylerię przeciwnika. Początkowo Tswana prowadzili swoją akcję uwalniania niewolników zupełnie bezkarnie, ale część kolonistów, bojąc się zarówno utraty swojej własności, jak i bezpośrednich ataków, wpadła na okropny pomysł, jak im zapobiec. Zamieniwszy część niewolników w zakładników, zamknęli ich w stodołach lub małych budynkach na terenie swoich posiadłości i grozili, że je podpalą, jeśli smoki ośmielą się do nich zbliżyć.

Ta taktyka, jeśli można użyć takiego określenia, doprowadziła do sytu-

acji patowej – smoki Tswana ograniczały się do chwytania tylko tych niewolników, na których natykały się na otwartym terenie. Ale ich pragnienie otoczenia opieką krewnych walczyło z niecierpliwością i było jasne, że ten pat nie potrwa już długo.

— Tak – potwierdził Temeraire, kiedy lecieli z powrotem do obozu. – Rozmawiałem z Kefentse i jest on przekonany, że mimo wszystko muszą zaatakować. Od miesięcy tkwią w martwym punkcie i polowania przynoszą coraz skromniejszy wynik, bo muszą omijać te posiadłości, w których trzymani są niewolnicy. Oczywiście nie wszyscy się z nim zgadzają. Dikeledi – to ta różowawa smoczyca z rogami, którą widziałeś w powietrzu – otóż Dikeledi nie znalazła jeszcze żadnego ocalałego ze swojego plemienia i dlatego nie chce się zgodzić na ryzyko związane z takim działaniem.

Ponieważ straciła wioskę zaledwie przed kilku laty, w wyniku jednego z ostatnich napadów łowców niewolników, była mniej niż inne smoki skłonna dać się oszukać i upierała się, żeby rozpoznawać konkretnych ocalałych, zamiast akceptować innych jako ich potomków, którzy mieli odnowić jej ród. Chociaż nie należała do największych smoków, cieszyła się wśród Tswana ogromnym autorytetem z powodu swoich umiejętności oraz zwrotności w powietrzu i, jak zrozumiał Laurence, uchodziła za inkarnację kapłanki o wielkiej renomie.

Ale, jak mówił dalej Temeraire, powszechna opinia zaczynała się zwracać przeciwko niej: wzrastał gniew pozostałych smoków, rozmyślających o niewolnikach zmienionych w zakładników, o których los drżały, zwłaszcza od nieudanej próby zagłodzenia właścicieli plantacji, która zakończyła się przerażającym niepowodzeniem, kiedy jeden z nich zaczął z kolei głodzić swoich niewolników.

— Do masakry na pewno dojdzie – powiedział Laurence – jeśli nie zdołamy jej zapobiec. Dlatego, panie Hammond, wyświadczy mi pan przysługę, jeśli mniej czasu będzie pan poświęcał zranionym uczuciom naszych sojuszników, a więcej szybkiemu zawarciu rozejmu, który powinien ocalić im życie.

Władze portugalskie wycofały się do fortyfikacji w mieście Paraty, leżącym na granicy odległości, jaką przeciętny smok mógł pokonać w ciągu jednego dnia. Chociaż Temeraire poleciał pod nieco postrzępioną brytyjską flagą, która została wydobyta z ruin Rio i dostarczona przez Lethabo, powitały

ich okrzyki przerażenia, bicie na alarm i przygotowania do walki zgromadzonych w dole oddziałów. Temeraire zawisł w powietrzu poza zasięgiem dział i karabinów, podczas gdy Gerry energicznie wywieszał flagi, a nawet zdołał przesłać kilka odpowiednich do sytuacji portugalskich sygnałów, wygrzebanych ze zbiorowej pamięci awiatorów, z których żaden nie służył zbyt długo jako chorąży-sygnalista.

Sygnały te zostały odebrane z powątpiewaniem i najwyraźniej wywołały wiele dyskusji, aż w końcu, po jakimś kwadransie, nadeszła odpowiedź nakazująca im lądowanie w obliczu najeżonej działami obrony. Były tam wszystkie armaty wciąż jeszcze pozostające w posiadaniu Portugalczyków, a ich spocone z podniecenia obsługi z dymiącymi lontownicami w rękach czekały przy otworach zapałowych na rozkaz otwarcia ognia.

— Kiedy już nas wysadzisz, bądź łaskaw stąd odlecieć, Temeraire – rozkazał Laurence, patrząc na te drżące nerwowo dłonie. – Nie możemy liczyć na to, że ci ludzie potrafią właściwie ocenić sytuację. Trzymaj się poza zasięgiem dział do czasu, aż się uspokoją i nie będą widzieć w nas zagrożenia.

— Cóż, dobrze: ale będę tuż poza zasięgiem strzału – odrzekł zaniepokojony Temeraire – i jeśli pojawią się jakiegokolwiek kłopoty, to zaraz na nich ruszę. Jestem pewny, że gdybym zbliżył się do nich z flanki i zaryczał pod odpowiednim kątem, to mógłbym wywrócić te wszystkie działa za jednym zamachem.

Laurence pokręcił lekko głową. Nie przemyślał jeszcze wszystkich następstw wzmocnienia siły boskiego wiatru, które osiągnął Temeraire, kierując się przykładem Lien. Chociaż zgodnie z chińską tradycją nie uważała za stosowne brać bezpośredniego udziału w walce, jej niechęć do takich działań nie przetrwała bezpośredniego zagrożenia dla osoby Napoleona, i Laurence nie miał wątpliwości, że Napoleon wykorzysta każdą sztuczkę ze swojego repertuaru, byle tylko przekonać ją do tego, by w przyszłości używała tej zdumiewającej broni w jego służbie. To, że mogła być wykorzystana tak niszcząco na lądzie, a nie tylko na morzu, czyniło ją jeszcze straszniejszą.

Teraz jednak zsunął się z grzbietu Temeraire'a na dziedziniec i pomógł zejść Hammondowi, zanim smok wzbił się znowu w powietrze; potem odwrócił się i spojrzał w oczy patrzącego niepewnie portugalskiego oficera w mundurze kapitana piechoty, który pojaśniał wyraźnie, kiedy zobaczył zielony płaszcz i złote belki Laurence'a. Pokiwał głową z entuzjazmem i rzucił łamaną francuszczyzną:

— Och, przyłączacie się do nas! Jesteśmy zachwyceni, przepraszam... – i odwróciwszy się, pomachał do tyłu, a żołnierze z wyraźną ulgą odstąpili od swoich dział.

Posłańcy pobiegli z wiadomościami do głównego budynku fortu, na którym widać było ślady niedawnych napraw: nowe obmurowania, a na ścianach farbę niepoznaną jeszcze przez pogodę. Stali, czekając, a Laurence wykorzystał ten czas na przyjrzenie się murom, po czym uznał, że są niezbyt przydatne przeciw Tswana, że nie wytrzymają ataku nawet średnich smoków.

W końcu Hammond trącił go łokciem i ukłonił się, kiedy z budynku wyszła grupa wojskowych, na której czele kroczył korpulentny mężczyzna w mundurze przyozdobionym wstążeczkami. Hammond powitał go w jego ojczystym języku i przeszedłszy na francuski, kontynuował:

— I błagam, by Wasza Królewska Wysokość wybaczył nam to, że przybyliśmy tu z opóźnieniem, które wynikało z trudności będących poza naszą kontrolą; i proszę mi pozwolić przedstawić sobie kapitana Williama Laurence'a z Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości – po czym szepnął gorączkowo i zupełnie niepotrzebnie do Laurence'a: – Proszę, niech pan się ukłoni: to jest księżę regent Portugalii.

– Z pewnością odbierzemy Rio, i to bardzo szybko – oświadczył księżę João – kiedy tylko zbierzemy odpowiednie siły. Mamy już tuzin smoków z Meksyku, które teraz odbywają manewry, co możecie zobaczyć nawet stąd...

Machnął ręką w stronę okna swojego gabinetu, wychodzącego na leżącą w dole dolinę, najwyraźniej wskazując garstkę małych i wyglądających na dzikie smoków.

— Od życia na swobodzie dzieli je najwyżej jedno pokolenie, sir – powiedział półgłosem Ferris do Laurence'a, kiedy wyjrzał przez okno. Żadne z tych stworzeń nie było większe od Greylinga i z pewnością zostałyby z łatwością pokonane przez każdego ze smoków Tswana, wynik hodowli co najmniej dorównującej tej, którą prowadzono na Zachodzie, i wyrosły na diecie z mięsa słoni.

— I każdego dnia oczekujemy przybycia kolejnego transportu tych bestii: w końcu nie tylko Napoleon ma statki. Wasze smoki będą wielką pomocą, ale co do rozejmu: nie! Nigdy nie ustąpimy...

— A zatem nie wysłuchał pan uważnie naszego raportu – powiedział obcesowo Laurence, a Hammond zbladł. – Kiedy my tu rozmawiamy, Napoleon zapewnia sobie nie tylko przymierze, ale i wierność Inków, których imperium przylega do kolonii. Już wkrótce będzie na waszej flance, i to nie z garścią smoków importowanych z za morza, lecz z potężnymi i dobrze zorganizowanymi powietrznymi legionami tego kraju.

— Kapitanie Laurence – rzucił desperacko Hammond – myślę, że pan się zapomina... Wasza Wysokość, mam nadzieję, że pan wybaczy...

— Panie Hammond, ja niczego nie zapominam – przerwał mu Laurence – ale nie będę stał beczynnym i służył jako widownia dla przedsięwzięcia tak nierozsądnego, że może się przyczynić do pogrzebienia wszelkich nadziei na przetrwanie tej kolonii. Jeśli to, Wasza Wysokość – zwrócił się ponownie do księcia – a nie jakieś chwilowe zwycięstwo jest twoim pragnieniem, ma pan do wyboru tylko jedną drogę, jaką widzę: powinien pan nie tylko zawrzeć pokój z Tswana i odesłać ich stąd do domu, ale namówić ich do osiedlenia się tutaj, między wami.

Laurence postanowił rzucić tę propozycję nagle, bez przygotowania, w pełni spodziewając się, że jego słowa wprawia słuchaczy w osłupienie, co się i stało. Nie mógł zaprzeczyć, że ta myśl wypowiedziana na głos zabrzmiała jeszcze bardziej szalenie niż wtedy, gdy przyszła mu do głowy po raz pierwszy, kiedy patrzył na francuskie transportowce w porcie i ponad dziesięć tysięcy uchodźców w mieście. Uświadomił sobie wtedy z wielką mocą, ile statków będzie potrzeba do odesłania tak wielu ludzi do ich domu w Afryce i ile czasu pochłonie taka operacja. A jeśli Portugalczycy ustąpią i oddadzą pozostałych niewolników, ich liczba tak wzrośnie, że zrealizowanie całego zamysłu stanie się niemożliwe; jeśli dodać do tego niebezpieczeństwa rejsów oceanicznych, okaże się, że Tswana wcale nie mogą wrócić do domu tak łatwo, jak łatwo przybyli do tego kraju. O co najpewniej chodziło Napoleonowi od samego początku: chciał, żeby stan oblężenia trwał w Brazylii jak najdłużej.

— Wasza Wysokość – dodał Laurence, patrząc na swoich osłupiałych rozmówców – musisz sobie uświadomić, że nie masz innych szans obrony przeciwko Inkom, w każdym razie nie takich, które mógłbyś wykorzystać na czas. Gdyby Wasza Wysokość zdołał ściągnąć trochę smoków z za morza, mogłyby one tu przybyć tylko na krótko, z powodu wojny w Europie. Nawet gdyby odniosły tu zwycięstwo, co w żadnym razie nie jest pewne, musiałyby szybko wrócić. Natomiast u Tswana Wasza Wysokość ma pod ręką małą ar-

mię smoków już zaprawionych w walkach powietrznych, połączonych więzami wrodzonych uczuć z częścią twoich obywateli i mogących tu pozostać i od razu rozpocząć wydawanie na świat potomstwa dorastającego do wagi smoków bojowych.

Podszedł do okna i otworzywszy je szeroko, zawołał:

— Temeraire! Będiesz tak dobry i dołączysz do tamtych smoków?

— Och, jeśli tego chcesz, zrobię to oczywiście – odparł Temeraire, unosząc głowę z ziemi i zbliżając ją do okna; jego wielkie, błyszczące, niebieskie oko o wąskiej jak szparka źrenicy wypełniło szybę, wskutek czego połowa mężczyzn w komnacie zerwała się z krzeseł i usiadła z powrotem dopiero po dłuższej chwili. – Nie chciałem tylko przeszkadzać im w ćwiczeniach.

Jednym potężnym skokiem wzbił się w powietrze z dziedzińca, na którym drzemał, wprawiając w grzechot kółka do zasłon, i po chwili był pośród małych smoków. Te zaprzestały natychmiast swoich ćwiczeń i skupiły się wokół niego, krzycząc podnieconymi głosami, których zgiełk dobiegał aż do okna. Z daleka wyglądało to tak, jakby wróble krążyły dookoła jakiegoś dużego zwierzęcia, lwa lub niedźwiedzia, dla którego nie stanowiły żadnego zagrożenia. Laurence odwrócił się od okna i spojrzał na księcia.

— Wasza Wysokość sam chyba widzi, że z waszych rekrutów nigdy nie narodzi się smok, który dotrzyma pola przeciwnikowi wagi ciężkiej – powiedział. – Najlepszy program hodowli wymaga dziesięcioleci, żeby osiągnąć taki cel. Nawet gdyby w jakiś sposób udało nam się wyprzeć Tswana z twojego kraju, to czy myślisz, panie, że Napoleon da ci tyle czasu, zanim zaatakuje was od zachodu?

Mówiąc to wszystko, Laurence pomyślał ze skrucą, że biednemu Hammondowi naprawdę można było współczuć, jako bardzo niechętnemu współwinnemu być może najbardziej oburzającej mowy, jaką zwykły oficer w służbie czynnej kiedykolwiek wygłosił do rządzącego suwerena; dyplomata wyglądał nawet na bardziej otumanionego horrorem, który się na jego oczach rozpętał, niż przerażonego.

— Jeśli się mylę lub moje argumenty są bezpodstawne, jestem gotów dać się przekonać – dodał Laurence – i mam nadzieję, że moje słowa nie zostaną potraktowane jako wyraz samowoli i nieposłuszeństwa, ale nikt z naszej grupy, ani ja, ani Temeraire, ani żaden inny smok, nie udzieli poparcia projektowi zaatakowania Tswana, czyli przedsięwzięciu, które musi prowadzić do katastrofy, niezależnie od tego, czy ono samo zakończy się powodze-

niem, czy też klęską.

Kiedy wygłosił to stanowcze ultimatum, nie bardzo było już o czym dyskutować; odprawiony dość nagle Laurence pożegnał się grzecznie i wyszedł. Hammond został, na wyraźne życzenie księcia, i Laurence nie próbował go przekonywać, żeby postąpił inaczej. Mógł sobie doskonale wyobrazić tę rozmowę: księżę z pewnością będzie wypytywać o jego wpływ na pozostałych awiatorów z ich grupy, i Temeraire'a na pozostałe smoki, a Laurence wolałby, żeby Hammond raczej przekazał tę informację, niż ukrył.

— Nie będę cię namawiał do działania choćby w najmniejszy sposób niezgodnego z twoim sumieniem; sam bym odrzucił takie perswazje – powiedział Laurence do Granby'ego, kiedy wrócił do obozu, i dał spojrzeniem do zrozumienia, że jego słowa dotyczą także Demane, który właśnie uniósł głowę znad papieru ze szkicowanymi przez Roland schematami manewrów ciężkiego smoka: ostatnio nagle i z zaskakującym zapalem zaczął dążyć do pogłębienia swojego wykształcenia jako awiatora i w każdej wolnej chwili nękał któregoś ze starszych oficerów, próbując nauczyć się czegoś nowego.

— Nie zaatakuję Tswana, żeby pomóc tym łowcom niewolników – oświadczył stanowczo Demane, przypominając Laurence'owi, że jego własne plemię doznało podobnej krzywdy ze strony holenderskich osadników z Kapsztadu. – Już prędzej stanę do walki z nimi. Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić? – zapytał gniewnie Emily, która znowu usiadła na piętach. – Kulingile i ja nie będziemy się bić z Temeraire'em lub Iskierką, ale nie mam nic przeciwko zaatakowaniu Portugalczyków, gdyby zaczęli z nami walczyć.

— Och! Jeśli o to chodzi, to powiem, że też nie miałbym nic przeciwko temu – wtrącił Temeraire, który podsłuchiwał ich rozmowę. – Wprawdzie rozumiem, że to byłoby bardzo kłopotliwe, gdybyśmy musieli pobić Portugalczyków, gdyż pomagają nam w wojnie z Napoleonem, ale może Tswana zgodziłby się udzielić nam pomocy przeciwko niemu, i wolałbym raczej walczyć z Kefentse u mojego boku niż przeciwko niemu. Nawet jeśli wtedy ciebie porwał – zwrócił się do Laurence'a – to bardzo ładnie za to przeprosił i wyjaśnił nieporozumienie. I naprawdę trudno się dziwić Tswana, że są tak zdenerwowani; wydaje mi się, że przybyli tu w dobrej sprawie.

— Pewnie powinienem zapytać Iskierkę – powiedział Granby – ale dobrze wiem, że ona bardzo chętnie będzie walczyć z każdym, kto się nawinie. Cóż, jeśli ci to pomoże wbić im trochę rozumu do głowy, posunę się do tego,

że powiem, że planuję siedzieć tu na tyłku, ale, Laurence, nie mogę dać ci mojego słowa. Trzeba pomyśleć o tych posiłkach, które według zapewnień Hammonda mieli nam przysłać. Kiedy myślałem, że potrzebujemy ich, by móc tu cokolwiek zdziałać, nie wierzyłem w ich przybycie, ale teraz, kiedy nie byłoby to zbyt dogodne, sądzę, że możemy się ich spodziewać w każdej chwili. A jeśli przybędą tu, zanim zdążysz namówić tych wszystkich ludzi dookoła do przyjęcia twojego planu, i brytyjskie smoki ruszą do walki z Tswana, nie będę się przyglądał z założonymi rękami. Ręką – poprawił się ze smutkiem.

Laurence pokiwał w milczeniu głową. Sam się zastanawiał, czy w takich okolicznościach potrafiłby pozostać zwykłym obserwatorem i jeszcze zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby powstrzymać Temeraire'a od wzięcia udziału w bitwie; byłoby to prawie nie do zniesienia.

Hammond wrócił późnym popołudniem i z determinacją zaczął szukać okazji do prywatnej rozmowy z Granbym; który wywijał się mu jak piskorz do czasu, gdy tuż przed kolacją został przez niego osaczony. Rozmowa najpewniej nie przebiegła po myśli Hammonda, który wyraźnie niezadowolony i zaniepokojony wrócił do Paraty na grzbiecie jednego z meksykańskich kurierów.

— No cóż, zmusił mnie do przyjęcia zobowiązania – powiedział Granby, przekładając z westchnieniem nogę przez oheblowaną belkę, która grała rolę jednej z ich ławek, i siadając bezceremonialnie na tym siedzisku; jedli na świeżym powietrzu pod chroniącymi ich przed słońcem daszkami z tej odrobiny brezentu, jaka im jeszcze pozostała, nie mając poza tym niemal niczego do osłony. Obóz rozbili na wzgórzach, w pewnej odległości od morza, by ukryć się przed wzrokiem francuskich marynarzy oraz ich działami, ale ceną za to było to, że nie docierał do nich niosący ulgę wiatr od wody, a tropikalne słońce na tych nagich stokach, z których wszystkie drzewa już dawno wycięto na budowę miasta, było mordercze. – Mam tylko nadzieję, że nie zwolnią mnie przez ciebie ze służby, Laurence – dodał Granby, sięgając po coś przez stół, a potem skrzywił się, uświadomiwszy sobie swoją niedelikatność; biedny Ferris wzdrygnął się i teraz siedział nieruchomo, wbiwszy wzrok w swoją deseczkę do podawania jedzenia.

Laurence popatrzył na niego z uwagą. Nie widział przed sobą innej drogi, ale jednocześnie trudno było nie dostrzec, że wybierając ją, nie mógł już sku-

teczniej zaprzepaścić szansę Ferrisa na przywrócenie do służby. Nie będzie triumfalnego powrotu z tej misji; w najlepszym razie może uda im się ochronić kolonię przed natychmiastowym zniszczeniem. Oferta Hammonda, który podjął się pośredniczenia w rozmowach, jakiegokolwiek by one były, najpewniej nie przetrwa zbyt długo w obliczu krnąbrności Laurence'a, a ta cała sprawa, która musi przypomnieć ich lordowskim gościom ogólną niepoprawność Laurence'a i Temeraire'a, nie skłoni ich zapewne do okazania litości jego byłemu pierwszemu oficerowi.

— Oczywiście należy rozpocząć od tego, że gdybyśmy ich tam zaatakowali, czekałaby nas cholernie trudna przeprawa – powiedział Granby tego samego wieczoru, gdy pod osłoną ciemności wspięli się razem na szczyt Corcovado, żeby obserwować Tswana podczas ich nocnego zebrania. Smoki skupiły się w kręgu, natomiast wojownicy i doradcy Tswana uformowali wewnętrzny pierścień wokół niewielkiego ogniska: ich cienie rozciągały się daleko, niczym szprychy wielkiego koła. W porcie latarnie francuskich okrętów tworzyły na wodzie nowe konstelacje, a blask niektórych z tych światła odbijał się od żelaza dział. – Ale nie wiem, co zrobimy, jeśli oni ruszą na te plantacje – dodał Granby: chociaż narada toczyła się zbyt daleko, by mogli śledzić jej przebieg, zachowanie Dikeledi, która odchyliła głowę do tyłu i głośnym sykiem dawała wyraz swojej rozpacz, nie wróżyło im nic dobrego. – Czy twoim zdaniem istnieje jakakolwiek szansa, że regent się z tobą zgodzi?

— Jak dotąd niewiele na to wskazuje – odpowiedział zmęczonym głosem Laurence. – W najlepszym razie pomyśli jeszcze trochę o niebezpieczeństwie grożącym im ze strony Inków i postara się zawrzeć jakiś rozejm, ale musi się liczyć z tysiącem właścicieli niewolników, którzy podniosą krzyk przeciwko każdemu ewentualnemu układowi z Tswana. I jest bardzo prawdopodobne, że on uważa mnie tylko za szczególnego szaleńca.

— Cóż, przynajmniej Hammond opisze im ciebie lepiej... lub gorzej, jeśli wolno mi tak powiedzieć – odrzekł Granby, opuszczając lunetę. – Bez nas nie mają najmniejszej szansy przeciwko Tswana, chociaż z nami mają ją tylko trochę większą.

— Granby! – syknęła w ich stronę Iskierka, wspinając się po stoku tak gwałtownie, że poruszone jej pazurami kamienie toczyły się z grzechotem w dół. – Musimy natychmiast lecieć; w stronę naszego obozu zacierają smoki z południa, co najmniej pięć.

— Nie powinienem otwierać gęby – rzucił Granby.

Laurence chwycił go za rękę na wysokości łokcia, ściskając grube rzemie-
nie, którymi przymocowany był hak, i razem pospieszyli w dół do Iskierki,
która nie tracąc czasu, posadziła ich sobie na grzbiecie. Wzbiła się w powie-
trze z potężnym uderzeniem skrzydeł i Laurence poczuł pod nogami drzenie
jej nieustannie pracujących wnętrzości, kiedy plunęła ogniem, tak na pró-
bę.

— Hej – zawołał Granby, uderzając ją pięścią w bark – dosyć tego: to są
zapewne nasi, i nie będziesz na nich zionąć ogniem tylko dlatego, że ich
przybycie komplikuje sytuację. Nie sądzę, żeby ich kapitanowie polubili nas
za to – dodał, mówiąc przez ramię – ale czy myślisz, że Temeraire mógłby
przekonać smoki, by uznały twoje racje?

— Myślę, że to jest bardzo prawdopodobne – odparł Laurence, kiedy już
zbliżyli się do obozowiska. Temeraire, siedząc na tylnych łapach, ryczał wła-
śnie na powitanie i naprawdę trudno było pomylić sylwetki nadlatujących
smoków: szeroką rozpiętość skrzydeł Lily oraz ogromny, nieprzenikniony
cień, którym było cielsko Maksimusa.

Rozdział 17

Temeraire był zmuszony ze smutkiem przyznać, że Maksimus zachowuje się w stosunku do Kulingile całkowicie nierozsądnie. Nie żeby Temeraire nie rozumiał jego punktu widzenia, ale ostatecznie Kulingile nie miał innego wyboru, jak tylko tak bardzo urosnąć; nie było sensu irytować się z takiego powodu.

— I jeśli ja do tego przywykłem, chociaż byłem przy tym, kiedy się wykluł z jaja jako stworzenie tak wynędzniałe, że trudno to sobie wyobrazić, ty nie możesz za bardzo narzekać – dodał.

Maksimus burknął coś w głębi brzucha i odpowiedział:

— Och, no dobrze, jeśli on jest twoim przyjacielem – a Kulingile w tej samej chwili zapytał dość niepewnie: – Czy któryś z was ma ochotę na kawałek wołowiny? Gong Su udusił kilka krów... – co jeszcze bardziej go udobruchało.

— W każdym razie cieszę się, że nie jest skąpy; trudno by mi było to wszystko przełknąć, gdyby był – dopowiedział Maksimus, zwracając się do Temeraire'a, i zamiast tego przełknął całą krowę. – I wydaje mi się – dodał później, w wyraźnie już lepszym nastroju – że mam nad nim przewagę w rozpiętości skrzydeł; jestem tego prawie pewny.

Temeraire był pewny, że wcale tak nie jest, ale roztropnie to przemilczał, a samo spotkanie przebiegło zupełnie dobrze i na koniec wszystkie smoki usadowiły się w obozowisku bez większych kłótni. Więc naprawdę nie było żadnego powodu, żeby Berkley był aż tak zdenerwowany.

— Żaden z tych cholernych łapserdaków w fortecy nie raczył wspomnieć, że masz tu trzydziestotonową bestię, o nie – powiedział Berkley do Laurence'a, kiedy już w końcu usiadł; zaczerwieniony, wciąż ciężko dysząc, wypił kubek rumu, który mu zaraz wręczono. – Jedyne: „Laurence i Teme-

raire jak zwykle stwarzają trudności, leć tam i przemów im do rozsądku”. Co zrobiłeś tym razem? Ten młokos ambasador z Paraty wyglądał tak, jakby miał dostać apopleksji, kiedy mu powiedzieliśmy, że nie mamy zamiaru popełnić żadnego z takich szaleństw; jakby była jakakolwiek szansa powodzenia. Wygląda na to, że być zwolnionym ze służby raz to za mało dla niektórych, ha, ha.

— Admirał poinformował nas, że zostaliście przywrócenii do służby – powiedziała Lily do Temeraire’a – ale dlaczego nie walczymy? Myślałam, że po to nas tutaj przysłano.

— Wszystko wam wyjaśnię – obiecał jej i Maksimusiowi Temeraire – kiedy już się najemy i wyśpimy. Może powinniśmy polecieć nad morze i złapać kolejnego wieloryba, żeby nie zawracać sobie głowy polowaniem przez kilka dni?

— Nie – odparł stanowczo Maksimus, miażdżąc z chrzęstem krowią głowę w zębach – żadnych wielorybów! Jeśli przez miesiąc nie zobaczę ryby, to i tak nie będzie za długo; na tym statku nie mieli żadnego mięsa. To znaczy żadnego świeżego mięsa; wszystko było suszone i wymieszane z tymi składnikami na owsiankę, którą nauczyłeś ich gotować, a kiedy chcieliśmy czegoś lepszego, musieliśmy sami sobie wyszperać.

— Nie słuchajcie go – odezwała się Messoria, jedząc bardziej spokojnie swoją porcję – na pokładzie było pół tuzina krów tylko dla niego, ale on zjadł je wszystkie niemal od razu, a potem tylko narzekał, narzekał i narzekał przez trzy miesiące rejsu.

— Nie rozumiem, jaki sens miałyby oszczędzanie ich na później, kiedy byłyby już chude i twarde – odparował wyraźnie urażony Maksimus.

— Przypuszczam, że jutro znajdziemy więcej krów – powiedział Temeraire – i nie mam nic przeciwko temu, żebyście zjedli dziś moją porcję. Ale się cieszę, że was wszystkich widzę!

Było coś bardzo krzepiącego w tym, że znowu miał przy sobie Maksimusa i Lily, i także wszystkie pozostałe smoki z ich dawnej formacji, Messorię i Immortalisa, Dulcię i Nitidusa, tak że wokół ogniska niosło się wiele głosów, wszystkie przyjazne, i razem mogli stanąć przeciwko niemal każdemu. Oczywiście smoków Tswana było więcej, a poza tym Temeraire wcale nie chciał z nimi walczyć, ale o ile przyjemniej było myśleć, że mogliby walczyć, gdyby mieli na to ochotę albo gdyby doznali od kogoś zniewagi nie do wybaczenia.

— W każdym razie było to i tak lepsze od siedzenia w domu, w Anglii. Wszystko sprowadzało się do pilnowania kanału dzień i noc – opowiadała Lily Temeraire’owi, odchylając z gracją głowę do tyłu, żeby łatwiej przełknąć ostatni udziec swojej krowy – i nie było żadnej okazji do choćby najmniejszej potyczki; niemal wszystkie francuskie smoki gdzieś poleciały, do Hiszpanii lub na wschód, i teraz patrole nad ich wybrzeżem pełni tylko garść niezaprężonych stworzeń, które nigdy nie przelatują na naszą stronę. To takie irytujące, ale kiedy pomyśleliśmy, że równie dobrze moglibyśmy pomóc Perscitti budować pawilony, wszyscy zaczęli się głupio denerwować.

— Wydobyły połowę kamienia z najlepszego kamieniołomu w Hertfordshire – powiedział Berkley do Laurence’a – i wyrwały ponad cztery tuziny dębów w Midlands.

— A więc wysłali nas tutaj – ciągnęła Lily – i nie mieliśmy nic przeciwko temu; ale teraz już się najedliśmy i chciałabym się dowiedzieć, co będziemy tu robić. I dlaczego tak unikasz walki z tymi smokami, jeśli są naszymi wrogami?

— Wcale nie unikam walki z nimi – odparował zirytowany Temeraire. – Kto ci to powiedział? Tylko że moim zdaniem one nie są naszymi wrogami; to te same smoki, które widzieliśmy w Afryce, i są tu tylko dlatego, że próbują odnaleźć swoje załogi albo tych, których nazywają swoimi potomkami i których porwano, a potem sprzedano w niewolę.

— To te smoki, które zabrały mi wtedy moją Catherine? – zapytała Lily z chłodnym błyskiem swojego żółtego oka.

— Jutro spotkasz się z Kefentse – rzucił pospiesznie Temeraire – i jestem pewny, że on cię przeprosi, tak jak przeprosił już mnie. Tak czy owak, prawdziwym wrogiem są Inkowie, i Laurence jest pewny, że napadną na tę kolonię, jeśli nie namówimy Tswana, żeby tu pozostali i chronili ją.

— A zatem ta część jest prawdą – powiedziała kapitan Harcourt do Laurence’a, wyraźnie zbita z tropu. – Hammond zaczął mówić, że planujesz coś w tym rodzaju, zanim do niego dotarło, że niekoniecznie zrobimy to, czego się po nas spodziewał, ale myślałam, że musiało mu się coś poplątać. Nie żeby mi się tak strasznie spieszyło do boju, kiedy przeciwnik trzykrotnie przewyższa nas liczebnie, ale co Inkowie mają tu do rzeczy?

Laurence zaznajomił ją pokrótce z katastrofalnym sukcesem, jaki Francuzi odnieśli w inkaskim imperium, a Temeraire dodał:

— Oczywiście próbowaliśmy do tego nie dopuścić, ale mimo naszych

ostrzeżeń ona poślubi Napoleona.

— Nic w tym dziwnego – powiedział Berkley. – Jestem tylko zaskoczony, że nie musieliście uciekać z kraju, ścigani przez hordeę smoków.

— Cóż, musieliśmy – odparł Temeraire – i to nie było w najmniejszym stopniu zabawne; nie rozumiem więc, dlaczego się śmiejesz – dodał, lekko zirytowany.

— Prosiłbym cię o wybaczenie, gdybyś na to zasługiwał, ty wielka, szalona bestio – wykrztusił Berkley, wciąż dławiąc się ze śmiechu w wielce niewłaściwy, zdaniem Temeraire’a, sposób.

Harcourt i reszta formacji przybyli oczywiście prosto z Anglii, wraz z całym załogami, i jak to zwykle bywało z chaotycznie zachowującymi się awiatorami, wprowadzili oni zamęt w uporządkowanym uprzednio obozie. Na szczęście przywieźli też zaopatrzenie: karabiny, proch i zapasowe kolczugi dla smoków, a także, ku nieopisanej radości marynarzy, kilka beczulek ciemnego rumu. Przyrządzony z niego grog pospiesznie wydano i częściowo wymieniono na świeże mięso i owoce, a dla kapitanów rozpalono tymczasem ognisko, wokół którego smoki poukładały porozszczepiane pnie drzew.

Laurence i Granby wykorzystali czas tych przygotowań, żeby pełniej opisać przebieg niefortunnych negocjacji.

— Nie możemy być tego pewni – podsumował Laurence, kiedy zaczęli zajmować miejsca przy ognisku – ale jest mało prawdopodobne, że cesarzowa rozkazała przeprowadzenie ataku na nas, nie podjąwszy wcześniej ostatecznej decyzji w sprawie małżeństwa. Musimy założyć, że nawet jeśli nie zostało jeszcze zawarte, stanie się to w najbliższym czasie.

— Przypuszczam, że nawet gdybyśmy wypłynęli natychmiast, nie ma raczej szansy, by udało nam się przyłapać ich po tej stronie Hornu, co? – zapytał Little, siadając obok Granby’ego i podając mu kubek grogu.

— Może by się udało, gdyby Bonaparte nie spieszył się z uroczystościami weselnymi – odrzekł Laurence, powstrzymując się z trudem, by nie spojrzeć Granby’emu w twarz; nie dowiedziałyby się o ich związku, gdyby nie niedyskrecja Iskierki, a zatem nie wiedział o nim.

— Nawet gdy udało nam się znaleźć ich na środku oceanu, nie wiem, co moglibyśmy mu zrobić – powiedział Granby. – Przynajmniej dwa transportowce i zapewne inne okręty, i można mieć pewność, że Inkowie upchnęli

na ich pokładach tyle smoków, ile się tylko mogło zmieścić.

— No cóż, jak dotąd dorównujemy im siłą – odezwał się Sutton. – Kapitan Blaise czeka na *Potentate* niedaleko brzegu i zakładam, że *Allegiance* też jest gdzieś w pobliżu, prawda?

Granby umilkł i popatrzył na Laurence'a, który także zamarł w bezruchu, zaskoczony: ale oczywiście jego raport dla Admiralicji leżał wciąż w jego teczce z notatkami – a jego list do Harcourt najpewniej wciąż znajdował się w torbie kuriera na pokładzie *Triomphe*, gdyż De Guignes był tak uprzejmy i podjął się go wysłać do Anglii. Nawet gdyby do tego czasu został on przekazany na jakąś francuską fregatę, Harcourt nie mogła go otrzymać, bo spędziła ostatnie kilka miesięcy na morzu. Złe wieści musi usłyszeć teraz, bez żadnego ostrzeżenia.

— Panowie, muszę was na chwilę przeprosić. Kapitan Harcourt, czy mogę prosić na słowo? – powiedział Laurence, licząc przynajmniej na to, że zapewni jej chwilę prywatności, ale ona wstała, spojrzała mu w twarz i zapytała:

— Laurence, Tom żyje, prawda?

Popatrzył na nią bezradnie; nikt nie mógł mu w tym pomóc.

— Wybacz mi – odrzekł. – Powinienem sobie uświadomić, że wyprzedziłem wiadomość, którą do ciebie wysłałem: *Allegiance* zatonął w ryczących czterdziestkach, po pięciodniowym sztormie.

— A on nie chciał opuścić okrętu? – nie tyle zapytała, ile stwierdziła.

— Błagam cię, żebyś nie przypisywała mu żadnej rozmyślnej chęci samozniszczenia – odparł Laurence. – Kiedy widziałem go po raz ostatni, z ogromną energią kierował próbami uratowania okrętu przed katastrofą, których to działań do samego końca nawet najbardziej uważny obserwator nie uznałby za beznadziejne.

Pokiwała w milczeniu głową i stała tam przez chwilę blada i nieruchoma; włosy miała zaczesane do tyłu i zaplecione w prosty warkocz, a jej pociągła twarz, poddana ciężkim próbom służby i porodu, straciła swój dziewczęcy blask.

— Panowie mi wybaczą – powiedziała w końcu i wyszła sama ze strefy oświetlonej przez ogień.

Jej smukła sylwetka odcinała się czernią na skraju obozu, gdzie spędziła dłuższy czas tylko z Lily, która pocieszała ją, opuściwszy nisko głowę. Kiedy inni poszli już do swoich namiotów, Laurence pozostał przy ognisku, my-

śląc, że może będzie chciała zadać mu jeszcze trochę pytań na temat okoliczności śmierci męża; tylko on mógł choć trochę ukoić jej żal, nikt inny. Ale kiedy w końcu wróciła z zaczerwienionymi oczami i kilkoma plamkami na skórze, nie zapytała go o nic, powiedziała tylko:

— Jaka okropna strata. Och, i jeszcze jedno, dlaczego pozwoliłam ci się namówić do poślubienia go? Jego brat także nie żyje i teraz ta wiedźma będzie się uganiać za mną dzień i noc, domagając się, żebym jej pozwoliła wychowywać małego Toma. Laurence domyślił się, że miała na myśli bratową Rileyę, która z pewnością martwiła się nie tylko o edukację bratanka, ale i o los swoich trzech córek, którym przypadły bardzo mizerne posagi. W razie śmierci dziecka majątek miał przejść w ręce dalekiego kuzyna, po którym nie można się było raczej spodziewać jakiejś szczególnej troski o przyszłość dziewczynek oraz dobrobyt wdowy.

— Który, jeśli o mnie chodzi, ma do swojej dyspozycji cały pakiet; czy wiesz, że mały Tom potrafi się już wspinać z sieci podbrzuszej na grzbiet, do siedzenia kapitana, całkowicie samodzielnie? – zapytała z dumą, której Laurence nie mógł zaaprobować całym sercem, bo przecież mówiła o trzyletnim dziecku. – Zaczęłam go zabierać z sobą: jestem pewna, że będzie miał swojego smoka, nawet jeśli nie uda mi się przekonać Lily, by wzięła go pod uwagę.

Przybycie formacji, rozwiewając ostatnią nadzieję Hammonda na wywarcie nacisku, który powinien skłonić Laurence'a do podporządkowania się jego życzeniom, przynajmniej przełamało trwający od pewnego czasu impas. Regent nie zgodził się jeszcze na bezpośrednie spotkanie z wysłannikami Tswana, próbując zachować swoją królewską godność, i delegował na konferencję kilku ze swoich dygnitarzy z Dom Soaresem da Câmara na czele, dżentelmenem, który z dumą mówił o tym, że jest właścicielem kilku tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Na czele delegacji Tswana stał głównie dowodzący ich armii, wódz Mogotsi, który po przybyciu do Paraty nie mógł zetrzeć z twarzy dość pogardliwej miny, przybranej po zobaczeniu głównych fortyfikacji nieprzyjaciół, zbyt małych, by mogły tam wylądować smoki.

Laurence zrozumiał tylko kilka słów z tego, co wódz powiedział na boku do Lethabo, ale pojął sens jego wypowiedzi: kpiny z kogoś, kto nie miał ani jednego przodka godnego odrodzenia. Lekceważące pstryknięcie palcami Mogotsiego w stronę dzikich smoków na zewnątrz, trzymających się jak

najdalej od Kefentse, nie wymagało żadnego tłumaczenia.

Negocjacje, które następnie rozpoczęto, przebiegały w atmosferze wrogości bardziej odpowiadającej otwartej wojnie; do wywołania tejże kilku portugalskich negocjatorów, samych właścicieli niewolników, wręcz зда- wało się dążyć.

— To oczywiście musi być ich ostatnia nadzieja na zachowanie majątków – powiedział z roztargnieniem Hammond, krążąc po małym przedpo- koju, do którego wyszli na krótką przerwę – ich jedyna nadzieja... jeśli wy- buchnie wojna, będzie przynajmniej jakaś szansa na zwycięstwo... jestem naprawdę pod wielkim wrażeniem wyrozumiałości tego wodza; zwykle nie spodziewamy się czegoś takiego po wojskowym...

Laurence, który słuchał tłumaczenia Lethabo i wychwytywał to, co mógł zrozumieć, nie uważał wcale, że Mogosi był tak powściągliwy, jak myślał Hammond, i podejrzewał, że pewne uwagi drugiej strony, które dałyby por- tugalskim arystokratom pretekst do zerwania rozmów, także zostały pomi- nięte przez tłumaczkę.

Główny portugalski negocjator tylko prychnął i powrócił do swojego podstawowego zajęcia, czyli piorunowania wzrokiem Laurence'a. Od przy- bycia formacji Lily, a zarazem kresu jego nadziei na to, że dzięki tym smo- kom zniknie potrzeba uzyskania pomocy Laurence'a, ponaglany natarczy- wym szeptem Portugalczyka Hammond trzykrotnie już ponawiał swoje próby składania protestów. Te próby – pochlebstwa, groźby, zniewagi, apele – nie zostały uwieńczone sukcesem i w końcu Hammond przestał je podej- mować, skupiając się dla odmiany na przekonywaniu regenta, żeby zgodził się zawrzeć choćby jakiś tymczasowy pokój.

To, że ten pokój powinien być tymczasowy, było z pewnością drugą na- dzieją portugalskich negocjatorów. Ale nocą na dziedziniec wpadł jeden z małych smoków, a lecący na nim kurier zsunął się zdyszany z jego grzbie- tu, po czym pobiegł, żeby przekazać wiadomość o wpłynięciu do zatoki ko- lejnego francuskiego transportowca, z dziewięcioma smokami Tswana, które już opuściły jego pokład i dołączyły do innych na brzegu.

Obudzeni nad ranem negocjatorzy siedzieli razem, szeptaając coś ponuro po kątach, aż wraz z nastaniem świtu przyleciał Kefentse i wznowiono roz- mowy. Zrezygnowawszy chwilowo z planów zachowania ich niewolni- czych stanów posiadania, Portugalczycy zaczęli teraz głosić chęć wyzwolen- nia niewolników pozostających wciąż na ich plantacjach – najwyraźniej,

doszedł do wniosku Laurence, z myślą o natychmiastowym odwróceniu tego procesu, gdy tylko pozwolą na to okoliczności, jeśli nie wręcz potraktowaniu go od samego początku jako zwykłej fikcji.

Lethabo wysłuchała tego, porozmawiała z Mogotsim, a potem odwróciła się twarzą do nich i powiedziała:

— Rozdzielaliście krewnych; na to nie będzie pozwolenia. Jeśli jednak nie będą chcieli wrócić do swojej ojczyzny, wolno im będzie połączyć się z ich przodkami na terenach plantacji.

Laurence żywił poważne wątpliwości, czy portugalscy negocjatorzy, na których twarzach wypisane było samozadowolenie, rozumieli, że mówiąc o przodkach, Tswana mieli na myśli smoki, i nie oświecił ich w tej sprawie później, kiedy Soares da Câmara chełpił się przed towarzyszami podczas kolejnej przerwy w rozmowach.

— Widzicie, jak reagują na najmniejszy gest z naszej strony – mówił. – Już dawno temu powinniśmy zasiąść z nimi do stołu. Te dzikusy niczego nie rozumieją, brakuje im wyrafinowania; można ich łatwo prowadzić za nos, jeśli tylko zaspokoi się ich prymitywne odruchy. Nauczyli się już, że bycie niewolnikiem jest czymś niepożądanym; niech będzie, pozwolimy im nazywać się wolnymi; jakie to ma znaczenie, jeśli nadal będą żyć, służąc lepszym od siebie, co jakiś instynkt każe im zaakceptować? Nawet jeśli kilka tysięcy z nich zdecyduje się stawić czoło niebezpieczeństwu rejsu przez ocean i wróci do Afryki, niewiele stracimy, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę tempo, w jakim teraz uciekają z przypisanych sobie miejsc, wiedząc, że mogą znaleźć schronienie u tych bestii.

Hammond popatrzył niespokojnie na Laurence'a, prawdopodobnie zastanawiając się, ile on rozumie i czy będzie się sprzeciwiać, ale Laurence nic nie odpowiedział, tylko zerknął na siedzącą po drugiej stronie komnaty Lethabo, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem, w którym widać było ślad uśmiechu.

— Cóż, mam nadzieję, że można ich będzie przekonać do pozostania, w każdym razie większość z nich, teraz, kiedy załatwiłeś te wszystkie piękne posiadłości, w których będą mogli żyć – powiedziała Harcourt, oglądając Rio z góry; miasto zrobiło się jeszcze trochę bardziej zatłoczone po przybyciu kolejnych pięciu ciężkich smoków Tswana, które próbowały teraz znaleźć dla siebie miejsce w centrum, i garści smoków średniej wagi, spierających się o inne zakątki. – Jeśli odeślemy ich na *Potentate*, będziemy zmuszeni siedzieć

tu na tyłkach przez rok albo najpewniej trzy lata; jedna podróż nie wystarczy, żeby zabrać stąd nawet małą część z nich.

— Nie może im się podobać perspektywa powrotu w zatłoczonej ładowni, w warunkach bardzo przypominających te, w jakich tu przybyli – odezwał się Warren – bo jeśli smoki popłyną z nimi, nie będzie końca kłopotów z zapewnieniem wszystkim jedzenia. Jeśli w ogóle da się to zrobić, nie postawiłbym na więcej niż pięciuset pasażerów na jeden raz. Uważaj, ty tam!

Ten okrzyk wyrwał mu się na widok jednej z większych smoczy Tswana, która zrezygnowała z prób wygodnego urządzenia się pośród ruin miasta, wzbiła się w powietrze i minawszy ich w niewielkiej odległości, poleciała w stronę góry. Nie zauważyła ich, a jeśli zauważyła, to nie zwróciła większej uwagi. Kiedy dotarła do celu, wylądowała, uczepiwszy się urwiska, i zaczęła drapać na próbę skalną ścianę, jakby chciała zbadać jej strukturę.

Po jakimś czasie wyraźnie usatysfakcjonowana zwróciła łeb w dół i wezwała rykiem inne smoki, z których kilka porzuciło własne zajęcia i razem z nią zaczęło badać skałę. Jeden z mniejszych zaświergotał w zadumie, po czym pomknął jak strzała w stronę portu i po krótkim czasie wrócił ze zdobyczną armatą. Była pozbawiona kół i miała tylko część drewnianego łoża służącego smokom jako uchwyt; przyłożyły najpierw jej lufę do skalnej ściany, po czym większe z nich zaczęły na zmianę tłuc nią w skałę. Mniejsze przytrzymywały ją we właściwej pozycji i kiedy zagłębiła się już do połowy w ścianie, zaczęły ją przekręcać i kołysać nią; już po krótkim czasie spuściły w dół małą lawinę skalnych odłamków. Wszystko to mocno przypominało prace, które Laurence obserwował w mieście Mosi Oa Tunye, stolicy królestwa Tswana, gdzie smoki wykuwały w ścianach wąwozu ogromne, mieszkalne jaskinie.

Następnego ranka komora była już na tyle duża, że jeden z mniejszych smoków mógł wejść do środka i usunąć gruz; tego samego dnia wieczorem dwa większe ułożyły się już w niej do snu.

— Dobrze, przynajmniej niektóre z nich czują się tutaj jak w domu – powiedział Sutton, kiedy poleciali sprawdzić postępy robót, ale gdy Laurence wrócił do stołu negocjacyjnego i zapytał o to Lethabo, ta pokręciła przecząco głową.

— Zostanie Kefentse, a także ja i moje córki, bo nie mamy żadnych krewnych w domu, ale to nie jest prawdą w wypadku wielu innych smoków.

Na szczęście Lethabo źle oszacowała liczbę tych stworzeń, których ludz-

kie rodziny zostały całkowicie zdziesiątkowane i które z tego powodu były skłonne zaakceptować uciekinierów o wątpliwym pochodzeniu; ponadto te same smoki wolały raczej pozostać na miejscu, niż narażać siebie i swoich potomków na niebezpieczeństwa morskiej podróży. Ale tuzin innych wciąż miało wioski i rodziny czekające na nich w Afryce i te chciały wracać natychmiast, z prawie dwoma tysiącami ludzi. Była to gromada wielkości małej armii i jeszcze trudniejsza do wyżywienia.

— Niezależnie od tego, jak pięknym językiem posłużą się Portugalczycy do zapisania tych postanowień, kapitanie, nie będzie to miało większego znaczenia dla smoków – powiedziała Lethabo do Laurence’a, kiedy opuszczali miejsce negocjacji. – Pan to wie i ja wiem także. Nie utrzyma się żadne porozumienie, które ich nie zadowoli. Ale to jest naprawdę nasza ostateczna cena: wszyscy niewolnicy mają być wyzwoleni i połączeni ze swoimi przodkami, a ci, którzy zechcą wrócić, mają mieć zapewniony transport. Jeśli nie możecie tego zrobić, musimy się porozumieć z Francuzami, a potem, jeśli Portugalczycy nie uwolnią niewolników...

Rozłożyła wymownie ręce, a Laurence pokiwał głową.

— A czy nie moglibyśmy wysłać ludzi mniejszymi łodziami... fregatami lub dużymi statkami handlowymi? – zaproponował Warren – a Laurence drgnął, usłyszawszy, jak nazwał fregatę „łodzią” – ale tę propozycję Lethabo odrzuciła od ręki: smoki nie dadzą się ponownie rozdzielić ze swoimi potomkami.

— No cóż – powiedział Granby, patrząc z góry na zatokę i stojące w niej na kotwicy dwa francuskie transportowce, z których masztów powiewały jaskrawe w słońcu, trójkolorowe flagi – nie pozostało nam nic innego, ale jak to można zrobić?

Rozdział 18

To byłoby tak proste jak mrugnięcie okiem, gdybyśmy chcieli ich zatopić – stwierdził kapitan Warren: zwykłe bombardowanie wielkimi głazami, niesionymi jeden po drugim z brzegu i zrzucanymi z dużej wysokości rzeczywiście posłałoby w krótkim czasie oba transportowce na dno oceanu – gdzie oczywiście nie nadawałyby się już do przewiezienia Tswana do domu.

Zdobycie tych wielkich jednostek, zachowanie ich w takim stanie, by nadawały się do użytku, było dużo trudniejszym problemem, także dlatego, że Francuzi zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiego impulsywnego posunięcia ze strony swoich niepewnych sojuszników. Transportowce były potężnie uzbrojone, a na rejach nad smoczymi pokładami zawieszono torby czteroramiennych kolców, które w każdej chwili można było rozsypać na poszyciu, przy czym ich żelazne zęby były na tyle duże, by przeszkodzić smokom w łatwym lądowaniu na okręcie, a jednocześnie nie utrudniać poruszania się marynarzom.

Natomiast towarzyszące im fregaty były zbyt małe, by mogły na nich wylądować którekolwiek ze smoków, z wyjątkiem Nitidusa i Dulcii. Szybkie, zwrotne i uzbrojone przeważnie w kilka ciężkich, krótkolufowych karonad, które z pewnością zostaną natychmiast zwrócone przeciwko każdemu smokowi próbującemu opaść na transportowiec, stały na kotwicach wystarczająco blisko brzegu, by plan bezpośredniego ataku był wykonalny. Laurence wypatrzył jeszcze, że każda z tych fregat była wyposażona w przynajmniej cztery kanonierki, łodzie uzbrojone w działa o długich, wąskich lufach, które strzelały małymi kulami, zaopatrzonymi w zadziory.

— Te łodzie będą na wodzie w pięć minut po ogłoszeniu alarmu – powiedział Laurence, przyglądając im się przez lunetę – jeśli załogi znajdą się na swojej robocie; w dziesięć minut, jeśli jest inaczej, a działa usłyszymy zaraz potem, i kanonady. Nie utrzymamy smoków na pokładach pod takim

ogniem.

— A jeśli nawet zdołamy utrzymać pokład, Francuzi podziurawią statki tak paskudnie, że może się okazać, że będziemy siedzieć w tym porcie jeszcze przez trzy lata, i tyle dobrego nam z tego przyjdzie – dodał Sutton. – Ich kadłuby nie wytrzymają długiego rejsu.

— Tak, w pierwszej kolejności musimy coś zrobić z tymi uzbrojonymi łodziami – powiedziała Harcourt, po czym rozwinęła arkusz poplamionego pergaminu i kawałkiem zwęglonego drewna, który wyjęła z ogniska, naskicowała na nim zarys zatoki. – Jeśli uda nam się je jakoś przygnieść, a potem wziąć transportowce, tak szybko, jak to tylko możliwe, jeśli nie zasypią pokładów kolcami... jeśli tylko uda nam się postawić te fregaty wobec faktu dokonanego, nie podziurawią kadłubów, o ile nie będą chcieli potopić załóg.

— Mam dla was jeszcze jeden problem do rozwiązania – dorzucił radośnym tonem Warren. – Kto nimi pozęgluje? My nie możemy, a *Potentate* raczej nie zdoła wydzielić ze swojej załogi takiej liczby ludzi, żeby wystarczyło to do obsadzenia dwóch transportowców na rejs przez Atlantyk i powrót do domu. Twój ładunek marynarzy, Laurence, trochę poprawi tu sytuację, ale...

— Bardzo się już poprawili – odparł Laurence – ale bez kompetentnego oficera nie powierzyłbym im nawet małej łódki żaglowej na krótki rejs po spokojnym morzu.

— Proszę, martwmy się o jedną sprawę naraz! – zaproponowała Harcourt. – Jeśli zdołamy ich pokonać, będziemy tak wdzięczni losowi, że bez kłopotu poradzimy sobie z innymi trudnościami.

– Sam nie bardzo widzę, jak to zrobić, Laurence – rzucił przez bark Teme-raire, mknąc nad niebiesko-czarnym przestworem oceanu.

Pogoda była bardzo dobra do latania, dzień bezchmurny i niezbyt upalny, i smok od czasu do czasu nie potrafił się powstrzymać od zakreślenia kręgu w powietrzu dla samej radości robienia czegoś takiego. Trudności w zdobyciu transportowców z pewnością zostaną pokonane, myślał; nie należało się tym zamartwiać w tak piękny dzień.

— Mam nadzieję, że nadal lecę wzdłuż szlaków żeglugowych – dodał, zerkając w dół; nie rozumiał, jak Laurence mógł być tak pewny tego, gdzie są nad oceanem, bez ciągłego sprawdzania wskazań swojego kompasu; ziemia znikła im za horyzontem jakieś dwie godziny wcześniej.

— Lecisz – uspokoił go Laurence – i jeśli skręcisz o jakieś dwa rumby w prawo, zobaczysz tam wielorybnika, jak sądzę, i możemy mieć nadzieję, że to jeden z naszych; albo Amerykanin... w obecnej sytuacji ucieszę się, jeśli uda mi się zabrać z tuzin marynarzy nawet z Amerykanina, i niech diabli wezmą konsekwencje.

Temeraire byłby tym równie uradowany, dopóki Laurence uznawał, że taki akt da się usprawiedliwić, i dlatego przyspieszył tak bardzo, jak tylko mógł, ale kiedy się zbliżyli, statek wywiesił flagę holenderską w odpowiedzi na ich brytyjską. Temeraire zawisł tuż nad masztami, a Laurence zsunął się po linie na takielunek, po czym zszedł na pokład, by spotkać się z kapitanem.

Po jakimś czasie Laurence wspiął się z powrotem na górę, sam, bez żadnych ludzi z żaglowca, więc wywieszenie flagi nie było zwykłym podstępem. Temeraire westchnął, ale kiedy Laurence dotarł na jego grzbiet i przypiął znowu karabińczyki, nie tracił czasu na rozmowę, tylko rzucił pospiesznie:

— Południe, południowy zachód, mój drogi. Nie ma chwili do stracenia. Kapitan Hoerug powiedział mi, że rozmawiali dziś rano z fregatą *Dapple*. Jeśli dogonimy ją, zanim wyjdą z naszego zasięgu, będziemy mieli naszych ludzi.

Laurence przeczesywał ocean za pomocą lunety i każdemu członkowi swojej małej załogi polecił robić to samo, we wszystkich kierunkach; wystarczyłoby cokolwiek, odbicie światła od okna, czy też blask latarni, kiedy nadszedł zmrok; i w końcu, blisko granicy zasięgu wzroku, Baggy coś dojrzał i zawołał niepewnie:

— Kapitanie? Myślę, że to oni, tam daleko; wydaje mi się, że widziałem błysk.

Załoga *Dapple'a* wciągnęła na maszt niebieską latarnię, kiedy się zbliżyli, a ujrzawszy ich flagę, wywiesiła na powitanie swoją; kapitan fregaty nie spodziewał się oczywiście, że może być ograbiony z powietrza. Laurence nie przypominał sobie, kto obecnie dowodził tą jednostką, gdyż po katastrofalnej bitwie pod Shoeburyness w Królewskiej Marynarce doszło do poważnych przetasowań, i schodził na dół pochłonięty myślami jedynie o tym, ilu oficerów mógłby przejąć z tego okrętu. Dopiero kiedy znalazł się na pokładzie i odetchnął tak dobrze sobie znaną atmosferą życia na okręcie Królewskiej Marynarki, a zaraz potem został zapytany o nazwisko, uświadomił so-

bie nagle niezręczność swojej sytuacji. Dla większości brytyjskich oficerów nadal był powszechnie potępianym przestępcą i zdrajcą, a wiadomości o przywróceniu go do służby z pewnością jeszcze oficjalnie nie ogłoszono.

— Kapitan William Laurence – odpowiedział – na Temerairze – dodał i zobaczył konsternację na twarzach młodszych oficerów, a przekazywane gorączkowym szeptem wyjaśnienie oświeciło tych, którzy nie rozpoznali jego nazwiska i imienia smoka; całemu temu zamieszaniu towarzyszyły kierowane w górę spojrzenia, gdzie czarny tułów Temeraire'a był tylko cieniem na tle ciemniejszego nieba.

Młody podporucznik, z wyglądu nie więcej niż dwudziestoletni, który kierował marynarzami zrzucającymi do wody elementy platformy pontonowej, żeby stworzyć prowizoryczne lądowisko dla smoka, przerwał pracę.

— Proszę się wstrzymać z łaski swojej, panie Rightley – rzucił do jednego z podwładnych i spojrzał pytająco na swojego kapitana.

— Kapitan Adair Galloway – powiedział wolno ten dżentelmen, mniej więcej w tym samym wieku co Laurence, nie podając mu ręki – i uważam, że należy mi się jakieś wyjaśnienie.

— Zaraz je pan usłyszysz – odparł Laurence – ale musi być ono krótkie. Przykro mi, że przybywam do pana z takim żądaniem, ale muszę mieć każdego człowieka, bez którego może pan sobie poradzić, i jeśli to możliwe, kilku takich, z którymi ciężko się przyjdzie panu rozstać.

Zauważył, że jego słowa wywołały na pokładzie nawet większe zdumienie od jego nazwiska, a Galloway wyglądał na jeszcze bardziej skonsternowanego. Laurence znał go z nazwiska i trochę z reputacji: kapitan *Dapple'a* słynął jako służbista i stan jego okrętu był potwierdzeniem tej opinii; tuż po przepłynięciu Atlantyku i w drodze do przylądka Horn okręt lśnił świeżą farbą, a jego wszystkie części z brązu błyszcząły ciepło w świetle latarni. Poza tym wszyscy oficerowie mieli na sobie mundury, które nie przyniosłyby im wstydu na uroczystej kolacji, a na pokładzie panowała atmosfera spokoju i porządku.

Laurence uświadomił sobie, ze smutkiem myśląc o swoich poplamionych spodniach, matowych, niewypastowanych butach i pożółkłej koszuli, że okręt był dowodzony w sposób, w jaki on sam kiedyś dowodził swoim. Jednak na jego korzyść działała pewna absurdalna zasada: był od Gallowaya o cztery lata dłużej kapitanem z listy, miał nad nim przewagę starszeństwa.

— Wejdziemy do środka, panie kapitanie? – zapytał. – Temeraire byłby

wdzięczny za umożliwienie mu krótkiego odpoczynku, jeśli możecie mu to zapewnić, ale musimy wzbić się z powrotem w powietrze tak szybko, jak to tylko możliwe; nie ma chwili do stracenia.

Nie mając innego wyjścia, Galloway zaprowadził go do kabiny na rufie i zamknął drzwi przed zaciekawioną załogą. Laurence wiedział oczywiście, że nawet jeśli nie każde ucho na okręcie będzie przyciśnięte do drzwi, to i tak wszyscy już wkrótce poznają treść ich rozmowy.

— Panie kapitanie – zaczął – mam nadzieję, że wybaczy mi pan moją bezpośredniość, ale rozproszę najpierw pańskie wątpliwości: jedenastego listopada zeszłego roku zostałem przywrócony na listę. Ale moja osobista sytuacja nie ma tu większego znaczenia. W Rio stoją dwa francuskie transportowce smoków: zamierzamy je zdobyć i mamy dziesięć smoków, z którymi możemy to zrobić, ale mam tylko dwustu ludzi na załogi przyzowe i żadnego oficera pośród nich.

Temeraire krążył niecierpliwie nad okrętem do czasu, aż w końcu połączono wszystkie elementy platformy pontonowej; nie była zbyt wielka i smok musiał lądować ostrożnie, z brzuchem pełnym powietrza, żeby jej całkowicie nie zatopić.

— Dobrze, tak będzie dobrze – powiedział, odwracając głowę w stronę relingu okrętu: szereg przypatrujących mu się marynarzy cofnął się pośpiesznie, z wyjątkiem młodego oficera, który pobladł, ale nie opuścił swojego miejsca. – Dziękuję wam, aczkolwiek proszę także, żebyście lepiej przywiązali tę trzecią linę; ten węzeł wygląda bardzo kiepsko i na pewno zaraz puści, nie byłoby w najmniejszym stopniu przyjemnie, gdyby to się rozeszło pod mną, i pewnie musiałbym się chwycić okrętu, żeby wydostać się z wody. Jak myślicie, ilu z was poleci z nami? – zapytał następnie, nie mogąc przezwyciężyć ciekawości.

Oprócz niezrozumiałego jąkania nie usłyszał żadnej odpowiedzi, dopóki na pokład nie wyszedł Laurence razem z kapitanem, który wyglądał na bardzo niezadowolonego, niemniej jednak rozkazał, by czterdziestu jego marynarzy i czterech oficerów przeszło na smoka. Dla oficerów Laurence miał karabińczyki i zapasowe uprząże, które Gerry przerzucił na pokład okrętu. Temeraire przeniósł potem każdego z nich na swój grzbiet, rozpoczynając od podporucznika nazwiskiem Creed, a kończąc na piętnastoletnim midszypmenie, który nazywał się Wren. Natomiast marynarze weszli, bardzo nie-

chętnie, do prowizorycznego wora, który Temeraire następnie przeniósł z pokładu fregaty do swojej sieci ładunkowej, gdzie mogli z niego się wycołać z pewnym trudem i cieszyć względnym bezpieczeństwem.

Czterdziestu dodatkowych ludzi, myślał triumfalnie smok, kiedy wzbijał się w powietrze. Chociaż, oczywiście, ci nowi rekruci już wkrótce przejdą do służby na pokładach transportowców i znajdą się poza jego zasięgiem, sama ich liczba zdawała się całkiem dużym osiągnięciem, choćby i tymczasowym, a poza tym nie jest wykluczone, że nie uda im się przejąć transportowców, a wtedy będą mogli przecież zostać z resztą marynarzy jako część jego powiększonej załogi.

Był zatem całkowicie usatysfakcjonowany, kiedy w końcu dotarł do obozu i wysadził swoich pasażerów, a po zjedzeniu wspaniałego posiłku w postaci pieczonej krowy z nadzieniem ze słodkich, dojrzałych bananów pogrążył się we śnie, który trwał do chwili, gdy kilka godzin później został bezceremonialnie obudzony mocnym kuksańcem.

— Au! – zaprotestował, otwierając oczy – za co to?

— Nie czas teraz na spanie – odparła Iskierka. – Wstawaj i pomóż mi powstrzymać ten nonsens. Oni chcą wziąć te statki bez nas.

— Jestem pewny, że coś źle zrozumiałaś – powiedział Temeraire, siadając na tylnych łapach i ziewając. – Lily i Maksimus nigdy by...

— Nie oni – rzuciła niecierpliwie Iskierka. – Granby i Laurence!

Midszypmen Wren siedział na dziobie łodzi, podając cicho czas; jego szept nie docierał do rufy, na której był Laurence. Wiosła zanurzały się bezgłośnie w wodzie i płynnie wynurzały, gubiąc zaledwie kilka kropel, spadających na fale, zanim zakreśliwszy szybko łuki, znowu się zanurzyły. Podporucznik Creed siedział przy sterze łodzi, która płynęła bezpośrednio na lewo od nich, a jego szczupła twarz tak pobladła z podniecenia, że była prawie widoczna w ciemności. Nie mógł nie awansować, jeśli im się powiedzie: dwudziestoletni chłopiec, który miał objąć dowództwo smoczego transportowca. Był to ten rodzaj uśmiechu losu, o którym śnili wszyscy w marynarce.

Lub, jak to ujął ponurym tonem O'Dea, kiedy wsiadali do łodzi:

— Tak samo prawdopodobne jest to, że skończymy jako posiłek wszystkich potwornych węży z głębin, kapitanie.

Laurence spojrział na prawo: tam była łódź Granby'ego, a raczej łajba kupiona od miejscowego rybaka i bardzo obciążona smoczą kolczugą, której

sterta leżała na jej środku; za nią płynęła łódź Harcourt. Laurence bez większego przekonania próbował ją odwieść od zamiaru uczestniczenia w tej wyprawie, ale upychali w tych łodziach wszystkich, także tych, których tylko z przymrużeniem oka można było nazwać mężczyznami – nawet młodego Sipho, ściskającego kurczowo raketę sygnalizacyjną – i nie zdziwił się, gdy wzgardliwie zlekceważyła jego zabiegi. Kiedy się później od niej odwrócił, napotkał spojrzenie Roland, w którym płonął wojowniczy płomień, więc nawet z nią nie próbował, ale zadowolił się oddaniem jej dowództwa drugiej z łodzi, której załozde wyznaczono zadanie zawieszenia kolczugi; przynajmniej wejdzie na pokład dopiero pod sam koniec walki.

Ich miniaturowa flotylla podkradała się cicho do górujących nad wodami zatoki transportowców *Polonaise* i *Maréchal*. Drogę oświetlały im tylko blask księżyca z góry i z tyłu ogniska, przy którym w mieście Tswana zebrali się na zwykłą nocną naradę; jej odgłosy niosły się po wodzie głośniejsze niż odgłosy dochodzące z łodzi, a łuna tego ognia powinna, jak miał nadzieję Laurence, do pewnego stopnia oślepić obserwatorów.

Kiedy się zbliżyli, podporucznik Creed popatrzył na Laurence'a i skinął głową, a następnie jego łódź skręciła w stronę *Maréchala*, ciągnąc za sobą pół tuzina innych. Pozostałe podpłynęły do burty *Polonaise'a* i Laurence popatrzył w górę przez lunetę. Oficer wachtowy był blisko rufy, przy kole sterowym, pośród dział na pokładzie rufowym widać było śpiących marynarzy, a obserwator w najbliższym bocianim gnieździe ziewał, zakrywając usta ramieniem; krótko mówiąc, obraz okrętu stojącego w porcie, w spokojnym i przyjaznym porcie.

Laurence dał głową sygnał marynarzowi Ewyllowi, czekającemu na dziobie, silnemu, młodemu człowiekowi, który rzucił linę zakończoną hakiem. Zadzwięczał, zaczepiając o reling, i wszyscy zamarli w bezruchu, ani jeden oddech nie zamglił powietrza.

Alarmu nie zarządzono. Ewyll wspiął się na górę po linie z węzłami, mając pięć innych przywiązanych do pasa, i spuścił je szybko do pozostałych łodzi. Zanim Laurence zdążył wejść na okręt, na pustym smoczym pokładzie były już dwa tuziny ludzi kryjących się za różnymi pakami i beczkami, a siedmiu Francuzów, którzy spali na tym pokładzie, leżało powiązanych jak baleron, ze szmatami powpychanymi w usta. Ewyll i Wren wspinali się po olinowaniu fokmasztu, zmierzając do zawieszonych tam toreb z kolcami, a kapitanowie Little i Chenery byli tuż za nimi, poruszając się po takielunku z dużą łatwością dzięki wieloletniemu doświadczeniu, które zdobyli na

grzbietach swoich smoków.

Laurence wychylił się za burtę. Granby pomachał do niego ze swojej łodzi, która po wysłaniu na górę połowy ludzi przepłynęła na drugą burtę *Polonaise'a* i skierowała się w stronę *Maréchala*. Po dotarciu do tego okrętu marynarze z jej załogi przystąpili do realizacji najważniejszego z zaplanowanych działań: rzucili czekającym na pokładzie ludziom liny i po okręceniu ich wokół relingu zaczęli wciągać na górę wyszabrowaną z wyposażenia smoków kolczugę, żeby zasłonić nią otwory strzelnicze okrętowych dział. Widząc, że wszystko przebiega zgodnie z planem, Laurence odwrócił się, przeprowadził cicho ludzi przez smoczy pokład i zatrzymał się blisko zejściówki prowadzącej na pokład główny: pod schodami leżał mężczyzna z szeroko otwartymi ustami, z których wydobywało się głośnie chrapanie.

Mayhew popatrzył na niego i Laurence skinął głową; Mayhew i jeszcze jeden marynarz, Todd, zeszli bosą na pokład główny, przekradli się bezszelestnie pod schody, po czym Mayhew zasłonił dłonią usta śpiącego, chwytając go za gardło drugą ręką. Laurence, obserwujący to przez stopnie schodów, zobaczył szeroko otwarte oczy przerażonego Francuza, który szarpał się w uchwycie szerokich dłoni napastnika; tymczasem Todd szybko przywiązał mu sznurem ręce do ciała i z równą wprawą skrępował nogi w kolanach i kostkach, po czym wepchnęli go obaj za wspornik, usuwając z drogi.

Laurence zszedł ostrożnie na główny pokład, całą drogę prawie na palcach, tym razem zadowolony, że podeszwy jego znoszonych butów są tak cienkie. Ośmiu ze swoich ludzi wysłał do dziobowej zejściówki, która teraz była niemal na wprost nich, przez nikogo niepilnowana. Chwycili jedną z beczek z wodą i postawili ją na pokrywie luku zejściówki, żeby zablokować drogę, a następnie zaczęli się tam z pistoletami, nożami lub kordami w rękach.

Przed nimi rozciągał się teraz otwarty pokład, a oficer wachtowy, pechowy młody porucznik, odwrócił się właśnie po zakończeniu zdawkowej rozmowy ze sternikiem i po stronie zawietrznej ruszył w kierunku dziobu. Laurence czekał i czekał; pragnął dać ludziom z łodzi Granby'ego i tym na olinowaniu tyle czasu, ile tylko mógł: w tych okolicznościach nawet pół minuty mogło się okazać nieocenione. Oficer wachtowy zatrzymał się na śródkręciu i wychyliwszy się przez reling, popatrzył w dół – badał stan kadłuba, który, jak Laurence zauważył, wspinając się na górę, był rzeczywiście paskudnie obrosły skorupiakami; okręt dużo by zyskał na gruntownym oczyszczeniu.

Francuski oficer wyprostował się i ruszył w dalszą drogę, nucąc pod nosem jakąś melodię, przy czym od czasu do czasu przechodziło to w pogwizdywanie. Po chwili znowu stanął i zmrużywszy oczy, wbił wzrok w morze – patrzył w kierunku *Maréchala*, który stał między nimi a brzegiem i dlatego płonące w mieście ognisko oświetlało szereg nisko pochylonych ludzi przekradających się przez jego pokład.

— Brytania! – zagrzemiał Laurence na całe gardło; młody francuski oficer podskoczył niezgrabnie, po czym odwrócił się, wyciągając szpadę, ale trzech marynarzy już przy nim było; padł od razu. Laurence stracił go z oczu, gdyż na czele ośmiu innych ludzi pobiegł w stronę rufowej zejściówki, którą zablokowali kolejną beczką w chwili, gdy w otworze pojawiły się twarze zaniepokojonych Francuzów, patrzących w górę.

— *Alarme! Alarme!* – krzyczał chłopiec w bocianim gnieździe, a marynarze na pokładzie budzili się ze snu: budzili się i ginęli, przebijani szpadami i nożami, wielu z nich. Ale jeden, niezwykle wysoki, mający ponad sześć i pół stopy wzrostu i ręce jak niedźwiedź, zdołał się podnieść; odepchnął ramieniem wymachującego kordem marynarza z *Allegiance*, który stanął mu na drodze, wyjął oburącz armatnią kulę z jednej z rozmieszczonych na pokładzie skrzyń na amunicję i odwróciwszy się, uderzył nią z góry brytyjskiego marynarza. Kula potoczyła się, zostawiając za sobą ślad krwi i strzępów mózgu z rozbitej czaszki, a Francuz, który tymczasem zdążył uzbroić się w korda, przetoczył się przez lufę sąsiedniego działa i ściał kolejnego człowieka.

Laurence miał za plecami beczkę z wodą, która drżała, uderzana rytmicznie od dołu przez ludzi próbujących się dostać na górę, a przed sobą francuskich marynarzy biegnących ku niemu przez pokład. Wystrzelił z obu pistoletów: jeden człowiek upadł, drugiego trafił w rękę, a potem nastął czas walki szpadą, trudnej, gdyż toczony z bliska: wbił piętę buta w brzuch jednego mężczyzny, odrzucając go do tyłu, i ciał drugiego, który próbował chwycić go za rękę ze szpadą. Z policzka tego człowieka trysnęła krew, plamiąc mu rękaw płaszcz, a Laurence uderzył go jeszcze w twarz pięścią zaciśniętą na rękojeści swojej broni.

Mężczyzna zdołał się jednak ucześcić tej ręki Laurence'a, w której trzymał on szpadę, i ściągnął ją w dół, osuwając się na pokład, a tymczasem ogromny Francuz rzucił się do ataku. Laurence szarpał z całych sił, żeby wyrwać półprzytomnemu przeciwnikowi rękę i zasłonić się przed kordem, który spadał

z góry na jego głowę. Klinga stała się zwykłym cieniem w ciemności, a Laurence puścił rękojeść szpady i uniósł błyskawicznie rękę, poświęcając ją, żeby ochronić czaszkę; i kiedy przygotował się już w duchu na ból, Francuz osunął się na niego, przygniatając swoim ciężarem.

Laurence odepchnął od siebie trupa i popatrzył za niego ze zdumieniem: Gong Su wyciągał nóż z boku Francuza, tak ostry, że krew się go prawie nie trzymała. W tej samej chwili zapłonęło niebieskie światło, odbijając się chłodnym błyskiem od metalu i zabarwiając twarz Chińczyka na dziwnie szary kolor, a nad jego głową przemknęła sycząca smuga: wysłano raketę sygnałową.

To oznaczało, że walka toczyła się także na pokładzie *Maréchala*. Zostali wykryci i następne dziesięć minut, może nawet mniej, przesądzi o wyniku ich przedsięwzięcia. Jeśli nie uda się utrzymać pokładu na każdym z okrętów, jeśli na fregatach ogłoszono już alarm i zaczęto spuszczać kanonierki...

I wtedy rozległ się ryk *Temeraire'a*, niemożliwy do pomylenia z żadnym innym, brzmiący tak, jakby drżał cały świat, i Laurence poczuł, że wielka masa *Polonaise'a* kołysze się na wzburzonym dookoła niego oceanie. Po wodzie niosły się okrzyki przerażenia i odgłos przypominający stukot gradu, gdyby grad tworzyły kamienie wielkości ludzkiej głowy: smoki zrzucały na fregaty masę skalnych ułamków, szczególną uwagę poświęcając tym miejscom, gdzie na legarach leżały kanonierki.

Laurence nie miał czasu, by spróbować ocenić w ciemności rezultat ataku; beczka z wodą, która za jego plecami przyciskała pokrywę luku zejściówki, zaczęła nagle tracić na wadze: ludzie na dole wyłamali jedną z jej klepek, żeby ją opróżnić, co miało im pozwolić wdrzeć się na pokład.

— Przytrzymuj ją, Wesket – krzyknął Laurence do jednego z marynarzy, a sam przesunął się, żeby chronić jego plecy przed Francuzami.

W tym momencie *Polonaise* zakołysał się znowu, gdy na smoczym pokładzie wylądował *Temeraire*. Rycząc, zdarł z masztu francuską flagę, a potem znowu zaryczał; nawet brytyjscy marynarze rzucali się płasko na pokład, przerażeni tym dźwiękiem. Jednocześnie na śródkręcie spadła Dulcia i zdołała się ulokować w dość niebezpiecznej pozycji przy relingu na lewej burcie, skąd zaczęła ściągać z pokładu francuskich marynarzy, jednego po drugim, i wrzucać ich do oceanu.

– Laurence! – zawołał z niepokojem *Temeraire* i w tej chwili go dostrzegł

po drugiej stronie okrętu, przy rufowej zejściówce, otoczonego przez Francuzów – nawet jeśli większość z nich leżała właśnie na pokładzie z powodu, którego smok nie rozumiał. Temeraire prychnął z wyrzutem: to tyle, jeśli chodzi o te wszystkie obietnice zachowania ostrożności i trzymania się z tyłu.

— Dulcia! – krzyknął. – Proszę, chroń Laurence’a, ja muszę znowu wzbić się w powietrze, bo tam są jeszcze cztery fregaty, którymi trzeba się zająć.

— Zrobię to. Czy jest tam Chenery? – odkrzyknęła i jednocześnie rzuciła się zgodnie z obietnicą w stronę rufy, gdzie chwyciła w szczęki i wyrzuciła za burtę dwóch Francuzów, którzy właśnie podnieśli się na nogi i zbliżyli do Laurence’a.

— Jest tutaj, na olinowaniu – odpowiedział Temeraire po szybkim spojrzeniu w górę – i zaraz ci go przyniosę, chcesz?

— Spokojnie, jeszcze potrafię przejść przez pokład okrętu, mam nadzieję! – odparł Chenery, spoglądając w górę i ocierając pot z czoła. – Weź po prostu te kolce i wyrzuć je za burtę, dobrze?

— Och; myślę, że zamiast wyrzucać, zrobię z nich użytek – odpowiedział Temeraire, chwytając powiązane przez Chenery’ego i Little’a worki z kolcami. Wzniósł się z nimi w powietrze, lecąc ku najbliższej fregacie, na której pokładzie przygotowywano właśnie działa do otwarcia ognia na pokład *Polonaise’a*, i zawołał:

— Iskierka!

— Jestem zajęta! – odkrzyknęła znad fregaty, nad którą krążyła; wypuściła właśnie strumień obok olinowania, po stronie zawietrznej, i wzywała załogę do opuszczenia flagi.

— Wcale nie jesteś, tylko próbujesz się popisywać i zdobyć kolejny przyz – powiedział Temeraire – chociaż wiesz doskonale, że usiłujemy jedynie zdobyć transportowce, a fregaty mamy tylko utrzymać na dystans do czasu, aż wielkie okręty się poddadzą. A teraz proszę, podpal mi to, kiedy będę je zrzucał.

— Och, no dobrze, jeśli wrócisz do tej fregaty po wszystkim i powiesz im po francusku, że mają się poddać; nie wydaje mi się, żeby mnie rozumieli – odpowiedziała, przelatując nad nim.

Temeraire potrząsnął workami, otwierając je, a ona omiotła ogniem lecące w powietrzu kolce, tak że ich żelazne końcówki były już na wpół stopione, kiedy spadały na pokład fregaty i wszystkie uzbrojone łodzie, wbijając

się w drewno. Temeraire zawisł nad okrętem, patrząc z satysfakcją na rozwój wypadków: członkowie załogi skakali do morza, żeby uciec przez deszczem rozgrzanych do czerwoności kolców, i nie mogli już dłużej zajmować się łodziami.

Nagle uniósł jednak gwałtownie głowę: od strony drugiego transportowca dobiegł kolejny ryk, ale tym razem nie smoków, lecz dział, a potem Maksimus krzyknął z bólu.

Temeraire wzbił się błyskawicznie wyżej. Jedna z fregat, o której myślał, że została unieszkodliwiona przez kamienie, zdołała skierować salwę burtową w smoczy pokład *Maréchala*, przy czym artylerzyści sprytnie wstrzymywali się z oddaniem ognia do chwili, gdy na transportowcu wylądował Maksimus, żeby zebrać worki z kolcami: wszystkie działa z jednej burty fregaty wypaliły jednocześnie, a biedny Maksimus był niemal całkowicie odsłonięty: w jednym z jego skrzydeł ukazało się rozdarcie, na którego brzegach membrana wisiała luźno, jak strzęp płótna żaglowego, krwawił także na czarno z ran na barku, w boku i zadzie. Roztrzaskany został również przedni maszt *Maréchala* i jego odłamki sterczały z głowy oraz szyi smoka niczym kolce jeżozwierza; potrzasał łbem z zamkniętymi mocno oczami, rycząc z bólu, a tymczasem załoga fregaty z pewnością ładowała na nowo działa.

Ale zanim Temeraire ruszył w ich stronę, Lily już zabrała się do dzieła: zanurkowała nisko i wypluła długi strumień kwasu, rozprowadzając go wzdłuż pokładu, dokładnie nad tą jego częścią, która zwrócona była w stronę *Maréchala*, i wraz z syczącą parą powstającą w miejscach, gdzie krople kwasu przegryzały się przez drewno do pokładu armatniego, spryskując załogę, w powietrze wzbiły się wrzaski bólu. Temeraire nadleciał zaraz potem i zaryczał wściekle nad oceanem. Fregata zakołysała się gwałtownie na dwudziestostopowych falach i druga salwa zabrzmiała nierówno, jękliwie, a kule wpadły do oceanu jakieś dziesięć jardów przed kadłubem *Maréchala*.

— Doskonale! – rzucił triumfalnie Temeraire, ale chwilę później sam krzyknął z bólu, zadygotał i prawie spadł do morza; tuż pod stawem skrzydłowym czuł tak straszliwy, palący ból, że utrzymywał się w powietrzu kosztem ogromnych cierpień, których przysparzało mu każde uderzenie skrzydeł; krzyknął jeszcze raz z bólu, z trudem chwytając powietrze, i nagle pojawił się przy nim Kulingile, który podtrzymał go, a potem pomógł mu dotrzeć na pokład *Maréchala* i ułożyć się obok Maksimusa.

— Ale Laurence – wykrztusił Temeraire, łapiąc gwałtownie oddech. –

Laurence...

— On nie dał się postrzelić – przerwał mu Gaiters, lekarz Maksimusa, który pracował w pośpiechu z rękami zakrwawionymi aż po ramiona – więc czekaj tu nieruchomo, aż któryś z nas będzie cię mógł obejrzeć. Na litość boską – ryknął na młodego chorążego, który był tymczasowo jego asystentem i próbował mu pomóc zatamować krwotok z ran – wpychaj mocniej to płótno, stań na nim, jeśli będziesz musiał.

— Nie będę siedzieć bezczynnie na pokładzie, kiedy oni wciąż walczą – zaprotestował Temeraire i wyciągnąwszy szyję, odwrócił głowę, żeby popatrzyć na ranę... może nie była tak poważna, jak mu się zdawało... – Au! – Rozmyślił się, bo nawet odwracanie głowy było okropnie nieprzyjemne; czuł, jak zadziory kuli rozrywają jego ciało. – Maksimus, czy jesteś bardzo ciężko ranny?

— Jestem pewny, że szybko się wyliżę, gdy tylko mnie połatają – odpowiedział Maksimus z bolesnym stęknieniem. – Nie powinienem wcale ryczeć, ale to mnie zaskoczyło.

— Będziesz martwy za godzinę, jeśli nie zatrzymamy tego krwawienia, więc może tak zamkniesz oczy i będziesz cicho, do diabła – krzyknął wściekle Gaiters. – Gdzie jest ta smoczyca, co zionie ogniem? Może tak postara się być użyteczna: muszę przypalić tę ranę, gdy tylko wyciągnę z niej kulę...

— Och – stęknął Maksimus – co wcale nie było skargą, pomyślał lojalnie Temeraire, tylko okrzykiem, który mu się wyrwał na skutek zaskoczenia, gdy Gaiters prawie włożył głowę w dziurę w boku smoka i wyciągnął z niej wielką, żelazną kulę armatnią, trzymając ją w obu dłoniach i samemu posykując z bólu, gdyż wciąż jeszcze była gorąca. Upuścił ją na pokład i pchnąwszy stopą, posłał gdzieś na bok.

W tej chwili wylądowała Iskierka, w odpowiedzi na ich sygnały, i rozgrzała żelazną sztabę, którą Gaiters trzymał w szczypcach i podsunął jej pod nos. Maksimus uniósł głowę i zaryczał z bólu – nawet stosując najbardziej lojalną interpretację, nie można było tego niestety nazwać inaczej – kiedy lekarz przyłożył sztabę do rany, zaszytej już katgutem.

Ale właśnie wtedy, gdy rana była przypalana, okręt zadrżał pod nimi dudniącym grzmotem dział i Temeraire popatrzył z niepokojem w stronę *Polonaise'a*, na którym Laurence wciąż jeszcze walczył. Chociaż podporucznik Creed i jego oddział również zdołali utrzymać do tej pory Francuzów wewnątrz *Maréchala*, nadal było na nim blisko sześciuset ludzi, którzy najwy-

rażniej przeszli teraz na pokład armatni i postanowili ostrzelać pokład drugiego transportowca, żeby pomóc jego załodze.

Ale ludzie Granby'ego i Roland dobrze wykonali swoją robotę. Smocza kolczuga zwisała z burty okrętu i chociaż nie zatrzymała kul całkowicie, do tego stopnia osłabiła ich impet, że powpadały jedna po drugiej do morza; tylko kilka wystrzelonych z dział na końcu dotarło do drugiego okrętu, roztrzaskując fragment jego smoczego pokładu.

Berkley wstał od głowy Maksimusa i zszedłszy ciężkim krokiem na pokład główny, zaczął walić wielką, osłoniętą rękawicą pięścią w poszycie obok dziobowej zejściówki.

— Czy jest tam wasz kapitan? Opanowaliśmy pokład; możecie sprawdzić, że wszyscy wasi towarzysze są unieszkodliwieni. A teraz powiedzcie, że się poddajecie, albo dam sobie z wami spokój, a smoki zaczną wyrzucać was za burtę; to ma się skończyć, do diabła.

Rozdział 19

Nie chcę ani trochę pomniejszać waszej całkowicie usprawiedliwionej dumy z tego, co osiągnęliście, kapitanie – powiedział Hammond do Laurence'a, patrząc ze wzniesienia na dwa transportowce, z których powiewały brytyjskie flagi i na których pokładach widać było teraz odpowiednio trzy i cztery smoki; reszta była zajęta pilnowaniem łodzi przewożących ich odzyskanych krewnych lub worków z żywnością, zbożem i suszoną soloną wołowiną, która powinna wystarczyć na sześciotygodniową podróż do wybrzeża Afryki: żeby uczynić zadość sprawiedliwości, może wylądują w ruinach Luandy, tego samego portu, w którym tak wielu z nich po raz pierwszy założono niewolnicze kajdany. – Ani trochę – powtórzył Hammond ponurym głosem. Widać też było *Potentate*, jeszcze dość oddalonego, ale zbliżającego się. Laurence oceniał, że okręt rzuci kotwicę jeszcze przed zachodem słońca i będzie mógł rozpocząć proces aprowizacji na powrotną podróż do Portsmouth, której Hammond na pewno nie mógł oczekiwać z najmniejszą nawet przyjemnością.

Nic dobrego nie wyniknie dla niego z raportu, który portugalski ambasador przygotuje na jego temat. W najlepszym razie Hammond będzie w nim figurował jako nieudolne zero; w najgorszym jako ktoś rozmyślnie przymykający oczy na samowolne manipulacje Laurence'a, przy czym ta druga opinia była bardziej prawdopodobna. Dobrze o nim świadczyło natomiast to, że po przejęciu transportowców poświęcił całą swoją energię na zdobycie na portugalskim dworze tak dużego poparcia dla negocjacji, że zostały w końcu niechętnie zaakceptowane.

Najgorsze dla Hammonda było to, że nie mógł się powołać na żaden sukces, żeby móc jakoś zatuszować swoje rzekome nadużycia. Admiralicja zyska na zdobyciu transportowców, ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych niewiele to obejdzie w obliczu katastrofalnych wieści na temat Inków, wia-

domości, że kolejne wielkie mocarstwo sprzymierzyło się dobrowolnie z Bonapartem, a Brytania w swojej walce z nim była coraz bardziej osamotniona.

— Ale co ja mam zrobić z tą smoczycą? Łatwo jest powiedzieć, że ona nie jest moja, jeśli jednak będzie nadal z takim uporem podążać za mną, to równie dobrze może być moja, a ja nie widzę żadnego smoka, który okazałby mi najmniejsze nawet współczucie lub chciał ją przegonić – dodał z pewną irytacją. Rzeczywiście przywiązanie Churki do niego miało wszystkie cechy trwałości, a na próby Hammonda odprawienia jej reagowała z rozbawieniem rodzica, który odzyskał krnąbrne dziecko.

— Nie może podążać za panem przez morze – powiedział Chenery.

— Czyżby? – odparł z goryczą Hammond. – Podśluchałem, jak omawiała tę sprawę z Temeraire'em. Ma zamiar dostarczyć ileś tam wołów jako zapłatę za przewiezienie jej. I jak można się jej pozbyć z okrętu, kiedy już na nim wyląduje?

— Ale posłuchaj, Laurence – odparł Temeraire, kiedy Laurence na prośbę Hammonda zaczął z nim o tym rozmawiać – nie widzę żadnego powodu, dla którego Churki nie mogłaby popłynąć z nami do Anglii. Sam bardzo często mówiłeś, że Admiralicja zawsze desperacko szuka nowych smoków, które będą chciały walczyć. Jak wiesz, była oficerem w inkaskiej armii. Nikt nie może powiedzieć, że ona nie umie walczyć, i obiecała mi, że będzie, jeśli dostanie swoją załogę.

— Mój drogi, ona jest poddaną władczyni, która obecnie musi już być nieprzyjazna naszemu królowi – odrzekł Laurence. – Jeśli nam pomoże, będzie zdrajczynią; jeśli nie zechce nam pomóc, będzie naszym wrogiem.

— To wcale nie wydaje mi się zdradą – zaprotestował Temeraire. – W końcu to nie jest tak, że będzie walczyć z inkaskimi smokami, może jej przyjaciółmi. Ona będzie walczyć z Francuzami, i mówi, że poślubienie Sapa Inki nie czyni wcale Napoleona jej cesarzem. Tak czy owak – dodał – nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłbym być tak okropnie grubiański i kazać jej odczepić się od nas: jest ode mnie mniejsza, przez co sytuacja byłaby niezręczna, no i jest dużo starsza od nas wszystkich, z wyjątkiem Messorii.

— Obawiam się zatem, że nie mogę robić panu wielkiej nadziei na ucieczkę – powiedział Laurence Hammondowi na brzegu, nadzorując pakowanie swojego kufra. Gerry nie był szczególnie zręczny i Laurence musiał ponownie składać niemal każdą swoją rzecz, zanim trafiła do lichej, dREW-

nianej skrzyni, która musiała posłużyć w tej roli – chyba że uda się panu namówić kogoś, żeby podstępem odciągnął ją od pana; mogę pana zapewnić, że pośród nas jest kilku oficerów, którzy z pańską zgodą bardzo chętnie zajęliby pana miejsce jako jej ulubieńca.

— Zgadzam się na to całym sercem – odrzekł Hammond – chociaż nie mam najmniejszej nadziei, że skończy się to po mojej myśli. Gdyby miała zamiar być zmienna w uczuciach, mogła zostać w swoim kraju. Przypuszczam, że będzie całkowicie gotowa, w inkaskim stylu, zaakceptować dowolną liczbę chętnych i uznać ich za swoich ludzi, ale mnie nie wypuści. Będę mógł się uważać za szczęściarza, jeśli tylko uda mi się namówić ją do tego, żeby przebywała w kryjówce, zamiast biegać za mną po londyńskich ulicach, co, jak przypuszczam, chętnie by robiła. Chyba że ty mógłbyś ją otruć? – zapytał z goryczą w głosie Gong Su, który właśnie zajrzał do namiotu.

— Potrzebujesz mojej pomocy w jakiejś sprawie z zaprowiantowaniem? – zapytał Laurence.

— Nie, kapitanie – odparł Gong Su – i panie Hammond, nie mogę pana zadowolić; ale jeśli będzie mi wolno zaproponować inne rozwiązanie, przekonam się pan, że Churki nie jest źródłem kłopotów, kiedy uda się razem z panem do Chin.

— Ha; nie wyślą mnie ponownie do Chin – odrzekł Hammond. – Zostanę wypchnięty gdzieś na wieś z mglistymi obietnicami jakichś przyszłych okazji, które się nigdy nie nadarzą... chyba że Dom da Câmara postanowi spróbować nakłonić ich lordowskie mości do wystąpienia przeciwko mnie z oskarżeniami, czego nie mogę wykluczyć...

— Przepraszam – powiedział Gong Su, delikatnie przerywając tę smutną litanię skarg, która brzmiała coraz ciszej, ale jednocześnie nie sprawiała wrażenia, że jest bliska końca – ale nie musi pan najpierw wracać do Anglii. Zamiast tego okręt może zawieźć pana do Chin.

— Co? – rzucił Hammond, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

— I pana, oczywiście, kapitanie – dodał Gong Su, kłaniając się – i Lung Tien Xianga; to właśnie pokornie sugeruję.

Laurence sam był dosyć zaskoczony bezczelną sugestią, bo tak to tylko można było nazwać, że mogliby praktycznie zarekwirować *Potentate*, zwłaszcza iż ta sugestia padła z ust osoby zwykle tak starannie trzymającej się na uboczu, chociaż to, że Gong Su może pragnąć wrócić do swojego kraju, nie było szczególnie zaskakujące, jeśli się ktoś nad tym zastanowił; Lau-

rence szybko policzył, że upłynęło już pięć lat od czasu, gdy opuścili Chiny.

— Moglibyśmy zatrzymać jakiś statek handlowy płynący do Kantonu na Maderze, jeśli nie wcześniej – powiedział Laurence – i ja oczywiście zapłaciłbym za przewiezienie ciebie do Chin, jeśli tego chcesz... – ale Gong Su energicznie pokręcił głową.

— Moja nieważna osoba nie może mieć żadnego znaczenia dla tych spraw – odparł Chińczyk. – Ale jestem zdania, że mój pan, kiedy zostanie mu przedstawiona pełna relacja o wydarzeniach w tej odległej części świata, chętnie skorzysta z okazji omówienia ich z panem bardziej szczegółowo, i ten szlachetny pan, pański wielce czcigodny starszy brat i następca budzącego postrach władcy, który zasiada na Niebiańskim Tronie, zaszczycił mnie ostatnio poleceniem przekazania panu zaproszenia do złożenia mu wizyty, jeśli splot okoliczności sprawi, że będzie się to wydawało pożądane, taki jest przewidujący i mądry.

Po tych słowach wyjął opakowany w ceratę pakunek, który rozwinął, ukazując wąski, złożony list – ten sam list, uświadomił sobie po chwili Laurence, który w Australii doręczyła mu Lung Shen Li, zanim wypłynęli w drogę, i o którym wtedy pomyślał, że jest wiadomością od rodziny Gong Su: wspaniale zapieczętowany czerwonym woskiem i owinięty papierem pokrytym chińskimi znakami. Gong Su położył go na obu dłoniach i podał Laurence'owi.

— Mój starszy... mój kto? – zapytał zbity z tropu Laurence, a potem powiedział: – Masz na myśli księcia Mianninga? Twój pan? Co... – Urwał i zaciął usta, żeby nie zdradzić się małym dostojnym wrzaskiem: aż do tej pory sądził, że Gong Su jest jego kucharzem, więc mógł jedynie zareagować z oburzeniem zarówno na szokująco bezwstydną formę tego wyznania, jak jego treść...

— On nie jest szpiegiem... – syknął do niego Hammond, odciągając Laurence'a niemal siłą do przeciwnego rogu namiotu – wcale nie jest szpiegiem, kapitanie; nie wolno panu tak o nim myśleć. On jest... – Hammond przerwał, szukając jakiegoś wytłumaczenia. – On został oddelegowany do służby u pana.

— Oddelegowany do służby u mnie? – Laurence rzucił Hammondowi gniewne spojrzenie. – Panie Hammond, jeśli poinstruuje mnie pan, jak inaczej, czyli nie jak szpiega, mam traktować człowieka, który z całą pewnością informował zwierzchników o każdym szczególe moich spraw – on był go-

ściem w domu mojego ojca! – i robił to w służbie obcego mocarstwa...

— W służbie pańskich krewnych, którzy z pewnością mają prawo do zainteresowania pańskim życiem – powiedział Hammond równie bezczelnie jak sam Gong Su, ale pospiesznie zmienił kierunek, widząc, że Laurence w żadnym razie nie da się przekonać takimi argumentami – i swojego rządu, wobec którego z pewnością musi być najbardziej lojalny, a zresztą – ciągnął pospiesznie – zresztą musi pan wiedzieć, że to sprawa najwyższej wagi... jeśli ksiązę Mianning zaprasza nas oficjalnie do Chin...

— Ksiązę Mianning nie wysłał nam prawdziwego zaproszenia, tylko hipotetyczne – przerwał Laurence – a decyzję o jego przedstawieniu pozostawił w rękach tego...

— ...sługi tronu – powiedział głośno Hammond, zagłuszając go – i najwyraźniej kogoś zaufanego, człowieka o nieposzlakowanej prawości i zdolności właściwej oceny sytuacji. Tylko komuś takiemu pozostawia się tak daleko idącą swobodę podejmowania decyzji, ponieważ, kapitanie, może być tylko jeden powód, dla którego prosi się nas o odbycie takiej podróży. Chcą rozmawiać z nami o zawarciu sojuszu.

— Jak mógł pan dojść do wniosku zupełnie niepopartego żadnym dowodem, który dałoby się znaleźć w ich wcześniejszym postępowaniu... – zaczął Laurence.

— Ciężko pracowałem przez te ostatnie pięć lat, kapitanie – odparł Hammond – i wierzę, że nie na próżno. Chiny może nie otworzyły dla nas swoich portów, ale z pewnością nastąpiło złagodzenie...

— Od złagodzenia do sojuszu? – wszedł mu w słowo Laurence.

— Jeśli mi wolno coś powiedzieć – odezwał się Gong Su przeproszającym tonem; mówili już tak głośno, że trudno im było podtrzymać nawet fikcję prywatnej rozmowy, chociaż Laurence nadal nie był skłonny puścić w niepamięć tego, iż praktycznie wszystkie jego rozmowy, z wyjątkiem tych nieczęstych, które odbył w warunkach prawdziwej prywatności, były przedmiotem zainteresowania wykraczającego poza zwykłą plotkarską ciekawość. – Nie ośmielę się spekulować na temat motywów, jakimi kieruje się mój pan, czy też celu jego zaproszenia! Ale powiedziałem to, co powiedziałem, zmuszony do tego przez ostatnie wydarzenia, które muszą budzić lęk, jako że zmieniły na gorsze równowagę porządku światowego, i to z myślą o tym zachęcam pana, by bez zwłoki odpowiedział pan na zaproszenie następcy tronu, wypełniając w ten sposób swój synowski obowiązek.

– Och! Laurence, to więcej niż cudowne! – powiedział zachwycony Temeraire. – Oczywiście, że musimy tam popłynąć. Niczego bardziej nie pragnę, niż żeby Maksimus i Lily zobaczyli Chiny, i cała nasza formacja też. I pomyśleć, że Gong Su zaaranżował to wszystko. Nigdy bym się tego nie domyślił.

— Nie – odparł Laurence, tłumiąc w sobie oburzenie, które znowu go ogarnęło. Kiedy minął pierwszy gniew z powodu zdrady, nie był w stanie długo opierać się perswazji Hammonda. Gong Su aż nazbyt jasno dał do zrozumienia, co miał na myśli, nawet jeśli etykieta dworska nie pozwoliła mu mówić wprost w imieniu syna cesarza. Mimo dość irytującej pokusy, żeby tak zrobić, Laurence nie mógł go uważać za kłamcę lub kogoś niegodnego zaufania: rzeczywiście trudno było winić za lojalność człowieka, który w służbie swojego tronu zostawił dom i rodzinę, by przyjąć na siebie rolę służącego i pełnić ją przez wojnę, pięć kontynentów i tyle samo męczących lat.

Temeraire spojrzał na niego z lekkim niepokojem.

— Mam nadzieję – zaczął niepewnie – że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli nie wrócimy od razu do Anglii? Dowiedziałem się od Lily, że obecnie wszystko utknęło w martwym punkcie, a powrotna podróż z pewnością zajmie Napoleonowi dużo czasu. I jestem pewny, że kapitan Blaise z *Potentate* zrozumie, jak niezmiernie ważna w tych okolicznościach będzie nasza podróż do Chin.

Tego ostatniego Laurence był mniej pewny.

— Zwłaszcza że mamy tylko zaproszenie od następcy tronu, a nie od cesarza, i nie mamy żadnej pewności, że odniesiemy sukces, kiedy już tam przybędziemy – dodał trzeźwo Laurence – ale przekonano mnie, że musimy spróbować. Gdybyśmy się rzeczywiście dowiedzieli, że możliwe jest zawarcie sojuszu z Chinami, byłaby to chyba nasza jedyna nadzieja na zwycięstwo w wojnie z Napoleonem. Ale być może będziemy musieli wybrać drogę lądową i przelecieć do Azji na dalekiej północy, nad Cieśniną Beringa. Nie jestem przekonany, że Blaise zmieni kurs *Potentate* na naszą prośbę; on nie jest Rileyem.

Milczał przez chwilę, po czym powtórzył cichym głosem:

— On nie jest Rileyem – i jeszcze raz zdusił w sobie żal, nie tylko z powodu straty przyjaciela, ale skarbu jeszcze cenniejszego, człowieka, na którym mógł polegać.

— Nie, nie jest – zgodził się Temeraire i pochyliwszy głowę, dotknął deli-

katnie nosem pleców Laurence'a, żeby go pocieszyć.

Tytuł oryginału: *Crucible of Gold*

Copyright © 2012 by Temeraire LLC

All rights reserved

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2012

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce

© iStockPhoto

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Próba złota, wyd. I, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-904-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com